

<http://reim.org.pl>



<http://rcin.org.pl>





**KRZYWOSZEWSKI: TEATR**



STEFAN KRZYWOSZEWSKI

---

# TEATR

W A L K A  
G Ł U S Z E C  
K O L O M B I N A

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-500 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

W A R S Z A W A — 1928

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA



DRUK. GALEWSKI i DAU, WARSZAWA.

<http://rcin.org.pl>

7833



# W A L K A

DRAMAT W 7-MIU OBRAZACH

(PIERWSZE DNI GRUDNIOWE 1830 R.)

## O S O B Y :

Ksawery ks. Lubecki  
Księżniczka Lubecka, jego siostra  
Tekla Plater, jego kuzynka  
Aleksander margr. Wielopolski  
Adam ks. Czartoryski  
Jan Czorba  
Maurycy Mochnacki  
Piotr Wysocki  
Prof. Lech Szyrma  
Dobrogojski  
Nabielak  
Anastazy Dunin  
p. Mochnacka — matka Maurycego  
Bazyli Mochnacki — ojciec Maurycego  
Kamil Mochnacki — brat Maurycego  
Olimpja Mochnacka — siostra Maurycego  
Joachim Lelewel  
Gen. Chłopicki  
J. Niemcewicz  
Ostrowski  
Kochanowski  
Dembowski  
Mostowski  
Radziwiłł  
Sekretarz ks. Lubeckiego  
Senator  
General  
Bankier  
Grzegorz, latarnik  
Karol — kamerdyner Lubeckieigo  
Kamienicznik  
Kupiec  
Podchorążowie, akademicy, klubiści, lud.

*Rzecz dzieje się w pierwszych dniach grudnia 1830 r.*

## O B R A Z I.

*Ranek dnia 2 Grudnia 1830 roku.*

Salon obok gabinetu ks. Ksawerego Lubeckiego w Banku Polskim. Okna w głębi. Dwoje drzwi z lewej i dwoje drzwi z prawej strony.

### SCENA 1.

#### KSIEŻNICZKA — KAROL

*(Przez chwilę na scenie pusto. Z prawej strony wchodzi szybko księżniczka Lubecka, siostra ks. Ksawerego, stara panna, w sukni załobnej. Idzie do drugich drzwi na lewo, otwiera je ostrożnie. Za księżniczką wszedł kamerdyner Karol, zatrzymał się przy drzwiach z prawej strony).*

KSIEŻNICZKA Niema... *(do Karola)* Książę widocznie wyjechał?...

KAROL Książę pan kazał tutaj podać śniadanie. Przyniosłem, zameldowałem. U księcia pana był pan hrabia Zamoyski. Książę powiedział: Dobrze! Zostaw! Więc poszedłem do kredensu. Słyszałem potem turkot powozu, ale myślałem, że to pan hrabia Zamoyski...

KSIĘŻNICZKA (*przerywa niecierpliwie*). Karol nigdy o niczem nie wie... (*zbliżyła się do stolika, na którym — na tacy — zastawione śniadanie*). Śniadanie nieruszone! Książę nawet fajki nie wypalił! (*ostrzej*). Proszę poprosić pana sekretarza!

KAROL (*podchodzi do pierwszych drzwi na lewo, otwiera je ostrożnie*). Księżniczka prosi...

## SCENA 2.

### CIŻ — SEKRETARZ

SEKRETARZ (*staje w drzwiach, kłania się księżniczce*). Sługa księżniczki.

KSIĘŻNICZKA (*sucho*). Dzień dobry panu. Brata niema?

SEKRETARZ (*dyskretny*). Niema. (*zbliżył się do księżniczki, półgłosem*). Po księcia-ministra przyjechał pan Władysław Zamoyski...

KSIĘŻNICZKA (*z wymówką*). Nie daliście mu nawet zjeść śniadania! (*Sekretarz roztwiera ramiona, jakgdyby usprawiedliwiał się, że to nie jego wina*). Panowie nie dbacie o jego zdrowie! Wszystko ma swoje granice. Dwie noce z rzędu nie kładzie się do łóżka! A przedtem!... (*do Karola, wskazując tacę*). Niech Karol zabierze. Cukier proszę zamknąć.

(*na ulicy słysząc krzyki, księżniczka odwróciła się ku oknom*).

Co to?



SEKRETARZ Ciągły niepokój. Wyrostki biegają i krzyczą.

*(słysząc wyraźniejsze krzyki).*

— Kto żyw, do bronii!... Bij Moskala! — Na Belweder!

*(pojedynczy przeraźliwy krzyk).*

— Śmierć zdrajcom!

KSIEŻNICZKA *odwróciła się od okien, niecierpliwie do Karola, który zatrzymał się z tacą w rękach*). Co się dziś wogóle stało z całą służbą! Niema nikogo więcej?

KAROL Księżniczka każe zawołać?

KSIEŻNICZKA *(zmiana tonu)*. Czy panna Tekla wstała?

KAROL Hrabianka już była w kościele. Teraz niedawno skończyła śniadanie.

KSIEŻNICZKA Proszę poprosić tutaj.

*(Karol skłonił się i wynosi się — wraz z tacą — na prawo).*

### SCENA 3.

KSIEŻNICZKA — SEKRETARZ

KSIEŻNICZKA Ja się boję o zdrowie brata. Zbyt wiele naraz! Nawet na jego siły!

SEKRETARZ Wszyscy podziwiają hart duszy księcia-ministra! Śmierć dziecka, akurat tej nocy, wszystkich do głębi wzruszyła...

KSIEŻNICZKA On teraz panuje nad sobą, ale musi przyjść reakcja. Musi! Człowiek nie jest z żelaza!

*(z prawej strony wchodzi senator).*

## SCENA 4.

### CIŻ — SENATOR

SENATOR (*w drzwiach*). Księżniczka pozwoli?

KSIEŻNICZKA Proszę, panie senatorze, proszę...  
(*senator całuje w rękę księżniczkę, wita się z sekretarzem, który skłonił się i wychodzi na lewo*).

Przepraszam, że nikogo ze służby... Wszystko dziś w rozprzężeniu.

SENATOR I w jakim, księżniczko, w jakim! To ja ekskuzuję się, że o tak wczesnej porze!... Niepokój niesie człowieka z domu... (*księżniczka wskazała mu fotel, siadają*). Na ulicach ciągle krzyki... Słyszała księżniczka?

KSIEŻNICZKA (*z odczuciem pogardy*) Motłoch!

SENATOR Tak jest... Skąd się tyle tego wzięło! A wszystko uzbrojone!... Rozpalone! Ja właściwie tak... bez interesu, tylko żeby dowiedzieć się... Niewiadomo, co robić, zostać, wyjechać? (*ciszej*). Pan Lelewel w rządzie! I to podobno na życzenie księcia-ministra?

KSIEŻNICZKA Brat nic bez głębszej myśli nie czyni.

SENATOR Książę zawsze wie, czego chce, tylko nie zawsze o swych zamiarach mówi... Takiego ministra jeszcze nie mieliśmy! Ale wrażenie! Piorunująca!

KSIEŻNICZKA (*uprzejmiej*). Przed chwilą po brata przyjechał pan Władysław Zamoyski...

SENATOR (*żywo*). I co? Może do Belwederu?

KSIEŻNICZKA Nie wiem.

SENATOR Wśród mieszczaństwa trwoga, że WKsiąż-  
że lada chwila pchnie swoje pułki na miasto, że  
będzie rzeź i plądrowanie. Barykadują mieszka-  
nia i sklepy! (*westchnął*). Nikt nie wie dziś, co bę-  
dzie jutro...

(*z prawej strony wchodzi Tekla, w ciemnej sukni*).

### SCENA 5.

CIŻ — TEKLA — (*później*) KAROL

(*Tekla idzie do księżniczki i całuje ją w rękę. Księżniczka po-  
glaskała ją po głowie*)

KSIEŻNICZKA Jak się masz, moje dziecko? Wypo-  
częłaś? Pan nie zna mojej siostrzenicy?

SENATOR (*wita się*). Nie poznałem! Niedawno była  
taka małutka... (*pokazuje ręką*). Ślicznie pani wy-  
rosła! Na Litwie ziemia dorodna!

KSIEŻNICZKA Przyjechała wczoraj wieczorem, cał-  
kiem niespodzianie...

SENATOR (*gorzko*). Dobrze pani trafiła! A tam, na  
Litwie, spokojnie?

TEKLA (*z uśmiechem*). Jak w grobie!

SENATOR Spokój jest przyrodzonym stanem czło-  
wieka. G o r a c z k a znamionuje chorobę.

TEKLA (*żywo*). Człowiekowi — i narodom — przyro-  
dzona jest wolność! Cóż warte życie bez wolno-  
ści! (*do księżniczki*). Ja od wczoraj żyję, jak  
w odurzeniu! Wsłuchuję się w rytm rewolucji,  
który rośnie... rośnie...

SENATOR (*przerażony, do księżniczki*). Rewolucji!

TEKLA (*kończy*). Jak w najcudniejszym poema! Wi-  
taj, jutrenko swobody, za tobą zbawienia słońce!

SENATOR (*przygnębiony*). Ot, do czego doszło! Pan Lelewel w rządzie, a młode panienki z najlepszych rodzin, dziedziczki wielkich fortun...

TEKLA (*śmieje się radośnie*). Chcą walczyć z Moska-lem! Do upadłego! Póki jeden żołnierz wielkiego księcia na ziemi polskiej! Zaś jeśli mężczyźni będą zwlekać, my przypasujemy szable. Ja przywiozłam taką lekką, co pamięta Kościuszkowską inzurekcję...

KSIĘŻNICZKA (*surowo*). Teci! Proszę się opamiętać! (*podejrzliwie*). Toś ty wiedziała, jadąc tutaj...

TEKLA U nas już od miesiąca wszyscy mówili, że inzurekcja wybuchnie lada dzień...

SENATOR (*do księżniczki*). Inzurekcja!

KSIĘŻNICZKA Za moich czasów inaczej wychowywano młode panienki. Ojciec za dużo ci zostawia... tej wolności... (*z uśmiechem*). Już ja cię wezmę w kluby... (*w drzwiach Karol*). Czego Karol chce?

KAROL Pan Czorba prosi, czy nie mógłby wejść na chwilę?

TEKLA (*żywo*). Kto?

KAROL Pan Czorba...

KSIĘŻNICZKA (*szuka w pamięci*). Czorba? (*do Tekli*). To będzie syn Konstancji?

TEKLA (*kryje uśmiech*). Pewno!

KSIĘŻNICZKA (*do Karola*). Proś! (*Karol znika za drzwiami*). Cała Litwa zjeżdża do stolicy... (*do Tekli*). Wy jesteście skuzynowani?..

TEKLA (*j. w.*). Spowinowaceni...

(*w drzwiach z prawej strony Czorba*).



## SCENA 6.

### CIŻ — CZORBA

*(Czorba zbliża się do księżniczki, składa ukłon)*

CZORBA *(przeciągły litewski akcent)*. Przepraszam księżniczkę... i przypominam się pamięci... *(całuje ją w rękę)*. Ja przed paru godzinami z Wilna, i do księcia-ministra chciałem się dostać jaknajrychlej. Tam *(gest w stronę drzwi na prawo)* mówią, że księcia niema, że dziś cały dzień bardzo zajęty... *(kłania się Tekli, która z uśmiechem wyciąga doń rękę)*.

TEKLA Witam pana!

ĆZORBA *(uśmiechnął się trochę szelmosko)*. Ot, niespodzianka!

KSIĘŻNICZKA *(prezentuje)*. Pan Czorba... pan senator Zaklicki.

SENATOR *(serdeczny)*. Ojca znałem... polowaliśmy nieraz u Tyszkiewiczów...

CZORBA *(wita się)*. To nasze sąsiedztwo.

SENATOR Strzelał bez pudła... *(do księżniczki)*. Jak on strzelał!

TEKLA *(kryje uśmiech, agresywna do Czorby)*. Pan skąd się tu wziął?

CZORBA *(udaje, że nie rozumie)*. Jakto, skąd? Taż powiedziałem, z Wilna.

SENATOR A tam u was jak?

CZORBA Wczesne mrozy chwyciły, i teraz śnieg spadł, sanna... *(Tekla śmieje się już całkiem swobodnie)*.

SENATOR Ja nie o pogodę pytam, tylko czy tam u was tak samo... (*gest ręką w stronę okien*).

CZORBA (*na zaproszenie księżniczki usiadł*). U nas spokój.

TEKLA Jak w grobie.

CZORBA (*obruszył się lekko*). Dlaczego zaraz, jak w grobie? To tutaj jeden dom warjatów!

SENATOR Dobrześ powiedział! Dom warjatów! Jeden podporucznik robi powstanie, drugi jest medjatorem... Księżniczko! Czyż Polską mają rządzić sami podporucznicy?

TEKLA (*żywo do Czorby*). Wstyd!

KSIĘŻNICZKA (*do Czorby*). Będzie pan musiał czekać. Brat powinien niedługo wrócić, bo nawet śniadania nie zjadł... Ale ja państwa przeproszam... muszę zajrzeć do bratowej, która jest niezupełnie zdrowa... (*podniosła się, wszyscy powstali*). Teczka dotrzyma panom towarzystwa...

SENATOR (*skłonił się*). Ja na moment do pana sekretarza. Taki niepokój tu... (*wskazał na serce*). Usiedzieć niepodobna... Co z tego wszystkiego będzie!..

(*Księżniczka pożegnała gości skinieniem głowy i wychodzi na prawo*).

SENATOR (*do Czorby*). A na Litwie spokój?

CZORBA Jak dotąd, zupełny spokój...

SENATOR (*raczej do siebie, niż do niego*.) Tutaj dom warjatów... Przepraszam (*skłonił się, idzie na lewo, w pierwsze drzwi*).

## SCENA 7.

### TEKLA — CZORBA

TEKLA (*agresywnie, choć w duszy rada*). Po co pan tu przyjechał?

CZORBA Jakto, po co? Pani w Warszawie, to i ja w Warszawie.

TEKLA Czy ja pana prosiłam?

CZORBA (*wpatrzony w nią, jak w obraz*). Gdzie zaś, przeciwnie.

TEKLA Świat nie widział nieznośniejszego natręta.

CZORBA Kuzynka przesadza.

TEKLA Fenomen.

CZORBA Taki sobie litewski szlachcic.

TEKLA Nigdy za pana nie wyjdę.

CZORBA (*udaje ubolewanie*). To kuzynka chce zostać starą panną?

TEKLA (*obrażona*). Czy pan sądzi, że prócz pana nikt mnie nie zechce?

CZORBA (*pogodny i stanowczy*). Ja każdemu łeb utnę.

TEKLA (*uśmiechnęła się*). Gdybym wyszła za pana, też miałabym męża bez głowy. Potwór! (*podaje mu rękę do pocałowania, czulej*). Potwór!

CZORBA (*zatrzymał przez chwilę jej rękę*). Przyjeżdżam do Wilna, powiadają: panna Tekla wyjechała z towarzyszką do Warszawy. Więc ja zaraz w rozstawne konie, — i jestem. Panno Teci! Co się tu dzieje?

TEKLA (*głęboko*). Dobrze!

CZORBA Ja tylko parę osób widziałem. Nikt nic nie wie. Jeden pyta drugiego...

TEKLA Ci, co za broń chwycili, wiedzą, czego chcą.

CZORBA Nikt ich nie zna...

TEKLA Jutro cały naród będzie powtarzał ich nazwiska.

CZORBA Czyje? Podporucznika Wysockiego? Pana Mochnackiego?

TEKLA Właśnie!

CZORBA Wszystko, te ich gazety! I ta nowa poezja!... „Młodzieży, ty nad poziomy!“... Pani wie, kto jest ów pan Mochnacki? Jaka jego przeszłość?

TEKLA (*żywo i poważnie*). Cicho! Czasem zdaje mi się, że pana lubię, i że pan mi jest blizki. A kiedy pan tak zaczyna mówić, nienawidzę pana, i staje mi się pan obcy. Niech pan się strzeże, aby to, co nas dzieli, nie stało się mocniejszym od tego, co nas łączy. Człowiek nie może być bezdusznym stworzeniem, któremu tylko wygodny spokój jest miły...

CZORBA Zdrowy rozsądek nie jest bezdusnością, a pan Mochnacki...

TEKLA (*kładzie mu palec na ustach, przerywa*). Cicho! Oni właśnie, ci Mochnaccy, wyczuli, czego pragnie Polska, ta młoda Polska, która rwie się do czynu, do wolności, do nowego życia.

CZORBA (*zaniepokojony*). Pani go zna?

TEKLA Nie.

CZORBA (*odetchnął*). Jakie to były szczęśliwe czasy, kiedy młode panny nie czytywały gazet!



TEKLA Małoż w Polsce kobiet, które wogóle czytać nie umieją? Może pan być łatwo szczęśliwy. Proszę. Wyznawca zdrowego rozsądku! Poganin!

CZORBA Jeszcze i poganin!

TEKLA (*żywo*). A wiara? Wiara, co stwarza cuda? Gorąca! Głęboka! Czy pan wierzy w Polskę?

CZORBA Ja dla Polski gotów oddać życie. Ale nie dla pana Mochnackiego...

(*z prawej strony wpada szybko Aleksander Wielopolski*).

### SCENA 8.

CIŻ — WIELOPOLSKI

WIELOPOLSKI (*biegnie ku drugim drzwiom na prawo, postrzeżę Teklę i Czorbę, zatrzymał się*).

Przepraszam... Witam panią...

TEKLA (*podaje mu rękę*). Margrabia Wielopolski... Pan Czorba...

WIELOPOLSKI (*podniecony*). Księcia niema?

TEKLA Wyjechał na miasto.

(*z pierwszych drzwi na prawo wychyla się sekretarz*).

### SCENA 9.

CIŻ — SEKRETARZ — SENATOR

SEKRETARZ Książę-minister prosił, żeby pan margrabia zechciał na niego poczekać.

(*za sekretarzem wysunął się senator*).

WIELOPOLSKI Ja w bardzo pilnej sprawie... (*wita się z senatorem*). Dzień dobry. (*do sekretarza*).

SENATOR (*niespokojny*). Zaszło co nowego?  
WIELOPOLSKI (*uśmiecha się*). Teraz wypadki ścigają się, piętrzą... Każda chwila przynosi coś nowego. (*do sekretarza*). Będę czekał...

SENATOR A na ulicy spokojnie?

WIELOPOLSKI (*uśmiechnął się do Tekli, lekko drwiący*). No, niezupełnie. Kto pragnie spokoju, powinien zabarykadować okna, drzwi i położyć się do łóżka... jak pan Rautenstrauch... (*do Tekli*). — Prawda? (*Tekla śmieje się*).  
(*z prawej strony wchodzi General i Bankier*).

### SCENA 10.

CIŻ — GENERAL — BANKIER — KAROL

GENERAL (*wita się*). — Dzień dobry... (*do Tekli*).  
Moje uszanowanie...

(*Bankier wita się bardziej ceremonjalnie*).

— Tam, w poczekalni, tyle osób, że my tutaj... (*do sekretarza, tajemniczo*). — Czy to prawda, że książę-minister z p. Zamoyskim... do Belwederu?

SEKRETARZ Ja o niczem nie wiem.

BANKIER Na placu wielkie zbiegowisko... (*do sekretarza*). — Będziemy mogli poczekać?

SEKRETARZ Proszę panów... (*wskazuje fotele*).

SENATOR (*zaniepokojony*). — Powiadasz pan — wielkie zbiegowisko?

GENERAL Największe tłumy przed ratuszem. A o placu Trzech Krzyży znów słychać było strzały..

SENATOR (*j. w.*). — Strzelali?

GENERAL *Tak... Teraz już byle kto ma broń... i strzela choćby w powietrze. (siada).* Ja się pytam tylko, co na to wszystko powie cesarz?

SENATOR *A wielki ksiązę?*

GENERAL *(wzruszył ramionami).* Czeka!

SENATOR *Na co czeka?*

GENERAL *(z goryczą).* — Niech Senator jedzie do Belwederu i zapyta.

WIELOPOLSKI *(lekko drwiący uśmiech nie opuszcza go).* — Wielki ksiązę nie chce mieszać się do wewnętrznych niesnasek między Polakami...

TEKLA *(żywo).* — Czyż między Polakami mogą być w obliczu wroga — niesnaski?

*(Wielopolski odpowiada gestem, który zdaje się mówić: niestety, tak!).*

GENERAL *Cała nadzieja w księciu-ministrze... On jeden ma wpływ u cesarza. I zaufanie... (uśmiechnął się).* — Ty wriosz, Nikołaj!

SENATOR *(zainteresowany).* — Co to znaczy?

GENERAL *(zadowolony).* — Cesarz zapędza się czasem, gdy opowiada... jak kiedyś nasz ksiązę Panie Kochanku... Tedy jednemu księciu Lubeckiemu przyzwolił, by go powstrzymywał w takim wypadku: — Ty wriosz, Nikołaj! Kłamiesz Mikołaju! *(śmieje się).*

SENATOR *(j. w.).* — I ksiązę korzystał z tego przywileju?

GENERAL *Tego nie wiem.*

*(Na ulicy wzmożone krzyki, wszyscy się oglądają niespokojnie ku oknom. W drzwiach z prawej strony Karol).*

KAROL Księżę-minister przyjechał.

SEKRETARZ (*biegnie ku niemu*). — Gdzie jest?

KAROL U księżnej pani...

(*Sekretarz wybiega na prawo, za nim Karol*).

BANKIER (*wskazuje na okna*). — Taki zamęt, gdy właśnie przemysł i handel najbardziej potrzebują spokoju!

SENATOR (*patetycznie wskazał na okna*) — Ulicą rządzi pan Mochnacki.

GENERAL Wojskiem — podporucznicy!

SENATOR Ja się wogóle pytam, kto są ci rewolucjonści? Kto ich zna, kto słyszał o nich?

TEKLA (*która słucha tych wykrzykników z widocznym wzburzeniem, usta jej poruszyły się, w końcu nie może się pohamować*). — Gdy starszym drżą ręce, młodzi muszą chwytać za oręż. Czemuż pan generał nie stanie na czele pułków?

GENERAL (*oburzony*). — Ja? Z tymi zapaleńcami? Co nawet musztry nieu mieją? Wielki księżę, gdy zechce, wyróżnie ich w pień!

TEKLA Generał Szembek nin zawahał się jednak!

GENERAL (*j. w., widocznie dotknięty i obrażony*). — To jego sprawa. Ja z jakobinami spółem nie pójdę, mościa panno, bo choć moje ręce jeszcze nie drżą, pamiętam o przysiędze, którą złożyłem na wierność królowi.

TEKLA Wierność ojczyźnie ważniejsza, niż wszystkie przysięgi!

(*generał sapie z oburzenia*).

CZORBA (*usiłuje ją powstrzymać*). — Panno Teklo!

TEKLA (*nie zwraca nań uwagi*). — Gdy naród chwycił za broń, by wolność odzyskać, wszyscy muszą iść do walki, wszyscy, jak jeden mąż! Kto zawaha się stanąć w szeregach? Kto?

(*w drzwiach z prawej strony stanął przy ostatnich słowach Tekli ks. Lubecki, niepostrzeżony przez obecnych*).

### SCENA 11.

CIŻ — KS. LUBECKI

KS. LUBECKI (*z lekkim uśmiechem*). — Kto?  
(*wszyscy odwracają się, porywając się z miejsc*).

SENATOR — GENERAŁ — BANKIER Książę minister!

LUBECKI (*wita się z gośćmi*). — Dzień dobry, generale! (*do bankiera*). Witam pana! (*do senatora*). Witam! (*postrzega Czorbę*). A, pan Czorba! Już Litwa biegnie na pomoc Koronie? (*Czorba ścisną z szacunkiem podaną mu dłoń*).

LUBECKI (*zwrócił się nagle do Wielopolskiego*). — Byłeś?

WIELOPOLSKI Tak...

LUBECKI (*skinął mu głową na znak porozumienia, poczem zwraca się do zebranych, ton żartobliwej ironji*) — My rządym światem, a nami kobiety! Teraz komendę obejmują młode panienki. Któż na takie wezwanie zawaha się stanąć w szeregach? (*z lekkim ukłonem*). Rozkazuj, amazonko!



TEKLA (*usiłuje zalotnym uśmiechem pokryć zmięszanie*). — Przepraszam, wuju... I panów bardzo przepraszam! My na Litwie tak: co na sercu, to na języku!

LUBECKI A języki na Litwie długie i obrotne! (*wziął ją w pół*). — Generale! Wybaczymy jej tym razem?

(*wszyscy uśmiechają się*).

GENERAL (z *ukłonem*). — Ja zawsze korzę się przed pięknnością!

LUBECKI (*do Tekli*). — Podziękuj! (*Tekla skłoniła się z wdzięcznym uśmiechem*). I marsz do wujenki!

(*Tekla raz jeszcze wszystkim się ukłoniła, podała ukradkiem rękę Czorbie i śpiesznie wychodzi na prawo*).

## SCENA 12.

### CIŻ — BEZ TEKLI

BANKIER Byliśmy niespokojni o księcia-ministra!

LUBECKI (*z pewną wyniosłością*). — O mnie? Cóż znowu!

SENATOR Ulice pełne wzburzonego motłochu!

LUBECKI Nie widziałem nigdzie motłochu, senatorze. Spotkałem tylko dużo podnieconych, młodych obywateli (*lekki uśmiech*) którzy nie skąpili mi zresztą dość natarczywych rad i wskazówek...

GENERAL Bezwstydni!

SENATOR Świat się wywraca!



LUBECKI Wywraca się ten świat, który myśmy za swój uważali, — przychodzi młode pokolenie, któremu wydaje się, że będzie tworzyć świat nowy, lepszy... Tak było wczoraj, tak będzie za sto lat... A ziemia będzie się wciąż tak samo obracała koło słońca!.. Czem mogę panom służyć?

GENERAŁ My do księcia-ministra o radę...

BANKIER Wskazówki...

SENATOR Co czynić, jak się zachować?

LUBECKI Nie tracić rozważli i zimnej krwi. Kiedyż przytomność bardziej potrzebna, jak w czasie burzy? Rzeczywistości patrzeć śmiało w oczy, rachować siły własne i przeciwne, a jedno mieć zawsze na oku: dobro ojczyzny!

CZORBA (*nieśmiało*). Każdy je rozumie inaczej!

GENERAŁ Potrzeba jednej komendy!

BANKIER Silnej, mądrej władzy!

SENATOR Która by opanowała rozpętane żywioły!

LUBECKI Przedewszystkiem musimy ściągnąć więcej wojska. Tylko silny budzi szacunek. Dziś jeszcze zbiera się Rada Administracyjna... Wybaczcie teraz, panowie... Mam sprawy pilne i ważne!..  
(*wszyscy skwapliwie się żegnają*).

Żegnam, generale! Do widzenia! (*do Czorby*). Pan chcesz zostać tutaj?

CZORBA Tak, mości księżę.

LUBECKI Zatrzymuję pana do służby szczególnej... Roboty dość dla wszystkich...

GENERAŁ (*zatrzymał się*). A wielki księżę... bardzo rozdrażniony?

LUBECKI (*z godnością*). Mało to nas obchodzi, generale. Zbyt późno dowiedział się, czego naród żąda! Raz jeden miał słuszną: gdy w akcie abdykacyjnym przyznał, że nie ma ani rozumu, ani zdolności do sprawowania władzy!

(*generał zdziwiony i zaskoczony*).

LUBECKI (*wziął pod ramię senatora, ciszej*). Widział pan Węgrzeckiego?

SENATOR (*tak samo*). Tak... Przynależ, że więcej na ratuszu do burd nie dopuści.

LUBECKI A gdzież to organizuje się wojna przeciw Radzie? Gdzie najbardziej demagogiczna szczebiotliwość? Nie na ratuszu? Poczciwy człowiek, nad upadkiem ojczyzny zawsze gotów płakać, ale do czynu słaby... (*puścił senatora, zbliżył się do generała*). Cóż Chłopicki?

GENERAŁ (*spojrzał po obecnych, zafrasowany*). Książę pozwoli, ja chciałem parę słów na osobności.

LUBECKI (*życzliwie*). W tej chwili służę... (*do bankiera*). Wołowski był u pana?

BANKIER (*z ukłonem*). Wszystko omówione... Według myśli księcia-ministra...

LUBECKI (*ścisnął go za łokieć*). Dziękuję... (*do wszystkich*). Tylko nerwy trzymać mocno w garści, a machina pójdzie! Nie masz takiego powikłania, z którego mądry człowiek nie wyciągnąłby korzyści... Ja je wydobędę... choćby z pod podeszwy! (*skinął na sekretarza, który podchodzi*). Poznałeś pana Czorbę? (*sekretarz skłonił się potakująco, Czorba zbliżył się, Wziął Czorbę za ramię*). Bę-

dzie u nas do poszczególnych poruczeń! Pewny człowiek! Można mu zaufać!

SEKRETARZ (*z lekkim ukłonem*). Takich nam trzeba...

LUBECKI (*do Czorby, wskazując sekretarza*). — On cię o wszystkim objaśni... (*do sekretarza ciszej*). Do Sobolewskiego posłano?

SEKRETARZ Tak...

LUBECKI Dobrze... Teraz pozwólcie, że zapalę fajkę...

(*sekretarz podaje mu ze stołu fajkę, pomaga zapalić*). (*ciszej*). — Lelewel i Ostrowski powiadomieni?

SEKRETARZ (*tak samo*). Pan Ostrowski wstąpi po pana Lelewela i razem przyjadą.

LUBECKI Dobrze... (*puścił kłęby dymu z fajki, zadowolony, chwila milczenia*). — Teraz słuchajcie! (*wszyscy skupiają się koło niego*). Nowina! (*wyjmuję fajkę z ust*). — Jedziemy do Mokotowa układać się z wielkim księciem! (*wśród wszystkich obecnych żywe poruszenie*).

SENATOR Więc jednak zdrowy rozsądek górą!

GENERAL Tegośmy wszyscy czekali! Już dosyć niedorzeczności!

BANKIER Konwencja dojdzie do skutku?

LUBECKI (*zwraca się do bankiera*). — Czy z wielkim księciem można być czego pewnym? Dowiedziemy się w Mokotowie. Pokój albo wojna! Aby osiągnąć dobry pokój, trzeba wykazać siłę... Gotowość do walki, to najlepsza droga do pokoju.



(z lekkim uśmiechem). Dobre wojsko, pełny skarb i mocny rząd — machina pójdzie!

SENATOR Ba!...

LUBECKI Generale! Proszę do mego gabinetu... (wskazuje drugie drzwi na lewo). Zaczeka pan chwilę, dbrze? (Generał skłonił się i idzie na lewo)

SENATOR (wziął bankiera pod ramię). — My zaczekamy na pana, generale?

GENERAŁ (odwrócił się). — Proszę...

SENATOR (do sekretarza, wskazując pierwsze drzwi na lewo). Można u pana?

SEKRETARZ Służę panom...

CZORBA (zbliżył się do niego). Ja muszę na miasto. lecz za godzinę wrócę...

SEKRETARZ (z lekkim ukłonem). Zechce pan zajść do mnie, dobrze?

CZORBA Owszem. (do Lubeckiego z głębszym ukłonem). Dziękuję księciu!

LUBECKI (podał mu życzliwie rękę). Liczę na ciebie! Pamiętaj!

(Czorba skłonił się księciu, wszystkim innym i wychodzi na prawo).

SEKRETARZ (do Senatora i Bankiera). — Proszę... (Senator, Bankier i Sekretarz wychodzą w pierwsze drzwi na lewo).

## SCENA 13.

### LUBECKI — WIELOPOLSKI

*(Podczas poprzedniej sceny Wielopolski trzymał się cokolwiek w oddali. Teraz wstał z fotela, zbliża się do Lubeckiego. Z ulicy znów dochodzi niespokojny gwar i okrzyki).*

LUBECKI *(puszcza dym z fajki, wskazał na zamykające się drzwi z lewej strony).* — Oni chcą się przeciwstawić tamtym!

*(gest w stronę okien).*

WIELOPOLSKI Można się na nich oprzeć w czasie pokoju, lecz do walki!..

LUBECKI Boją się o własny spokój, a wydaje im się, że to troska o ojczyznę!

WIELOPOLSKI *(uśmiecha się).* — Tchórz ze strachu staje się czasem bohaterem!

LUBECKI Taki bohater umie niekiedy godnie umrzeć. Ale nie potrafi zwyciężyć... Siadaj!

*(usiedli obaj).*

— Cóż „kolega“ Mochnacki?

WIELOPOLSKI Twardy, nieustępliwy! Tam wogóle wre, jak w ogniu... *(poważnie).* Już wiedzą, że delegacja jedzie do wielkiego księcia.

LUBECKI Lelewel musiał się wygadać. Demokracja nie chodzi w parze w dyskrecją. No, i krzyczą?

WIELOPOLSKI Mam wrażenie, że będą usiłovali wzburzyć tłumy... uniemożliwić wyjazd delegacji...

LUBECKI Od czegoż Lelewel? Będzie musiał nas osłaniać. *(z lekką ironją).* Dla pospólstwa jest wciąż świętością narodową... *(nagle).* Ja z nim muszę zetknąć się oko w oko...



WIELOPOLSKI (*zdziwiony*). — Z Lelewelem?

LUBECKI (*również zdziwiony, że nie został zrozumiany*). — Skądże z Lelewelem! Z Mochnackim. Ten jest najniebezpieczniejszy. Trzeba go unieszkodliwić.

WIELOPOLSKI (*z lekkim uśmiechem*). Jak Leleweła?

LUBECKI (*spojrzał mu w oczy*). Tak. W gruncie rzeczy, oni wszyscy łakną władzy, dostojenstw, tytułów...

WIELOPOLSKI (*j. w.*) — A my?

LUBECKI My też. Lecz my wiemy, czego chcemy, dokąd zmierzamy, gdy oni... (*urwał*). Musisz mi go sprowadzić!

WIELOPOLSKI Nie chce. Powiedział jasno: Książę-minister i ja, to dwa przeciwne krańce. Jego zwycięstwo, to dla nas szubienica.

LUBECKI (*z lekką ironją*). Nie dodał: i odwrotnie?

WIELOPOLSKI (*zawahał się*). — Nie.

LUBECKI (*spojrzał mu w oczy*). Ale pewno myślał... (*z ulicy znów głośniejsze krzyki, wrzawa, gdzieś w dali jęklliwe zawodzenie kobiece*).

LUBECKI (*gest w stronę okna*). Co się tam dzieje?

WIELOPOLSKI Lud jest poruszony. Niepewność. Lęk... Każda plotka znajduje wiarę... (*Lubecki wyjął fajkę z ust, otrząsnął, położył na stole. Wstał. Wielopolski podniósł się również z fotela*).



LUBECKI Tłum jest zawsze, jak dziecko... (*nagłe wspomnienie, po chwili zmienionym głosem*). Ach, ten lęk, w oczach dziecka... bezradny lęk... widziałem go teraz, gdy mój malec zrozumiał, że już koniec... i chwycił mnie za rękę... Tej chwili nie zapomnę nigdy... To straszna rzecz, kiedy umiera małe dziecko, przed którym całe życie... (*otrząsnął się*). Bóg dał, Bóg wziął... Jego wola... (*twardo*). Mochnackiego musisz mi dostarczyć... Jutro! W polityce niema przeciwnych krańców... (*spojrzał mu w oczy*). Nie wierzysz? Życie przekona cię, że nie masz racji...

WIELOPOLSKI Przepraszam... Książę powiedział: my wiemy, czego chcemy, dokąd zmierzamy. My, to kto? Książę Adam, Niemcewicz, Chłopicki?..

LUBECKI (*zawahał się*). Nie.

WIELOPOLSKI Książę?

LUBECKI (*j. w.*). Tak... (*chwila milczenia*). (*Kładzie rękę na ramieniu Wielopolskiego, poufnie i życzliwie*). Jesteś młody, braknie ci jeszcze doświadczenia... Ale z twymi talentami, nazwiskiem, fortuną, w przyszłości niechybnie zajmiesz wielkie stanowisko... Tobie powiem, czego innym wolę nie ujawniać. Do czego dążę? Chcę okiełznać rewolucję... chwycić jej cugle w garść. Skoro raz wybuchła, trzeba z niej korzystać, trzeba ją wyzyskać, lecz równocześnie nie wolno dopuścić, by przebrała miarę... Cesarzowi rewolucja wypadła nie w porę... Niech odda Litwę i Ruś... niech raz na zawsze skończą się rządy Konstantych i Nowo-

silcowych. Rewolucja! Tak. Dobrze jest czasem pokazać twardy kułak. Ale nie należy obrażać bezpowrotnie dumy mocniejszego, nie należy wywoływać mściwości... Oto gra, którą trzeba wygrać, a obaczysz, co z tego kraju zrobimy! Świat nam zazdrościć będzie pomyślności, dostatków!

WIELOPOLSKI Czemuż nie postawić rzeczy jasno?

LUBECKI Nie rozumieją! Politykę mogą prowadzić jednostki, nie naród. Naród kieruje się zawsze więcej uczuciem, niż rozsądkiem... Ani słowa o tem nikomu! (*zamyślił się*). Czy uda się stasować i zebrać karty tu w Warszawie, by wygrać je tam... w Petersburgu? Sądzę, że tak... (*zmiana tonu*). Zostajesz?

WIELOPOLSKI Księżniczka chciała się ze mną zobaczyć. Muszę zaczekać.

LUBECKI(*podał mu rękę, życzliwie*). Do widzenia!  
(*idzie w drugie drzwi na lewo*).

#### SCENA 14.

WIELOPOLSKI — KAROL

(*na ulicy znów rosnąca wrzawa, okrzyki. Wielopolski podchodzi do okien w głębi*).

KAROL (*wchodzi z prawej strony, widocznie wzruszony. Po chwili wahania odzywa się*). Proszę jasnie pana..

WIELOPOLSKI (*odwrócił się, życzliwie*). Czego Karol chce?

KAROL (*podchodzi*). Powiadają, że jakieś wojsko idzie od Woli.

WIELOPOLSKI (*żywo*). Wojsko?

KAROL Jedni mówią, że polskie, drudzy, że moskiewskie. Strach obleciał pospólstwo... na Elektoralnej sklepy i bramy zamykają...

WIELOPOLSKI (*patrzy w okno*). Coś się tam dzieje...  
Ludzie biegną...

KAROL (*stanął za nim*). Jaśnie pan pozwoli otworzyć okno?

WIELOPOLSKI Niech Karol otwiera.

(*Karol otwiera podwójne okno. Wraz uderza głośniejsza fala wrzawy i okrzyków. Słychać płacz kobiet i dzieci. Z pierwszych drzwi z prawej strony wypadają senator i bankier, za nimi sekretarz. Senator biegnie do okna*).

SENATOR Co się tam dzieje?

BANKIER (*zatrzymał się*). Okno otwarte! Pan Senator zaziębi się!

SENATOR Wszystko jedno! (*wychyla się przez okno*). Obywatele! Czemu uciekacie?

GŁOSY Z ULICY Od Woli wojsko! Moskale! Ratujsię, kto może!

(*histeryczne zawodzenia kobiece*).

TEKLA (*wbiega z prawej strony, bardzo wzruszona*).  
Podobno Moskale idą?

BANKIER Pułki rosyjskie?

SENATOR (*przy oknie*). To musiało nastąpić! Musiało! Ale żeby tak nagle! Co z tego będzie?

(*z ulicy krzyki: Do broni, polacy! Kto żyw, do broni! Moskale! Moskale idą! Zginęliśmy! Uciekajcie! Do broni! Moskale!*).

BANKIER Jeśli puszczą na miasto kozaków, będzie rzeź... *(do Tekli)*. Niech hrabianka nie podchodzi do okna! *(Zatrzymuje ją)*.

SENATOR Wielki książę jest mściwy!

TEKLA *(do bankiera)*. Dlaczego?

*(z prawej strony wpada księżniczka, bardzo poruszona, za nią kilkoro domowników, którzy zostają przy drzwiach. Wchodzi szybko Czorba. Karol wycofał się również w pobliże drzwi)*.

KSIEŻNICZKA *(do Tekli)*. Szukam cię wszędzie... Podobno jakieś wojsko?

TEKLA *(matowym głosem)*. Mówią, że Moskale...

KSIEŻNICZKA Stwórcu Najwyższy! Moskale!

CZORBA *(stanął przy Tekli)*. Zawróciłem z drogi. Tłum taki, że przejść nie można.

*(Wśród wciąż wzmagającej się wrzawy słychać przytłumione zrazu, potem coraz głośniejsze dźwięki orkiestry wojskowej)*.

TEKLA *(klęka)*. Najświętsza Panno! Pod Twoją obronę... *(odmawia szeptem litanję)*.

KSIEŻNICZKA Najświętsza Panno! Pod Twoją obronę...

*(klęka, za nią parę kobiet z pośród domowników)*.  
*(Z drugich drzwi na prawo wychodzą szybko Lubecki i Generał)*.

LUBECKI *(zatrzymał się)*. Co się tu dzieje? *(Objął zdumionym wzrokiem modlące się kobiety)*.

SEKRETARZ *(ciszej)*. Podobno pułki rosyjskie w księcia.

*(Generał spieszy do okna)*.

BANKIER Moskale!

*(krzyki na ulicy zamieniają się w istną burzę, lecz zmienia się ich ton — trwoga przeobraża się w radość, płacz ustał, dźwięki orkiestry coraz bliższe).*

GENERAL (przy oknie, nagle zdumiony). To nie mogą być rosjanie! Słuchajcie!

*(wszyscy nadśłuchują... Kobiety wstały. Dźwięki orkiestry coraz bliższe, mieszają się z śpiewem tłumu).*

BANKIER (zdumiony). Jeśli mię słuch nie myli...

SENATOR (poruszony). Tak! Tak!

*(Lubecki stoi nieporuszony).*

TEKLA (z wybuchem nieokiełznanej radości)). To Warszawianka! To polskie wojsko idzie!

*(Ulicą pod oknami idzie orkiestra wojskowa, grzmiąc Warszawiankę. Tłum śpiewa).*

OKRZYKI Niech żyje Szembek! Wojsko z narodem!  
Niech żyje wojsko!

TEKLA (głęboko wzruszona). Szembek! Pułk Szembeka!

GENERAL (przy oknie, wzruszony). Pułki polskie łączą się z rewolucją!

TEKLA Dzięki Ci, Matko Najświętsza!

Zasłona spada.

## O B R A Z I I.

*Tegoż dnia (2 Grudnia 1830 roku) wieczorem.*

Sala obrad Rady Administracyjnej w Gmachu Banku Polskiego. Drzwi z prawej i lewej strony, w głębi wysokie okna. Pośrodku wielki stół, nakryty zielonem sukniem. Kandelabry, na ścianach świeczniki. Dokoła stołu fotele. Między drzwiami duży komin, nad nim lustro.

### SCENA 1.

LELEWEL — SEKRETARZ — TEKLA

*(Z prawej strony przy stole siedzi, wglębiony w fotel, Joachim Lelewel. Zgarbił się, głowę oparł na rękach tak, że twarzy nie widać. Z lewej strony wsuwa się sekretarz, za nim Tekla.)*

SEKRETARZ *(wskazuje ręką Lelewela, cicho)*. Siedzi tak już dobre pół godziny.

TEKLA *(tak samo)*. Może zasnął?..

SEKRETARZ Nie... On tak często...

*(Lelewel dosłyszał szept, odwraca się, patrzy wzrokiem cokolwiek nieprzytomnym).*

TEKLA *(podchodzi, uśmiechnięta)*. Panie profesorze!

LELEWEL *(nie poznał jej zdaleka)*. Co takiego?



TEKLA (*zbliża się do niego, z uśmiechem*). Profesor mię nie poznaje? Swojej uczenicy wileńskiej?

LELEWEL (*nagle twarz mu się rozjaśniła, powstał, wyciąga do niej obie ręce*). Hrabianka? Tutaj! (*Sekretarz przesunął się dyskretnie i wyszedł drzwiami na prawo*).

## SCENA 2.

TEKLA — LELEWEL

LELEWEL (*serdecznie*). Jakże mógłbym zapomnieć... nasze lekcje... (*uśmiechnął się*) i te kawiory, które mi pani ciągle przysyłała... (*przetknął ślinę*). Jeszcze dziś łechcą podniebienie... (*wziął obie jej ręce w swoje dłonie*).

TEKLA (*promienieje widoczną radością*). Takam rada, że pana widzę! (*z wymówką*). Dlaczego pan nie chce przyjść na herbatę? Tam prawie wszyscy panowie z Rady! Wuj kazał pana bardzo prosić!

LELEWEL (*gest lekko niecierpliwy*). Nie... nie jestem usposobiony... (*usiadł, patrzy jej w oczy życzliwie, westchnął*). Gdzież te czasy wileńskie, kiedyśmy o starych dziejach gwarzyli!

TEKLA (*przysiadła na fotelu obok*). Dlaczego pan smutny? Mnie się zdaje, że teraz wszyscy powinni odczuwać taką wielką radość! (*spojrzała na jego czarny strój*). Przepraszam... (*ze współczuciem*). Pan profesor stracił ojca!

LELEWEL (*s pochmurniał*). — Tak.

TEKLA (*wraca do zaprosin*). Książę Radziwiłł pytał o pana profesora.

LELEWEL (*ten sam gest*). Nie... nie! Proszę darować!  
Ja tu poczekam! (*łagodniej*). Zaraz rozpocznie-  
my nanowo obrady.

(*krótka pauza*).

TEKLA (*nieśmiało, nie mogąc powstrzymać myśli,  
która ją trapi*). Panie profesorze, czy to prawda,  
że i pan podpisał układ z wielkim księciem? (*Le-  
lewel posepnie milczy*). Ja w to nie mogłam uwie-  
rzyć!

LELEWEL Dłaczego?

TEKLA (*zdziwiona*). Jakto, dlaczego? My chcemy  
z nim walczyć, wziąć go do niewoli...

LELEWEL (*przerywa z lekką ironją*). A potem? Co  
potem?

TEKLA (*z radosnym uśmiechem*). Potem ciągle na-  
przód, aż do ostatecznego zwycięstwa!

LELEWEL A jeśli oni będą silniejsi?

TEKLA (*wzburzona*). Panie profesorze! Pan to mó-  
wi? Pan, w którego my wszyscy tak wierzymy, —  
pan nie ufa w siły narodu?

LELEWEL (*bierze jej ręce w swe dłonie, łagodnie*).  
— Trzeba naprzód te siły zjednoczyć, całą po-  
wszechność uwikłać w powstanie, przekonać tych,  
co jeszcze oporni! Nie wszyscy mają taki zapał!  
(*opuścił jej ręce, z życzliwym uśmiechem*). Ot,  
niespodzianka! Siostrzenica księcia-ministra — za  
rewolucją!

TEKLA (*z radosnym uśmiechem*). Bez zastrzeżeń!

LELEWEL A cóż na to książę?

TEKLA (*j. w.*). Wuj wogóle lekce sobie waży, co myślała kobiety. A cóż dopiero takie młode, jak ja! Mówi, że zwarzjowała. (*cisza*). Dziś rano powiedział mi, że gdyby miał dwadzieścia lat, to pewno myślałby tak samo... (*śmieje się*). Ale — dodał — dwudziestoletnim młodzieniaszkom nie można oddawać w ręce władzy. (*Zmiana tonu, nagle zatroskana*). Panie profesorze! My wszyscy panu tak ufamy! Dziś tłum byłby poszarpał i księcia Czartoryskiego, i wuja, gdyby pana z nimi nie było!

LELEWEL (*naiwny uśmiech przemknął mu po ustach*). Książę-wojewoda był bardzo dotknięty, że ktoś inny musiał go swoją popularnością osłaniać!

TEKLA Z okien słychać było krzyki: Lelewel nie dopuści do układów! Lelewel nie poniży godności narodu!

LELEWEL (*z nagłą goryczą*). Miałem ja jeden brać całą odpowiedzialność? I tak już powiadają, że piję krew małych dzieci...

TEKLA (*z głębszym żalem*). Jak pan mógł to zrobić, panie profesorze!

LELEWEL (*j. w.*). Więc w obliczu wroga — wojna domowa? Polak będzie bił się z Polakiem, a moskał będzie sztydził? Zaiste... cięższej chwili w życiu nie miałem! (*gest w stronę Mokotowa*). Tam... księżna Łowicka... też Polka... i dobra Polka... całą winę... całą odpowiedzialność na mnie. (*naiwnie*). Jednak przekonałem ją!

TEKLA (*wzburzona*). Nam wszystko jedno, co myśli księżna Łowicka. Nasze hasło: wolność albo śmierć!

LELEWEL (*łagodnie*). To hasło jednostek, nie narodu. Naród nie umiera, tylko upada.

(*w drzwiach z prawej strony Ostrowski*).

### SCENA 3.

CIŻ — OSTROWSKI

OSTROWSKI (*sposzregł naprzód Lelewela, podchodzi doń szybko z powitaniem*). Dobry wieczór! (*sposzregł Teklę, zdziwiony*). O! Pani? (*wita się z uśmiechem, wskazując na puste fotele*). Zasiądzie pani z nami?

TEKLA (*śmieje się*). Nigdy! Jestem przeciwna wszelkim radom. Teraz pora — nie radzić — lecz walczyć, bić wroga!

OSTROWSKI (*zatrzymał nieco dłużej jej rękę*). Poskarżę się księciu-ministrowi. (*do Lelewela*). Profesor sam?

TEKLA Inni panowie są u wujostwa... na herbacie. Czekają na księcia-wojewodę i na generała Chłopickiego. Powiem, że panowie tutaj... (*do Lelewela serdecznie*). Do widzenia!

(*skłoniła się i wybiega na lewo*).

### SCENA 4.

LELEWEL — OSTROWSKI — SEKRETARZ —  
CHŁOPICKI

LELEWEL (*podniósł głowę*). Co słyhać?

OSTROWSKI (*sPOCHMURNIAŁ*). Odezwa Rady o konwencji z Wielkim Księciem rozplakatowana...

<http://rcin.org.pl>

LELEWEL (*niespokojny*). I co?

OSTROWSKI (*j. w.*). Jak było do przewidzenia!  
Zdzierają, złorzeczą... wydrwiwają!

LELEWEL (*przygnębiony*). Oczywiście!..

OSTROWSKI (*j. w.*). Tłum jest podniecony i rozgoryczony.

(*z prawej strony wchodzi generał Chłopicki, przeprowadzany usłużnie przez sekretarza*).

SEKRETARZ Księżę minister bardzo prosił...

CHŁOPICKI Ja już po kolacji... Powiedz pan tylko, że jestem. (*zbliża się do Lelewela i Ostrowskiego*).  
Dobry wieczór! (*wita się z Lelewelem, który podniósł się z fotela, i z Ostrowskim. Sekretarz, cokolwiek zafrasowany, wychodzi na prawo*). (*do Lelewela, szorstko*). Pan wiesz, przed ratuszem szykuje się wielka burda. (*unoszą się*). Pańscy przyjaciele odgrażają się Radzie..., klubiści, którym pan przewodniczysz!

OSTROWSKI Znowu?

CHŁOPICKI (*gniewny*). Chcą, żeby uderzyć na wielkiego księcia! Mimo układu! (*do Lelewela, j. w.*). Czy to pan ich pchasz do tego szaleństwa?

LELEWEL (*pochmurny*). Młode głowy są gorące!

CHŁOPICKI Obłęd! Zupełny obłęd! Z taką garsteczką porywać się na wielką potęgę!

LELEWEL (*j. w.*). Jeśli cały naród powstanie, będzie też siła. Tylko pora już przestać gadać, a zacząć działać!



CHŁOPICKI (*porywczo*). Naród! Naród to nie wszystko. Wojnę prowadzi wojsko... Ja zbieraniną nie umiem dowodzić. Dajcie mi sto tysięcy regularnego wojska, a zobaczymy! (*do Lelewela, unosząc się*). Nie, mój panie, ja z twoimi przyjaciółmi nie pójdę!

OSTROWSKI Naród, generale, ciebie tylko chce mieć wodzem!

CHŁOPICKI Z parasolem na wiatrak! Będziecie mię widzieli! Wziąłem dowództwo, żeby utrzymać ład w wojsku i w kraju. O niczem innym nie chcę słyszeć!

LELEWEL Pod Raławicami chłop gołemi rękami brał armaty moskiewskie.

CHŁOPICKI (*zwraca się porywczo do Lelewela*). A skończyło się Maciejowicami! Pan naród pchasz do zguby! Tłum podburzacie do ekscesów! Generałów na ulicach mordują! Wstyd!

OSTROWSKI (*mityguje go, widząc wzburzenie Lelewela*). Generale!

(*Z lewej strony wchodzi Lubecki, Niemcewicz, Michał Radziwiłł, Kochanowski, Dembowski, Mostowski*).

## SCENA 5.

CIŻ — LUBECKI — MICHAŁ RADZIWIŁŁ —  
NIEMCEWICZ — MOSTOWSKI — KOCHANOWSKI — DEMBOWSKI

NIEMCEWICZ (*Zbliża się do Chłopickiego i Ostrowskiego, postrzegłszy ich alternację*). Co się stało?

OSTROWSKI (*wita się z Niemcewiczem — z wielkim szacunkiem*). Generał jest bardzo rozdrażniony.



CHŁOPICKI (*wzrusza ramionami*). Rozdrażniony? Trzeba mieć wodę w żyłach, żeby patrzeć spokojnie na to, co się dzieje. Przed ratuszem klubił się pana Lelewela (*gest w stronę Lelewela, który podniósł się dość ciężko z fotela i stoi milczący i pochmurny*) przeciw Radzie podjudzają... Mochnacki tłumem kieruje, jak chce! Krzyki, pogroźki słysząc aż na Senatorskiej. Wymawiają nam posłuch, swoje rozkazy chcą dyktować. Lada chwila motłoch tutaj może wtargnąć! (*do Lubckiego*). Należałoby plac obstać wojskiem.

LUBECKI Sądzę, że trzeba za wszelką cenę unikać starcia... przynajmniej w tej chwili...

KOCHANOWSKI (*Zbliżył się do grupy, żywo*). Do starcia nie można dopuścić!

NIEMCEWICZ Na to ujęliśmy władzę, by większym nieszczęściom zapobiedz, wzburzone umysły uspokoić... Dźwigamy wielką odpowiedzialność...

MOSTOWSKI (*który opodal rozmawia z Lubckim*).  
Przed królem!

NIEMCEWICZ I przed narodem!

SEKRETARZ (*stanął w drzwiach z prawej strony*).  
Książę wojewoda!

(*wszyscy poruszyli się, umilkli. Sekretarz przepuszcza z głębokim ukłonem ks. Adama Czartoryskiego, który wchodzi łagodnie uśmiechnięty, jak zawsze nieco melancholijny. Lubcki żywo postępuje ku niemu kilka kroków. Sekretarz zniknął za drzwiami*).

CZARTORYSKI Spóźniłem się? Przepraszam... (*wita się z Lubckim, potem kolejno z innymi, wszyscy okazują mu szacunek*). Musiałem chwilę spo-

cząć... *(do Chołpickiego, z wyróżnieniem)*. Witam, generale! Ta konferencja w Mokotowie bardzo mię wyczerpała. *(do Lelewela)*. Obecność ks. Łowickiej była denerwująca, prawda? *(do Ostrowskiego)*. Podobno na naszą odezwę sarkają?

OSTROWSKI Tak.

CZARTORYSKI Trudno. Mości panowie, nie będziemy tracić czasu. Rozpoczynamy przerwane obrady... raczcie zająć miejsca *(wskazał fotele)*.

CHŁOPICKI *(zajął swe miejsce, do Czartoryskiego)*. Agitatorzy podburzają spospółstwo... Rozmyślnie szerzą niezadowolenie...

*(wszyscy członkowie Rady zajęli swe miejsca)*.

CZARTORYSKI *(zasiadł w fotelu prezydjalnym, uderzył w dzwonek, leżący na stole)*. Mości panowie, konwencja, którą dziś, pospołu z ks. Lubeckim, panem Lelewelem i panem Ostrowskim, zawarliśmy w Mokotowie z wielkim księciem, została rozklejona na murach miasta.

CHŁOPICKI Zdzierają ją i do rynsztoków ciskają! *(Lubecki, który siedzi z lewej strony ks. Czartoryskiego, szepnął mu parę słów)*.

CZARTORYSKI Spełniliśmy nasz obowiązek. Głos ma ks. Lubecki.

LUBECKI *(siedzi)*. Pozwólcie, panowie, że, zanim przejdziemy do spraw poszczególnych, spróbuję ustalić w paru słowach mój pogląd na sytuację. Gdy zwiększa się powszechne zamieszanie i rośnie niepokój, nam więcej, niż kiedykolwiek, trzeba za-

chować przytomność i rozważę. Więc tak. Lud porwał się do broni. Prawda. Lecz z jakiego powodu? Bo gwałcono przyznane mu przez obu królów prawa! Czegóż więc chce lud? Chce, aby prawa, sankcjonowane przez tron, były szanowane. Zatem lud nie wyszedł z granic legalności. Lud staje w obronie praw, gwarantowanych przez króla. A kto te prawa gwałcił? Wielki ksiązę i jego zausznicy.

NIEMCEWICZ Słusznie! Słusznie!

RADZIWIŁŁ — MOSTOWSKI Prawda! Prawda!

LUBECKI Więc kto jest właściwym winowajcą tych wykroczeń, nad któremi wszyscy ubolewamy? Wielki ksiązę i jego ludzie. Wierność wobec tronu nie została naruszona!

MOSTOWSKI To najważniejsze!

LUBECKI Gdyby nie my, nie byłoby rządu. A gdyby nie było rządu, już toczyłaby się wojna między pułkami rosyjskimi a ludnością. Czy wielki ksiązę okazał jakkolwiek chęć i zdolność poskromienia wykroczeń? Nie. Kto powstrzymał ekscesy? My! My staliśmy się obrońcami ładu i porządku, nie przekraczając granic, jakie zakreśliła władza najwyższa.

LELEWEL (*siedział pochmurny z głową, schowaną w dłoniach, teraz podniósł czoło*). Postępować w imieniu króla a swego szukać. (*lekki, ironiczny uśmiech*). Niech Mikołaj, król polski, wojuje z Mikołajem, cesarzem rosyjskim!

LUBECKI To dowcipny paradoks, profesorze! Legalność winna łączyć się z lojalnością... tak tylko ją rozumiem!

*(z ulicy zaczynają dochodzić zbliżające się i rosnące okrzyki tłumu).*

CHŁOPICKI Na Ratuszu domagają się całkowitej niepodległości!

LUBECKI O niepodległości Polak winien zawsze myśleć, ale nie wolno mu teraz o niej głośno mówić.

MOSTOWSKI Przez nieopatrność łatwo można utracić te resztki swobód, jakie nam zostały.

*(krzyki na ulicy coraz głośniejsze. Ostrowski i Dembowski powstali z foteli i podeszli do okien!)*

CZARTORYSKI *(dostojny, do Ostrowskiego)*. Co znaczą te hałasy?

OSTROWSKI *(patrzy w szyby)*. Pochód! Plac zaroił się od tłumu... Tysiące ludzi.

DEMBOWSKI *(tak samo)*. Idą od Senatorskiej...

OSTROWSKI Krzyczą: Mochnacki!

DEMBOWSKI Tak. Mochnacki!

CHŁOPICKI Mochnacki! *(do Czartoryskiego)*. Nie my, mości książe, rządzimy! Dziś w Warszawie rządzi p. Mochnacki!

*(dochodzą wyraźne okrzyki: niech żyje Mochnacki).*

*(Niemcewicz, Radziwiłł, Kochanowski i Lelewel wstają z foteli, by podejść do okien).*

CZARTORYSKI *(zatrzymuje ich wyniosłym gestem)*.

Mości panowie! Nas tumulty uliczne nie obchodzą! Proszę pozostać na miejscach. *(tamci siada-*

ją). (do Dembowskiego i Ostrowskiego). Panowie zechcą usiąść!

(Ostrowski i Dembowski wracają na swoje miejsca).

Kto z panów pragnie zabrać głos?

(Lelewel podniósł głowę, poruszył się).

Profesor?

(za drzwiami z prawej strony rumor, wrzawa głośnych rozmów).

LELEWEL (nie wstaje z fotela). Ja tylko chciałem powiedzieć, iż ludzi się ten, co mniema, że dziś jeszcze można rewolucję powstrzymać. Nie... to się nie da zrobić. Uczucie narodowe nie kalkuluje, jak rozum, lecz wybucha samorzutnie. Źle to, czy dobrze. Nie poradzi...

(W drzwiach z prawej strony staje sekretarz, widocznie wzburzony).

## SCENA 6.

### CIŻ — SEKRETARZ

SEKRETARZ (do Czartoryskiego, cokolwiek oniesmielony, że przerywa obrady). Mości książę...

CZARTORYSKI (niezadowolony). Czego waćpan chcesz?

LUBECKI Kto tam czyni hałasy?

SEKRETARZ (wzruszony). Delegaci klubu patrijotów domagają się, by Rada zechciała ich przyjąć.

CZARTORYSKI (wyniosły). O tej porze? Bez wcześniejszego zawiadomienia?

SEKRETARZ Przynoszą uchwały, które przed chwilą zapadły w Ratuszu.



NIEMCEWICZ Dużo ich jest?

SEKRETARZ Zdaje się, dwunastu. Ale za nimi tłum uzbrojony. Cały plac pełny.

CHŁOPICKI—MOSTOWSKI (*oburzeni*). Uzbrojony? (*Chwila milczenia. Okrzyki i gwar za drzwiami wzmagają się*).

CZARTORYSKI (*podniósł się z fotela, uroczysty*).  
Mości panowie! Pytam was, czy Rada skłonna jest przyjąć delegatów?

CHŁOPICKI (*gwałtownie*). Nie!

NIEMCEWICZ — MOSTOWSKI — RADZIWIŁŁ Nie!  
(*inni członkowie Rady milczą pośepnie*).

CZARTORYSKI (*rozgląda się, jakby badał usposobienie członków Rady*). Mam prawo sądzić, że Rada jest przeciwną, abyśmy ulegli terrorowi zapaleńców?

NIEMCEWICZ — CHŁOPICKI — MOSTOWSKI —  
PAC — RADZIWIŁŁ Tak! Tak! (*inni milczą*).

CZARTORYSKI (*do sekretarza*). Proszę oświadczyć panom delegatom, iż Rada, zajęta obecnie bardzo ważnemi sprawami, nie może ich przyjąć. Uchwały mogą być złożone na piśmie.

(*krzyki za drzwiami coraz gwałtowniejsze*).

LUBECKI (*do Czartoryskiego, który, widocznie wzburzony, usiadł w fotelu*). Czy nie byłoby lepiej, aby to oświadczenie wyjawili delegatom jeden z członków Rady?... (*zwraca się z lekkim ukłonem w stronę Kochanowskiego*). Pan kasztelan posiada mir i szacunek...

(*z ulicy znów okrzyki: Niech żyje Mochnacki*).

(*słychać echa dalekich śpiewów i wystrzałów*).



CZARTORYSKI (*zniechęcony, obolały*). Owszem... owszem... (*do Kochanowskiego*). Niech kasztelan wybaczy, że śmiemy go trudzić!

NIEMCEWICZ Przemów, kasztelanie, do ich sumienia!

KOCHANOWSKI (*wstaje zafrasowany*). Nie wiem, czy zechcą mię usłuchać... (*idzie ku drzwiom na prawo*).

CZARTORYSKI (*spojrzał jeszcze raz po obecnych, jakby mając wątpliwość co do usposobienia wszystkich członków Rady*). W ostateczności... wprowadź pan dwóch lub trzech delegatów... (*do siedzących członków Rady*). Zgoda?

(*Chłopiński wzruszył ramionami, Mostowski milczy niechętnie, inni członkowie Rady wyrażają zgodę*).

(*Kochanowski, który zatrzymał się i odwrócił, słuchając słów Czartoryskiego, wychodzi na prawo, za nim Sekretarz*).

## SCENA 7.

CIŻ — bez KOCHANOWSKIEGO I SEKRETARZA

DEMBOWSKI (*jakby usprawiedliwiając powziętą decyzję*). — Jeśli nie wątpimy o szlachetności ich zamysłów, niepodobna odmówić wysłuchania...

LUBECKI Proszę o głos.

CZARTORYSKI (*gestem*). Racz książę mówić.

(*Za drzwiami gwar i krzyki umilkły*).

LUBECKI Rozumiemy wszyscy, że w chwili niebezpieczeństwa szukać trzeba zespolenia wszystkich sił, choćby z pozoru najbardziej przeciwnych. Py-

tam panów: Czy nie należałoby do wspólnej pracy wciągnąć tych, co nam zarzucają brak energii, bezczynność, niedołęstwo? (*z lekką ironją*). Niech ich zapał i talenty połączą się z naszym doświadczeniem, niech odczują ciężar odpowiedzialności, niech go dźwigają wraz z nami. (*Chłopicki poruszył się gwałtownie, mówi coś porywczo — półgłosem do Mostowskiego*).

CZARTORYSKI (*zdumiony*). Książę chciałbyś ich wprowadzić do Rady?

(*ogólne poruszenie*).

LUBECKI Nawet do Rządu! Przez nich możemy zyskać wpływ na lud a ich samych zmusić do liczenia się z rzeczywistością.

(*na ulicy znów okrzyki*).

CHŁOPICKI (*wzburzony*). Kogo książę chcesz zapraszać?

LUBECKI (*spokojny i chłodny*). Tych, co przywodzą rewolucji... Bronikowskiego... Plichtę... Mochnackiego...

GŁOSY (*prócz Lelewela, który milczy, wpatrując się nieufnie w Lubeckiego*). — Mochnackiego? (*różne intonacje*).

NIEMCEWICZ To największy wróg księcia!

LUBECKI (*lekki ironiczny uśmiech*). W polityce nie ma wrogów. Są tylko przeciwnicy... Mochnacki posiada zaufanie ludu, a lud stał się w tej chwili potęgą, której wszyscy ulegamy...

CHŁOPICKI Nie zgodzę się nigdy!

NIEMCEWICZ (*poruszony*). Azardowny projekt, mości książę! Bardzo azardowny!

LUBECKI (*do Lelewela*). — Czy profesor nie podzielasz mego zdania?

LELEWEL (*wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę — podniósł głowę, zamyślony*). — Trzeba starać się zespolić wszystkie siły.

LUBECKI (*odpowiada Niemcewiczowi*). Niebezpieczeństwu trzeba śmiało patrzeć w oczy. Zbliża się nie jest nigdy tak groźne, jak zdaleka.

OSTROWSKI (*półgłosem do Dembowskiego*). Moch-nacki nie spodziewa się, co mu grozi!

(*za drzwiami krzyki wybuchają ze zdwojoną siłą*).

CHŁOPICKI (*porywczo*). Rewolucjoniści mają już w Radzie pana Lelewela. Czyż to nie wystarcza? Czy to osłabiło ich burdy?

CZARTORYSKI (*poruszony krzykami*). Co się tam dzieje?

DEMBOWSKI (*zaniepokojony*). Ja zobaczę... (*podchodzi do drzwi z prawej strony, uchyla je*).

KOCHANOWSKI (*za drzwiami*). Panowie! To gwałt! Zaklinam was! Na miłość ojczyzny!

GŁOSY ZA DRZWIAMI Wejdzimy wszyscy! Wszyscy! Niemasz ważniejszych spraw! Puścić!

DEMBOWSKI Panowie! Miejcie wzgląd na białe włosy!...

GŁOSY Puścić! Otworzyć drzwi! Drzwi!

## SCENA 8.

### CIŻ — KOCHANOWSKI — DELEGACI KLUBU Z MAURYCYM MOCHNACKIM I DOBROGOJSKIM NA CZELE

*(W drzwiach Kochanowski usiłuje bronić wejścia delegatom. Dembowski osłania go. Ale wśród tumultu i krzyków ich usiłowania okazują się daremne. — Precz! — Precz! Kochanowski i Dembowski odepchnięci, na scenę wpadają delegaci, z Maurycym Mochnackim i Dobrogojskim na czele. Dobrogojski i Nabelak mają przypasane szable, Maurycy Mochnacki trzyma karabin w ręku. Inni klubiści również uzbrojeni. Bazyli Mochnacki bez broni.*

*Wśród członków Rady wielkie poruszenie i wzruszenie. Niemcewicz zakrył ze zgrozy twarz dłonią. Czartoryski, blady, drżący ze wzruszenia, wstał z fotela. Za nim wstali wszyscy, prócz Mostowskiego, który siedzi nieporuszony, ponury).*

NJEMCEWICZ *(tragiczny)*. Tegoż mi dożyć przyszło!

Takiego wstydu! Takiej hańby!

*(Lelewel, posepny i milczący, cofnął się ku oknom w głębi, stanął we framudze ze skrzyżowanymi na piersiach rękami).*

CZARTORYSKI *(głosem, w którym drży wzruszenie, ale wyniosły i dostoyny)*. Kto ośmiela się zakłócać obrady rządu narodowego? Napaść?

*(Nagła cisza. Delegaci, oniśmieleni widokiem znakomitych, przeważnie osiwiiałych mężów, stanęli bezradni).*

CZARTORYSKI *(mocniej)*. Wróg stoi u bram miasta, a panowie wszczynacie bratobójczą walkę? I przeciw komu? Przeciw nam, cośmy całe brzemię odpowiedzialności za wasze czyny na własne

wzięli barki? Dla białych włosów tych, co życie służbie ojczyzny poświęcili, względów ni szacunku nie macie?

(cisza).

MAURYCY (*zgoła nieporuszony, do Dobrogojskiego, ton rozkazujący*). — Mów!

DOBROGOJSKI (*zaskoczony, ciszej*). — Ja?

MAURYCY (*stanowczy*). — Tak!

DOBROGOJSKI (*wysuwa się naprzód, cokolwiek zmieszany*). Mości książę! Nie przyszliśmy tu gwałtu czynić. Lud zgromadzony na Ratuszu wysłał nas, byśmy Radzie przedstawili jego życzenia...

MAURYCY (*stanął za Dobrogojskim, poprawia*). Żądania!

DOBROGOJSKI Tak jest, żądania! Lud, zgromadzony na Ratuszu, błaga...

MAURYCY (*j. w.*). — Wzywa!

DOBROGOJSKI (*j. w.*). ...wzywa Radę, aby w działaniach swych okazała więcej energii (*zwraca się do Czartoryskiego*). Do ciebie, książę, naród żywi zaufanie, wierzy w twój patriotyzm! Okaż go teraz w całej pełni, prowadź nas do walki z najezdźcą!.. Cała Polska woła: do broni! Kto żyw, do broni!

KILKU DELEGATÓW Ojczyzna w niebezpieczeństwie!

CZARTORYSKI (*uroczysty*). Tak jest! Ojczyzna w niebezpieczeństwie! Jeden krok nieostrożny może cały naród na największe nieszczęście narażić! (*zwraca się do Dobrogojskiego*). Jestem panu



wdzięczny za słowa zaufania. Żałuję, że przynosisz mi je w t a k i c h (*gest*) okolicznościach... (*do członków Rady*). Mości panowie! Będziemy prosili panów delegatów, by pozostawili nam na piśmie powzięte uchwały...

LUBECKI Oczywiście!

NIEMCEWICZ — KOCHANOWSKI — RADZIWIŁŁ — OSTROWSKI — DEMBOWSKI Tak...  
Owszem... Tak...

(*Chłopicki i Mostowski milczą pośepnie. Lelewel stoi we framudze nieporuszony*).

CZARTORYSKI (*ciągnie dalej*). Rada rozważy je i swoją opinię odda waszemu prezesowi, (*zwrócił się do Lelewela, z lekką ironją*), który przecież i do naszego grona należy.

(*Członkowie Rady przeważnie zasiedli w fotelach i w ten sam, jak poprzednio, sposób wyrażają swoje usposobienie. Wśród delegatów nagły niepokój i rozdrażnienie. Poglądają na siebie, widocznie zaskoczeni takim obrotem sprawy. Nabelak i kilku innych dają znaki Maurycemu*).

GŁOSY DELEGATÓW Maurycy! Słyszysz? Mochacki! Mów!

MAURYCY (*nagle stuknął mocno kolbą karabinu w posadzkę. Zrobiła się cisza. Wszystkie oczy zwrócone ku niemu. On uderza odrazu w ton gwałtowny, zwracając się do Czartoryskiego*).

— To są żarty, mości książę! My mamy dosyć pięknych słów i obietnic!

DUNIN — NABIELAK Tak! Czynów, nie słów, Czynów!



MAURYCY Jeśli nie macie w sobie siły, by prowadzić naród do walki, ustąpcie! Ustąpcie sami, jeśli nie chcecie, by burza rewolucji zmiotła was, jak suche liście... mimo waszych dawnych zasług i białych włosów!

*(Wśród członków Rady słowa te wywołują wielkie wzburzenie. Chłopicki ledwie panuje nad ogarniającym go gniewem. Mostowski jeden nieporuszony. Lelewel jeszcze sposepniał. Za oknami wrasta znowu wrzawa, górują okrzyki: Mochnacki! Niech żyje Mochnacki! Niech żyje wolna Polska!).*

NIEMCEWICZ *(w silnem oburzeniu)*. Pan z pogrożkami tu przychodzisz?

CHŁOPICKI Komu mamy ustąpić? Demagogom ulicznego tłumu?

MAURYCY Generale! *(gest w stronę okien)*. Czy słyszysz te okrzyki? To głos narodowego sumienia! Naród nie zniesie dłużej haniebną niewoli!

NABIELAK Niech żyje wolna, niepodległa Polska!

DOBROGOJSKI I INNI *(za nim)*. Niech żyje wolność!

MAURYCY Naród nie na to powstał, by żebrać o łaski i ustępstwa! Lud i wojsko podjęły oręż dla oswobodzenia kraju. A wy tracicie czas na jałowych dyskusjach i biadaniach! Odezwy wasze nawołują do przywrócenia porządku, którego zniszczenie jest najwyższym celem każdego prawego Polaka!

My, którzy wszczęliśmy rewolucję z poświęceniem głów naszych, nie dopuścimy, abyście wy ją grzebali.

CZARTORYSKI *(wzburzony)*. Jakim tonem waćpan śmiesz do nas przemawiać?

NIEMCEWICZ (*tragiczny*). Radę znieważa!

MAURYCY Wiedźcie jasno: My chcemy połączenia w jedną całość wszystkich rozérwanych części ojczyzny! Tak! I to pragnienie nieprzeparte, nieodwołałne, to nasza ostatnia, niezdołbyta jeszcze twierdza, w której obwarowała się wola narodu!.. Ono jedno starczy za skarby, za broń, za wszystko! Całość ojczyzny nierozdzielna! Oto słowa potężne, nad miecz z obu stron ostrzejsze, nad wszystkie ptaki i anioły prędsze! Przelecają one jak dźwięk miedziany mimo uszów waszych. Te słowa, to zakon, pisany na sercach polskich! I ten zakon trwać będzie, póki ludzie i rozum trwają! A kto mu się sprzeniewierza, ten chce wyrwać z narodu duszę, by wróg mógł snadniej Polskę zdeptać i poterać!

CZARTORYSKI Dość frazesów! Czego panowie chcecie?

MAURYCY Przychodzimy tu w imieniu ludu! Lud stolicy zawrzał gniewem na wieść o konszachtach (*poruszenie*) z wielkim księciem. (*gest w stronę okien, poza któremi wrzawa, jak huk wzburzonego morza*). Spójrzycie tam, na plac! Usłyszycie głos wzburzonego narodu!

NIEMCEWICZ To pan go podburzasz!

MAURYCY Usłyszcie groźny szcęk oręża! Ja w imieniu tego ludu mówię wam: — Nie dopuścimy, byście przez słabość i lękliwość zaprzepaścili sprawę ojczyzny!

DELEGACI (*Widocznie porwani mową Mochnackiego*). — Nie dopuścimy! Tak nam Panie Boże dopomóż! Nie pozwolimy!

<http://rcin.org.pl>

MAURYCY W decydującej chwili walki poczciwa wola nie wystarcza. Teraz trzeba mocnych czynów. Jeśli nie umiecie ważyć się na czyny, ustąpcie miejsca innym!

CZARTORYSKI (*wyniosły*). Komu?

MAURYCY (*śmiało w oczy*). Nam!

KILKU DELEGATÓW Nam!

CZARTORYSKI (*j. w.*). A pan znajdziesz posłuch w narodzie?

(*za oknem rośnie znów wrzawa. Słychać krzyki: Bić Moskala! Kto Polak, do broni! Niech żyje Mochnacki! (coraz silniej). Niech żyje Mochnacki!*)

MAURYCY (*dłonią wskazuje okna*). Naród daje księciu odpowiedź! (*nagłym ruchem odwija arkusz papieru, ostro, niemal rozkazująco*). Tu są nasze żądania! Lud otoczył gmach banku i nie rozejdzie się, dopóki jego woli nie stanie się zadość.

(*Ostrowski zbliżył się do Mochnackiego, wziął od niego papier, kładzie go na stole przed Czartoryskim*).

CZARTORYSKI (*dotknięty do żywego tym tonem, jednak dostojny i uroczysty*). Rada nie ulęknie się żadnych pogroźek i nie pozwoli wytrącić się z równowagi. Z wielkim księciem została zawarta konwencja, a co umówione, dotrzymane być musi!

MAURYCY (*unoszący się*). To ma być odpowiedź, mości książę? Panowie mniemacie, że lud, z ramienia którego tu jesteśmy, będzie wasze dyplomatyczne targi tolerował? Ja wiem, do czego to zmierza! (*zwraca się do Chłopickiego*). Generał Chłopicki chce zdławić rewolucję. Dość tej komedji!.. (*wśród członków Rady wielkie wzburzenie*).

NIEMCEWICZ (*tragiczny*). Komedji?

CHŁOPICKI (*uderzył pięścią w stół*). Tak, dosyć tej komedji!

(*porwał się z fotela i wychodzi szybko na lewo, trzaskając głośno drzwiami*).

MOSTOWSKI (*wstał również, ale dostojnie*). Tego nikt dłużej nie zniesie!

(*wychodzi śladem Chłopickiego*).

MAURYCY (*nie zwraca na nich uwagi*). Powtarzam:

Dość tej komedji! Łatwo ona może zamienić się w tragedję, dla tych zwłaszcza (*zwrócił się do Lubeckiego, który słucha spokojnie, nieporuszony*), co w mętnej wodzie chcą swoje plany przeprowadzać! Czas zrzucić maski! Kto idzie z rewolucją, ten z nami! Kto wrogiem rewolucji — ten naszym wrogiem!

NABIELAK Wrogiem ojczyzny!

MAURYCY Tak, wrogiem ojczyzny!

CZARTORYSKI (*ledwie panuje nad wewnętrznem wzburzeniem*). Ton, którym pan przemawiasz, jest dla nas zniewagą!

NIEMCEWICZ (*porwał się z fotela i w uniesieniu szarpie surdut na piersiach*). Nie chcecie wierzyć naszemu sumieniu, — tym włosom osiwiiałym na usługach narodu? Ugódźcie w to serce! Wymordujcie nas odrazu!

MAURYCY Gdy idzie o ratunek ojczyzny, wszystko inne staje się małym i bez znaczenia! Białemi włosami i pocziwością nie ocalimy Polski. Polskę może zbawić tylko wielki, śmiały czyn! My wiemy, kto od tego czynu odwodzi, (*zwraca się*

wprost do Lubeckiego), kto przeciw rewolucji knuje intrygi, by naród pod nogi carowi rzucić! My wiemy, księżę ministrze, jakie są twoje zamierzenia...

*(Bronikowski i Dobrogojski usiłują powstrzymać i uspokoić Mochnackiego).*

LUBECKI *(siedzi w fotelu spokojny, nie okazując żadnego wzruszenia)*. Jeśli moje dotychczasowe postępowanie nie zdołało przekonać narodu o czystości moich zamierzeń, mogę każdej chwili ustąpić. Ale pan nie jesteś jeszcze całym narodem, panie Mochnacki.

KOCHANOWSKI Kto chce usunąć księcia Lubeckiego, ten chce rozbić Radę!

CZARTORYSKI *(unoszą się)*. Jeśli nie cenicie naszych ofiar, naszego poświęcenia, wszyscy ustąpimy!

CZŁONKOWIE RADY *(prócz Lelewela i Lubeckiego, którzy milczą)*. Wszyscy!

CZARTORYSKI *(j. w.)*. *(do delegatów, zdając się nie widzieć Mochnackiego)*. Lecz pytam w a s, którzy nie utraciliście panowania nad sobą, co będzie dalej? Anarchja? *(wznosi ramiona)*. Boże Wszzechmogący! Okaż Polsce zmiłowanie!

RADZIWIŁŁ Ja już zgłaszam swoją dymisję.

KOCHANOWSKI I ja!

CZARTORYSKI *(zwraca się do nich surowy)*. Wzięliście na siebie obowiązek wobec narodu. Chociaż ciężki i trudny, w chwili niebezpieczeństwa zbywać go się nie wolno.



*(Maurycy chce mówić dalej, bardzo podniecony, lecz Dobrogojski i Bazyli perswadują mu, odciągają go w głąb).*

**CZARTORYSKI** *(widzi ten spór, głosem drżącym ze wzruszenia, do delegatów).* — Dość tej bolesnej zwady, niegodnej miejsca, w którym się odbywa! Żadne groźby nas nie ustraszą, żadnego słusznego żądania nie zlekceważymy. *(wziął papier z uchwałami ze stołu do ręki).* Uchwały Towarzystwa Patriotów będą rozważone, odpowiedź otrzymacie panowie jutro. Żegnam.

**MOCHNACKI** *(wrywa się Dobrogojskiemu i Bronikowskiemu, gwałtownie).* Jutro? Kiedy każda godzina stanowi o losach Polski? Jutro?

**CZARTORYSKI** *(mocniej, — z dostojną powagą).* Żegnam panów!

*(Delegaci odciągają Mochnackiego, który usiłuje namiętnymi słowy ich przekonać i wychodzą. Członkowie Rady siedzą w pępem milczeniu).*

**DOBROGOJSKI** *(do Maurycego).* — Maurycy! Uspokój się!

**NABIELAK** *(t. s.).* — Gdzieindziej z nimi się rozprawimy!

**KAMIL** — Chodźmy!

**BAZYLI** *(do Kamila).* — Zabierzcie go!

*(Delegaci odciągają Maurycego, który usiłuje się im wyrwać).*

**MAURYCY** — Nie! Nie! Z tem trzeba raz skończyć! Dość wahań! Dość obłudy!



DOBROGOJSKI — Chodź!

*(Maurycy daje się w końcu pociągnąć towarzyszom i wraz z nimi opuszcza salę wśród żywej wymiany zdań).*

*(Gdy drzwi za delegatami zamknęły się, Lelewel, ponury, wolno wraca na swe miejsce i siada, głowę ukrył w dłoniach).*

CZARTORYSKI *(uroczyście)*. Mości panowie! Wznowiam obrady! Kto pragnie zabrać głos?...

Z a s ł o n a s p a d a .

### O B R A Z III.

*(popołudnie dn. 3 Grudnia 1830).*

Salon w apartamentach ks. Lubeckiego w gmachu Banku Polskiego. Ta sama dekoracja, co w akcie I-ym.

#### SCENA 1.

KAROL — GENERAL—SENATOR — BANKIER—  
CZORBA.

*(Przy drzwiach z prawej strony Karol certuje się z szacunkiem, lecz stanowczo, z nacierającymi nań Generałem, Senatorem i Bankierem. Pragną oni wejść, on wejścia im uprzejmie i z godnością wzbrania. Alteracje słyhać, zanim zasłona się podniosła).*

KAROL Księżę-minister nie przyjmuje nikogo... *(do generała)*. Pan Generał wybaczy... Mamy rozkaz niewpuszczania nikogo.

GENERAL *(cofa się)*. — Jeśli rozkaz, to trudno...

SENATOR My tylko przejdziemy tędy do kancelarji..

KAROL *(z ukłonem)*. Rozkaz, jaśnie panie!.. Można naokoło, przez ogólną poczekalnię...

BANKIER *(do Senatorsa, wskazując na Karola)*. — On jest w porządku. Jeśli księżę tak rozkazał...

CZORBA (*nagle zjawił się w drzwiach z prawej strony, przeciska się przez nich*). — Przepraszam panów... Panowie pozwolą... (*chce przejść, senator chwyta go za ramię*).

SENATOR Nasz kochany litwin! Dzień dobry! Dzień dobry... Jest co nowego?

CZORBA (*wita się z nim, z generałem i bankierem z uśmiechem*). — Pan senator wie zawsze więcej od wszystkich. Ja tylko spełniam rozkazy księcia.

SENATOR (*nie puszcza go*). — Prawdaż to, że księżę wprowadził do Rady jakobinów? Plichtę?...

BANKIER Bronikowskiego?

GENERAL (ze zgrozą).—Mochneckiego?...

CZORBA To nie należy do mojej służby... Nie wiem... Panowie wybaczą! (*idzie do pierwszych drzwi na lewo*).

SENATOR (*westchnął*). Taki litwin, to gębę ma... na cztery kłódki!

BANKIER Chodźmy na około!

(*wychodzą na prawo, Karol wychodzi za nimi i zamyka drzwi*).

## SCENA 2.

### CZORBA — SEKRETARZ

CZORBA (*uchylił ostrożnie pierwsze drzwi na lewo— półgłosem*). Panie Wincenty! Pan zajęty?

SEKRETARZ (*przez drzwi*). Niech pan zaczeka... Już idę...

(*Czorba odszedł od drzwi i przechadza się w milczeniu. Chwila oczekiwania*).

SEKRETARZ (*wchodzi, zamyka za sobą drzwi*). —

Tam u mnie paru interesantów... Dziś, jak w ulu...  
od rana... (*ciszej*). Kurjer z Petersburga jest?

CZORBA (*zafrasowany*). Niema!

SEKRETARZ (*uderzył ze zmartwienia w ręce*). —

Ani wczoraj, ani dziś! Książę-minister jest nie-  
spokojny.

CZORBA Byłem wszędzie... (*gest, że nic nie mógł  
poradzić*).

SEKRETARZ A wielki książę miał dzisiaj messaż  
od cesarza. Wiemy od pana Zamoyskiego.

CZORBA Może Moskale naszego kurjera pochwycili?

SEKRETARZ Nie śmieliby! Książę już dwa razy py-  
tał... Wogóle... niech pan nie odchodzi. Książę chce  
pana widzieć...

(*z prawej strony wchodzi szybko Tekla*).

### SCENA 3.

CIŻ — TEKLA.

TEKLA (*do Czorby, agresywna*). Jest gagatek! Praw-  
dziwy litewski gagatek! (*do sekretarza, który się  
śmieje*). Dzień dobry... (*do Czorby z wielką suro-  
wością*). Gdzie się pan podziewa od rana? Szuka-  
łam pana po całym banku.

CZORBA (*usiłuje ją pochwycić za rękę i pocałować,  
ona chowa ręce za plecami*). — Służba, panno Te-  
ciu! Służba!

TEKLA (*uderzyła go po łapie*). — Jeszcze czego się  
zachciewa! Służba! A moja lekcja fechtunku? Za-  
pomniał pan? Wczoraj wieczorem się umówił,  
a dziś rano już zapomniał! Mężczyzna!

SEKRETARZ (*śmieje się*). Kto u księcia-ministra na służbie szczególnej, ten dla siebie mało ma czasu!

TEKLA Niech dla siebie ma go jeszcze mniej! To mnie nie obchodzi. Ale dla mnie? (*śmieje się*). On u mnie jest także... na służbie szczególnej. (*Czorba śmieje się z radości wewnętrznej*). Gdzie szable? Może pan teraz też nie ma czasu?

CZORBA (*do sekretarza z uśmiechem*). — Będę miał teraz czas?

SEKRETARZ Za pół godziny... najwyżej za godzinę...

TEKLA To ja tymczasem przebiorę się. W spódnicy niewygodnie.

(*z kancelarji sekretarza wołają: Panie sekretarzu!*).

SEKRETARZ (*odwraca się*). Idę... (*do Tekli, z ukłonem*). Przepraszam... (*do Czorby*). Pan pozwoli do mnie?

(*z drugich drzwi z lewej strony wchodzi szybko Wielopolski*).

#### SCENA 4.

CIŻ — WIELOPOLSKI.

WIELOPOLSKI (*do sekretarza, który na jego widok zatrzymał się*). — Ten pokój wolny? Książę chce tutaj przyjąć Szyrmę... (*do Tekli, z uśmiechem*). Dzień dobry pani! (*wita się*).

SEKRETARZ Służba ma rozkaz niewpuszczania nikogo.

WIELOPOLSKI To dobrze... Tylko Szyrmę...

TEKLA Ja uciekam. (*do Czorby, gniewnie*). Ale pan mi się nie wymknie.

WIELOPOLSKI (*z życzliwym uśmiechem*). — Pani chciałby się kto wymknąć. (*do Czorby z podziwem*). Nawet starego Lelewela uwiodła!

TEKLA (*do sekretarza, z uśmiechem*). — Tu się nie da nic ukryć. Ściany mają oczy! (*do Wielopolskiego zalotnie*). Starszych panów zawsze łatwiej uwieść, niż młodych. Do widzenia!

(*wybiega na prawo*).

SEKRETARZ (*idzie z Czorbą do drugich drzwi na lewo, otwiera je*). — Proszę księcia!

### SCENA 5.

CZARTORYSKI — LUBECKI — WIELOPOLSKI —  
KAROL.

(*wchodzi Czartoryski, za nim Lubecki*).

CZARTORYSKI (*kończy rozmowę*). Książę ich niczem nie zadowolisz! Niczem! Lelewel był dziś u mnie i znowu rwał włosy, że nic nie robimy! Im wszystkiego mało! A każde ustępstwo stwarza konieczność nowych!

LUBECKI (*wskazując łotel*). — Książę raczy usiąść... (*Czartoryski siada*). — Co się stało, to się nie od stanie. Rewolucja? Faktów nie cofniemy. Trzeba teraz je wyzyskać! (*uderzył w dzwonek, leżący na stole*).

CZARTORYSKI Oby ci się udało! Oby! Ja ufam twojej mądrości!

LUBECKI (*z lekkim ukłonem — leciutki uśmiech*). — A naród ufa księciu-wojewodzie!

(*w drzwiach z prawej strony Karol*).



WIELOPOLSKI (*do Lubeckiego*). — Czy ksiązę będzie mnie potrzebował?

LUBECKI Ani waż się ruszyć! (*do Karola*). — Czy tam jest pan profesor Szyrma?

KAROL Właśnie nadszedł... z chorągwiami!

CZARTORYSKI (*zdziwiony*). — Jakto, z chorągwiami?

LUBECKI (*uśmiech ironiczny*). — Hetmani ulicy muszą mieć swoje honorowe odznaki! (*do Karola*. — Ileż tam... tych chorągwi?

KAROL (*uśmiech obleśny*). — Dwie... Jedna akademicka, druga narodowa.

CZARTORYSKI (*wyniosły*). — Proszę wprowadzić pana Szyrmę, ale bez chorągwi. (*Karol znika za drzwiami*). (*do Lubeckiego, oburzony*). Słyszane rzeczy? Z chorągwiami! Im się całkiem poprzewracało w głowach!

LUBECKI (*j. w.*). — Nowi władcy!

CZARTORYSKI (*zachnął się*). — Jacy władcy? Nikt im nie dawał żadnego mandatu.

WIELOPOLSKI (*uśmiecha się*). — Sami go wzięli.

LUBECKI (*j. w., jakgdyby wyjaśniał*). — Rewolucja!

CZARTORYSKI Anarchja!

(*za drzwiami słyhać żywą wymianę zdań*).

## SCENA 6.

CIŻ — PROF. LECH SZYRMA — DWAJ CHORAŻOWIE — KAROL.

KAROL (*przepuścił Szyrmę, usiłuje zatrzymać chorążych*). — Ksiązę wojewoda kazał... proszę panów... Nie można...

SZYRMA (*cokolwiek teatralnie ubrany i uzbrojony, szabla, pistolety, puginał. (do Karola).* Jeśli mnie puścić, to puścić! (*do chorążych*). Proszę! (*odwraca się, do siedzących w fotelach Lubeckiego, Czartoryskiego i Wielopolskiego*). — Czołem! (*salutuje, nie zdejmując czapki*).

CZARTORYSKI (*sposępniał, ironiczny*). — Profesor zawsze tak uroczyście, jak na procesji?

SZYRMA To są chorągwie mojej komendy, księżę wojewodo. Gdy lud je widzi, uspokaja się, bo wie, że Szyrma czuwa!

LUBECKI (*z cokolwiek niedbałym gestem*). — Jeśli tak być musi... Niech pan siada... (*Szyrma zdjął czapkę, usiadł we wskazanym mu fotelu*). Nad czym pan tak czuwasz, profesorze?

SZYRMA Ojczyzna w niebezpieczeństwie, księżę-ministrze! Ze wszech stron czyha zdrada. Szpiegowie wielkiego księcia kręcą się po mieście. Ci, co znęcali się nad patriotami, dotąd nie ukarani! Lud domaga się dla nich przykładnej kary!

CZARTORYSKI (*j. w.*). — Sprawiedliwość nie chodzi w parze z pomstą.

LUBECKI (*uprzejmy i chłodny*). — Nad bezpieczeństwem miasta i kraju czuwa rząd. Nie może być równocześnie dwóch rządów: jeden tu, drugi na ulicy!

CZARTORYSKI I rząd baczy dostatecznie, by godność narodowa nie poniosła szwanku. Pierwszą podstawą tej godności jest porządek i prawo.

SZYRMA Rząd nie usunął dotąd generałów, do których lud nie ma zaufania.

CZARTORYSKI (*wyniosły*). — Kogóż to pan masz na myśli?

SZYRMA Generałów Wincentego Krasieńskiego i Kurnatowskiego.

CZARTORYSKI Generał Krasieński ma za sobą pięćdziesiąt lat służby wojskowej. Walecznością imię polskie szeroko rozsławił.

SZYRMA Lud mu nie ufa... ani Kurnatowskiemu. Jeśli nie będą usunięci, grozić im będzie wielkie niebezpieczeństwo.

LUBECKI (*z głębszą ironją*). — Takie, jak Stanisławowi Potockiemu i Nowickiemu?

SZYRMA Kto przeciw nam, ten nie jest prawdziwym Polakiem.

LUBECKI (*uśmiechnął się ironicznie*). — Oni powiadają, że to wy prowadzicie naród do zguby, więc, że to wy właśnie nie jesteście prawdziwymi Polakami!

CZARTORYSKI (*wzniósł ręce do góry, posepnie*). — Niebawem w Polsce całkiem zabraknie prawdziwych Polaków!

SZYRMA Miłość ojczyzny rodzi nienawiść do jej wrogów.

LUBECKI (*j. w.*). — Czyż miłość może być matką nienawiści?

SZYRMA (*spojrzał nań nieufnie i niechętnie*) (*do Czartoryskiego*). — Mości książę, czy mogą uspokoić lud, iż żądaniom jego stanie się zadość?

LUBECKI (*spokojny i chłodny*). — Generałowie Krasieński i Kurnatowski wcześniej już zgłosili chęć ustąpienia... Z własnej, nieprzymuszonej woli... Mają tu niebawem przybyć.

SZYRMA (*nieufny*). — Książę-minister pozwoli czekać?

LUBECKI (*wstał*). — Oczywiście... Raczą panowie przejść tam... (*wskazał drzwi na prawo*).

SZYRMA (*wstał, włożył czapkę na głowę, saltuje*). — Czołem!

CZARTORYSKI Żegnaj pana!  
(*Szyrma wyprowadza się uroczyście, za nim dwaj chorążowie*).

## SCENA 7.

CZARTORYSKI — LUBECKI — WIELOPOLSKI.

CZARTORYSKI (*wskazuje dłonią drzwi, za któremi zniknął Szyrma, jakgdyby chciał powiedzieć: — Słyszeliście? Widzieliście? — kiwa smętnie głową, melancholijny*). — Poczciwość nimi kieruje... (*wstał z fotela*), ale tu... (*wskazał na czoło... rusza przecząco głową*).

(*Lubecki wstał*).

WIELOPOLSKI (*wstał również, śmieje się całkiem szczerze, młodzieńczo*). — Zabił mi ćwieka! Bo jeśli okaże się, że i ja nie jestem prawdziwym Polakiem, to czemże, u kata, będę? Nieprawdziwym Polakiem.

(*Czartoryski i Lubecki uśmiechają się, pierwszy żałośnie, drugi ironicznie*).

CZARTORYSKI (*spojrzał na zegarek*). — Muszę iść... (*żegna się z Lubeckim*). — Przed wieczorem wpadnę jeszcze, żeby ustalić porządek dzisiejszych obrad.

LUBECKI (*ściska z szacunkiem dłoń księcia wojewody*). — Będę czekał... (*Czartoryski tak samo żegna się z Wielopolskim*). — Książę pozwoli tędy... (*przeprowadza go do drugich drzwi na lewo*).

## SCENA 8.

### LUBECKI — WIELOPOLSKI

LUBECKI (*odprowadziwszy Czartoryskiego do drzwi, wraca do Wielopolskiego z gorzkim uśmiechem*). — Myślisz, że mnie uważają za „prawdziwego polaka“? Jestem pewny, że podejrzewają... pomawiają Bóg wie o jakie „zdrady“... Każdego, kto pracuje dla kraju... Im więcej pracuje, tem więcej oszczerstw...

WIELOPOLSKI (*łagodnie*). — Przeciw księciu-ministrowi nic nie mówił.

LUBECKI Zabrakło mu śmiałości... tak, prosto w oczy. Innym nie zbraknie. Jutro... może dziś jeszcze „lud“ każe mi się usunąć... jak tym generałom. Rewolucja! Ulica staje się wyrazicielką uczuć narodowych... i narodowej mądrości... wydaje świadectwa patriotyzmu... (*chwila milczenia*). No... a kolega Mochnacki?

WIELOPOLSKI Przyjdzie.

LUBECKI (*ucieszył się, lecz stara się tego nie ujawniać*). — Zgodził się?



WIELOPOLSKI Udało mi się go przekonać.

LUBECKI Kiedy?

WIELOPOLSKI Tylko go patrzeć!

LUBECKI Powiedziałeś, którędy ma wejść?

WIELOPOLSKI Umówiłem się z nim naprzeciw Re-  
sursy. Sam go sprowadzę.

LUBECKI To dobrze. Raporty do cesarza wysłałeś?  
*(idzie do pierwszych drzwi na lewo).*

WIELOPOLSKI Tak.

LUBECKI Człowiek pewny?

WIELOPOLSKI Zupełnie.

LUBECKI *(otworzył pierwsze drzwi na lewo).* — Mo-  
że pan przyjść na chwilę?

SEKRETARZ *(za drzwiami).* — Służę.  
*(wchodzi sekretarz).*

#### SCENA 10.

CIŻ — SEKRETARZ.

LUBECKI Kurjer z Petersburga?

SEKRETARZ Niema.

LUBECKI *(niezadowolony).* — Nie rozumiem... *(do Wielopolskiego).* Wielki książę miał odręczny list... *(do sekretarza).* — Pan Zamoyski zabrał raport?

SEKRETARZ *(skłonił głowę).* — Pojechał do kwatery.

LUBECKI A w Pałacu Błękitnym?

SEKRETARZ Coś się kluje... Pan Łubiński będzie lepiej wiedział... Generał Chłopicki z wszystkiego i z wszystkich niezadowolony.

LUBECKI (*do Wielopolskiego*). — Gdyby chciał, mógłby stać się bohaterem narodowym... wznoszonoby mu za życia pomniki... Ale on jest wielki tylko, gdy siądzie na konia. Gdy zejdzie z siodła... (*machnął ręką*), (*do sekretarza*). — A w Ratuszu?

SEKRETARZ Jak w kotle!

LUBECKI Ludzie przygotowani?

SEKRETARZ Tak... cywilni i oficerowie. Panowie Łęski, Czorba i Tański będą kierować.

LUBECKI Są tutaj?

SEKRETARZ Jak książę-minister rozkazał.

LUBECKI Zawołaj ich... ( *sekretarz idzie na lewo*). (*do Wielopolskiego*). — Idziesz?

WIELOPOLSKI ( *spojrzal na zegarek*). — Już czas.

LUBECKI Będę czekał tutaj...

( *Wielopolski wychodzi na prawo — Lubecki zapala fajkę*).

### SCENA 11.

LUBECKI — ŁĘSKI — CZORBA — TAŃSKI —  
SEKRETARZ.

(*z pierwszych drzwi na lewo wychodzą Łęski, Czorba, i Tański, na końcu sekretarz*).

LUBECKI (*życzliwie*). — Oto moi wierni galopeni! (*podaje im kolejno rękę*). — Wiecie, o co chodzi?

ŁĘSKI (*uśmiecha się*). — W głównych zarysach.

LUBECKI W klubie wieczorem będą mnie atakować. Zwłaszcza Mochnacki... Mnie i Chłopickiego (*z lekko ironicznym śmiechem*). Za mną nikt się nie ujmie...

ŁĘSKI (*żywo*). — A my?

LUBECKI (*uśmiecha się*). — Złą wyświadczylibyście mi przysługę. Rozpętałibyście burzę, która skrupiłaby się na mnie. W walce trzeba umieć wybrać teren! Czekaście, aż zaczepią Chłopickiego. Chłopicki posiada popularność, której ja nie mam. (*Łęski i Tański próbują przeczyć, on ich powstrzymuje gestem*).—Ja wiem lepiej od was! W Chłopickim naród pokłada wielkie nadzieje. A Mochnacki nie znosi go, nie umie panować nad swą niechęcią. Trzeba go tylko podrażnić, podniecić... Niech mu się wymknie nieostrożnie inwektywa! Wtedy hałas! (*do sekretarza*). — Ilu będziesz miał ludzi?

SEKRETARZ Ze czterdziestu!

LUBECKI Wystarczy. Takie zbiegowisko zawsze daje się porwać tym, co krzyczą głośniej i śmielej.

CZORBA (*który słuchał coraz pochmurniejszy, żywo*).  
My to mamy robić, mości książe? My?

LUBECKI (*spojrzał na niego uważnie*). Dlaczego pan o to pytasz?

CZORBA (*j. w.*). Wolałbym pójść wprost do Mochnackiego i wyzwąć go na rękę!

LUBECKI Zrobiłbyś z niego męczennika i bohatera. W polityce nie walczy się szablą. Czy wierzysz w czystość moich zamiarów?

CZORBA Książę chyba o tem nie wątpi!

LUBECKI Oni literacką romantyczność chcą realizować bagnietami. Chcą niepodległości! Któż jej nie pragnie? W obecnych warunkach to są sny młodzieńcze... Trzeba kraj od nieszczęścia ratować. (*patrzy mu w oczy*). Trzeba?

CZORBA (*zmieszany*). Tak.

LUBECKI A pan wahaś się przeciwstawić temu, co dla ojczyzny niebezpieczne, może zgubne. (*Czorba milczy, widocznie wzruszony. Lubecki wziął go życzliwie za ramię*). Nie podobają ci się sposoby walki? A oni jak ze mną walczą? Czy nie oszczerstwem? Potwarzą? Czy oni chcą uznać moją dobrą wolę? Na jego życie nie nastaję, ale jeśli ja Mochnackiego nie położę (*gest*). — on mnie zgubi... (*puszcza go*). Przekonałem cię?

CZORBA (*zgnębiony tą wymową, argumentami i łaskawością*). Jestem na rozkazy księcia.

LUBECKI (*zadowolony*). Tegom się po tobie spodziewałem. (*do Łęskiego i Tańskiego*). Sprawcie się dobrze. Po zebraniu raport. Choćby późno w nocy. Gdybym zasnął, każcie obudzić!

(*Łęski, Tański i Czorba skłonili się i wychodzą na lewo. Za nimi sekretarz.*).

(*Lubecki został sam, przez chwilę w zamyśleniu puszcza kłęby dymu z fajki*).

(*Z prawej strony wchodzi żywo księżniczka Lubecka, prowadząc Teklę. Tekla przebrana po męsku, w długich bucikach, w spodeńkach i bluzie, w rękę trzyma szabelkę. Opiera się cokolwiek, trochę się śmieje, ale jest zażenowana*).

### SCENA 11.

LUBECKI — KSIĘŻNICZKA — TEKLA —  
(*później*) SEKRETARZ

LUBECKI (*patrzy zdziwiony na przebranie Tekli*). —  
Cóż to znowu?

KSIEŻNICZKA (*poruszona*). Mój drogi, obacz sam, co ta mała wyprawia! Słyszane rzeczy?

LUBECKI (*niezadowolony*). O ile mi wiadomo, zapusty dopiero za kilka miesięcy!

TEKLA To nie żadna zabawa, wuju! Pan Czorba obiecał mi lekcję fechtunku. W spódnicy nie mam swobody ruchów. Wogóle suknia nie pasuje do szabli...

LUBECKI (*bardziej udaje surowego, niż jest nim w rzeczywistości*). Ani szabla do ręki kobiecej. Jeśli chcesz służyć armji, weź igłę, szyj koszule dla żołnierzy. A z panem Czorbą, to już ja się rozmówię.

TEKLA (*żywo*). On nie winien! To ja go uprosiłam. Wzbraniał się, jak mógł...

KSIEŻNICZKA (*j. w.*). Obraza Boska. Ona to już z sobą przywiozła! (*wskazuje z obrzydzeniem na spodnie*). Podobno na wsi po męsku na okrak jeździ!

TEKLA Rozumie się! Na damskim siodle, to jak wróbel na gałęzi. Wujaszku, jeśli cała młodzież ma iść w pole...

LUBECKI (*j. w.*). Kobiety winny pilnować domu.

TEKLA A jeśli trzeba będzie domu bronić? Jak wszyscy, to wszyscy! Czy to niedobrze, że będę umiała?.. (*robi ruch szabelką*).

KSIEŻNICZKA (*przerazona, puściła ją*). Teci, skalczysz się!

LUBECKI Możeby ją tak poprostu do pułku oddać?

TEKLA (*skoczyła z radości*). Świetnie! Do szwoleżerów!



KSIĘŻNICZKA *(do Lubeckiego z wymówką)*. — Ty wszystko w żart obracasz!

LUBECKI *(puszcza dym z fajki)*. Mam ważniejsze sprawy na głowie, moja droga, niż jej majtki. *(zmiana tonu)*. Wieczorem znowu Rada. Na wszelki wypadek trzeba będzie przygotować kolację.

KSIĘŻNICZKA *(niezbyt chętnie)*. Jeśli trzeba, trudno... *(do Tekli surowo)*. Proszę się zaraz przebrać.  
*(wychodzi na prawo)*.

SEKRETARZ *(wszedł pierwszemi drzwiami z lewej strony, zbliżył się do Lubeckiego, tajemniczo)*. Pan Bronikowski czeka.

LUBECKI *(lekko drgnął)*. Dobrze. *(do Tekli, z uśmiechem)*. Więc ty trzymasz otwarcie z rewolucjonistami? Nienawidzisz mnie?

TEKLA *(głębiej)*. Ja wierzę, że ty, wuju, połączysz wszystkich, by wolność odzyskać.

LUBECKI *(dobrotliwie, do sekretarza)*. Masz pan! Nawet tu, w gmachu banku! Młodość nic nie uszanuje! *(do Tekli)*. Już ja się wezmę za ciebie! Zobaczysz! Tylko teraz nie mam czasu. *(do sekretarza, fajką wskazał drugie drzwi na lewo)*. Tam?

SEKRETARZ *(z ukłonem)*. Tak.  
*(Lubecki idzie)*.

TEKLA *(salutuje szablą)*. Czołem!

LUBECKI *(odwrócił się, pogroził jej żartobliwie)*. Dowiesz się, gdzie raki zimują!

*(wychodzi przez drugie drzwi na lewo)*.

TEKLA *(do sekretarza)*. Czy tam jest pan Czorba?  
*(wskazała pierwsze drzwi na lewo)*.

SEKRETARZ Jest.

TEKLA Można poprosić?

SEKRETARZ (*uśmiecha się*). Owszem... (*idzie do pierwszych drzwi z lewej strony, otwiera*). Panie Czorba!

CZORBA (*z za drzwi*). Jestem (*wchodzi*).  
(*Sekretarz wskazał mu gestem Teklę, wychodzi*).

## SCENA 12.

### TEKLA — CZORBA

TEKLA (*agresywna*). Gdzież to pan się ukrywa? Czekaliśmy na dole, aż wkońcu ciotka mnie przyłapała... (*patrzy na niego uważnie, postrzegła troskę w jego oczach*).

CZORBA (*zakłopotany*). Nie będę mógł, panno Teklo. Muszę zaraz iść na miasto...

TEKLA (*j. w.*). Jakto, nie będzie pan mógł? Umówiliśmy się.

CZORBA Służba!

TEKLA Co panu jest?

CZORBA Nic.

TEKLA Nieprawda! (*tupnęła nóżką*). Proszę mówić! (*Czorba milczy*). Czy teraz przedemną będzie pan miał tajemnice?

CZORBA Swoich — nie mam. Cudze — nie moje!

TEKLA O! mądrze powiedział! Cudze — nie moje! Jeśli pan będzie miał przedemną sekrety, to ja też.

CZORBA (*rozkłada ramiona, zniechęcony*). Służba!

TEKLA Jaka służba?

- CZORBA Ja tu wogóle niepotrzebnie przyjechałem.
- TEKLA (*udaje obrażoną*). Pewno. Sama widzę, że niepotrzebnie. Żegnaj. (*chce iść na prawo*).
- CZORBA (*bliski rozpaczy, zastępuje jej drogę*). Niech pani tak nie odchodzi!
- TEKLA (*zatrzymała się*). Przecież pan ze mną mówić nie chce!
- CZORBA Służbowych spraw nie mogę wyjawić.
- TEKLA Ja nie lubię zagadek! (*chce iść*).
- CZORBA (*j. w.*). Niech pani zostanie!
- TEKLA (*znów się zatrzymała, spojrzała nań tkliwiej, nagle zdecydowała się, wzięła za rękę, prowadzi do fotela*). Usiąść! (*Czorba usiadł, ona siada obok*). Teraz jak na spowiedzi!
- CZORBA (*po chwili wahania*). — Książę-minister dał nam zlecenie... (*urwał*).
- TEKLA Jakie zlecenie?
- CZORBA Żeby dziś... w klubie patrijotów... gwałt czynić...
- TEKLA Przeciw komu?
- CZORBA (*ciszej*). Przeciw temu... panu Mochnackiemu!
- TEKLA (*spoważniała, ciszej*). Jaki gwałt?
- CZORBA Obrócić zgromadzenie przeciw niemu... że on na Chłopickiego napada...
- TEKLA (*oburzona, cicho*). To jest... instygatorstwo!
- CZORBA (*z pochyloną głową*). Tak... W mojem rozumieniu — tak... Ja jestem przeciwny temu, co ten pan Mochnacki wyprawia, ale do takiej roboty czuję odrazę.
- TEKLA (*nagle*). Trzeba go przestrzec!

CZORBA (*przerażony*). Kogo?

TEKLA Mochnackiego.

CZORBA (*chwyta ją za rękę, w rozpaczy*). Jak pani mogła coś podobnego pomyśleć!

TEKLA Pan musisz pójść do niego! Zaraz!

CZORBA (*głębiej*). Panno Teklo! Czy pani zdaje sobie sprawę, czego pani odemnie żąda?

TEKLA (*spojrzała nań*). Tak... (*zamilkła w zamyśleniu*). I pan tam pójdzie?

CZORBA (*posępny*). Muszę.

TEKLA Pan się podejmuje... takiego rzemiosła?

CZORBA Czy pani nie wierzy w czystość zamiarów księcia?

TEKLA Czy pan ma prawo wątpić o czystości zamiarów pana Mochnackiego?

CZORBA (*j. w.*). Jutro zgłoszę dymisję. Dziś — muszę wypełnić obowiązek. Instygatorem nie będę. Ale pójść muszę..., choć wolałbym z gołemi rękami na moskiewskie armaty...

(*w drzwiach z lewej strony sekretarz*).

SEKRETARZ Panie Czorba!

CZORBA (*porwał się z miejsca*). Jestem!

SEKRETARZ Przepraszam hrabiankę... (*do Czorby*). Pan Łęski czeka na pana.

CZORBA Idę... (*Sekretarz znika za drzwiami*). (*do Tekli, z widocznym wzruszeniem*). Ja prosty szlachcic litewski... W tych zawitościach gubię się... Walczyć. Dobrze! Oko w oko... z bronią w ręku...

ŁĘSKI (*uchyla drzwi z lewej strony*). Panie Czorba...

CZORBA (*w rozpaczy*). Idę... (*skłonił się Tekli, wychodzi na lewo*).

SCENA 13.

TEKLA — KAROL

(Podczas tej sceny słońce zachodzi, czerwieniąc szyby okien.  
Pod koniec aktu półmrok).

TEKLA (*po chwili namysłu idzie ku drzwiom na prawo, otwiera je*). — Karolu!

KAROL (*staje w drzwiach*). — Słucham!

TEKLA Czy Karol będzie mógł wyjść ze mną na miasto?

KAROL (*rozkłada ręce*). Jasnie panienko! Księżę nie pozwolił oddalać się na chwilę!

TEKLA (*bliska rozpacz*). Więc co ja zrobię? Pójdę sama?

KAROL Nie można. W mieście niepokój.

TEKLA A ja muszę wyjść! Słyszysz Karol? Muszę. (*ciszej*). I nikt nie ma o tem wiedzieć! Nikt! Karol umie siedzieć cicho?

KAROL (*urazony*). Pewnie!

TEKLA Karol ma mi znaleźć kogoś! Natychmiast..., który mógłby mi towarzyszyć... Będziecie obaj zadowoleni!

KAROL (*który od paru sekund wysiłał mózgowicę, nagle uderzył się w czoło*). Już mam! Grzegorz!

TEKLA Jaki Grzegorz?

KAROL (*zaabsorbowany swym pomysłem*). W ten moment... tylko poślę Józka na dół. (*zniknął za drzwiami, Tekla przechadza się, zamyślona. Z ulicy dochodzi podniecony gwar, urywane okrzyki*).

KAROL (*wraca*). Już posłałem. On o tej porze bywa pod bankiem, z latarką. (*uśmiecha się*). Rano chodzi z gitarą.



TEKLA (*niecierpliwie*). Ale kto taki?

KAROL Grzegorz, latarnik... taki stary... jeszcze z legjonów.

TEKLA (*żywo*). Z legjonów?

KAROL Zostało ich paru! Ja mu tam czasem z obiadu... albo z kolacji... (*gest*). Bo to wielka bieda, proszę panienki... Stare to i jak na te czasy, za uczciwe!

TEKLA Karol znajdzie mi jakąś ciemną opończę i kapelusz... z garderoby księcia-ministra.

KAROL (*zaskoczony*). Jaśnie panienka nie przebie-  
rze się?

TEKLA Nie... (*sposzregła jego dezaprobujący wzrok — zła*). Czego Karol wybałusza ślepiec? Król Zygmunt zszedł z kolumny i usiadł przy Koperniku?

KAROL (*zafrasowany*). Tak... niby... (*spojrzał na jej spodenki*). ...nie uchodzi!

TEKLA (*j. w.*). Właśnie, że uchodzi!

(*w drzwiach z prawej strony staje Grzegorz, latarnik. Strój charakterystyczny, według Piwarskiego — białe sumiaste wąsy, krótkie baczki, w rękę latarka na długim kijku*).

#### SCENA 14.

#### CIŻ — GRZEGORZ

GRZEGORZ (*skromny, równocześnie pewny siebie, objął pokój badawczym spojrzeniem, poważny*).  
— Niech będzie pochwalony!

TEKLA (*przypatruje mu się, uderzona jego pełną godności postacią*). — Na wieki wieków! Możecie mnie zaprowadzić do Ratusza?

GRZEGORZ (*spokojny*). Czemu nie, paniczu? Zaraz? (*widząc, że latarnik wziął Teklę za młodego chłopca, Karol ledwie zdołał powstrzymać śmiech. Tekla zgromiła go surowem spojrzeniem*).

TEKLA Jak tylko się ściemni... Proszę czekać w sieni na dole!

KAROL (*groźny*). I żeby paniczowi włos z głowy nie spadł, rozumiesz?

GRZEGORZ (*zdziwiony*). A cóż to może stać się paniczowi? (*uśmiechnął się*). Nie panienka, cnoty nie uroni!

KAROL (*przerażony*). Cicho!

TEKLA (*śmieje się*). Właśnie! Gdyby mię kto napadł, będziecie mnie bronić... Obiema rękami!

GRZEGORZ Nie, paniczu, tylko jedną. Drugą zosta-  
wiłem nad Berezyną.

TEKLA (*poruszona, zbliżyła się i potrząsnęła silnie jego prawą dłońią*). Przepraszam! Będziecie czekać?

GRZEGORZ Według rozkazu.

(*na ulicy krzyki, wołania i gwar rosną*).

TEKLA (*zwraca się w stronę okien*). — Co się tam dzieje?

GRZEGORZ Naród niespokojny. Szpiegów i zdrajców ciągle szukają...

TEKLA (*do Grzegorza*). Pokażę wam, gdzie macie na mnie czekać...

(*wychodzi na prawo, za nią Grzegorz. Karol idzie za nimi, gdy w drzwiach z prawej strony pojawia się Lubcki*).

SCENA 15.

LUBECKI — KAROL — SEKRETARZ

LUBECKI (*do Karola, który właśnie chce zamknąć drzwi*). — Karol!

KAROL (*odwrócił się szybko*). — Jestem!

LUBECKI Kto tu był? (*puszcza dym z fajki*).

KAROL Panna hrabianka...

LUBECKI Z kim rozmawiała...

KAROL To... ze służby... Książę pan każe przynieść światło?

LUBECKI (*idzie ku pierwszym drzwiom na lewo*). —

Tak... Pan margrabia nie wrócił?

KAROL Nie.

LUBECKI Pilnuj w sieni. Wprowadzisz tutaj.

KAROL (*skłonił się*). Na dole, u wejścia na schody, postawiłem Józefa.

LUBECKI I nikogo nie wpuszczają! Nikogo!

(*Karol wychodzi. Lubecki otwiera pierwsze drzwi na lewo*).

— Panie Wincenty!

SEKRETARZ (*z za drzwi*). — Służę... (*zjawia się w drzwiach*).

LUBECKI Z Bronikowskim dobrze. Zdaje się, że go przekonałem.

SEKRETARZ (*z uznaniem*). To będzie pierwszorzędne posunięcie.

LUBECKI (*skinął z zadowoleniem głowę*). — Ja tutaj będę miał konferencję... bardzo poufną. (*potrząsa fajką*). — Nikogo!

SEKRETARZ A książę-wojewoda?

LUBECKI Jeśliby wrócił, zanim będę wolny, poprosisz tam... *(wskazuje drugie drzwi na lewo)*.

KAROL *(wchodzi z prawej strony, zamyka drzwi)*.  
— Pan margrabia Wielopolski z drugim panem.

LUBECKI *(żywo)*. — Proś *(gestem ręki, w której trzyma fajkę, dał znak sekretarzowi, by zniknął i zamknął drzwi, co tenże czyni z pośpiechem)*.  
*(do Karola)*. — Światło!

### SCENA 16.

LUBECKI — WIELOPOLSKI — MOCHNACKI —  
KAROL

KAROL *(otwiera drzwi)*. — Proszę jaśnie panów.  
*(Mochnacki certuje się z Wielopolskim o pierwszeństwo wejścia)*.

WIELOPOLSKI *(popycha go poufałym gestem)*. —  
Proszę... ja tu jestem domowy...  
*(Mochnacki wchodzi, za nim Wielopolski, Karol zamyka drzwi)*.

— Mości książę! Mój kolega Maurycy Mochnacki.  
*(Mochnacki skłonił się poważnie. Lubecki położył fajkę na stole, postąpił ku nim parę kroków, odpowiedział życzliwym skinieniem głowy)*.

LUBECKI *(do Mochnackiego)*. — Dziękuję panu, żeś przyszedł. Czas jest taki, że trzeba próbować skojżenia wszystkich sił, choćby z pozoru najbardziej przeciwnych *(z lekkim uśmiechem, gestem życzliwym wskazał Wielopolskiego)*.

— Spiskowaliście pono kiedyś razem?

MOCHNACKI *(poważny, bez uśmiechu)*. — To były dziecinne igraszki.

WIELOPOLSKI (*śmieje się, do Mochnackiego*). — Na Dynasowskich pustkowiach, pamiętasz? Ja przyniosłem raz stary pistolet, ty — proch i kule. Ale nie mogliśmy odciągnąć zardzewiałego kurka!

LUBECKI (*z dobrodusznym uśmiechem*). Że pan konspirowałeś już w szkole, to mnie nie dziwi. Ale on, pan na Chrzobrzu, margrabia Myszkowski! (*Karol wnosi kandelabry i stawia na stołach*).

WIELOPOLSKI (*śmieje się*). — Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze, ten młody zdusi centaury!

LUBECKI (*j. w.*). Oby! Oby!

(*Wielopolski skłonił się i wychodzi, za nim Karol*).

#### SCENA 17.

LUBECKI — MOCHNACKI

LUBECKI (*uprzejmy*). — Proszę, niech pan siada... (*siadają obaj*).

— Wiem, że pan uważa mnie za swego wroga.

MOCHNACKI (*zawsze poważny*). — Za wroga rewolucji, mości książe.

LUBECKI Jesteś pan w błędzie. Jako zdecydowany legalista, uważam, że narzucony gwałtem stan rzeczy może być tylko gwałtem obalony. Czy pan sądzi, że ja byłbym przeciwny rewolucji, gdybym widział dla niej szanse zwycięstwa? Pierwszy poszedłbym w jej szeregi.

MOCHNACKI My nie obliczamy zamiarów na siły. Pozatem, co widzą oczy, w człowieku — i w narodzie — są moce utajone — niezgłębione!

LUBECKI (*z lekkim uśmiechem*). — A rozum? Trzeźwy, doświadczony rozum?



MOCHNACKI Nie wystarczy, by wniknąć w duszę narodu, by odgadnąć jej tęsknoty i pragnienia! My je wyczuliśmy, my je wyzwolimy tak, jak burza wyzwała się piorunami.

LUBECKI Gdzież poczucie rzeczywistości? Dziesięćkroć przeważającej potędze nie oprze się żadne bohaterstwo. Z zewnątrz nikt wam z pomocą nie przyjdzie. Pan wierzysz w cuda?

MOCHNACKI Czy Polska od rozbiorów nie jest cudem? Największą zagadką dziejów? Uśmiercono naszą państwowość. Tak. I co się stało? Życie narodowe nabrało większej mocy, niż kiedykolwiek.

LUBECKI Nie macie rządu. Nie macie wodza.

MOCHNACKI Stworzymy rząd. Znajdziemy wodza. Niech tylko usuną się ci, co wiarę w zwycięstwo gaszą.

LUBECKI (*z lekką ironją, nie pozbawioną domieszki smętku*). — Mnie pan masz na myśli, prawda? Ja życzę źle narodowi! Ja, com życie strawił, by pomysłność kraju podnieść i rozwinąć! A nagroda? Nienawiść młodego pokolenia, któremu pan przewodzisz! Tak, nienawiść... (*krótka pauza*). A pan, panie Mochnacki, czujesz się godnym zaufania narodu, masz odwagę brać na siebie ciężar tak wielkiej odpowiedzialności?

MOCHNACKI (*żywiej*). — Tak, bo wierzę, że Polska musi być w swej całości wskrzeszona! Musi! Wojnę trzeba uczynić narodową. Wojnę wygrywa nie żołnierz — lecz naród. Trzeba wciągnąć w szeregi obywatelstwo, chłopów, mieszczaństwo! My poruszymy lud, pchniemy go do walki, jak

śnieżną lawinę, która zmiata wszystkie przeszkody.

LUBECKI (*z ledwie dostrzegalną ironją*). — A przeciwników — na latarnie!

MOCHNACKI (*j. w.*). Wielkich czynów nie dokonywa się bez ofiar. Jedna prawda jest niezłomna, nieprzeparta! Polak nie znosi obcych rządów... Nie pogodzi się nigdy z utratą ojczyzny! Nie zniewolą go do tego ani umiarkowanie, ani okrucieństwo! Cóż osiągnęły prześladowania? Spożyły tylko siły narodu, spotęgowały jego życie wewnętrzne...

LUBECKI (*przerywa*). Poetów uczyniły politykami, — jak pana, — polityków zrobiły poetami, jak Lelewela...

MOCHNACKI (*nie zwraca uwagi na sarkazm*). — By tłumy porwać do czynu, trzeba podniecić ich gniew, rozpętać namiętności...

LUBECKI (*j. w.*). — A jak je potem okiełznać?

MOCHNACKI O tem czas będzie myśleć, gdy walkę uwieńczy zwycięstwo. Rewolucji nie robią tacy ludzie, jak ksiązę-minister...

LUBECKI (*j. w.*). — Ale tacy, jak pan. Pan wierzysz, że się można oprzeć na tłumach ulicznych?

MOCHNACKI Kto nie ma odwagi, temu się nie brać do rewolucji.

LUBECKI Odwaga nie opanowana rozumem staje się szaleństwem.

MOCHNACKI Ksiązę nie lękasz się wyrazu: rewolucja. My nie obawiamy się słowa: szaleństwo!

LUBECKI I mniemasz pan, że znajdziecie w narodzie wiarę, ufność, posłuch?

*(za oknami głośniejsza wrzawa, słyhać okrzyki: Polacy! Do broni! Kto żyw, do broni!).*

MOCHNACKI *(gest w stronę okien)*. — Słyszysz księżę? Na ulicach tysięczne tłumy wołają: Do broni! Polacy! Kto żyw, do broni! Lud ofiaruje władzę tym, co go do niepodległości prowadzi!

*(chwila milczenia)*.

LUBECKI Ciężką bierzecie odpowiedzialność! Bo gdybyż cały naród podzielał pańskie uczucia! Ale czy tak jest w istocie? Czemże to, jeszcze parę tygodni temu, najbardziej interesowała się Warszawa? Czy lepiej pisać wiersze podług reguł, czy bez reguł. Was jest garść!..

MOCHNACKI *(przerywa)*. — Ta garść pociągnie za sobą cały naród!

LUBECKI Doświadczenie uczy, że naród nie składa się z samych bohaterów! *(zmiana tonu)*. Ale mylisz się pan, mniemając, że ja wam będę przeszkadzał. Przeciwnie, jeśli będę mógł pomóc — pomogę.

MOCHNACKI *(twardo)*. My na pomoc księcia nie liczymy.

LUBECKI *(z godnością)*. Ja zaś nie mam zamiaru wkupywać się w wasze łaski!

*(chwila milczenia)*.

MOCHNACKI *(wstał)*. — Cóż więcej moglibyśmy sobie powiedzieć, mości księżę?

LUBECKI *(wstaje również, głębszym tonem)*. — Dziś — nic. Ale kto wie, czy nas losy jeszcze nie zetkną.

MOCHNACKI Nie sędę.

LUBECKI Waćpan przecież masz wejść do Rady, wraz z Plichtą i Bronikowskim?

MOCHNACKI (*patrzy mu śmiało w oczy*). — Jeśli wejde, to po to tylko, by ciebie, mości książe, zmusić do ustąpienia.

LUBECKI (*z cokolwiek wymuszonym uśmiechem*). — Jestem panu wdzięczny za szczerotę.

MOCHNACKI (*twardo*). Rewolucja musi działać rewolucyjnymi środkami. Nie będziemy odgrzebywać tego, co martwe. Rewolucja musi mieć rząd rewolucyjny. Wszelki kompromis osłabiłby jej rozpęd. (*z lekką ironją*). Książe minister najbardziej to rozumiesz — i chciałbyś...

LUBECKI (*przerywa z godnością*). — Nie wdawajmy się w domniemywania, panie Mochnacki.

MOCHNACKI Żegnam księcia! (*kłania się lekko*).

LUBECKI (*odpowiedział uprzejmem skinieniem głowy*). — Żegnam pana... Jestem wdzięczny za tę rozmowę, która pozwoliła mi poznać bliżej pańskie.. poglądy... (*z cokolwiek wymuszonym uśmiechem*). Z tego, com usłyszał, wnoszę, że masz pan zamiar mię powiesić... (*spojrzeli sobie w oczy, krótkie milczenie*). Pan Wielopolski czeka zapewne na pana... (*gestem wskazał drzwi na prawo*).  
(*Mochnacki skłonił się raz jeszcze i wychodzi na prawo*).

Z a s ł o n a s p a d a .

<http://rcin.org.pl>

## O B R A Z I V.

Zgromadzenie Klubu Patrijotycznego w Salach Redutowych starego Teatru, na placu Krasieńskich. Pokój przy sali obrad, dość licho umeblowany. Stół, kilka foteli, stołków. Z prawej strony okna, Drzwi wejściowe z lewej. W głębi, nawprost widowni, podwójne szerokie drzwi, prowadzące do sali obrad. Gdy otwarte, widać stół, z którego przemawiają mówcy, i część natłoczonej sali. Kilka świec, w lichtarzach i butelkach, niezbyt jarzyście oświetla scenę).

### SCENA 1.

CZORBA — DOBROGOJSKI — ANASTAZY DUNIN

*(Gdy zasłona idzie w górę, drzwi w głębi zamknięte. Na scenie pusto. W jednym z fotelów, odwrócony twarzą do okien, siedzi Czorba, zasłonięty niemal całkowicie oparciem. Drzwiami w głębi wchodzi Dobrogojski i Dunin. Słysząc gwar na sali i przemawiającego Grzymałę. Dunin zamyka starannie drzwi.).*  
*(Dunin i Dobrogojski zapalają fajki, za którymi widocznie się stęsknili).*

DUNIN Ja ci mówię, że dziś zlazło się dużo obcych.  
Kto ich sprowadził?

DOBROGOJSKI *(zaciąga się z rozkoszą dymem).* —  
Maurycy był dumny, że zgromadzenie tak liczne...  
*(puszcza dym).* Uf!



DUNIN Nie ma racji. Wogóle, powiem ci... wiesz, jak go lubię... jestem jego szczerym przyjacielem...

DOBROGOJSKI (*przerywa*). ...ale staje się cokolwiek drażniący. Wszystkich uważa za głupców. Bardziej oddanych, niż ja, przyjaciół ma z pewnością niewielu, muszę jednak przyznać, że czasem robi się zbyt wielki!

DUNIN Jeśli jeszcze wejdzie do rządu!..

DOBROGOJSKI (*uspokaja*). — No, no... narazie tylko z głosem doradczym.

DUNIN (*przejęty swoją troską*). — Trzeba było postawić kogoś przy drzwiach. Tak bez kontroli... każdego, kto przyjdzie z ulicy!... Sala jest jakaś dziwna, nieswoja!

DOBROGOJSKI (*obojętny*). — Powiedziano, że dziś goście mogą nawet zabierać głos.

DUNIN Ale, że Grzymała będzie bronił rządu! Tego się nie spodziewałem! Grzymała! Usprawiedliwia wypuszczenie wielkiego księcia! Świat się kończy!

*(Kilku mężczyzn wchodzi śpiesznie z lewej strony, idą rozmawiając do sali. Drzwi zostawili uchylone, słychać gwar i oklaski).*

DOBROGOJSKI Skończył!

*(przez uchylone drzwi widać mówcę, schodzącego ze stołu).*

DUNIN (*z pasją*). — I oklaskują go! Słyszysz?

GŁOSY Z SALI Drzwi zamknąć! Drzwi!

DOBROGOJSKI (*spojrzał w stronę sali*). — Teraz Maurycy...

DUNIN On mu palnie! Jużemy ledwo mogli go po-  
hamować!

*(Maurycy wskoczył na stół i zaczyna mówić).*

MAURYCY *(w sali obrad)*. — Mości panowie! Czy na  
to porwaliśmy się do broni, żeby w konszachty  
i szacherki z wrogiem wchodzić? Nadużyto waszej  
dobrej wiary!

*(W sali okrzyki: Zdrada! Zdrada! Inne okrzyki głoś-  
niejsze: Drzwi! Zamknąć drzwi! Od wewnątrz zamy-  
kają drzwi do sali. Słysząc jeszcze te słowa Mochnac-  
kiego: — Naród został oszukany! Okrzyki: Zdrada!  
Zdrada! Drzwi zamknięte, gwar w sali milknie).*

DOBROGOJSKI Ja ci mówię, że to wszystko Lu-  
becki...

DUNIN *(posępny)*. — Więcej jest takich, co chcieliby  
powstaniu łeb ukręcić. *(nagle spostrzegł Czorbę,  
który się poruszył, wskazuje go Dobrogojskiemu,  
ciszej)*. Któż to znowu? Znasz go?

DOBROGOJSKI *(zrobił parę kroków, by przyjrzeć  
się Czorbie)*. — Nie... pierwszy raz widzę.

DUNIN *(zbliża się do Czorby)*. — Pan nie idzie na  
salę?

CZORBA *(nie rusza się z fotela)*. — Nie!

DUNIN *(odcień zdziwienia)*. — Pan nie ciekaw prze-  
mówień?

CZORBA *(j. w.)*. — Nie!

DUNIN Przepraszam... po co pan w takim razie  
przyszedł?

CZORBA *(z wyraźnym litewskim akcentem)*. — Panie  
kochaneńki, od godziny zadaję sobie to pytanie  
i nie umiem na nie odpowiedzieć.

DUNIN (*zrażony, do Dobrogojskiego*). — Dziwak!  
DOBROGOJSKI (*lekceważący*). — Kołdun litewski!  
(*Czorba włąbił się w swój fotel, zdając się nic nie słyszeć*).

DUNIN (*wytrząsa fajkę, chowa ją do kieszeni*). —  
Chodźmy.

(*Dobrogojski uczynił to samo. Obaj zamierzają iść do sali, gdy z lewej strony wbiega szybko Tekla, za nią latarnik*).

## SCENA 2.

CIŻ — TEKLA — GRZEGORZ

(*Tekla w chłopięcem przebraniu, osłonięta ciemną oponką. Męski kapelusz o szerokim rondzie zakrywa włosy*).

TEKLA (*żywo, do odchodzących*). — Przepraszam panów!

(*Czorba na dźwięk jej głosu poruszył się, spojrzął ostrożnie i jeszcze bardziej włąbił się w fotel, tak że ani Tekla, ani Latarnik nie dostrzegli go. Dobrogojski i Dunin zatrzymali się już blisko drzwi*).

DUNIN (*odwrócił się*). — Czego?

(*Latarnik został przy drzwiach z lewej strony*).

TEKLA Ja w pilnej sprawie do pana Mochnackiego.

DUNIN (*sceptyczny*). — Do którego? Jest ich tutaj trzech.

TEKLA (*zdziewiona, że może być w tym względzie wątpliwość*). — Do pana Maurycego.

DUNIN Maurycy teraz właśnie przemawia.

TEKLA (*przerazona*). — Przemawia?

DUNIN Tak... (*wskazuje na drzwi w głębi*). — Słyszysz kawaler?

(*Dobrogojski uchylił nieco drzwi*).

MAURYCZY (*za sceną*). — Żądania wasze nie odniosły żadnego skutku! Rada została rozwiązana, jakąż rękojmnia jednak, że nowy rząd będzie lepszy? Zmieniono nazwę, nie ludzi. Cesarzowiczowi pozwolono ująć bezpiecznie! Pułków rosyjskich nie rozbrojono! Teraz wzmocnią one wroga! Ludzie, zajmujący najwyższe stanowiska, weszli w porozumienie z nieprzyjacielem!

(*Okrzyki niezbyt liczne: Zdrada! Zdrada! Równocześnie nieśmiałe gwizdy i protesty*).

GŁOSY Z SALI Drzwi! Drzwi zamknąć!

(*Dobrogojski przymyka drzwi*).

DUNIN (*niespokojny, do Dobrogojskiego*). — Co się tam dzieje? Pierwszy raz...

DOBROGOJSKI (*daje mu znak, żeby przy Tekli nie wynurzał się*). — Za dużo gości! Miałeś słuszość!

TEKLA (*do Dunina*). — Panie, to, co mam do powiedzenia panu Mochnackiemu, jest nadzwyczaj ważne i pilne! Pan jest mu życzliwy?

(*Dobrogojski zainteresował się, zbliżył się do nich*).

DUNIN Maurycy jest moim przyjacielem.

DOBROGOJSKI (*do Latarnika*). — Czego waść pchasz się tutaj? Waści miejsce na ulicy, przy bramie.

GRZEGORZ (*spokojny, z godnością*). — Ja z tym młodym panem.

TEKLA (*do Dobrogojskiego*). — Tak... on jest ze mną.

DOBROGOJSKI To wszystko jedno! Tutaj nie miejsce. (*do Latarnika*). Proszę... (*wskazuje mu drzwi*).

GRZEGORZ (*j. w.*). — Pan daruje! Ja mam przykazane, żeby tego młodego pana nie odstąpić.

DOBROGOJSKI (*objął Teklę nieufnem spojrzeniem*). — I dla młodzieniaszków tutaj nie miejsce! (*do Latarnika, zły*). Także opiekun!

TEKLA (*do Dunina, błagalnie*). — Panie, ja muszę zaraz mówić z panem Mochnackim. Jeśli jesteś jego przyjacielem, zrób to! O niego chodzi!

DUNIN (*zdziwiony*). — Cóż to znowu?

DOBROGOJSKI (*niecierpliwie*). — Ze stołu go nie ściągniemy!

TEKLA Przeciw niemu kabała! Wielka kabała! Musi być uprzedzony!

DOBROGOJSKI Kawaler mieszasz się do nieswoich rzeczy. Karabinu by to jeszcze nie udźwignęło, a wdziera się tutaj...

TEKLA (*oburzona, przerywa*). — Panie! Pan jest niegrzeczny!

DOBROGOJSKI Tutaj nie salon, kawalerze! Proszę się wynosić!

*(chce wyprowadzić Teklę).*

TEKLA (*bliska rozpacz, do Dunina*). — Panie! Jeśliś przyjacielem pana Mochnackiego!...

DUNIN (*zatrzymuje Dobrogojskiego*). — Czekać... trzeba to zbadać... (*do Tekli*). W tej chwili nie można, niech kawaler mówi...

TEKLA Ja mogę tylko jemu... a za chwilę może być za późno!

DUNIN (*zniecierpliwiony*). — Przecież waść słyszysz, że teraz mówi!...

*(idzie do drzwi, uchyla je ostrożnie).*



MAURYCY (*za sceną coraz namiętniej*). — Mości panowie: Nie ufajmy największym nawet imionom historycznym! (*protesty*): Ho! ho! Komu?). Poczciwość, gdy niedołączna, nic dobrego nie zdziała! (*głosy*: Nieprawda!). Któż to z Moskałem się układa? Książę minister Lubecki! Z cesarzewiczem, z Petersburgiem! Sprzedają nas, sprzedają sprawę narodową! Nie ufajmy żadnej wziętości. Czy generał Chłopicki dopełnił swoich obowiązków? (*przerywania, okrzyki*: milczeć! precz! *Inne okrzyki*: Zdrada! Zdrada!). Nie dopełnił. Generał Chłopicki zdradził rewolucję! (*na sali burza, krzyki, gwizdy, szczekanie broni*: *Głosy*: Chłopickiego znieważa! Zdrada! Precz! (*Mochnacki usiłuje zapanować nad tumultem, wyteżę głos*). Chcecież, by rewolucję pogrzebano? Dopuścicież do ostatecznej klęski? Ja wam mówię: Broń do ręki i na rząd! Rozpędzić tę zgraję! (*protesty i krzyki wzmagają się*). Nam potrzebny inny rząd, rewolucyjny!

(*Zamieszanie na sali wzrasta. Krzyki, gwizdy, szczekanie broni*. — Precz! Zdrada! Niech żyje Chłopicki! Niech żyje Mochnacki! Rozsiekać go! Teror! Do broni! Ze stołu! Precz ze stołu!).

TEKLA (*przerazona, do Dunina*). — Widzi pan! Boże!  
DOBROGOJSKI (*wpada do sali*). — Trzeba go bronić!

DUNIN (*biegnie za nim*). — Spokój! Spokój!  
(*Tekla bezwiednie zbliżyła się do Latarnika, jakby szukając osłony, — osłupiała, bezradna. Zgiełk na sali coraz większy, odgłosy szamotania, bijatyki*).

### SCENA 3.

TEKLA — LATARNIK — CZORBA — MAURYCY  
DOBROGOJSKI — DUNIN — KAMIL — BAZYLI  
NABIELAK

*(Przyjaciele wyprowadzają z sali Mochnackiego, który im się wrywa. Ubranie ma w nieładzie, włosy rozwiane, w oczach gniew.)*

MAURYCY Nie... nie... Puśćcie mię... Oni mię nie zrozumie!... Ja do nich przemówię!...

DUNIN Uspokój się, jesteś nadto wzburzony!

MAURYCY *(j. w.)*. — Ja tak wyjść nie mogę! Czeka-jcie! Ja im odpowiem! Tak odpowiem, że cała krew spłynie do serc... że zadrży każde sumienie!

KAMIL Za chwilę... niech się uciszą...

MAURYCY *(do Nabelaka i Kamila)*. — Czy wy rozumiecie? Taka zmiana? Kto są ci ludzie?

BAZYLI *(gorzko)*. Wczoraj nosili cię na rękach!

MAURYCY I dzisiaj, gdym się pokazał, jakie oklas-ki! A potem... Mróz! Przecież Grzymała nie mógł ich odmienić! *(nagły przypływ goryczy)*. Grzymała! Grzymała obrońcą rządu! *(unoszą się)*. Komu można teraz ufać? Powiedzcie! Komu? Mówiłem zawsze: rewolucja, to jeden rozkaz... i jeden posłuch! Kto nie słucha, zdradza rewolucję!

DOBROGOJSKI *(wychodzi z sali, Mochnacki zwraca się żywo ku niemu, a on jakby na niewypowiedziane zapytanie odpowiada)*. — Teraz na stół wszedł Wołowski. Bronikowski będzie mówił dopiero po nim.

MAURYCY To dobrze! Jego słuchają, a on rozłoży i Grzymałę, i Wołowskiego... (*do Dobrogojskiego*).  
Wołowski przeciw mnie?

DOBROGOJSKI Tak. Nawołuje do zgody i jedności, a wynosi zasługi Czartoryskiego, Niemcewicza.

MAURYCY (*w pasji*). — I Chłopickiego! Kauzyperda! Służalec! Te parszywe owce trzeba precz odpędzić! (*do Dobrogojskiego*). Idź! Słuchaj, co mówi. Jeśli będziesz mógł, powiedz Bronikowskiemu, że w nim moja ufność. On i ja musimy porwać ten tłum! On przekona, a ja pioruny w mózgach zapalę! Idź! (*Dobrogojski wychodzi na salę*). (*do Nabelaka, gorzko*). Krzyczeli: Zdrada! Słyszałeś? Zdrada!

NABIELAK (*porywczo*). — Głupcy!

MAURYCY (*zwraca się nagle do Bazylego*). — Dlaczego niema Lelewela?

BAZYLI Nie przyszedł.

MAURYCY (*powrotna fala goryczy*). — Mnie wołają: Zdrada! (*do Dunina, w nagłym uniesieniu*). Słuchaj, ty mnie znasz! Powiedz, czyś myślał kiedykolwiek, że mnie, tutaj...

DUNIN (*przerywa*). — Dziś każdemu zdradę wymawiają. Nikt już uwagi nie zwraca.

MAURYCY Czy wierzyć nie można nikomu? Co się tu stało?

DUNIN Obcych ludzi za dużo!

TEKLA (*zbliża się do Mochnickiego, trochę onieśmiona*). — Ja panu odpowiem!

MAURYCY (*prawie przerażony, cofa się*). — Kto to? Czego on chce? (*patrzy niespokojnie na Teklę*).

DUNIN On tu na ciebie czeka...

MAURYCY (*opanował się, spojrzął uważniej na Teklę*). — Waść mię znasz?

TEKLA Tak.

MAURYCY (*zdziwiony*). — Osobiście?

TEKLA Nie. Z tego, co pan pisze, mówi, działa...  
(*ciszej, głęboko*). Uwielbiam pana!

MAURYCY (*nagła reakcja, porwany wymową tych słów*). — Słyszeliście, jak on to powiedział? (*naśladowuje*). Uwielbiam pana! Zupełnie jak kobieta! Żadna kobieta nigdy mi tego nie powiedziała! (*j. w.*). Uwielbiam pana! (*z uśmiechem*). Żałuję, że nie jesteś kobietą! Masz siostrę?

TEKLA (*uśmiecha się, zmieszana*). — Nie.

MAURYCY Szkoda! (*do Dunina, Nabelaka, Kamiła*). Widzicie, młodzież! (*dłonią wskazał Teklę*). Młodzież uwielbia mię... Młodzież, przyszłość narodu, w Polsce terazniejszość! My sami, czyż nie jesteśmy młodzieżą? (*do Tekli z uśmiechem*). Trochę starszą! A myśmy naród obudzili ze śpiączki, zmusili do walki. Z oczu ci zapał świeci! Podobasz mi się.

(*Nabelak i Dunin, rozmawiając, zbliżyli się do drzwi, w głębi*).

TEKLA Niech mi pan udzieli paru minut rozmowy.

MAURYCY (*bierze Teklę za ramię, życzliwie*). Przyjacielu! Jutro, kiedy zechcesz! Dziś nie mogę. Muszę wracać na salę. Teraz będę przemawiał, a mówić muszę tak, jak nigdy jeszcze nie mówiłem!

TEKLA To, co mam powiedzieć, jest dla pana wielkiej wagi.

MAURYCY (*myśl jego krąży gdzieindziej, trochę niecierpliwiony*). — Przyjdź do mnie jutro.

TEKLA (*natarczywa*). — Niebezpieczeństwo panu grozi dziś! Zaraz!

MAURYCY (*zdziwiony*). — Komu?

TEKLA Panu.

MAURYCY Jakie niebezpieczeństwo!

TEKLA (*powiodła wzrokiem po innych, ciszej*). — Ja tylko panu mogę powiedzieć.

MAURYCY (*niecierpliwie*). — Przed ojcem i bratem nie mam tajemnic.

(*Na sali głośne oklaski. Nabelak uchylił drzwi. Wrzawa rozmów, okrzyki*).

NABELAK Wołowski skończył mówić.  
(*zamyka drzwi*).

MAURYCY (*z goryczą*). — Oklaski!

DOBROGOJSKI (*wybiega z sali*). — Maurycy! Teraz będzie mówił Bronikowski.

MAURYCY Idę. A Wołowski?

DOBROGOJSKI Przeciw tobie. Że tylko o własnem wyniesieniu się myślisz!

MAURYCY (*oburzony*). — Ja!

DOBROGOJSKI (*ironiczny*). — Żeś wszelkich środków użyć gotów... a przeszkadzasz tym, co powszechnemu dobru służą.

MAURYCY Ja! A Bronikowski?

DOBROGOJSKI Nie mogłem się do niego dopchać.

MAURYCY (*do Tekli niecierpliwie*). — Widzisz, że nie mam chwili czasu!

TEKLA (*ciszej i głębiej*). — Przeciw panu kabała! Niech pan się strzeże! Tam, na sali... (*urwała*).



MAURYCY (*niecierpliwie*). — Co na sali?

TEKLA (*j. w.*). — Książę Lubecki ma swoich ludzi!

MAURYCY (*żywo*). — Kto? (*odsunął się na przód sceny, Tekla idzie za nim*).

TEKLA Książę Lubecki.

MAURYCY (*j. w.*). — Skąd wiesz o tem? Kto jesteś?

TEKLA (*gorąco*). — Niech pan nie występuje przeciw Chłopickiemu! Oni na to tylko czyhają, by obrócić umysły przeciw panu. Słusznie, czy nie-słusznie, naród w Chłopickim pokłada nadzieję...

MAURYCY (*porywczo*). Niestusznie!

TEKLA Może... ale pan będzie miał większość przeciw sobie.

MAURYCY Chłopicki chce zdusić powstanie, wierzy tylko w swoich wymustrowanych żołnierzy! Naród? (*kładzie rękę na ramieniu Tekli*). Naród zasnął w niewoli, myśmy dopiero szarpnęli jego sumieniem. Naród to jeszcze masa bezwładna, którą trzeba uświadomić, pchnąć, a potem silną ręką ująć i prowadzić! (*zmiana tonu*). Skąd masz te wiadomości?

TEKLA (*spojrzała mu w oczy*). — Tylko tyle mogę powiedzieć, że są prawdziwe.

MAURYCY (*zwraca się do obecnych, którzy opodal żywo między sobą rozmawiają*). — Ten chłopak powiada, że to Lubecki uknuł intrygę. Swoich ludzi na salę przysłał!

(*żywe poruszenie, wszyscy zbliżają się*).

NABIELAK (*porywczo*). — Nie ważyłby się!

BAZYLI — KAMIL Lubecki?

<http://rcin.org.pl>

MAURYCY (*do Nabelaka*). — Dlaczego nie? Lubecki jest równie przebiegły, jak śmiały. (*z widoczną ulgą*). Ten chłopiec mówi prawdę! Teraz rozumiem nagłą zmianę! Ten chłód! Obce elementy wślizgnęły się, jak gady! (*unosi się*). Zdrada? Tak jest, zdrada! To oni, podszczuwacze, stroiciele kabał, — zdrajcy!

DOBROGOJSKI Nie można przykładać wiary do tego, co mówi pierwszy lepszy młodzieniaszek z ulicy! (*do Tekli surowy*). Kto waść jesteś?

TEKLA Cóż panu z tego przyjdzie, jeśli wymienię nieznanym nazwisko?

MAURYCY (*zajęty swojemi myślami*).—Bronikowski przemówi do rozumu... przekona ich, iż rządowi nie można ufać. A potem ja odsłonię zamysły Lubeckiego. Chciał mię kupić? Nie powiodło się. Chciał skompromitować? Zapraszał do Rady? Ja odrazu wytknąłem mu fałsz, zdarłem maskę. Więc teraz przenosi walkę tu! Chce mię obalić w klubie, wśród mpich najbliższych, wśród przysiężonych! Szatański pomysł, mości książę! Całkiem szatański! Ale Mochnacki czuwa! Lud będzie ufał Mochnackiemu, nie Lubeckiemu!

DUNIN (*uniósł się*).—Pozwól sobie powiedzieć: anio Lubeckiego chodzi, anio Mochnackiego, lecz o Polskę!

MAURYCY (*spojrzał nań nieufnie*). — Chodzi o rewolucję, bo dziś Polska i rewolucja, to jedno. Kto wrogiem rewolucji, ten wrogiem Polski, Polskę chce carowi rzucić pod nogi. A kto uosabia rewolucję? My! (*do Tekli, zmiana tonu*). — Dobrześ się zasłużył, chłopcze. Jak się nazywasz?

TEKLA (*zawahała się*). — Plater.

MAURYCY Z Litwy?

TEKLA Tak.

NABIELAK (*spojrzał uważnie na Teklę*). — On całym patrzy na dziewczynę. Dajcie no światła! (*wszyscy spoglądają baczniej na Teklę, nikt jednak nie kwapi się iść po świecę*).

TEKLA (*żywo*). — Pan się też zawziął na mnie!

NABIELAK (*uśmiecha się*). — Dlaczego też?

TEKLA (*wskazuje na Dobrogojskiego*). — Tak samo, jak tamten.

DOBROGOJSKI (*dotknięty*). — Jaki tamten? Chcesz, żebym cię nauczył szacunku?

TEKLA (*agresywna*). — Zabraniam panu mówić do mnie tym tonem!

DOBROGOJSKI (*postąpił ku niej, groźnie*). — On mi zabrania! Nadto zuchwały jesteś na swój wiek, smarkaczu!

MAURYCY (*powstrzymuje Dobrogojskiego*). — Daj mu spokój. (*do Tekli*). — Gdzie się dowiedziałeś o tej kabale?

TEKLA (*zła*). — To moja rzecz.

(*Dobrogojski i Nabelak stanęli obok niej z groźnymi minami*).

DOBROGOJSKI Gadaj zaraz!

NABIELAK W tem jest coś podejrzanego! (*do Tekli*). Gdzie mieszkasz?

TEKLA (*j. w.*). — To panu niepotrzebne. Odwiedzin nie przyjmuję.

NABIELAK (*rozgniewany*). — Jesteś nadto zuchwały!  
(*Na sali zrywają się burzliwe oklaski i okrzyki. Dunin, który od paru chwil stoi przy drzwiach i nasłuchuje, uchylił ostrożnie drzwi*).

DUNIN Bronikowski wszedł na stół!  
(*zamyka drzwi*).

BAZYLI (*żywo*). — Trzeba iść na salę.

KAMIL Prędko! Idziemy!  
(*Bazyli i Kamil spieszą do drzwi w głębi*).

MAURYCY Idźcie! Ja wejdę w ostatniej chwili, kiedy będzie kończył. (*do Dunina*). Dasz mi znać!

DUNIN Dobrze!  
(*Bazyli, Dunin i Kamil wychodzą drzwiami w głąb. Gdy na moment otwierają drzwi, widać na stole Bronikowskiego, który gestem uspakaja gwar w sali, dzwoni i zaczyna mówić*).

MAURYCY (*do Tekli*). — My tu zaczekamy! A gdy na mnie przyjdzie kolej, wezmę cię za rękę (*bierze Teklę za ramię*) i razem wejdziemy na salę. Zdemaskujemy intrygę. Powiem im: — Przyjaciele! Wśród was wślizgnęli się instygatorzy Lubeckiego! Lubeccki nasłał tu swoich zauszników, którzy niezgodę i wzajemną nieufność wśród nas mają niecić! (*skazuje oratorskim gestem Teklę, nie puszczając jej ramienia*). Spójrzycie na to młodzieńcze oblicze! Jeszcze kłamać nie umie. Ten chłopiec przynosi dowody kabały. (*mocniej*). Pozwolicie-ż, aby czystą atmosferę naszego klubu zatruwali predańcy?

NABIELAK — DOBROGOJSKI (*porwani*). Zdrada!

MAURYCY (*zadowolony, że ich porwał*). — Ja wiem, jak zniewolić serca i umysły! (*do Tekli, puszcza-  
jąc jej ramię*). Obaczysz, jak w jednej chwili od-  
mieni się usposobienie. Wysypimy się na ulicę.  
Lud połączy się z nami, tłumy coraz większe!..  
Na bank! Wywrócimy niegodziwe machinacje, ni-  
czem domek z kart! (*do Nabelaka i Dobrogojskie-  
go*). Władza leży na bruku, tylko się po nią schy-  
lić! Ja wam mówię: Władza leży na bruku! (*zwraca  
się do Nabelaka*). — Bronikowski jeszcze  
mówi?

NABELAK (*nadśłuchuje*). — Tak!

MAURYCY (*podniecony*). — To dobrze! Słuchają go.  
Zaczekamy!

TEKLA (*ogarnięta coraz większym przerażeniem*).—  
Proszę pana! ja tam nie pójdę! Ja muszę wracać  
do domu.

MAURYCY (*zdziwiony*). — Jakto, nie pójdziesz? Co  
to ma znaczyć?

TEKLA Nie mogę. (*do Latarnika, który stoi wciąż,  
nieruchomy i milczący przy drzwiach z lewej stro-  
ny*). — Idziemy!

(*chce iść, Nabelak i Dobrogojski zastępują jej drogę.*

*Ona usiłuje się przedrzeć*).

DOBROGOJSKI (*groźnie*). — Stać!

NABELAK (*tak samo*). — Ani kroku!

(*Latarnik zbliżył się parę kroków, zaniepokojony*).  
(*Tekla stanęła bezradna, nie wiedząc, co dalej czynić*).  
Czorba, który wciąż słuchał pilnie, lecz z łotela się nie  
ruszał, tylko parę razy niespokojnie odwracał głowę,



wstał teraz, odwrócony do Mochneckiego, widocznie gotowy w każdej chwili skoczyć Tekli na pomoc. W zamieszaniu, jakie się uczyniło, nikt go nie spostrzega).

MAURYCY (do Tekli żywiej, z odcieniem żalu). —

Przyszedłeś, żeby mi wyświadczyć przysługę. Jesteś za rewolucją?

TEKLA (szczerze). — Całą duszą!

MAURYCY I odmawiasz zdemaskowania tego, który jest jej największym wrogiem? Lubecki z carem paktuje, codzień raporty do Petersburga wysyła, o wszystkim donosi. Lubecki zdradza sprawę narodową.

TEKLA (gorąco). — Książę Lubecki nie jest zdrajcą, tylko pomyślność narodu widzi inaczej!

MAURYCY (nagła nieufność i zdumienie — wpatruje się w nią uważnie). — Książę Lubecki? Patrijotą? I ja tobie mam wierzyć?

NABIELAK (porywczo). — Zrzuć tę opończę! (chce zedrzeć z niej płaszcz — ona opiera się).

GRZEGORZ (podchodzi żywo, spokojnie). — Przepraszam panów!

MAURYCY (który go wcale nie zauważył, zaskoczony). — To znów kto? Czego chcecie?

GRZEGORZ (spokojnym, mocnym tonem.) — Ten młody panicz mnie został powierzony.

MAURYCY Przez kogo?

GRZEGORZ (zmieształ się cokolwiek, spojrztał na Teklę, jakgdyby szukał rady). — To nie moja rzecz! Nie wiem.

DOBROGOJSKI (groźnie). — Nie wiesz? Z nieba spadł? Duch Święty?

- GRZEGORZ (*z godnością*). — Ja nie pytam o nazwiska tych, co mi dają polecenie.
- NABIELAK Zatem nie znasz tego, kto ci tego młodzika dał w opiekę?
- GRZEGORZ (*zmieszany*). — Owszem... ale...
- DOBROGOJSKI (*przerywa porywczo*). — Znasz go! Gdzie twój postój? (*Latarnik nie rozumiał*).  
Gdzie wystajesz ze swoją latarką?
- GRZEGORZ (*j. w.*). — I tu i tam... Gdzie się zdarzy.
- NABIELAK (*podszedł do niego, groźnie*). — Słuchaj, bracie, ty nas z cierpliwości nie wyprowadzaj!
- GRZEGORZ (*obruszony tykaniem i tonem, którym do niego przemawiają, z godnością*). — Panie! Pod Saragossą, albo na drodze z Moskwy, trzeba było większej cierpliwości! I Pan Bóg udzielił!
- MAURYCY (*łagodniej*). — Jesteście legionistą?
- GRZEGORZ (*wyprostował się*). — Tak! W piętnastu bitwach... cztery rany... i ta ręka.. nad Berezyną! (*potrząsnął pustym rękawem*).
- MAURYCY (*j. w.*). — Odpowiedzcie tylko na jedno pytanie: gdzieście spotkali tego chłopca?
- GRZEGORZ (*zawahał się*). — Przed bankiem!
- DOBROGOJSKI — NABIELAK (*poruszeni*). Przed bankiem?
- DOBROGOJSKI (*wyciągnął rękę do Tekli*). — To emisariusz Lubeckiego!
- NABIELAK Zdrada!
- MAURYCY (*patrzy zbliżona w oczy Tekli*). — To dziewczyna! Dajcie światła.  
(*Nabielak biegnie do stołu po świecę, tu się napotyka na Czorbę*).

CZORBA (*zastąpił mu drogę*). — Nie wstyd panu pa-  
stwić się nad dzieckiem?

MAURYCY — DOBROGOJSKI (*odwrócili się zdumieni*). — Co?

(*z drzwi w głębi wypadają Kamil i Dunin, bardzo podnieceni. Słychać gwar na sali, okrzyki*).

BRONIKOWSKI (*na stole*). — Dość niezgody, obywatela, nie trzeba nam waśni i niesnasek! Podejrzliwość niech ustąpi miejsca wzajemnej ufności. W rządzie zasiadają ludzie nieposzlakowanej uczciwości, wypróbowanego patriotyzmu.... (*okrzyki: Tak! Tak! Niech żyje rząd!*).

KAMIL (*równocześnie*). — Maurycy! Na salę!

DUNIN Bronikowski broni rządu!

MAURYCY (*w najwyższym uniesieniu*). Bronikowski przeciw nam? To niemożliwe! (*biegnie w głąb na salę*). Nie do wiary!

(*wybiega z nim Kamil, Dunin, Nabelak i Dobrogojski*).

#### SCENA 4.

TEKLA — LATARNIK — CZORBA

CZORBA (*pouszedł szybko do Tekli, twardym głosem*). — Niech pani uchodzi! Tu nie miejsce dla kobiet!

TEKLA (*zdumiona*). — Pan tu był? Przez cały czas?  
(*na sali krzyki i wrzawa*).

CZORBA (*j. w.*). Tak. Pani się w nim kocha?

TEKLA (*nie zrozumiała*). — W kim?

CZORBA (*j. w.*). — Tylko miłość mogła panią pchnąć do takiego szaleństwa! (*do Latarnika*). Dajcie mi rękę!

(*Latarnik, nie rozumiejąc, o co chodzi, wyciąga jedyną swą rękę, w której trzyma kij z latarką. Czorba wziął kij, uściśnął mocno jego dłoń.*)

— Prawy z was żołnierz!

(*oddaje kij z latarką.*)

GRZEGORZ (*z godnością*). — Dziękuję panu!

(*na sali wrzawa coraz ostrzejsza. Okrzyki: Precz! Precz!*).

CZORBA Niech pani idzie! Prędko!

TEKLA A pan?

CZORBA Ja muszę zostać.

TEKLA (*z utajoną radością*). — Pan nie wszedł wcale na salę?

CZORBA Nie. (*do Latarnika*). Odprowadźcie panią!

LATARNIK (*zdumiony, spojrzął na Teklę*). — Panią?

CZORBA Jestem spokojny, że wam można zaufać! (*wśród wzmagającej się na sali wrzawy słyhać głos Maurycego, który usiłuje zapanować nad zgiełkiem.*)

MAURYCZY (*na sali*). — Mam prawo żądać, byście mię wysłuchali! Sądzić będziecie później!

(*Głosy przyjaciół Maurycego: Cicho! Cicho!*).

(*Głosy przeciwnie: Precz! Precz!*).

(*Tekla, głęboko wzruszona, odwróciła się ku drzwiom, Czorba patrzy na nią ponuro.*)

DUNIN (*na sali*). — Mochnacki mówi! Cicho! Mochnacki mówi!

MAURYCY (*na sali*). — Czy chcecie, aby przelana krew na marne poszła? Rząd zdradza rewolucję! Czy chcecie wrócić do jarzma niewoli?

(*Okrzyki coraz gwałtowniejsze: Precz! Precz! Ściągnąć go ze stołu! Niech przepadną zapaleńcy! Szczękanie broni*).

CZORBA (*twardo do Tekli*). — Już mu pani nie pomoże! Dziś przegrał! A jutro? Nikt z nas nie wie, co będzie jutro! (*do Latarnika*). Idźcie! (*do Tekli, goręcej*). Za chwilę może być za późno! (*popycha ich ku drzwiom na lewo*).

LATARNIK (*do Tekli*). — Proszę!  
(*Tekla spojrzała bezradnie na drzwi w głębi, potem skinęła lekko głową Czorbie i wybiega na lewo, za nią Latarnik*).

## SCENA 5.

CZORBA — MAURYCY — KAMIL — BAZYLI  
DUNIN — DOBROGOJSKI — NABIELAK  
KLUBIŚCI

(*Czorba stoi posępny, z głową pochyloną, zwrócony do drzwi, które wyszła Tekla. Na sali wrzawa zamienia się w burzę. Szczękanie broni, uderzenia stołków, odgłosy bijatyki. Nagle drzwi w głębi rozwierają się gwałtownie, wypada Mochnacki, błądy, źrenice rozszerzone, ubranie w nieładzie. Za nim biegną Kamil, Bazyli i Dunin. W drzwiach stoją Nabelak i Dobrogojski, — i wraz z kilkoma przyjaciółmi usiłują powstrzymać tłum napierających klubistów*).

DUNIN (*do Maurycego*) — Uciekaj!

NABIELAK — DOBROGOJSKI (*do nacierających klubistów*). — Panowie! Wstyd! Wstyd!

<http://rcin.org.pl>



(*Krzyki: Zdrajca! Śmierć zdrajcy! Rozsiekać go! Zginiesz! Zginiesz!*).

MAURYCY (*w uniesieniu rozpaczy do Bazylego i Kamila*). Niech mi tylko dadzą mówić! Niech pozwolą mówić! (*Czorba usunął się na lewo*).

KAMIL (*wzruszony*). Dziś daremnie! Uciekaj!

MAURYCY (*drży ze wzruszenia*). — Nie... Nie!.. Ja muszę im powiedzieć! (*Zwraca się do drzwi w głębi, krzyczy*). To zdrada! Przyjaciele! Padliście ofiarą zdrady! Haniebnej zdrady!

(*Okrzyki: Tyś zdrajca! Zginiesz! Zginiesz! Niech żyje Chłopicki! Niech żyje Chłopicki!*).

BAZYLI (*ciągnie za ramię Maurycego*). — Chodź! Dziś ich nie przekonasz! Idziemy!

NABIELAK (*uginą się pod naporem, do Dunina*). — Zagaście światło!

DOBROGOJSKI I PARU INNYCH Gasić światło! (*Kamil i Dunin szybko wywracają lichtarze, butelki, gaszą świece; na scenie robi się mrok, ze smugą wąskiego światła przez drzwi w głębi*).

GŁOSY NAPIERAJĄCYCH Precz z terorem! Robespier! Dajcie go tu! Rozsiekać! Zginiesz!

GŁOS CIENKI, przeraźliwy. Mochnacki! Na latarnię!

BAZYLI (*szarpie Maurycego, który wydaje się na pół przytomny*). Maurycy! Błagam cię!

DUNIN Uciekaj!

(*Tłum napierających odepchnął Nabelaka i Dobrogojskiego, wpada kilkunastu różnych klubistów, oficerowie z obnażonymi szablami, cywilni z pistoletami w rękach*).

GŁOSY Gdzie Mochnacki? Gdzie zdrajca? Bić! Bić zdrajcę! Rozsiekać! Na szable go!

NABIELAK — DOBROGOJSKI Wstyd! Panowie! Wstyd!

PARĘ GŁOSÓW Jest! Jest!

*(kilku klubistów biegnie w stronę Maurycego, który wraz z ciągnącym go Bazylim stoi opodal drzwi z lewej strony).*

CZORBA *(osłania go)*. — Tam, panowie! *(wskazuje okno)*. Tam, przy oknie.

*(Klubiści biegną w tamtą stronę).*

CZORBA *(do Maurycego)*. — Uchodź pan!

*(Maurycy, bardzo wzburzony, wybiega, za nim Bazyl i Kamil).*

GŁOSY KLUBISTÓW Gdzie zdrajca? Gdzie Mochnacki? Bić! Bić!

Z a s ł o n a s p a d a .

## O B R A Z V.

Mieszkanie Mochnackich przy ulicy Długiej, obok kościoła Paulinów. Salon burżuazyjny, meble jesionowe, stare obrazy i sztychy, fortepian. Okno w głębi. Dwoje drzwi z prawej strony i jedno z lewej. Przed odsłonięciem kurtyny słychać dźwięki koncertu Szopena.

### SCENA 1.

#### PANI MOCHNACKA — OLIMPJA

*(Wieczór. Olejne lampy w abażurach zapalone. Olimpja siedzi przy fortepianie i gra koncert Szopena. Pani Mochnacka, wglębiona w fotelu, trzyma w rękę książkę, której zresztą nie czyta.)*

P. MOCHNACKA *(po dłuższej pauzie)*. — Kolacja będzie na nic. Maurycy znowu wróci przemęczony, zdenerwowany... *(Olimpja zdaje się nie słuchać, gra)*. Ojciec też obiecał przyjść wcześniej...

OLIMPJA *(nie przestając grać)*. — Ojciec czeka pewno na Maurycego.

*(P. Mochnacka wstała i poszła do okien)*.

P. MOCHNACKA Jaki wicher! *(wzdrygnęła się)*. Zimno! *(spojrzała znów w szyby)*. U pana Lelewe-la świeci się.

- OLIMPJA (*zdziwiona, przerwała grę*). Jest w domu?
- P. MOCHNACKA (*dotknięta*). Nie rozumiem! (*wraca na swój fotel*). — Byłam pewna, że jest też na zebraniu. Jako prezes, powinien być... Wszystko tak dziwnie... (*zmiana tonu*). Czy wiesz, ile dziś żądają za świeże masło? (*Olimpja skinęła głową*). Prawda, mówiłam ci... Kto będzie w stanie to wytrzymać? Powiadają, że cukru i mąki całkiem zabraknie...
- OLIMPJA (*obojętnie*). — To się obejdziemy (*zaczyna grać nanowo*).
- P. MOCHNACKA (*kiwa głową*). — Tak się mówi... A gdy niema, wszyscy narzekają, niezadowoleni... (*przerwała, nasłuchuje*). — Co to?
- OLIMPJA (*gra*). — Wicher!
- P. MOCHNACKA (*podniosła się nagle z fotela, biegnie do okien*). — Nie... Nie! Jakby dalekie krzyki! Nie słyszysz?
- OLIMPJA (*wstała od fortepianu, idzie, nie spiesząc się, do okien*). — Tak... to na placu... przed teatrem...  
(*Obie panie przywarły się do szyb*).
- P. MOCHNACKA (*podniecona*). — Napewno okrzykują Maurycego! Tak, jak wczoraj, kiedy go na rękach nieśli! (*słucha*). Może mi się zdaje, ale ja słyszę: Mochnacki!
- OLIMPJA To wiatr!
- P. MOCHNACKA Może!... Żeby tylko pozwolili mi wrócić na kolację! (*słucha*). Znowu!
- OLIMPJA (*słucha*). — Tak!

P. MOCHNACKA Jaki tam musi być entuzjazm!  
*(patrzy w okno)*. Ludzie biegną...

OLIMPJA Pan Leleweł stoi w oknie...

P. MOCHNACKA Tak... Ja mam czasem wrażenie,  
że on jest o Maurycego zazdrosny... Oddział woj-  
ska!

OLIMPJA *(przywarta do szyby)*. — Nie... to akademi-  
cy Szyrmy!

P. MOCHNACKA Pociemku trudno rozpoznać...  
Znowu biegną... teraz w tę stronę...

*(pauza)*.

*(słychać przytłumione dalekie krzyki... jakby echa  
wzburzonych fal morskich)*.

— Przeczucie mi mówi, że dziś, jutro Maurycy  
weźmie wszystko w ręce... Zobaczysz! On jeden  
wie, czego chce!

OLIMPJA *(wraca do fortepianu)*.—Głowa mnie boli...  
*(siada i zaczyna grać, P. Mochnacka została przy oknie)*

P. MOCHNACKA *(nagle)*. — Ktoś idzie!

*(biegnie do przedpokoju na lewo)*.)

## SCENA 2.

MAURYCY — BAZYLI — KAMIL

*(P. Mochnacka wybiegła z saloniku. Olimpja gra dalej. Po chwili  
w przedpokoju słychać głosy i hałas wchodzących śpiesznie męż-  
czyzn. Jeszcze chwila i na scenę wchodzi szybko Bazyl i Kamil,  
za nimi Maurycy i p. Mochnacka. Olimpja przestaje grać, wstaje  
od fortepianu)*.

P. MOCHNACKA *(do Maurycego)*. — Zgrzany, spo-  
cony! *(do Bazylego z wymówką)*. Dlaczego tak pę-  
dziliście? Widziałyśmy przez okno... Czy to ma



sens? *(do Kamila)*. Ty także jesteś zdyszany! *(nagle ujrzała bladość i posepny wyraz twarzy Maurycego, przerażona, żywo)*. — Co ci jest? Tyś chory?

MAURYCY Nie... nic mi nie jest... *(niecierpliwie)*.  
Nic!

BAZYLI *(ciszej)*. — Daj mu spokój!  
*(Olimpja w milczeniu i uważnie przypatruje się Maurycemu i Kamilowi)*.

P. MOCHNACKA *(nie zważa)*. — Co się stało? *(spogląda na Maurycego z niepokojem)*.

BAZYLI *(odciąga ją, ciszej)*. — Nie drażnij go... jest bardzo rozstrojony...

P. MOCHNACKA *(odgadła, że coś się stało, o czym nie chcą narazie mówić)*. — Kolacja gotowa...

MAURYCY *(niecierpliwie)*. — Ja nie będę jadł! Nie jestem głodny!

KAMIL *(widzi niepokój matki, milczące pytania w oczach Olimpji)*. — Lubecki nasłał swoich ludzi na salę... Zrobili burdę! Chcieli napaść na Maurycego...

P. MOCHNACKA *(w uniesieniu)*. — Łotry!

KAMIL *(z goryczą)*. — W klubie! Wśród swoich!...

P. MOCHNACKA *(j. w.)*. Łotry! *(do Bazylego i Kamila)*. — Przejdźcie do stołowego... *(do Olimpji)*.  
Każ dawać...

BAZYLI *(do Kamila, — zrozumiał, że żona chce zostać z Maurycem)*. — Chodź!

OLIMPJA *(do Maurycego)*. — Ty nie pójdziesz?

MAURYCY (*niecierpliwie*). — Nie.

P. MOCHNACKA (*popycha Bazylego i Kamila*). Idźcie!

(*Bazyli, Kamil i Olimpja wychodzą w pierwsze drzwi na prawo, Maurycy chce iść w drugie drzwi na prawo*).

P. MOCHNACKA (*zatrzymuje go, tkliwie*). — Zostań!

### SCENA 3.

MAURYCY — P. MOCHNACKA

P. MOCHNACKA Usiądź... (*prowadzi go do kanapy, sadza, usiadła przy nim*). Opowiedz, jak było... (*odgarnia mu zwichrzone włosy*). Włosy ci się rozleciały... (*całuje go w czoło, nagle zaniepokojona*). — Nie masz gorączki?

MAURYCY Nie wiem... (*wybuch*). — Wypędzili mnie, nie dali mówić! Opluli wyzwiskami, grozili śmiercią...

P. MOCHNACKA (*przerazona*). — Po tem, co wczoraj, jeszcze dziś rano!... Co się stało!?

MAURYCY (*w gorzkim podnieceniu*). — Wczoraj — a dziś! — Niebo i Piekło! Teraz wszyscy za Chłopiczkiem! W Chłopiczkiem widzą jedyny ratunek, zbawienie... Nie rozumieją, że Chłopiczki, to narzędzie w ręku Lubeckiego, to kapitulacja!

P. MOCHNACKA A twoi przyjaciele?

MAURYCY Bronikowski zdradził! Poprosto... przeszedł na tamtą stronę. Przekabacili go! Kto? Nie wiem. Dunin, Nabelak, Dobrogojski? Cóż oni mogą? Przyjaciele są zawsze najpohopniejsi do kry-

tyki i do wątpliwości. Gdy u steru książe, generałowie... to wydaje się im naturalne... Mają respekt! Ale żeby po władzę sięgał ich codzienny towarzysz, zwykły literat?... Nie! (*ciszej*). Emisarjusze Lubeckiego podburzyli salę. Pięście... szable! (*z goryczą*). Cenzor moskiewski! Zdrajca!

P. MOCHNACKA Niegodziwcy! Iluż innych przed tobą i po tobie zachwiało się gorzej! Tyś miał dwadzieścia lat!

MAURYCY Oni mi tego nigdy nie darują! Nigdy! Choćbym całe życie ojczyźnie poświęcił... wszystkie myśli, wszystkie pragnienia... wysiłki... Nigdy! Przyjdzie moment: wypomną! Bluzną w twarz!

P. MOCHNACKA A Lelewel? Dlaczego został w domu?

MAURYCY (*z goryczą*). — On umie przeczuć burzę, jak kania! Wolał być zdaleka. Na niego liczyć? Dziś tu, jutro tam! Na jezuitów wymyśla, a Czartoryskiemu koronę gotów kłaść na głowę! P o w i n i e n był przyjść! Ale ja już po południu czułem, że kręci... że nie ma chęci narażać swojej popularności... Tak!.. Wczoraj jeszcze sny o potędze! Pamiętasz, coś mówiła? A dziś!...

P. MOCHNACKA Tylko słaby uznaje się za pobitego. Dziś podstawili ci nogę, jutro ten sam tłum będzie cię niósł na rękach! A Czartoryscy i Lubeccy znów będą drżeli ze strachu!

MAURYCY Wszystko Lubecki! Jego ręka snuje pajęczą sieć... (*zmiana tonu*). Ja — zdrajcą?... Mnie śmia to rzucić w oczy, publicznie! I cała sala

krzyczy!... *(z tłumionem łkaniem)*. Jeszcze nigdy tak nie pragnałem śmierci!

P. MOCHNACKA Maurycy!

MAURYCY Szary mundur żołnierski, zginać od kuli wroga! Niczego więcej nie pragnę! Może w przyszłej odmianie Bóg będzie dla mnie łaskawszy!

P. MOCHNACKA Wstydz się! Chciałbyś umrzeć, gdy tylko ty... ty jeden widzisz jasno... gdy ty właśnie jesteś najpotrzebniejszy!

MAURYCY Ale dokoła ślepi i głusi! Nikt nie chce widzieć ani słyszeć!

*(z prawej strony przechodzi Olimpja na lewo)*.

#### SCENA 4.

CIŻ — OLIMPJA.

P. MOCHNACKA *(z odcieniem niezadowolenia)*. — Dokąd idziesz?

OLIMPJA Ktoś dzwonił do drzwi...

MAURYCY *(żywo)*. — Ja nie chcę widzieć nikogo! Nikogo!

P. MOCHNACKA *(wstała)*. Trzeba zobaczyć!

OLIMPJA *(zajrzała do drzwi na lewo)*. — Pan Lelewel...

*(Maurycy i p. Mochnacka zamienili szybkie, porozumiewawcze spojrzenie)*.

P. MOCHNACKA *(do Olimpji)*. — Proś... *(do Maurycego)*. Musisz z nim pomówić... *(czule)*. Popraw krawat i przyczesz się... *(Maurycy wychodzi śpiesznie w drugie drzwi na prawo)*.

## SCENA 5.

P. MOCHNACKA — OLIMPJA — LELEWEL —  
TEKLA — BAZYLI — KAMIL.

OLIMPJA (*za sceną*). — Niech profesor zdejmie płaszcz... Pani pozwoli...

P. MOCHNACKA (*zdumiona*). — Pani? (*idzie ku drzwiom na lewo*).

*Wchodzi Tekla w futrze, narzuconym na strojnieszą, ciemną suknię. Za nią Lelewel i Olimpja.*

LELEWEL Dobry wieczór pani! (*całuje p. Mochnacką w rękę, prezentuje Teklę*). Hrabianka Plate-równa, kuzynka ks. Lubeckiego... (*P. Mochnacka, zaskoczona, wyciąga do Tekli rękę, Tekla składa ukłon, pełen szacunku*). Przyjechała, żeby mię zabrać na posiedzenie do Banku... A ja przedtem chciałem zobaczyć Maurycego!

P. MOCHNACKA (*ceremonjalna*). — Bardzo mi mi-ło poznać panią!

(*wchodzą Bazyl i Kamil, witają się z Lelewelem: Dobry wieczór! Dobry wieczór!*).

P. MOCHNACKA (*prezentuje ich Tekli*). — Mój mąż... mój syn Kamil... hrabianka Plater!

LELEWEL Maurycego niema?

OLIMPJA Jest.

P. MOCHNACKA (*nieomal równocześnie*). — Zaraz będzie!

LELEWEL (*do Bazylego i Kamila, kiwa smutnie głową*). — Co za awantura!

KAMIL Głupota!

BAZYLI Nikczemność!



P. MOCHNACKA (*do Tekli*). — Pani nie bała się...  
tak późno! Miasto niespokojne!

TEKLA (*uśmiecha się*). — Ja nie jestem trwożliwa.  
Dla mnie Warszawa dopiero teraz żyje!

LELEWEL (*z lekkim uśmiechem do p. Mochnackiej*).  
— Hrabianka jest, jak Salamandra, najlepiej czuje się w ogniu!

TEKLA (*śmieje się*). — Ładnie mię profesor rekomenduje! Jak tu ciepło!

P. MOCHNACKA (*życzliwiej*). — Może pani zdejmie futro?

TEKLA (*skwapliwie*). — Owszem!

OLIMPJA Niech pani pozwoli do mnie.

(*Tekla i Olimpia wychodzą na prawo*).

#### SCENA 6.

P. MOCHNACKA — LELEWEL — BAZYLI —  
KAMIL.

P. MOCHNACKA (*półgłosem do Lelewela, kiedy Tekla wychodzi. Odcień zdziwienia*). — Kuzynka Lubeckiego?

LELEWEL (*dobrodusznie*). — Tak... ale całkiem innych poglądów. Admiruje Maurycego.

P. MOCHNACKA (*j. w.*). — Maurycego?

BAZYLI (*ironiczny*). — Tegoby się nikt nie domyślił!

LELEWEL Ogromne majątki ma na Litwie... na Inflantach... Znam ją z Wilna. Zaczna, gorąca dusza! (*zwraca się do Bazylego i Kamila, załamując ręce, kiwa smutnie głową*). — Jak wyście mogli dopuścić!

BAZYLI (*gorzko*). — Instygatorstwo górą !  
KAMIL Niema już Towarzystwa Patrjotycznego! Za-  
przepaściło się dzisiaj — w hańbie!  
(*z prawej strony wchodzi szybko Maurycy*).

## SCENA 7.

CIŻ — MAURYCY.

LELEWEL (*sposzrzegł go w drzwiach*). — Jest!  
MAURYCY (*zatrzymał się o parę kroków, wzburzo-  
ny*). — Nie przyszedł pan na zebranie? Rozmyśl-  
nie?

LELEWEL (*poruszony żywo*). — Jak to rozumiesz?

MAURYCY Nie wiedział pan, co się szykuje?

LELEWEL (*oburzony*). — Jesteś chyba nieprzy-  
tomny!

MAURYCY Przeciwnie! Ja widzę coraz przejrzys-  
ciej! (*gwałtownie*). Do zguby idziemy! Prosto do  
zguby! Jedni pchają świadomie, inni pomagają  
przez ślepotę!

LELEWEL (*j. w.*). O mnie myślisz?

MAURYCY (*brutalnie*). — Czy pan im nie pomaga,  
swoim autorytetem? Przyszedł czas, że trzeba  
grać w otwarte karty. Z kim pan trzymasz? Z na-  
mi, czy z nimi?

LELEWEL (*głęboko*). — Z Polską!  
(*P. Mochnacka usiadła w fotelu, mężczyźni rozma-  
wiają stojąc*).

MAURYCY (*unoszą się*). — Są dwie Polski! Ta, co  
chce być wolną, i ta, co czuje się dobrze w jarz-  
mie! Ta właśnie, którą raz już zdali w niewolę je-

zuici i magnaci, sam pan to powiedział! (*mocniej, prawie z krzykiem*). I teraz ma być to samo? Na nic poryw młodzieży? Na nic krew przelana?

LELEWEL (*do głębi wzruszony i wzburzony, chwycił Maurycego za bary, szarpnął nim w uniesieniu*). — Mnie to mówisz? Mnie podejrzewasz? A moje całe życie? Też nic? Kto tę młodzież przygotował? Kto uczył? W Krzemieńcu, w Wilnie, tutaj? Czy folgowałem sobie kiedy w pracy, w niedostatku? (*puścił go z goryczą*). Tak! Chciałbym wszystkich razem sprząć! Bo myśmy słabi, bo nas garść zaledwie! A tamci mają wpływy, majątki, posłuch w narodzie! Ja z nimi? A któż to mnie ogłasza krwiożercą, rzezimieszkiem, mordercą, instygatorem! Nie zwracam uwagi na oszczerców! W Polsce nikogo potwarz nie chybi. Czy ominęła Kościuszkę, Dąbrowskiego? Trucizna niewoli! Nie będę się z ludźmi rachował, tylko z Bogiem i z własnym sumieniem! (*z głębokim żalem do Maurycego*). — A tobie tych słów nie zapomnę nigdy!

MAURYCY (*unoszący się*). — Mnie zdrajcą okrzyczeli, z sali jak złoczyńcę wygnali! Zbiry Lubeckiego! Ci, co nowej Polski boją się gorzej, niż Moskala!

BAZYLI—KAMIL Wstyd!

LELEWEL Skąd wiesz, że to Lubecki?

MAURYCY Jego ludzie byli na sali. Kamil widział.

KAMIL (*przytwierdza*). — Tak.

BAZYLI I ja! Tański komenderował.

MAURYCY Jakiś chłopak przyszedł mnie uprzedzić. Chłopak, czy przebrana dziewczyna... Może też był nasłany! Wszędzie intryga i zdrada! Dziś mnie chcą zgubić, jutro pana!

P. MOCHNACKA (z goryczą). — Tylko złość, złość, złość!

LELEWEL (*usiadł obok niej, posepny*). — Oni też chcieliby dobrze!...

MAURYCY (*gwaltownie*). — Pan ich bronisz!

LELEWEL (*patrzy mu w oczy*). — U nas każdy pragnie Polski, ale swojej, według własnej myśli (*machnął ręką w stronę okien*), czasem i według własnych korzyści... Ty nie chcesz pojąć mojego planu: zrewolucjonizować rząd, a potem zalegalizować rewolucję!... (*pauza*). Nie trzeba było tykać Chłopickiego! To był błąd!

MAURYCY (*dumnie*). — Nie wstydzę się go. Czy pan nie jest mego zdania.

LELEWEL Tłumowi nie zawsze można mówić wszystko, co się myśli... Z prawdą trzeba, jak z lekarstwem... w opłatku! (*zmiana tonu*). A ten wysłaniec był od kogo?

MAURYCY Jakoby we własnym imieniu.

LELEWEL Może też instygator?

MAURYCY Może!

BAZYLI Komu ufać? Niech pan powie: komu dziś ufać?

MAURYCY (*ponuro*). — Nikomu! (*spojrzał w drzwi na prawo, zaskoczony*). — Co to?  
(*wchodzą Olimpia i Tekla już bez futra*).

## SCENA 8.

CIŻ — TEKLA — OLIMPJA.

F. MOCHNACKA (*wstała z kanapy, prezentuje Tekli Maurycego*). — Pani pozwoli sobie przedstawić. — Mój syn Maurycy, Hrabianka Plater, kuzynka ks. Lubeckiego.

(*Maurycy, który zgoła nie wiedział o przybyciu Tekli, nie poznał jej, jest jednak zahypnotyzowany jej widokiem*).

TEKLA (*patrzy mu śmiało w oczy*). — Pragnęłam bardzo pana poznać! (*wyciąga rękę, Maurycy zawahał się, pomieszany, wreszcie niezbyt zgrabnie całuje podaną rękę*).

P. MOCHNACKA (*blady uśmiech*). — Pan profesor mówi, że Pani jest twoją zwolenniczką...

MAURYCY (*szorstko*). — Książę Lubecki jest moim wrogiem.

TEKLA (*cokolwiek ciszej, tak, że nie wszyscy mogli dokładnie zrozumieć, z tą samą intonacją, co w sali ratuszowej*). — Ja pana uwielbiam!

MAURYCY (*nagle poznał Teklę, zdumiony*). — Pani!

TEKLA (*żywo, żeby odwrócić uwagę, zwraca się do p. Mochnackiej*). — My, na Litwie, do prostego pojmowania życia nawykli. Nie potrafimy ukrywać naszych myśli! (*wskazuje na Lelewela*). Profesor też zawsze nakłaniał mię do szczerości... (*do Lelewela*). To pańska wina!

LELEWEL Dziś wszyscy na mnie zrzucają odpowiedzialność! Ale ta najmniej mi ciąży!



TEKLA (*do Maurycego*). — Czytałam zawsze wszystko, co pan pisał. „Głos Obywatela Poznańskiego“ umiem na pamięć! Tylko, że do nas gazety dochodzą późno! (*Olimpja wychodzi na prawo, nikt nie zwraca na to uwagi*).

(*Maurycy przypatruje się jej w uporczywym, cokolwiek nieufnym milczeniu*).

P. MOCHNACKA (*do Lelewela półgłosem*). — Ja niebardzo rozumiem, o co im chodzi?

LELEWEL (*wzrusza ramionami*). — Cóż dopiero! Kiedy chodzi o odcyfrowanie charakteru kobiety, która ma pięćset, tysiąc lat, mogą sobie jeszcze dać radę. Ale żywa, dwudziestoletnia panna! Tajemnica!

TEKLA (*widocznie zaprzątnięta swojemi myślami*). — To profesor do mnie? Ja już skończyłam dwadzieścia jeden... (*nagle do Maurycego*). Czy mogłabym prosić pana o chwilę rozmowy? (*ogólne zdziwienie*).

MAURYCY (*zaskoczony*). — Teraz?

TEKLA Tak (*do p. Mochnackiej*). — Pani wybacz moją śmiałość?

LELEWEL (*przerażony, podniósł się z kanapy*). — Hrabianko! Tam w Banku na mnie czekają!

P. MOCHNACKA (*żywo do Lelewela*). — Pan u nas coś zje! Dobrze?

(*wstała, idzie ku drzwiom na prawo*).

BAZYLI (*gościnnie*). — Skromnie, ale od serca!

LELEWEL Ja zbytków niezwyčajny! (*zafrasowany, obejrzał się na Teklę, wzruszył bezradnie ramionami, przechodzi za p. Mochnacką w pierwsze drzwi na prawo. Za nimi Bazyl i Kamil*).

SCENA 9.

TEKLA — MOCHNACKI.

MAURYCY (*porywczo*). — To była pani?

TEKLA Tak.

MAURYCY W jakim celu?

TEKLA Chciałam pana przestrzec. Zatrzymała mnie wujenka — i spóźniłam się.

MAURYCY (*ponury*). — Książę Lubecki tryumfuje.

TEKLA Widziałam wuja przed chwilą. Wydał mi się bardziej zatroskany, niż kiedykolwiek. (*z lekkim uśmiechem*). Pan pozwoli, że usiądę?

MAURYCY (*zmieszał się*). — Przepraszam panią! (*gestem wskazuje jej fotel*).

TEKLA (*siada*). — A pan? (*Maurycy siada*).

MAURYCY (*oficjalnie*). — Czem pani mogę służyć?

TEKLA (*cokolwiek stropiona jego przyjęciem*). — Lękałam się, że pan... albo pańscy przyjaciele będą chcieli szukać... dowiadywać się, kim był (*lekki zażenowany uśmiech*) ów młodzieniaszek w opończy. Wuj mało zwraca uwagi na mój sposób myślenia. Wydaje mu się nieszkodliwą grą panieńskiej wyobraźni. Lecz gdyby się dowiedział, że ja odkryłam jego sekretne posunięcie... że chciałam p a n a uprzedzić, nie przebaczyłby mi. Ja sama później dopiero spostrzegłam, że nie powinna byłam tego robić. Targnęło mną oburzenie... nie zastanowiłam się...

MAURYCY (*chłodny*). — Jestem pani winien wdzięczność. Nie wiem jednak, czy będę mógł powstrzy-

mać to... czego się pani obawia. (*posepnie*). Intrygi księcia-ministra muszą być odsłonięte, naród musi dowiedzieć się prawdy.

TEKLA (*patrzy mu w oczy*). — I ja muszę paść ofiarą?

MAURYCY (*podejrzliwy*). — Pani mię osobiście nie znała. Pani daruje... ja niezupełnie umiem sobie wytłomaczyć...

TEKLA (*przerywa*). — Tej eskapady? Czemuż unikać właściwych słów? (*w lekkim uśmiechu kryje zawstyżenie*). Widzi pan... kobiety... zwłaszcza młode kobiety, tają w duszy kult dla bohaterstwa. Wewnętrzna reakcja... przeciw szarzyźnie codzienności!... Pan jest nowoczesnym bohaterem! Stał się pan przywódcą ludu... rzuca pan wyzwanie wszystkim powagom!

MAURYCY (*posepny*). — Pani była świadkiem, z jakimi wynikami....

TEKLA (*ożywia się, z rosnącym zapałem*). — To epizod walki. Jutro porwie pan ten sam tłum, — jak wichur skłębia piasek w tumany i niesie, gdzie chce... W burzy rewolucji tworzyć nową, wolną Polskę, może-ż być piękniejsze zadanie?

MAURYCY (*poruszony*). — Mówi pani tak, jak nie mówiła do mnie nigdy żadna kobieta.. prócz matki. (*wraca do dawnych myśli*). Jeśli pani z księciem nie łączy żadna wspólność duchowa...

TEKLA On myśli inaczej, niż pan... i ja... Lecz jestem pewna, że jego zamiary są czyste! Nigdy nie wątpiłam o czystości jego zamiarów!

MAURYCY (*nagle znieuźniał*). — Tak?... Przepraszam... Tam, na sali był jeszcze młody pan, który stanął w obronie pani... Pani go zna?

TEKLA (*zawahała się*). — Tak.

MAURYCY To był jeden z emisariuszów księcia? (*Tekla milczy*). Pani się nie boi, by on pani nie wydał?

TEKLA Nie.

MAURYCY Ktoś pani bliski?

TEKLA (*j. w.*). — Tak.

MAURYCY Krewny?

TEKLA Daleki.

MAURYCY (*patrzy jej uważnie i pośępnie w oczy*). — Narzeczony?

TEKLA (*po chwili*). — Prawie.

MAURYCY (*z szyderczym uśmiechem*). — Teraz, rozumiem wszystko. To on zdradził się przed panią, i teraz, gdyby się wydało... księżę Lubecki j e m u nie przebaczyłby nigdy!

TEKLA (*dumnie*). — Jest mężczyzną, potrafi sam się bronić! Nie przysłabym do pana prosić o pomoc *dla niego!*

MAURYCY Ten pan zajmuje się stale... instygatorstwem?

TEKLA (*j. w.*). — Nie wszedł wcale na salę!

MAURYCY Czekał na panią?

TEKLA Nie wiedział, że przyjdę... (*łagodniej*). Pan chce się wydać gorszym, niż pan jest!

MAURYCY Pani go kocha? (*Tekla milczy*), (*smętny uśmiech, szczerze*). — Przepraszam. W każdym człowieku, gdzieś, na dnie duszy... czają się jadowite żmije...

TEKLA Jestem przekonana, że pan umiałby je zdeptać... Tak... postąpiłam nieogłędnie... więcej, niż nieogłędnie! Teraz dopiero zdaję sobie jasno sprawę... i teraz wiem, (*podnosi oczy*) dlaczego tu przyszłam. Nie chciałam, żeby pan kiedykolwiek mógł pomyśleć, że ja mogłam wobec pana grać fałszywą rolę. Pan mię nie znał... mógł pan się nigdy nie dowiedzieć... tak, ale ja pana znałam! Jest mi pan nadto bliski, bym mogła znieść brzemieństwo... takiego nieporozumienia... Teraz... tu... odnalazłam dalszą konieczność! Jutro wyznam wujowi całą prawdę. W kłamstwie nie potrafiłabym żyć... ciążyłoby mi, jak brud... (*blady uśmiech*). To był odruch... nieprzemyślany... proszę mi wybaczyć!

MAURYCY (*posepny*). — Nie mam pani nic do przebaczenia. Pani narzeczony nie obchodzi mię... Rozprawiać się będę z księciem Lubeckim... Zapewne w tej chwili mniema, że już mnie zgubił... (*twardo*). Nie! To zresztą nie ma znaczenia. Nie o mnie chodzi, ale o żywiołowy wybuch, który wstrząsnął narodem. Nie damy go zgasić! Nie damy, choćby!... (*urwał, spojrzawszy na drzwi*).

(*w drzwiach z prawej strony Lelewel*).

### SCENA 10.

CIŻ — LELEWEL — P. MOCHNACKA.

LELEWEL Hrabianko! Ja muszę jechać!

TEKLA Jestem gotowa. Profesor się na mnie gniewa?  
(*Lelewel uśmiechem i gestem zaprzecza*).



P. MOCHNACKA (*weszła za Lelewelem, do Tekli*).  
— Jaka szkoda, że pani nie może zostać!

TEKLA Pani wybaczy mi najście... o tak późnej porze?... (*do Lelewela*). Muszę włożyć futro...

P. MOCHNACKA (*w stronę drzwi*). — Olimpjo!  
(*Olimpja w drzwiach*). Pani wychodzi.

OLIMPJA Służę pani...  
(*Tekla idzie za Olimpją na prawo*).

### SCENA 11.

P. MOCHNACKA — LELEWEL — MAURYCY —  
BAZYLI — KAMIL.

LELEWEL (*lekko ironizuje*). — Cóż to za nowe koneksje z arystokratami... I to jeszcze z rodziną Lubeckich!

MAURYCY (*wzrusza ramionami*). — Panu zawdzięczam tę znajomość.  
(*wchodzi Bazyl i Kamil*).

P. MOCHNACKA A czego chciała?

MAURYCY (*z nieco sztucznym lekceważeniem*). —  
Ciekawość! Jak zbliśka wygląda polski Robespier,  
nienasycony krwiopijca!  
(*Pani Mochnacka poprawia z czułością włosy na czole Maurycego*).

P. MOCHNACKA Bardzo ładna panna!

KAMIL Ja musiałem ją już widzieć... Ale kiedy i gdzie?

## SCENA 12.

CIŻ — TEKLA — OLIMPJA

TEKLA (*wchodzi śpiesznie, kończąc zapinać futro, za nią Olimpja*). (*do Lelewela*). — Jestem! (*do p. Mochnackiej, kłaniając się jej uprzejmie i z szacunkiem*). — Żegnam panią i jeszcze raz przepraszam... (*P. Mochnacka wyciąga do niej rękę, Tekla chce tę rękę ucałować, p. Mochnacka broni się, cofa*).

P. MOCHNACKA Cóż znowu! Hrabianko!

LELEWEL (*całuje w rękę p. Mochnacką*). Do widzenia!

(*Tekla żegna panów wdzięcznym skinieniem głowy i uśmiechem. Lelewel i Tekla wychodzą na lewo, przeprowadzeni przez Bazylego i Kamila. P. Mochnacka zatrzymała się w drzwiach*).

## SCENA 13.

CIŻ — bez LELEWELA i TEKLI

OLIMPJA (*do Maurycego*). — Wychodzisz jeszcze?

MAURYCY (*nagle zdecydowany*). — Tak... (*wszyscy zdziwieni*).

P. MOCHNACKA (*zaniepokojona*). — Późno! Jesteś znużony... wyczerpany...

MAURYCY (*do Kamila*). — Trzeba zebrać tych, co jeszcze powstaniu wierni... Poruszyć sumienia... (*do Matki*). Sama mówiłaś, że tylko słaby uznaje się za pokonanego!

P. MOCHNACKA Prześpij się... nabierz sił...

MAURYCY (*całuje ją w rękę*). — Czy sądzisz, że ja mógłbym dziś spać? Sił już nabrałem. (*do Bazylego*). Oni tam, w Banku, opowiadają sobie wzajem... kiwają głowami... uśmiechają się złośliwie... Niemcewicz nawet ze współubolewaniem... Tylko Lubbecki ani słowa... Sam syci się swoim tryumfem! Już widzi rewolucję zdławioną... łaski cesarskie... kto wie, może cała władza wielkiego księcia w jego rękach! Od jednego zamachu i rewolucja... i wielki książę.. czy to nie arcyszuka? Ale gra nieskończona!... (*do Kamila*). Idziesz.

KAMIL Idę.

#### SCENA 14.

CIŻ — NABIELAK — DOBROGOJSKI — DUNIN

(*Nabielak, Dunin, Dobrogojski wchodzą szybko*).

NABIELAK (*postrzega Maurycego, z radością*). — Jest! Chwała Bogu, żeśmy cię zastali! (*wita się z p. Mochnecką i Olimpją*). Dobry wieczór!

DUNIN — DOBROGOJSKI (*witają się również*). — Dobry wieczór!

P. MOCHNACKA Niech panowie go zatrzymają! On chce biec na miasto!

MAURYCY Niema chwili do stracenia. To, co było dziś w Ratuszu, to próba kontrrewolucji. Ważą się losy powstania. Na ulicach tłumy uzbrojone. Trzeba je chwycić, poprowadzić! Wojsko trzeba obrócić przeciw rządowi. Wrogowie rewolucji nie mogą być w rządzie.

NABIELAK Masz słuszość!

DUNIN Tak!

DOBROGOJSKI Słabym i wahającym się trzeba naszą wolę narzucić. Naszą niezłomną wolę walki i zwycięstwa! Walki o prawo do życia, bo niemasz życia bez wolności!

NABIELAK — DUNIN — DOBROGOJSKI — KAMIL (*porwani*). Tak! Tak!

MAURYCY Bracia! Idziemy! (*szybkim gestem wskazał okna*). Raczej zginąć, niż do niewoli wrócić!

DOBROGOJSKI — DUNIN — KAMIL — NABIELAK Tak! Tak!

MAURYCY (*do matki i siostry*). — Do widzenia! (*do przyjaciół*). — Na miasto!

(*wybiega na lewo, za nim czwórka przyjaciół*).

Zasłona spada.

## O B R A Z VI.

Scena przedstawia zbieg ul. Leszno z ul. Orłą. W narożniku domu mieści się sklep kolonjalny, dziś zamknięty; wchodzi się doń po paru schodkach. Ranek 5 Grudnia 1830 r.).  
Przed podniesieniem zasłony słycać gwar i okrzyki tłumu, oraz donośny głos prof. Lecha Szyrmy.

### SCENA 1.

LECH SZYRMA (*przy opuszczonej zasłonie*). — Tak jest, obywatele rodacy! Na generała Chłopickiego śmia się porywać! Do jego mieszkania wtargnęli! Wielki wódz z żalu i wzburzenia ciężko chory!  
(*Okrzyki przerażenia i żalu: — Chłopicki! Chłopicki chory?*).

(*zasłona się podnosi*).

(*Lech Szyrma przemawia z drewnianego stołka. Za nim stoją dwaj chorążowie, otacza go kilkunastu akademików. Tłum składa się z gawiedzi ulicznej, z młodzieży rzemieślniczej, z przechodniów różnego wieku i kalibru. Paru młodych ludzi z inteligencji, kilka młodych pańienek lepiej ubranych. Przed drzwiami zamkniętego sklepu stoi na schodkach pan kupiec, w okrągły brzuszek suto uposażony, i przysłuchuje się cokolwiek bezmyśl-*



*nie, kręcąc palcami młynka na wypukłym obdmenie. Opodal stoi majster szewski w zielonym fartuchu, słucha z przejęciem. Przed bramą na ulicy Orlej, na pierwszym planie, stanął chudy, ludziom i światu niezyczliwy kamienicznik.*

I MŁODZIENIEC (*do Szyrmy*). — Generał ma się znacznie lepiej!

SZYRMA (*spojrzał w tę stronę nieufnie, ciągnie dalej i mocniej*). — Życiu Chłopickiego grozi niebezpieczeństwo! Największemu, jedynemu wodzowi Polski! A wiesz, narodie, kto to sprawił? Kto jest przyczyną nieszczęścia?

GŁOSY Kto? Kto? Mów!

SZYRMA Mochnacki! Maurycy Mochnacki! Oszczerca! Terorysta! Polski Robespier! Czytajcie, co o nim piszą! (*do akademików*). Przyjaciele! Kto z was ma „Polaka Sumiennego“?

AKADEMICY Jest! Jest!

(*rozdają wśród tłumu pojedyncze egzemplarze gazety*).

KAMIENICZNIK (*do kupca, kiwając głową z oburzenia*). Znowu ktoś zdradził! Somacki?

SZEWC (*poprawia z autorytetem*). — Kownacki!

SZYRMA Obywatele! W kim całej Polski nadzieje? Kto Polsce może dać nad Moskałem zwycięstwo?

AKADEMICY Chłopicki! Tylko Chłopicki!

SZEWC Bij Moskala! Bij cholere!

SZYRMA On jeden wódz urodzony! W setkach bitew pod Napoleonem walczył. Nie wie, co klęska! Zna tylko zwycięstwo!

GŁOSY Niech żyje Chłopicki!

SZYRMA I kto przeciw niemu? Kto chce największego wodza Polski usunąć? Mochnacki! Maurycy Mochnacki! Ten, co jedność narodową rozbija, na rząd narodowy nocą napada! Rodacy! Czy w Polsce już nieprawość i zdrađa mają rządzić?

AKADEMICY Nie! Nie!

GŁOSY Z TŁUMU Nie! Nie!

SZYRMA Prawdziwy Polak takich zbrodni dłużej nie zniesie! Ocknij się, narodzie!

AKADEMIK (*blżej Szyrmy stojący, potrząsa sztyltem, — gwałtownie*). — Dla tych, co na Chłopiczkiego napadają, młodzież ma puginały!

AKADEMICY (*podchwytują*). — Precz z klubami! Precz z jakobinami!

SZYRMA Czy dopuścisz, narodzie, aby takie zbrodnie uchodziły bezkarnie.

(*Okrzyki coraz liczniejsze: Nie! Nie!*).

MŁODZIENIECI (*do Szyrmy*). — To pan wzniecasz niepokój!

MŁODZIENIEC II Pan mącisz jedność!

PARĘ INNYCH GŁOSÓW Wstyd! Wstyd!

AKADEMICY (*podbiegają ku grupce i groźnie*). — Cicho! Milczeć! Szyrma mówi!

MŁODZIENIEC I Niech głupstw nie gada!

AKADEMICY Milczeć!

SZYRMA (*patetyczny*). — Ludu Warszawy! Kogo chcesz słuchać? Ich (*wskazuje grupkę młodzieży*), czy mnie?

AKADEMICY Niech żyje Szyrma!

CI, CO BLIŻEJ MŁODZIEŻY Niech żyje wolność!

GŁOS Z TŁUMU Cicho tam! Niech żyje Szyrma!

CORAZ LICZNIEJSZE GŁOSY Szyrma! Szyrma!

SZYRMA (*zadowolony*). — Ludu Warszawy! Ujmij się za Chłopickim. Nie pozwól, aby najlepszych synów ojczyzny jawnie hańbiono! (*z krzykiem*). Kto na życie Chłopickiego nastaje, ten z wrogiem trzyma! Czy jest zdrada bardziej oczywista? Bardziej okropna?

AKADEMICY Zdrada! Zdrada!

(*Grupa młodzieży cywilnej próbuje protestować, kilku akademików przeszkadza im, sprzeczeki, groźby*).

SZEWC Bij Moskala!

GŁOSY Z TŁUMU Śmierć zdrajcom!

KAMIENICZNIK (*do kupca*). — Czy to ciągle o tego Kownackiego?

KUPIEC (*z oburzeniem*). — Że święta ziemia takich nosi! (*głośno*). — Śmierć zdrajcom!

KAMIENICZNIK (*razem z innymi*). — Śmierć zdrajcom!

SZYRMA Ludu Warszawy!

AKADEMICY (*uciszają tłum*). — Cicho! Szyrma mówi! Cicho! (*gwar milknie*).

SZYRMA (*uroczysty*). — Ludu Warszawy! Czyń sprawiedliwość, ukarż zbrodnie! Na sąd wzywam, rodacy! Na sąd przeciw Maurycemu Mochnackiemu!

KAMIENICZNIK (*z urazą do kupca*). — Nie żaden Kownacki, tylko Mochnacki.

SZYRMA Czynimy sąd!

(*wśród tłumy wzburzenie, okrzyki:*)

Sąd? Jaki sąd? Kogo sądzą? Kto sędzi?

MŁODZIENIEC I *(do Szyrmy)*. — Pan chcesz sprawować sądy na ulicy?

MŁODZIENIEC II Pospólstwo ma sądzić?

AKADEMICY Cicho! Milczeć!

SZYRMA *(zwraca się w stronę młodzieży, szerokim gestem wskazując tłum)*. — Vox populi, vox Dei! Głos ludu, głos Boga! *(do tłumy)*. Obywatele! Do waszego sumienia się zwracam! Uciszcie się! Czynimy sąd!

*(okrzyki: cicho! cicho! Gwar milknie, lubo wzburzenie nie ustaje — akademicy starają się zbiegowisko uciszyć i uspokoić)*.

SZYRMA *(Uroczysty i patetyczny)*. — Ludu Warszawy! Oskarżam Maurycego Mochnackiego o zdradę *(chwila ciszy)*.

DWAJ MŁODZIEŃCY, TOWARZYSZĄCY PANIENKOM *(gwałtownie)*. — To wszystko nieprawda! Mochnacki prawy patriota! To wszystko fałsz! *(paru akademików wygraża im zbliżając)*.

AKADEMICY Cicho! Milczeć! Szyrma mówi!

PANIENKI Niech żyje Mochnacki!

*(koło pań i dwóch młodzieńców zgromadziła się szczupła garstka młodzieży inteligenckiej i rzemieślniczej)*.

SZYRMA *(odwrócił się w ich stronę, z pogardliwym pobłażaniem)*. — Nie słuchajcie ich! Nie wiedzą, co mówią *(powiódł surowo wzrokiem dokoła, mocniej i głębiej)*. — Oskarżam Maurycego Mochnackiego o zdradę! *(cisza)*. — Ludu Warszawy! Jednego wodza mamy! Co będzie, jeśli Chłopickiego nie stanie? Truchleń, narodzie! Moskał zdobywa

miasto. Rzeź! Wściekłe żołdactwo wdziera się do domów! Morduje bez litości... Wisła czerwona od polskiej krwi... Plądrują, grabią! Małe dzieci porywają, wywożą... Stwórczo Wszzechmogący, odwróć od Twego ludu nieszczęście! (*cisza, przerywana tłumionem łkaniem kobiet*). — Pytam was, kto z Boską pomocą może naród od zguby uratować?

AKADEMICY Chłopicki! Chłopicki!

OKRZYKI Z TŁUMU Chłopicki! Chłopicki!

SZYRMA Tak jest! Chłopicki! A kto przeciw Chłopickiemu spiskuje? Kto na jego zdrowie i życie nastawa?

AKADEMICY Mochnacki! Mochnacki!

(*z garsteczki młodych ludzi i pańnek okrzyki*.)

— Nieprawda! Kłamstwo! Fałsz!

AKADEMICY (*wygrają im*). — Cicho! Milczeć!

OKRZYKI Z TŁUMU Precz z Mochnackim! Precz ze zdrajcami!

SZYRMA Tak jest! Precz ze zdrajcami! Tylko w jedności zbawienie! A kto chce tę jedność zniszczyć? Kto chce rząd narodowy obalić?

AKADEMICY Mochnacki! Mochnacki!

SZYRMA Tak jest! Maurycy Mochnacki! Ludu Warszawy! Jaka kara na tego, który przeciw ojczyźnie rękę podnosi? Jaka kara na wyrodnego syna, który Matkę-Ojczyznę do zguby ciągnie? Jaka kara, pytam was, na najpotworniejszą zbrodnię, (*z krzykiem*) na zbrodnię zdrady?

(*Cisza, nagle z tłumu odzywa się ponury głos*.)

— Śmierć! (*chwila ciszy*.)



SZYRMA (*uroczysty*). — Słyszeliście? Śmierć!  
KILKU AKADEMIKÓW — KUPIEC — KAMIE-  
NICZNIK (*głosy drżące ze wzruszenia i wzbu-  
rzenia*). — Śmierć!....

SZYRMA (*z namiętą zawziętością*). — Tak jest,  
śmierć! Dla zdrajców niemasz przebaczenia! Oj-  
czyzna w niebezpieczeństwie! Dla zdrajców śmierć!

I MŁODZIENIEC (*wzbudzony, rękę wznosił ku Szyr-  
mie*). — Waćpan do zbrodni podjudzasz!

II MŁODZIENIEC Wszystko nieprawda! Kłamstwo!  
(*coraz żywsze alterkacje i szarpanina między akade-  
mikami i garstką młodzieży*).

SZYRMA (*nie zwraca uwagi na protesty, — uroczy-  
sty i patetyczny*). — Ludu Warszawy! Maurycy  
Mochnacki winien zdrady! Jaką karę wyznaczasz  
zdrajcy?

CORAZ LICZNIEJSZE OKRZYKI Z POŚRÓD AKA-  
DEMIKÓW I TŁUMU Śmierć! Na szubienicę!  
Śmierć zdrajcy! Na szubienicę!

I MŁODZIENIEC (*do Szyrmy*). — To, co pan czy-  
nisz, jest zbrodnią!

INNE GŁOSY MŁODZIEŻY Wstyd! Wstyd!

II MŁODZIENIEC Wszystko nieprawda! Fałsz!

AKADEMICY Cicho! Milczeć! Zdrada!

(*zaczyna się zwada. Panienki usunęły się w głąb. Aka-  
demicy usiłują usunąć garsteczkę młodzieży z placu*).  
(*słychać zbliżający się warkot bębna*).

SZYRMA (*namiętnie*). — Gnijącą gałąź trzeba od-  
ciąć! Inaczej całe drzewo zginie! Kto wyrozumia-  
łość zbrodni okazuje, ten staje się jej współni-  
kiem! Dla zdrajców niemasz miłosierdzia!

TŁUM Na szubienicę! Na szubienicę!

SZYRMA Tak! Wznóście szubienicę! Niech miasto zdrży ze zgrozy! *(do akademików)*. Szukać zdrajcy! Gniew ludu go nie minie! Naprzód! *(Okrzyki tłumu: Naprzód! Szukać zdrajcy! Na szubienicę!)*. *(Akademy grupują się koło Szyrmy. Otacza ich tłum. Z głębi, z warkotem bębna, wchodzi na scenę oddział podchorążych)*.

SZYRMA *(zdejmuje czapkę)*. — Podchorążowie! Niech żyje wojsko narodowe!

*(paru uliczników skacze przy wojsku: Bum! Bum!)*.

TŁUM — Niech żyje wojsko!

I PODCHORAŻY *(komenderuje)*. — Stój! *(Bęben milknie, podchorążowie stanęli w ordynku)*. Tu mamy czekać. Broń w kozły!

*(Podchorążowie ustawiają karabiny w kozły, rozkładają zaimprovizowane obozowisko)*.

SZYRMA *(ciszej do akademików)*. — Rozdawać „Polaka Sumiennego“ i odezwę!

*(akademy rozdają gazetę podchorążym)*.

AKADEMICY Proszę... „Polak Sumienny“! Odezwa młodzieży akademickiej! Proszę!

SZYRMA Rodacy! Szukać zdrajcy! Naprzód! *(rusza wraz z chorążymi)*.

*(kilku akademików intonuje śpiew „Do broni, Polacy, do broni“! — inni podchwytyją, idą w głąb. Tłum częściowo się rozprasza)*.

## SCENA 2.

KAMIENICZNIK *(zbliżył się do kupca)*. — Słyszałeś waść? *(wskazuje wzrokiem na garsteczkę mło-*

*dzieży, która żywo i gorąco dyskutuje*). — Zdracy bronią! Młodzież dzisiejsza! Pytam się tylko, co z tego wyrosnie?

KUPIEC Takie czasy nastały! Człowiek nie wie, kto — jak — i z której strony!... Ja na wszelki wypadek sklep zarygłowałem.

KAMIENICZNIK Całkiem słusznie! Ja też bramę każę zaraz zamknąć. *(spojrzał kwaśno na podchorążych, którzy się już rozkwaterowali; młodzież cywilna zmieszała się z nimi, młodzieńcy i panienki żywo opowiadają wojskowym. Oni czytają z zainteresowaniem druki, które im rozdano, pozapalali fajki, zachowują się poważnie i powściągliwie. Parę kobiet wyniosło chleb i wędliny, częstują podchorążych)*.

I MŁODZIENIEC *(głośniej)*. — Mochrackiego chcą sądzić na zbiegowisku ulicznym!

I PODCHORAŻY *(w rękę ma gazetę)*. — Komu już nie grożą... dziś temu, jutro tamtemu! *(czyta dalej)*.

KAMIENICZNIK *(do kupca)*. — Cóż oni się tutaj roztasowali? *(wskazał na podchorążych)*. — Na ulicy teraz obozowisko! *(z nagłą złością do ulicznika, który mu się przygląda zbliska i bezczelnie, z rękami w kieszeniach obdatych portek)*. — Niby co?

ULICZNIK Wisła się pali!

KAMIENICZNIK *(oburzony)*. — Pójdiesz ty, urwipółciu! Stróża z miotłą zawołał!

- ULICZNIK (*odskoczył, do jednego z podchorążych*). — Panie oficer! Daj pan karabin! Tylko tego starszego obywatela zastrzelę!
- I PODCHORAŻY (*śmieje się*). — Ja ci dam, łobuzie! (*grozi mu żartobliwie, chłopak skacze koło niego*).
- KAMIENICZNIK (*j. w.*). — Słyszałeś waść. Taki obdartus, nygus... żadnego dla starszych szacunku! To się musi źle skończyć. Musi! Pan wspomnisz moje słowa. (*ciszej*). Miałem lokatora, kapitana rosyjskiego; wyjechał, komornego nie uiścił... Kto za niego zapłaci? (*żywiej*). Ja się pytam, panie dzieju, kto za niego zapłaci?
- KUPIEC (*z chytrym uśmiechem*). — Wogóle nikt nie będzie płacił komornego...
- KAMIENICZNIK (*wzburzony*). — Co waść mówisz! Także gadanie! Komorne — rzecz święta! Od komornego zaczyna się porządek społeczny! Komornego nie płacić! Świat się wywraca! (*w głębi zjawia się Grzegorz z gitarą, zawieszoną na piersiach*).
- I PODCHORAŻY (*rzuca, wzburzony gazetę, którą przejrzał*). — Nigdy w to nie uwierzę...
- I MŁODZIENIEC A wynik taki, że Szyрма Mochnackiemu wznosi szubienicę!
- II MŁODZIENIEC Mochnackiemu, który jest duszą rewolucji!
- I MŁODZIENIEC (*z zapalem*). — Który jeden wie, czego chce!
- I PANIENKA (*z zapalem*). — Kto odsłonił Polsce Mickiewicza!

II PANIENKA Malczewskiego!  
I PANIENKA Goszczyńskiego!  
I PODCHORAŻY A „Głos Obywatela Poznańskiego”?  
To nie był głos sumienia narodu?  
To nie był głos sumienia narodu?  
INNI Tak! Tak!

### SCENA 3.

CIŻ — GRZEGORZ.

GRZEGORZ (*zbliża się do I Podchorążego i grupy młodzieży z uprzejmą godnością*). — Panom nie nudno tak wyczekiwać na ulicy? Może co zaśpiewać?

I PODCHORAŻY (*uśmiecha się*). — Nie mamy pieniędzy!

GRZEGORZ (*j. w.*). — Od wojskowych nie przyjmuję datków! Sam jestem z Legjonów!

I PODCHORAŻY (*podaje mu rękę, serdecznie*). — Przepraszam kolegę! Nie wiedziałem.

INNY PODCHORAŻY Zaśpiewajcie co ładnego!

GŁOSY Tak! Tak! Zaśpiewajcie!

GRZEGORZ (*życzliwy*). — Ale co? Piosenkę żołnierską?

I PODCHORAŻY (*spojrzał ku panienkom*). — Lepiej może coś... tak... z sentymentem!

GRZEGORZ (*odgadł intencję*). — O Lucynie?

KILKU PODCHORAŻYCH I PANIENKI (*radośnie*).  
— Tak! Tak! O Lucynie!

(*Koło Latarnika skupili się podchorążowie, trochę gawiedzi, kilku przechodniów*).



GRZEGORZ (*uderzył jedną dłonią w struny gitary i akompaniując sobie, śpiewa*):

Jakże podobny Lucynie  
Ten mały strumyk, co płynie!  
To jej obraz rzeczywisty,  
Bo i spokojny i czysty!  
Ale te brzegi zielone,  
Zawsze blisko, nigdy razem,  
Mego losu są obrazem!  
Nie, niepodobny Lucynie  
Ten mały strumyk, co płynie!  
Bo on, okrutny, swym biegiem,  
Dzieli na zawsze brzeg z brzegiem!

PODCHORAŻOWIE I PANIENKI Brawo! Brawo!  
Dziękujemy! (*panienki sypią groszaki do czapki*).

ULICZNIK (*wskazuje Grzegorzowi kupca i kamienicznika*). — Te panowie chcą też jegomości dać pieniądze, tylko wstydzą się pchać.

(*Grzegorz podchodzi do nich z godnością, oni odwracają się, udając, że zajęci rozmową*).

BABA (*daje miedziaka Grzegorzowi*). — Takie bogacze, a grosza żałują!

SZEWEC (*zbliżył się, daje miedziaka*). — Proszę...

KUPIEC (*zaswtydził się, namyślił, zbliża się i daje miedziaka*).

ULICZNIK (*wścibia swój nos*). — Dał! Dał! Całe trzy grosze! (*kiwa głową z podziwem*). — To ci rozrutnik!

KUPIEC (*zły*). — Cicho!  
(*nadchodzi Maurycy i Kamil*).

### SCENA 3.

CIŻ — MAURYCY — KAMIL

I PODCHORAŻY (*sposzrzegł Kamila — z radością*).

— Kamil! Jak się masz! (*wita go serdecznie*).

PARU INNYCH PODCHORAŻYCH (*tak samo*). —

Kamil! Dzień dobry! Witaj!

KAMIL (*rozgląda się*). — Tutaj was postawiono?

(*Grzegorz miesza się z tłumem*). (*Przedstawia brata*). — Mój brat Maurycy!... (*wszyscy obracają się ku Maurycemu, zasugerowani jego pojawieniem się*).

I PODCHORAŻY Czekamy na Wysockiego. (*do Maurycyego*). — Co słyhać?

MAURYCY (*posepny*). Żle! (*dostrzegł w ręku jednego z Podchorążych gazetę, dotknięty*). — Czytacie „Polaka sumiennego“?

I PODCHORAŻY (*cokolwiek zawstydzony*). — Rozdają na ulicach!

MAURYCY (*wyjął z rąk Podchorążego gazetę, potrząsa nią*). — Świstek Lubeckiego! Książę-minister usiłuje zatruć serca i umysły! Strzeżcie się, panowie bracia! Wyście zaczęli rewolucję! Lubecki wszystkie siły wyteżę, by wniwecz obrócić wasze bohaterskie czyny!

JEDEN Z PODCHORAŻYCH (*który również trzyma w ręku numer „Polaka Sumiennego“*). — Tego tu niema! Ja zrozumiałem, że oni są też za rewolucją... (*koło Kamila i Mochnackiego grupują się podchorążowie i młodzież cywilna, Cokolwiek dalej tłum uliczny*).

MAURYCY Jad utajony najbardziej groźny! Żeś go nie dostrzegł, panie bracie, świadczy o twej prawości. Uspić chcą waszą czujność, a nieufność wzniecić wobec tych, co walkę podjęli.

KAMIL (*gorzko*). — Kogóż to w tej szmacie podejrzeniami niecnymi szkalują? (*wskazuje Maurycego, z oburzeniem*). Jego! Mojego brata! Koledzy! Znacicie nas obu! Czy to nie hańba?

(*Podchorążowie stropieni, ten i ów rzuca ze wstrętem na bruk gazetę; głosy oburzenia*).

GŁOSY Mówiłem wam! Łajdactwo! Najlepszych patriotów nie oszczędzą!

I MŁODZIENIEC (*żywo do Mochnackiego*). — Tutaj dopiero co Szyrma przeciw panu pospółstwo podburzał!

II MŁODZIENIEC (*tak samo*). — Sądy na ulicy sprawuje!

I MŁODZIENIEC — My panu tylko ufamy!

GŁOSY — Tak! Tak!

MAURYCY — Dziękuję wam! W was wolnej Polski nadzieja! Bo biada rewolucji, którą kierować chcą starcy, choćby czci najgodniejsi! Polskę ocalić może tylko zapał młodych i gorących serc!

GŁOSY Dobrze powiedziane! Racja! Tak! Tak!

I PANIENKA (*cokolwiek na uboczu, do drugiej*). — Kamil, to ten w mundurze. A tamten drugi, to Maurycy.

II PANIENKA Mnie się lepiej podoba Kamil.

I PANIENKA (*obrażona*). — To zupełnie co innego! *Koło Mochneckiego i Podchorążych gromadzi się tłum przechodniów, zjawiają się mieszczanie, uzbrojeni w szable i pistolety.*

I PODCHORAŻY (*do Maurycego*). — Co z tego wszystkiego będzie? Co czynić dalej?

MAURYCY — Śmiało i niewzruszenie do celu! (*zwolna unosi się*). Panowie bracia! Czyście po to chwycili za broń, by Lubeckim drogę do nowych łask cesarskich torować? Czy mniemacie, że car i wielki książę przebaczą wam kiedykolwiek insurekcję? Że nie będą szukali na was okrutnej, bezlitosnej pomsty? Podchorążowie! Powstaliśmy, bo już dłużej nie można było ścierpieć jarzma! Bo pragnienie wolności było mocniejsze, niż wszystko! Nie dajcie się jednak złudzić! Dziś niemasz już odwrotu! Zwycięstwo, albo śmierć! Kto was od walki odwraca, ten was prowadzi na śmierć... nie na śmierć walecznych na polu bitwy, lecz na haniebną śmierć z ręki kata!

I PODCHORAŻY Tak! Zwycięstwo albo śmierć!

PARU INNYCH Zwycięstwo albo śmierć!

POJEDYNCZY GŁOS (*z tłumu*). — Chłopicki, gdy zechce, pobije Moskala na łeb!

GŁOSY Z TŁUMU Chłopicki! Niech żyje Chłopicki!

MAURYCY (*zwraca się do całego zbiegowiska*). — Panowie bracia! Ludu Warszawy! Oszukują was! Chłopicki nie wierzy w siły narodu. Chłopicki wiezie do kapitulacji!

PARĘ OKRZYKÓW Zdrada!

MAURYCY Jeden tylko Szembek połączył się szczerze z narodem! Pytam was, czy nie Szembeka należało obwołać wodzem? On nigdy nie paktował z wrogiem!

KILKA GŁOSÓW Niech żyje Szembek!

I MŁODZIENIEC Tylko Szembek!

GŁOSY KOBIECE Niech żyje Szembek!

MAURYCY (*do coraz tłumniejszych zastępów mieszczan*). — Obywatele! Zwycięstwo albo śmierć! Cóż znaczą te wyrazy? Zwycięstwo, to Polska wolna, wielka, w nowych kształtach odrodzona! Już nie magnaci rządzić nią będą, lecz wy, co ją waszą krwią wskrzeszacie! To będzie twoja Polska, ludu polski, nie Polska hrabiów i książąt. A klęska? Klęska, to niewola, gorsza jeszcze od tej, którą naród dotąd pod Moskałem cierpiał! (*do Podchorążych*). Dla was, — szubienica, katorga, kajdany! (*do tłumu*). Dla was — nędza, głód, ostateczna poniewierka! Więc wybierajcie! Zwycięstwo albo śmierć!

MŁODZIENCY I PANIENKI (*gorąco*). — Zwycięstwo albo śmierć!

CORAZ LICZNIEJSZE I GORETSZE KRZYKI — Zwycięstwo albo śmierć! Niech żyje wolność!

MAURYCY — Zdrajcy chcą zgasić w was ducha! Wołają: Słabi jesteśmy! Musimy ulec! (*mocniej*). Nieprawda! (*z krzykiem*). Nie będziemy słabi, jeśli cały naród za broń chwyci, wszyscy, jak jeden mąż, wolny chłop, wiedzący rzemieślnik, mieszczanin wespół z szlachtą, wszyscy w prawach



zrównani! To zdrajcy szerzą zwątpienie! Jeśli im się powiedzie, zginęliśmy!

LICZNE GŁOSY Z POŚRÓD PODCHORAŻYCH I TŁUMU — Śmierć zdrajcom! Hańba!

KUPIEC (*z chytrym uśmiechem do kamienicznika*). — Waszmość jesteś przeciwny powstaniu, to jesteście zdrajcą!

OKRZYKI — Śmierć zdrajcom! (*coraz liczniejsze i coraz bardziej wzburzone zbiegowisko*).

KAMIENICZNIK (*wystraszony*). — Ja wcale nie jestem przeciwny powstaniu! (*krzyczy*). Śmierć zdrajcom!

SZEWC (*tubalnym głosem*). — Bić Moskala! Bić cholere!

GŁOSY PODCHORAŻYCH (*podnieconych i rozgorączkowanych przemówieniem*). — Mów, Mochnacki! Mów dalej!

MAURYCY (*do Kamila, podniecony*). — Widzisz! Są jeszcze serca wrażliwe! Trzeba tylko wiedzieć gdzie ich szukać! (*gest*). Gdzie znajdziesz większą szlachetność porywów, gotowość do ofiar, poświęceń? W n i c h żyje Polska wiecznie żywa!

KAMIL (*poruszony*). — Mów dalej! Mów!

MAURYCY — Teraz uderzę w tych, co mnie zgubić chcieli! Teraz obaczymy, czy mury Banku będą dość grube i mocne... (*głośniej*). — Obywatele!

I i II MŁODZIENIEC (*do tłumu, który wre w podnieceniu*). — Cicho!

GŁOSY Cicho! Cicho!

MAURYCY — Podchorążowie! Ludu Warszawy!  
Usłyszcie, skąd wam grozi niebezpieczeństwo!  
Kto zawział się, by rewolucję opanować, zdławić,  
i zduszoną carowi pod stopy rzucić! Kto poczi-  
wego Czartoryskiego i sędziwego Niemcewicza  
omotał i oplątał, pułkom w księcia dał ujść,  
a z carem na chwilę nie przestał szachrować.

POJEDYNCZE GŁOSY — Lubecki! Lubecki!

MAURYCY (*mocniej*). — Tak! Lubecki! Kto naród  
sprzedaje? (*okrzyki*). Lubecki! Kto z Moskałem  
trzyma? (*okrzyki*). Lubecki.

OKRZYKI — Zdrada! Zdrada!

(*wśród tłumu rośnie wzburzenie*).

MAURYCY — Będziecie-ż czekali, aż Moskał wróci  
i pęta na szyje założy? Bracia! Nie pora na wa-  
hania! Ojczyzna w niebezpieczeństwie! Chcecie  
ratować powstanie i własne życie? Trzeba usu-  
nąć tych, co stają wpoprzek! Szatańskie zapory  
trzeba zmieść! Kto nie chce iść z nami, ten wro-  
giem ojczyzny! Zdrajcom śmierć!

CAŁY TŁUM, PODCHORAŻOWIE I CORAZ LICZ-  
NIEJSZA GAWIEDŹ PRZECHODNIÓW: Lu-  
becki! Śmierć zdrajcy! Lubecki! Na szubienicę!  
Na szubienicę!

I PODCHORAŻY (*namiętnie*). — Na co czekamy, bra-  
cia! Na Bank!

WSZYSCY — Na Bank! Śmierć zdrajcy! Na Bank!

TŁUM — Niech żyje Mochnacki!

PODCHORAŻOWIE (*gorąco*). — Niech żyje Moch-  
nacki! Mochnacki, prowadź! Na Bank!

TŁUM Niech żyje Mochnacki!

I PODCHORAŻY — Obywatele! Oto prawdziwy pa-  
trjota! Niech żyje Mochnacki!

WSZYSCY — Niech żyje Mochnacki!

KUPIEC—Niech żyje! (*do kamienicznika, który wciąż  
nie jest pewny nazwiska*). — Mochnacki!

KAMIENICZNIK (*krzyczy*). — Niech żyje Moch-  
nacki!

I PODCHORAŻY (*do tłumu*). — Trzeba wyrwać  
chwasty! Lubecki spiskuje przeciw narodowi! Na  
Placu Bankowym postawimy s z u b i e n i c ę!

GŁOSY Śmierć zdrajcy!

GŁOSY Na Bank! Kto Polak, do broni! Na Bank!  
(*Bieganie, wśród tłumu, coraz liczniejsi mieszczanie  
uzbrojeni. Rozlega się warczenie bębna. Podchorążo-  
wie chwytają za karabin*).

I PODCHORAŻY — Koledzy! Do broni!

OKRZYK — Do broni! Do broni!

MAURYCY (*do Kamila, blady, wzruszony*). — Nim  
dojdziemy, tłum zwiększy się stokrotnie! Całą  
Warszawę wyprowadzę na ulicę! Rewolucja ura-  
towana! Mówię ci: uratowana! (*gest*). Przegra-  
łeś, Lubecki!

I PODCHORAŻY (*podbiega z dwoma karabinami, je-  
den podaje Mochnackiemu*). — Prowadź! na  
Bank!

(*wśród warkotu bębna, podchorążowie, otoczeni uzbro-  
jonym tłumem, szykują się do marszu. Nagle okrzyki:  
—Wysocki! Wysocki!*).

SCENA 4.

CIŻ — WYSOCKI — POTEŃ DOBROGOJSKI —  
DUNIN.

*(Z lewej strony zjawia się Wysocki, staje naprzeciw  
ruszających ławą, na czele tłumu, podchorążych).*

WYSOCKI—Co to jest? Dokąd idziecie? *(do dobosza).*

Cicho! *(bęben milknie).*

I PODCHORAŻY — Na Bank! Śmierć zdrajcom!

WSZYSCY — Zdrajcy na szubienicę! Na Bank!

WYSOCKI *(do podchorążych, ostro).* — Kto zdrajcą?

OKRZYKI — Lubecki! Lubecki zdradził! Lubecki!...

GŁOSY — Na szubienicę! Śmierć zdrajcy!

PODCHORAŻOWIE — Z nami, Wysocki! Na Bank!

MAURYCY — Tyś zrobił powstanie! Ratuj je teraz!  
*(oddaje mu karabin).* Bierz dowództwo!

GŁOSY — Prowadź, Wysocki! Na Bank!

WYSOCKI—Dlaczego na Bank? *(bierze karabin, który  
mu podał Mochnacki).*

I PODCHORAŻY — Lubecki zdrajca! Na szubienicę!

WSZYSCY — Na szubienicę! Śmierć zdrajcy!

LICZNE OKRZYKI — Niech żyje Mochnacki

I PODCHORAŻY *(do dobosza).* — Wal!

*(rozlega się ponownie warkot bębna. Podchorążowie  
i tłum ruszają naprzód).*

WYSOCKI *(stanął naprzeciw).* — Stójcie!

MAURYCY — Nie zatrzymuj ich! *(do tłumu).* Bracia!

Już teraz nic was nie powstrzyma! Niech gniew  
ludu dosięgnie zdrajcę! Ratujcie powstanie! Tyl-  
ko umarli nie myślą się i pomyłkami swemi kraju

w przepaść nie ciskają. Ratujcie ojczyznę! Ratujcie siebie! Naprzód!

WSZYSCY — Naprzód! Na Bank!

WYSOCKI (*rozciągnął ręce*). — Zaklinam was! Stać! (*do doboszów*). — Cicho!

GŁOSY — Odsunąć go! Precz!

(*wśród podchorążych zamieszanie. Już niektórzy stropili się, chcą słuchać Wysockiego; warkot bębnow milknie*).

WYSOCKI (*do Maurycego*). — Nie dozwolę nowej zbrodni! (*do podchorążych*). Koledzy! Czy przestaliście mi ufać? Słuchajcie! Powstaliśmy przeciw najeźdźcy! Tak! Ale dość walk bratobójczych! Już rewolucja splamiła się krwią niewinnych ofiar! Chcielibyście nowych? (*mocno stuknął karabinem w bruk*). Nie!

KILKA GŁOSÓW — Nie!

MAURYCY (*gwałtownie*). — By ocalić rewolucję, trzeba usunąć jej wrogów! Bracia! Nie pora na tklivość, gdy chodzi o istnienie narodu! Niech zaprzańcy poniosą zasłużoną karę, niech słabi i wątpiący wiedzą, że przed Polakiem jedna tylko droga: Zwycięstwo, albo śmierć! Naprzód! Na Bank!

DUŻA PRZEWAGA PODCHORAŻYCH I CAŁY TŁUM Naprzód! Na Bank! (*ruszają ponownie naprzód*).

WYSOCKI (*klęka na bruku*). — Bracia! Błagam was! Zaklinam na wszystko, co najświętsze! Nie kalajmy czystych rąk morderstwem! Dość przelewu bratniej krwi! Kto mi wierzy, ani kroku dalej!

(*Podchorążowie i tłum stanął. Słysząc głosy: — Wysocki! Wysocki!*).



PARĘ GŁOSÓW — Niech żyje Wysocki!

WYSOCKI (*wstał, do I Podchorążego, mocno i stanowczo*). — Stać!

(*wśród tłumu konsternacja, wrzawa, sprzeczki, okrzyki. Wysocki żywo dyskutuje z podchorążymi*).

(*Dunin wpada zdyszany wraz z Nabelakiem z prawej strony, przeciskają się do Maurycego*).

NABELAK Maurycy! Uchodź! Szyрма szuka cię po całym mieście!

DUNIN Jego ludzie byli u was w mieszkaniu! Przetrasnęli wszystkie kąty! Grożą ci śmiercią!

MAURYCY (*wstrząsnął się*). — A matka?

DUNIN — Zachowała się z wielką godnością...

ULICZNIK (*cienkim głosem*). — Śmierć zdrajcom!

KILKU PODCHORAŻYCH — Cicho tam! W łeb go!  
(*ulicznik zmyka*).

MAURYCY (*w uniesieniu, do Wysockiego*). — Wojny nie prowadzi się w rękawiczkach! Gubisz rewolucję!

WYSOCKI — Ratuje honor polskiego żołnierza!

MAURYCY (*j. w.*). — Zdrajcom pomagasz!

WYSOCKI (*ostro*). — Wojnę domową chcesz wznieść? Jednych przeciw drugim pchasz?

MAURYCY (*w paroksyzmie, do tłumu*). — Nie słuchajcie go! On szlachetny, ale błędzi! Kto wolność miłuje, na Bank!

GŁOSY Z TŁUMU — Naprzód! Na Bank!

PODCHORAŻOWIE (*między sobą*). — Wysockiego słuchać!

WYSOCKI (*mocno*). — Kto Polskę kocha, ani kroku!  
Obywatele! Generał Chłopicki dyktatorem się  
ogłosił! Odtąd jeden rozkaz! Jeden posłuch!

(*Konsternacja wśród garstki młodzieży, żywe poru-  
szenie wśród podchorążych i tłumu*).

OKRZYKI Chłopicki! Dyktator! Niech żyje Chło-  
picki!

WYSOCKI (*do podchorążego*). — Bić w bęben! For-  
muj się! Na ramię broń!

MAURYCY (*w rozpaczy, do Dunina, Nabelaka i Ka-  
mila*). On! Wysocki!... On przeciw mnie!... (*do  
Wysockiego*). Własne dzieło grzebiesz!

WYSOCKI (*nie zwraca nań uwagi*). — Naprzód!  
Marsz!

(*z warkotem bębna podchorążowie ruszają naprzód,  
tłum za nimi. Na przodzie sceny zostaje Mochnacki  
z Nabelakiem, Duninem i Kamilem, w głębi garstka  
młodzieży, — przy sklepie kupiec i kamienicznik, opo-  
dal o ścianę oparty szewc*).

MAURYCY (*ciszej, z ledwie hamowaną rozpaczą*).—

To był cios najokropniejszy, bo z rąk przyjaciela!

NABELAK — Gdzieindziej znajdziemy posłuch!  
Chodź!

(*Dunin i Nabelak pociągają Maurycego*).

MAURYCY—Ale czy ja znajdę w sobie dość siły, by  
porwać ten tłum bezduszny?...

Z a s ł o n a   s z y b k o   s p a d a

## O B R A Z VII.

Salon u ks. ks. Lubeckich. Dekoracja ta sama, co i w 1 i 3-im obrazie. Na stole w wazonie bukiet białych róż.

### SCENA 1.

#### KSIEŻNICZKA — SEKRETARZ

KSIEŻNICZKA (*puka do drzwi gabinetu Lubeckiego — nadśłuchuje, puka ponownie*).

SEKRETARZ (*uchylił pierwsze drzwi na lewo*). —  
Moje uszanowanie. Księcia-ministra niema. Książę jest u dyktatora...

KSIEŻNICZKA — W pałacu Błękitnym?

SEKRETARZ — Tak... (*ciszej*). Układają memoriał i list do cesarza...

KSIEŻNICZKA (*bardzo zafrasowana*). — Ja nic nie wiem, co pakować... Jakie walizy? Panu brat mówił?

SEKRETARZ—Nie.. Chyba tylko co najpotrzebniejsze — książę chce być w Petersburgu jaknajrychlej.

KSIEŻNICZKA (*obruszona*). — Bez ubrania i bielizny nie pojedzie... (*zmiana tonu*). Jak dzisiaj na mieście?

SEKRETARZ (*wzrusza ramionami, przybity i posepny*). — Zbiegowiska... Krzyki... groźby...

KSIĘŻNICZKA (*gorzko*). — Przeciw bratu?

SEKRETARZ—Mochnacki podburza tłum... Biega od rana po ulicach...

KSIĘŻNICZKA — (*ostrzej*). Czy to prawda, że zaczęli wznosić szubienice?

SEKRETARZ (*wymijająco*). — Tłum jest podjudzony... wznosi szubienice... ale nie wie jasno, dla kogo...

(*wsuwa się z prawej strony senator*).

## SCENA 2.

CIŻ — SENATOR — PÓŻNIEJ KAROL.

SENATOR (*silnie zdenerwowany*). — Sługa! Najniższy sługa... (*całuje w rękę księżniczkę, wita się z sekretarzem*). — Więc to prawda? Dymisja? I ksiązę-minister wyjeżdża! (*milczące potakiwania*). Dziś jeszcze? (*tak samo*). Okropność. Gdy już i księcia nie będzie! Okropność!

KSIĘŻNICZKA (*gorzko*). — Jest dyktator!

SENATOR (*miętko*). — Tak... dyktator... zapewne... Ja wierzę tylko w rozum księcia... Chyba, że tam, w Petersburgu... zdoła uzyskać... co będzie jeszcze do uzyskania...(*zmiana tonu*). Na mieście niepokojnie!

KSIĘŻNICZKA (*j. w.*). — Czegóż jeszcze chcą?

SENATOR—Trudno dokładnie wiedzieć... Nie zbliżałem się, bo to dla nikogo nie ma szacunku.... Gawieź rozzuchwaliła się.. uzbrojona, rozszalała... (*ciszej*). Podobno szubienice stawiają..

KSIEŻNICZKA (*żywiej*). — Dla kogo?

SENATOR (*wymijająco*). — Bóg raczy wiedzieć!...

Książę dziś nie powinien się narażać... W takim zamęcie wszystko staje się możliwem! (*z westchnieniem*). Ładnych doczekaliśmy się czasów.

KAROL (*w drzwiach z prawej strony*). — Książę wojewoda!

### SCENA 3.

CIŻ — KS. CZARTORYSKI.

(*Księżniczka idzie ku Czartoryskiemu, który wchodzi*).

KSIEŻNICZKA — Witam księcia!

CZARTORYSKI (*przygnębiony, sili się na uśmiech; całuje ją z galanterją w rękę*). — Dzień dobry! (*do senatora i sekretarza*). — Dzień dobry panom! (*podał rękę cokolwiek niedbale — senatorowi, sekretarzowi kiwnął uprzejmie głową*). Książę-minister wrócił?

SEKRETARZ — Jeszcze nie.. ale spodziewamy się lada chwila....

CZARTORYSKI (*do księżniczki*). — Jedzie dzisiaj?

KSIEŻNICZKA Tak!

(*Czartoryski pokiwał smutnie głową*).

SENATOR Mości książę! Co będzie dalej?

CZARTORYSKI (*podniósł głowę, spojrział w oczy z powagą*). — Panie Senatorze! Każdy niech spełni swoją powinność. Resztę zostawmy Bogu!

(*na ulicy krzyki głośniejsze*).

KSIEŻNICZKA (*poruszona*). — Co to?

SENATOR I SEKRETARZ (*biegną do okien w głębi*).



CZARTORYSKI (*ze smutnym uśmiechem*). — Księżniczka jeszcze się nie przyzwyczaiła?

KSIĘŻNICZKA (*posepnie*). — Nie mogę...

SEKRETARZ (*gorączkowo*). — To karetą księcia...

SENATOR Biegną przy karecie... Wygrażają... (*odwrócił się plecami do okna, przejęty grozą*). — Rewolucja!

(*Słychać krzyki: Precz z Lubeckim! Lubecki precz! Zdrada! Zdrada!*).

CZARTORYSKI (*żywo*). — Trzeba biec z pomocą... (*idzie szybko w stronę okien*).

SEKRETARZ (*odetchnął*). — Karetą wjechała w bramę...

(*biegnie na prawo*).

KSIĘŻNICZKA (*porywczo, z żalem*). — Czy to mu się należy? Niech książę powie: czy jest sprawiedliwość?

CZARTORYSKI (*poważnie*). Sprawiedliwość wymierza historia! Za życia musi nam wystarczyć poczucie spełnionego obowiązku...

(*wchodzi spiesznie Lubecki, spokojny, niewzruszony, za nim sekretarz*).

#### SCENA 4.

CIŻ — LUBECKI — SEKRETARZ (*idzie za nim*).

LUBECKI (*zachował całkowitą równowagę i godność, tylko kąty ust czasem drgają, świadcząc o wzruszeniu, opanowaniem siłą woli*). (*do Czartoryskiego, z szacunkiem*). — Witam księcia-wojewodę. (*do Senatora, lżej*). Dzień dobry! (*do sekretarza,*

kończąc rozmowę). — Gdyby w Polsce obelgi zabijały, trzebaby grzebać ludzi ryczałtem... Każ sprawdzić, czy wszystkie bramy Banku pozamykane. Pospółstwo dziś skore do ekscesów. (*Sekretarz skłonił się*). (*do Czartoryskiego, siląc się na ironiczny uśmiech*). — Pan Mochnacki chce spełnić swój zamiar... stawia podobno dla mnie szubienicę. Zawsze byłem zdania, że u nas człowiek, poświęcający się dobru publicznemu, wysoko zajść może...

CZARTORYSKI *Fortuna variabilis, Deus mirabilis!*

LUBECKI (*sceptyczny*). — Tak... (*do księżniczki*).

· Rzeczy spakowane?

KSIĘŻNICZKA Nie powiedziałaś, co chcesz wziąć!

LUBECKI Jedna waliza... Tylko co najniezbędniejsze! (*do Czartoryskiego*). Mam nadzieję, że nie zabawię tam długo... (*do księżniczki*). Pospiesz, moja droga!

(*Księżniczka skłoniła się Czartoryskiemu i senatorowi i wychodzi*).

## SCENA 5.

### CIŻ — BEZ KSIĘŻNICZKI

(*Senator cofa się dyskretnie wgląd do okien. Rozmowa Czartoryskiego z Lubeckim toczy się na przodzie sceny, przeważnie półgłosem*).

CZARTORYSKI Ustaliliście teksty?

LUBECKI (*skinął głową, że tak*). — Sądzę, że książę nie będzie miał zastrzeżeń.

CZARTORYSKI (*usiadł, życzliwie*). — Trudną misję bierzesz na siebie, mój drogi! Bardzo trudną!

LUBECKI (*twardo*). Trzeba było oprzeć się szaleństwu, póki był czas.

CZARTORYSKI — To szaleństwo tkwiło w duszy narodu. Można-ż się z narodem rozdzielać?

LUBECKI (*j. w.*). — Gdy się jest pewnym swojej prawdy, trzeba się ważyć na wszystko.

CZARTORYSKI (*porwał się z fotela, z głębokim zalem*). — Słabość mi wymawiasz? Mniemasz, że można iść przeciw woli narodu? Ja ci odpowiem! Nikt nie jest w stanie przeniknąć tajemnicy wyroków Boskich!

I. LUBECKI (*łagodniej, z widoczną życzliwością*). — Te-go, co się stało, nie odrobimy. Więc po co się spierać? Teraz trzeba robić swoje.

CZARTORYSKI Co?

LUBECKI Zbroić się, gotować się do wojny... I alarmować Petersburg wiadomościami o tych zbrojeniach. Nie lękać się nawet w tej mierze przesady...

CZARTORYSKI (*patrzy nań zdumionym wzrokiem*). — Jak to rozumiesz?

LUBECKI Tam wypadki warszawskie przyszły bardzo nie w porę. Mikołaj boi się Polski i ten strach trzeba wyzyskać. A ja się nie boję Mikołaja!

CZARTORYSKI Zazdroszczę ci tej pewności siebie... Mikołaj będzie zwlekał, póki wojsk nie zbierze. A potem pokaże, jak okrutnie mścić się potrafi! (*pokiwał głową melancholijnie*). — Ja znam moskiewską obłudę.

LUBECKI (*nie stropiony, ciągnie dalej wątek swoich myśli*). — Lecz gdy nadejdzie właściwy moment, gdy wytarguję Litwę i Ruś... conajmniej Litwę... — i powszechną amnestję... wtedy (*gest*), jak nożem

uciał. Rewolucja musi być zahamowana... odrazu... bez wahań! Chłopicki potrafi to zrobić. On umie trzymać wojsko w garści.

CZARTORYSKI (*olśniony i jednocześnie przerażony*)  
— Niebezpieczna gra!

LUBECKI Każda gra jest niebezpieczna... Wygrywa, kto wierzy w wygraną! (*krótka pauza, zmiana tonu*).  
Książę-wojewoda pragnie poznać tekst memorjału?

CZARTORYSKI (*wstaje*). — Tak. (*Lubecki podniósł się również*).

LUBECKI (*wskazuje drugie drzwi na lewo*). — Poproszę do mego gabinetu...

SEKRETARZ (*zbliża się do Lubeckiego*). — Pan Czorba chciał się pożegnać z księciem-ministrem...

LUBECKI Wyjeżdża?

SEKRETARZ Tak.

LUBECKI Niech tu poczeka.

SEKRETARZ Urzędnicy zebrali się na dole...

LUBECKI Dobrze... (*spojrzał na Senatora, który stoi opodal przygnębiony, złamany, do Czartoryskiego, z lekko ironicznym uśmiechem*). Trzeba go uspokoić, bo rozniesie popłoch. (*głośno*). Senatorze! Do widzenia! (*Senator zbliża się pośpiesznie*). Ty! — tylko nie upadać na duchu! (*wyciąga doń rękę, którą Senator ściska z szacunkiem*). Głowa do góry. Les śmiałym sprzyja!

SENATOR (*żywo*). — Książę ma pomyślniejsze wiadomości?

LUBECKI (*ze zwykłą mu pewnością siebie*). — Otrzymacie je wkrótce! Z pod podeszwy je wam wyciągnę! Machina pójdzie, tylko nie tracić otuchy!

SENATOR (*ożywił się*). — Książę-minister powie parę słów, i zaraz człowiek raźniejszy... Powodzenia!

LUBECKI (*do Czartoryskiego*). — Książę wojewoda pozwoli mi zapalić fajkę?

CZARTORYSKI (*uśmiecha się*). — Trudno, mój drogi! Przeczuwam, że będziesz mię wędził, jak szynkę litewską... (*Senator śmieje się podniecony*).

(*Czartoryski i Lubecki idą w drugie drzwi na lewo*).

SENATOR (*rozochocony, do sekretarza*). — Musiały nadejść lepsze wiadomości! Do widzenia! (*idzie na prawo*). A pan nigdy nic nie powiesz!

(*w drzwiach spotyka się z Teklą*).

## SCENA 6.

SENATOR — SEKRETARZ — TEKLA

SENATOR — Witam! Zawsze piękna... jak róża wiosenna!

TEKLA (*z uśmiechem, cokolwiek roztargniona*). — Pan senator wie, czem ująć kobietę...

SENATOR — Sługa pokorny! (*wchodzi*).

TEKLA (*do sekretarza, który uklonił się zdaleka i odchodzi*). — Panie! Panie!

SEKRETARZ (*już w drzwiach z lewej strony*). — Proszę?...

TEKLA — Czy pana Czorby tu niema?

SEKRETARZ — Owszem, jest... Czeką na księcia-ministra.

TEKLA (*żywo*). — Gdzie czeka?

SEKRETARZ (*uśmiecha się*). — Zaraz tu będzie... (*zniknął za drzwiami, nie zamykając ich. Słychać*



*jak mówi do Czorby).* — Książę-minister prosi, żeby pan zaczekał w saloniku...

CZORBA (*za drzwiami*). — Tutaj?

SEKRETARZ — Tak.

(*Czorba wchodzi pierwszemi drzwiami z lewej strony — w mundurze podporucznika szwoleżerów*).

## SCENA 7.

### TEKLA — CZORBA

TEKLA (*patrzy osłupiałym wzrokiem na jego strój*).  
— Co to ma znaczyć?

CZORBA — Wstąpiłem do pułku.

TEKLA (*wzburzona, tając głębokie wzruszenie*). —  
Tak odrazu? Nic nie powiedziawszy, nie zapytawszy? Kochanieńki! Powsinoga! Nigdzie miejsca nie zagrzeje, a wszędzie go pełno. (*objęła go spojrzeniem*). Ubrał się w mundur i zadowolony!

CZORBA (*poważny*). Zrobiłem, to, co powinienem był zrobić z samego początku. Ja nie nadaję się do politycznych zawłości...

TEKLA (*przerywa, mimowoli wciąż wpatrując się w niego, bo ładnie mu w mundurze szwoleżerskim*).  
— A do czegoż to się pan nadaje?

CZORBA (*nie zwraca uwagi na jej ironję*). — Walczyć? Dobrze, ale z wrogiem. Zginać? Trudno, jeśli taki los! Raz panu Czorbie śmierć. Ale zginać na polu bitwy. Słuchać? Owszem, — ale twardego, żołnierskiego rozkazu. Bez udręki, wątpień, podejrzeń. (*z ulgą*). Włożyłem mundur i odechnąłem.

TEKLA (*z rosnącym żalem*). — A ja? A ze mną co będzie?

CZORBA (*zmieszał się trochę*). — Jakto, co będzie?

TEKLA — Weźmiesz mnie z sobą?

CZORBA (*szorstkością usiłuje pokryć wzruszenie*).  
— W obozie niema miejsca dla kobiet.

TEKLA — Więc tak?... O mnie wcale nie pomyślałeś? Tekla nie istnieje. Niema!

CZORBA (*j. w.*). — Cóż pomoże myślenie, kiedy trzeba?

TEKLA — I to prawda, co mówią na dole, że dziś jeszcze wyjeżdżasz?... Ja byłam pewna, że jedziesz z wujem... A ty...

CZORBA (*przerywa*). — Jutro muszę być w pułku. Niema czasu do stracenia.

TEKLA (*już nie hamuje żalu*). — To gdybym cię tutaj nie spotkała, byłbyś wyjechał bez pożegnania? (*patrzy mu w oczy*).

CZORBA (*zmieszał się, wzrok utkwiał w posadzce*).  
— Tak.

TEKLA — Podły!

CZORBA (*w nagłym porywie gniewu*). — Ty śmiesz mi robić wymówki? Ty? Czemuś tam poszła?

TEKLA (*wyzywająca*). — Gdzie?

CZORBA — Wiesz dobrze.

TEKLA (*spoważniała*). — Zrobiłam to, co mi kazało zrobić sumienie.

CZORBA — Sumienie! Skądże twoje sumienie tak się zajęło panem Mochnackim?

TEKLA (*porywczo*). — Głupi!

CZORBA — To nie jest odpowiedź!

TEKLA (*j. w.*). — Ty mnie nigdy nie będziesz rozumiał! Wszystko sprowadzasz do jednego! (*na ulicy słyhać śpiewy: Do broni! Polacy!*).

CZORBA — Bo tak zawsze bywa.

TEKLA — Nieprawda! To tylko dowód, że nie kochałeś mię nigdy! Kto kocha, ten rozumie, a jeśli mu braknie mózgu, to ma instynkt...

CZORBA (*unoszą się*). — Ty mi to mówisz. Ty?...

TEKLA — Nie kochałeś mię nigdy!

CZORBA (*porywczą*). Żegnaj! (*odwraca się, by iść na lewo, Tekla wybuchą tłumionem łkaniem; zatrzymał się stropiony*). — Płaczesz? (*stoi przez chwilę bezradny, ona wyciąga do niego ręce. Nagle łączą usta w długim pocałunku*).

## SCENA 8.

### CIŻ — SEKRETARZ

SEKRETARZ (*wpada z pierwszych lewych drzwi. Tekla odsunęła się gwałtownie w głąb. Czorba został na miejscu. Odwrócił się, oszołomiony, do Czorby*). — Pan wie... Teraz chcą wieszać Mochackiego. W trzech miejscach szubienice ustawili! Szyrma szuka go po całym mieście... (*postrzega Tekłę*). O przepraszam! (*usprawiedliwia się*). Z tych okien widać lepiej!

CZORBA (*głębszym tonem*). — Rano on chciał wznosić szubienicę dla księcia.

(*na ulicy wciąż krzyki*).

SEKRETARZ (*w oknie*). — Akademicy Szyrmy! Oni dziś górą!

## SCENA 9.

CIŻ — CZARTORYSKI — LUBECKI

*(Z drugich drzwi na lewo wychodzi Czartoryski, za nim Lubecki — kończą rozmowę).*

CZARTORYSKI — Może mi się uda go przekonać!  
Będę próbował.

LUBECKI — Dyktator jest uparty!

CZARTORYSKI *(z dobroduszną ironją)*. — Dyktator musi być uparty!

LUBECKI *(tak samo)*. — Nie potrzebowałby, gdyby miał istotnie silną wolę... *(postrzega Czorbę)*. — Cóż to? Wstąpiłeś do wojska?

CZORBA *(ściska z szacunkiem podaną mu rękę)*. — Tak...

CZARTORYSKI *(podaje mu łaskawie rękę)*. — Dobrześ pan uczynił... Wszyscy młodzi powinni tak samo... *(żegna się)*. Do widzenia! Jeszcze się zobaczymy, prawda?

LUBECKI *(przeprowadza Czartoryskiego do drzwi na prawo)*. — Oczywiście!  
*(Czartoryski wychodzi).*

## SCENA 10.

CIŻ — BEZ CZARTORYSKIEGO

SEKRETARZ *(podchodzi żywo do Lubeckiego)*. — Mochnackiemu stawiają podobno szubienice!

LUBECKI *(spokojnie, lekki odcień ironji)*. — Cóż nam z tego przyjdzie? Na jego miejsce przyjdą inni, może niebezpieczniejsi... Zwykły pożar łatwiej

ugasić. Ale gdy ogień rozпали się w duszach ludzkich, gdy tłumy ogarnie!... *(z goryczą)*. Krzywdy, którą mi ten człowiek uczynił, nie odrobiłby nawet własną śmiercią!

*(z ulicy wciąż dochodzi wrzawa i zgiełk)*.

TEKLA *(porywczo)*. — On chciał z pewnością dobrze...

LUBECKI *(surowiej)*. — Tam, gdzie każdy chce swoim rozumem rządzić, — nawet młode dziewczęta — naród do zguby idzie... *(do Czorby)*. Wyjeżdżasz?

CZORBA — Tak. Chciałem pożegnać księcia... podziękować...

LUBECKI — To ja winieniem ci wdzięczność. Cóż! Nie powiodło się! Kluby i ulica górą! Chłopicki — dyktatorem! Mnie obwołali zdrajcą! Mało brakło... na szubienicę-by powlekli! *(z goryczą)*. Masz, Lubbecki, nagrodę, za całe życie pracy! *(zmiana tonu)*. Do pułku?

CZORBA — Tak.

LUBECKI — Potrzebujesz czego?

CZORBA — Nie.

LUBECKI *(podaje mu rękę)*. — Bywaj zdrów! Niech Pan Bóg da ci opiekę! *(wskazał gestem Teklę)*. — Ona będzie się modlić, by ci się nic złego nie stało. *(Objął Teklę ramieniem, łagodnie)*. — Ja jej przebaczyłem, uczyni to samo. Trudno żądać, aby była mądrzejsza od innych. Jest coś w powietrzu!... Trzeźwy rozsądek w niełasce.. .

*(na ulicy wybuchają nagłe, gwałtowne i bliskie krzyki)*.

— Co się dzieje?

*(Sekretarz, Czorba i Tekla biegną do okien)*.



SEKRETARZ — Gonia kogoś!

TEKLA — Jakiś człowiek ucieka, a tłum za nim goni... (*chce otworzyć okno, sekretarz pomaga jej*).  
(*krzyki i gwizdy tuż pod oknami*).

CZORBA — Wstyd!... Tylu na jednego!  
(*Chwila milczenia. Z za okien wyraźne krzyki: Zdrajca! Na szubienicę! Na szubienicę!*).

TEKLA (*nagły okrzyk*). — To Mochnacki!

CZORBA (*wpatrzone w okno*). — Nie! Nie!

SEKRETARZ (*nagle*). — To Mochnacki! Odcięli go z drugiej strony!

TEKLA (*gorączkowo*). — Wpadł do bramy!

SEKRETARZ (*tak samo*). — Brama zamknięta!

TEKLA (*przerażliwy okrzyk*). — Ach!

LUBECKI (*poruszony*). — Co się stało?

TEKLA (*w przerażeniu*). — Kamienie!... Rzucają kamienie...

SEKRETARZ — Uchylił się!

TEKLA (*j. w.*). — Zabiją go! (*do Lubeckiego, składa błagalnie ręce*).—Wuju! Bramę odemknąć! Bramę!  
(*wrzawa, zgietk i krzyki pod oknami dochodzą do maximum napięcia. Okrzyki: Mochnacki! Zdrajca! Mochnacki! Na szubienicę!*).

(*Lubecki, panuje nad wzruszeniem, nieruchomy, jak-gdyby walczył z sobą*).

TEKLA (*podbiega do niego*). — Wuju!

SEKRETARZ (*w oknie*). — Broni się... Jakaś kobieta zasłoniła go...

CZORBA (*odwrócił się, patrzy na Lubeckiego*).

LUBECKI (*do sekretarza, głę szym tonem*). — Każ pan otworzyć bramę!

TEKLA (*do sekretarza, gorączkowo*). — Prędko... (*sekretarz wybiega na prawo — ona przypada do ramienia Lubeckiego*). — Ja byłam pewna!...

LUBECKI (*łagodniej*). — Nie wiem, czy on by to zrobił dla mnie... (*do Czorby*). Każ go tutaj sprowadzić. (*do Tekli*). Usuń się... (*z lekką ironją*). Trzeba szanować miłość własną padających wielkości... (*Na ulicy krzyki folgują. Widocznie odebrano tłumowi ofiarę. Gwizdy, pogroźki, wymysły przechodzą w podniecony gwar, gasną*).

TEKLA Ty wszystko rozumiesz! (*chce pocałować Lubeckiego w rękę, on opiera się, całuje ją w głowę*).

LUBECKI (*łagodnie*). — Idź! (*Tekla wychodzi śpiesznie na prawo*).

## SCENA 11.

LUBECKI — MAURYCY — SEKRETARZ

(*Lubecki przez chwilę na scenie sam, zapalił fajkę, chodzi zamyślony*).

(*Sekretarz wprowadza Maurycego, pół przytomnego. Odzież jego w nieładzie, w oczach rozpacz, przerażenie i bezsilny gniew... Usiłuje odpowiedzieć sekretarzowi na zadane pytania, — czyni to chaotycznie*).

MAURYCY — Nie wiem... napadli nagle, Dunina odepchnęli... Chcieli ciągnąć na szubienicę... (*z krzykiem*). Tak! Na szubienicę! I gdyby nie otwarto bramy...

SEKRETARZ (*życzliwie, prowadząc go do fotelu*). — Niech pan spocznie. Książę-minister kazał otworzyć....

MAURYCY (*odwrócił się nieco, spostrzega Lubeckiego*). — Książę?

LUBECKI (*głębszym tonem, w którym dźwięczy nuta współczucia*). — Witam pana, panie Mochnacki. Niech pan usiądzie. (*gestem dał znak sekretarzowi, który dyskretnie usuwa się w pierwsze drzwi na lewo*).

## SCENA 12.

LUBECKI — MOCHNACKI.

MAURYCY (*stoi bezradny*). — Książę kazałeś otworzyć bramę?

LUBECKI (*położył fajkę na stole, zbliżył się doń*).— Uspokój się pan... Siadaj... (*Mochnacki siada*) Za wysoko chciałeś latać, panie Mochnacki! Tłum jest kapryśny, zmienny... Ale pan jesteś młody, przed panem całe życie. Możesz jeszcze uczynić dużo dobrego... lub złego. (*z lekką ironją*). — Kto wie, może pan będziesz robił jeszcze jedną rewolucję z większym doświadczeniem...

MAURYCY (*zrywd się z fotela*). — Więc i to było ułożone, z góry uplanowane! Tu właśnie... pod oknami Banku... upokorzyć... zdeptać... Ten, co ośmielił się targnąć na autorytet księcia-ministra tutaj właśnie ma być powalony, zohydzony! Teraz zdławić rewolucję, rzucić Polskę pod nogi carowi, to już dziecinna zabawa! Chłopicki, zręcznie podstawiony, w dobrej wierze tego dokona! Dla szaleńców, co walkę o wolność podjęli, śmierć lub katorga. Nawet car nie będzie potrzebował się tru-

dzie! Szubienice wzniesie motłoch miejski. Dla ciebie, mości księżę, łaski, zaszczyty, władza!...

*(Lubecki słucha tych słów z rosnącym oburzeniem, które stara się opanować, sili się nawet na ironiczny uśmiech. Lecz nagle ból skrzywił jego twarz, rzuca się na Mochnackiego, chwytą go za ramiona, potrząsa silnie).*

LUBECKI — Cicho! Ani słowa więcej! Ani słowa! *(chwila milczenia. Obaj oddychają ciężko, patrząc na siebie z nienawiścią).* — Pan śmiesz sądzić, że całe moje życie... nie dla narodu? Nie dla ojczyzny?... że tylko ambicja, chciwość... karierę?... *(silniej).* Wstyd! Wstyd! *(puszcza go, opanował się, zmatowanym głosem).* — Pod moim dachem jesteś, panie Mochancki! Wybacz, że się nie zdołał pohamować!

MAURYCY *(ponury).* — Niech księżę przebaczy. Uniosłem się.

LUBECKI — Jeśli o tryumf chodzi, panu się on należy. *(Mochnacki patrzy nań, zaskoczony).* — Schodzę z placu. Wyjeżdżam *(postrzegł pytanie w oczach Mochnackiego).* — Do Petersburga...

MAURYCY *(zimny i nieufny).* — Do Petersburga?

LUBECKI — Chcą, bym próbował ratować...

MAURYCY *(ponuro).* — Co?

LUBECKI — Co się jeszcze da ocalić... Pan sądzisz, że nie należy się spodziewać prześladowań, pomsty, utraty reszty swobód?... Pan wierzysz, że możemy uniknąć klęski?

MAURYCY *(pod wpływem własnych słów, odzyskuje zapamiętanie).* — Choćby nawet! Więc cóż? Ulegnie-

my jeszcze raz przemocy! Ofiary? Naród ocknął się z odrętwienia. To ważniejsze, niż wszelkie straty. Naród odczuł nieodzowną, nigdy nie zgąszoną potrzebę wolności! Człowieka i naród robi nie trzeźwy rozum, lecz gorące serce. Wiara! (*dłuższa chwila milczenia, Lubecki zrobił parę kroków w zamyśleniu, Mochnacki mocno, z głębokiem przekonaniem*). — Naród, który nie usiłuje odzyskać utraconej niepodległości, nie jest jej godzien. Inne narody powiedzą o nim: oto z losem się pogodził! Bóg zwycięzca domaga się ofiary z krwi!

LUBECKI (*stanął przed Mochnackim, ręce założone w tył*). — Co pan zamierzasz uczynić?

MAURYCY — Moja rola skończona. Pójdę w pole, jako prosty żołnierz. Jeśli mam zginąć, niechże od kuli moskiewskiej!

LUBECKI — Umrzeć, jak bohater, każdy Polak potrafi... Pan powinienes żyć... Pan masz talent i zapamiętań....

MAURYCY (*z goryczą*). — Ukrywać się muszę przed tym tłumem, dla którego chciałem zdobyć wolność!

(*w drzwiach z prawej strony Tekla*).

### SCENA 13.

CIŻ — TEKLA.

LUBECKI (*postrzegł Teklę, łagodnie*). — Czego chcesz?

(*Mochnacki odwrócił się, zobaczył Teklę, wpatruje się w nią, jakby olśniony nagłym zjawiskiem, zapomniał ukłonić się, przywitać*).



TEKLA (*lekko skłoniła się głową Mochnackiemu, raczej do niego, niż do Lubeckiego*). — Przepraszam... Pan Czorba za chwilę wyjeżdża... Przyszło mi na myśl, że gdyby pan Mochnacki (*uśmiechnęła się do niego smętnie*) zamierzał również wyjechać, pan Czorba mógłby pana zabrać. Jedzie do Lublina.

LUBECKI (*do Mochnackiego*). — Gdybyś pan miał ten zamiar... dobra sposobność. Z Czorbą będziesz bezpieczny.

TEKLA — Ja dziś jeszcze odwiedzę matkę pana i uspokoję... Zgadza się pan?

MAURYCY (*po chwili wahania*). — Dziękuję pani... Pojadę...

TEKLA (*przez drzwi do niewidzialnego Czorby*). — Pan Mochnacki zgadza się.

#### SCENA 14.

CIŻ — CZORBA.

(*Czorba staje w drzwiach*).

CZORBA (*skłonił się Mochnackiemu*). — Konie czekają... Musimy jechać zaraz.

MAURYCY — Jestem gotów.

TEKLA (*wyjęła parę białych róż z wazonu, podaje je Mochnackiemu*). — Niech pan weźmie te róże... na pamiątkę naszego spotkania.

MAURYCY (*wzruszony*). — Dziękuję pani... (*pochyliła się i składa na jej ręce pocałunek*).

LUBECKI (*zbliżył się*). — Walczyliśmy z sobą... bez pardonu! Może nie spotkamy się nigdy... (*Wyciąga do niego rękę*).

MAURYCY (*zawahał się, wyciąga szybkim i stanowczym ruchem dłoń*). — Mości książę! Choćbyśmy obaj mieli przepaść — to, co wieczne — zostanie!

TEKLA (*głębokim tonem*). — Polska!

MAURYCY (*z rosnącym zapałem*). — Tak jest, Polska! Bo Polska, to nie grunta uprawne, bogate miasta, kominy fabryczne. — Polska, to myśl niepodległości! To wiara... nie, to pewność, że niepodległość ziścić się musi! To pewność, że sprężymy nanowo w jedną całość wszystkie ziemie polskie, że Polska stanie się twierdzą Europy, pogromem dla złych sąsiadów, wybranym Słowiańszczyzny ludem!

(*za oknami w oddali słychać wrzawę tłumu, dalekie dźwięki orkiestry, śpiew coraz bliższy, aż wreszcie tuż pod oknami*):

„Hej, kto Polak, na bagnety,  
Żyj, swobodo, Polsko — żyj”!

TEKLA (*głębokim tonem*). — Tak nam Panie Boże dopomóż!

LUBECKI (*głęboko poruszony i zdumiony*). — Pan dziś... w tej chwili... po wszystkim, co zaszło... nie tracisz wiary? Wierzysz pan?..

MAURYCY (*głębokim tonem, wskazuje na okna*). — Słyszysz, książę?..

(*wszyscy wsłuchani w śpiew, który huczy pod oknami*).

Z a s ł o n a   s p a d a

K O N I E C .

# GŁUSZEC

KOMEDJA W 3-CH AKTACH



# TEATR ROZMAITOŚCI

---

Czwartek, dn. 21-go lutego 1918 r.

1-szy R A Z

## G Ł U S Z E C

Komedja w 3-ch aktach

STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Profesor Hilary Pazurkiewicz	<i>Mieczysław Frenkiel</i>
Malwina, jego siostra . . . .	<i>Ant. Junosza-Gostomska</i>
Stasia, jego córka . . . . .	<i>St. Lubicz-Sarnowska</i>
Tadeusz Pazurkiewicz . . . .	<i>Jerzy Leszczyński</i>
Doktor . . . . .	<i>Józef Śliwicki</i>
Amelja . . . . .	<i>Felicja Pichor</i>
Wawrzyniec Flecik . . . . .	<i>Józef Węgrzyn</i>
Siarczyński . . . . .	<i>Paweł Owerło</i>
Siarczyńska . . . . .	<i>Helena Michałowicz</i>
Jadwiga, pierwsza panna w pracowni Amelji . . . . .	<i>Karolina Lorenz</i>
Szofer . . . . .	<i>Włodzimierz Śmieszko</i>
Służąca . . . . .	<i>Marja Hertzowa</i>

Akty I i III w małym miasteczku — u Hilarego, akt II w Warszawie, w mieszkaniu Amelji.

---

Reżyserował: *Jan Janusz*.



# TEATR MAŁY

W MAŁEJ SALI FILHARMONJI WARSZAWSKIEJ

---

SEZON 1922—23

Pod dyрекcją *ARNOLDA SZYFMANA*

W PIĄTEK, DNIA 8-go GRUDNIA 1922 ROKU, O GODZ. 4-ej PO POŁ.

55-ty raz (po wznowieniu)

## G Ł U S Z E C

Komedja w 3-ch akt. *STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO*

Profesor Hilary Pazurkiewicz	<i>Antoni Siemiaszko</i>
Malwina, jego siostra . . .	<i>Helena Pawłowska</i>
Stasia, jego córka . . . .	<i>Marja Brydzińska</i>
Tadeusz Pazurkiewicz . . .	<i>Władysław Grabowski</i>
Doktór . . . . .	<i>Antoni Fertner</i>
Amelja . . . . .	<i>Marja Gella</i>
Wawrzyniec Flecik . . . .	<i>Henryk Małkowski</i>
Siarczyński . . . . .	<i>Mieczysław Batogowski</i>
Siarczyńska . . . . .	<i>Zofja Czaplińska</i>
Ja d w i g a, pierwsza panna w pracowni Amelji . . .	<i>Marja Arnoldówna</i>
Dentysta . . . . .	<i>Tadeusz Żelski</i>
Służąca . . . . .	* * *

Pierwszy i trzeci akt dzieje się w małym miasteczku u Hilarego Pazurkiewicza. Drugi akt w Warszawie, w mieszkaniu Amelji.

---

Dekoracje: *St. Śliwińskiego*

Reżyser: *K. Borowski*

Stasia - typ "chłopczy" <sup>"</sup>  
Siarczyńska - paszardka

## A K T I.

*(Gdy zasłona się podnosi, na scenie Malwina. Siedzi w fotelu z książką na kolanach i drzemie, słodyczą letniego powietrza ukołysana. Ubrana skromnie, lecz z pewną prowincjonalną pretensjonalnością, pozbawioną wykwińniejszego smaku).*

*(Po chwili z prawej strony otwiera się furtka i wchodzi doktor. Dobrze szpakowaty, w niemodnym, źle skrojonym szaraczkowym surducie, kołnierzyk stojący niski, mocno na przedzie dla wygodę otwarty, krawatka mała, czarna. Doktor nosi brodę źle strzyżoną, słomkowy kapelusz cokolwiek archaicznej formy.*

*Niesie w rękę aparat fotograficzny, sporych rozmiarów i trójnóg).*

## SCENA 1.

MALWINA — DOKTÓR — STASIA.

Ogródek przy dworku mieszczańskim, na krańcach prowincjonalnego miasta. Ganek, obrośnięty dzikiem winem. Rabaty kwiatów niewyszukanych: Gladiole, piwonje, róże... Dom z prawej strony, z lewej parkan od ulicy, zasłonięty zielenią, w parkanie furtka. Od widowni w głąb sceny aleja, ciągnąca się możliwie daleko, obsadzona drzewami owocowymi. Na przodzie sceny stół ogrodowy, wokół niego krzesła i fotele. Wczesne popołudnie lipcowe.

DOKTÓR *(już w furtce dojrzał Malwinę)*. — Moje uszanowanie pani.

MALWINA (*drgnęła przestraszona*). — Ach... (*przymknęła oczy, po chwili*). To pan!

DOKTÓR (*zamknął furtkę i wraz z aparatem i trójnogiem zbliża się do stołu*). — Przerwałem pani drzemkę?... Przepraszam... (*położył swe pakunki na stole i całuje Malwinę w rękę*).

MALWINA (*żywo*). — Ależ ja wcale nie spałam... Zadumałam się nieco nad książką...

DOKTÓR (*rzucił okiem na książkę*). — Poezje! To nasza nielojalna konkurencja. Ileż to ludzkość potrzebowałaby recept na środki nasenne, gdyby nie długie poematy! Ci, co je piszą, sami mrą z głodu, a lekarzom chleb odbierają!

MALWINA — Ja nigdy w dzień nie sypiam... W nocy zresztą również... (*Doktor wziął trójnog i szuka dlań odpowiedniego miejsca*). Będzie pan fotografował Stasię?

DOKTÓR — Tak... Hilary mię prosił... (*znacząco*). Termin się zbliża.

MALWINA (*wchodzi w jego ton*). — Stasia zaraz się przebierze. Ubranie rano przynieśli.

DOKTÓR (*ustawił nareszcie trójnog, spojrzął w górę*). — Tu będzie dobre światło... (*kładzie na trójnogu aparat*). Tak... Teraz możemy poczekać. (*Siada w fotelu, opodal Malwiny*). Muszę pani otwarcie powiedzieć, że nie lubię tej dorocznej operacji. Wolałbym już jakiemuś bardziej niecierpliwemu pacjentowi podróż na tamten świat ułatwić.

MALWINA — Co też pan mówi !

DOKTÓR — Mam za każdym razem wrażenie, że puszczam w obieg fałszywą monetę... któryż to raz? Siedemnasty? Stasia miała wtedy trzy lata.

MALWINA (*lekkie westchnienie*). — Dziś ma dwadzieścia....

DOKTÓR — Czy pani nie uważa, że pośpiech, z jakim biegną lata, jest grubo przesadny?

MALWINA (*j. w.*). — Pan jest młody...

DOKTÓR — Mam młodą duszę, która coraz gorzej nudzi się w starym ciele.

MALWINA — Bo pan nie ma wygód, opieki... Dlaczego pan się nie żeni? (*sentencjonalnie*). Tylko w małżeństwie można znaleźć prawdziwe szczęście.

DOKTÓR — Dla kobiety — tak. Ja też jestem za tem, żeby kobiety wychodziły za mąż. Wszystkie. Ale jestem przeciwny, żeby mężczyźni się żenili...

(*Malwina patrzy na niego zdezorientowana, niezupełnie rozumiejąc, co chciał przez to powiedzieć. Furtka otwiera się gwałtownie i z trzaskiem, wbiega Stasia, śliczna młoda dziewczyna, o krótkich, rozwichrzonych włosach, w letniej sukience*).

STASIA (*szybko biegnie wzdłuż parkanu, na ganek*).

MALWINA — Stasiu! Pan doktor przyniósł aparat. Gdzie ty lecisz?

STASIA (*już na ganku*). — Zaraz... Jastrząb lata nad kurnikiem... Nie mam czasu (*znika w głębi domu*).

MALWINA — Ta dziewczyna naprawdę stworzona na mężczyznę!

DOKTÓR — Los chce nas choć w pewnej mierze usprawiedliwić.

*(Stasia wybiega z fuzją w rękę i kieruje się w głąb sceny).*

MALWINA *(zerwała się z miejsca przerażona)*.—Co ty wyprawiasz, Stasiu! Ty się jeszcze zastrzelisz!

STASIA *(z daleka potrząsa fuzją)*. — Ja mu pokażę! Zobaczyci ciocia! Zaraz wrócę... *(znika za węglem domu)*.

MALWINA *(zatroskana)*.—Ona się jeszcze postrzeli.

DOKTÓR *(śmieje się)*. — Postrzelona to już jest.  
*(za sceną wystrzał jeden, drugi).*

MALWINA *(przerażona zsuwa się w ramiona doktora)*. — Ach.

DOKTÓR *(niezbyt rad)*. — Czy pani niedobrze?

MALWINA *(odczuła brak ciepła w tych słowach, odsuwa się)*. — Nie... Tylko ten nagły huk...

*(Stasia wybiega z za węgła i zbliża się z fuzją na ramieniu do stołu).*

DOKTÓR — No cóż jastrząb? Kazał ci się kłaniać?

STASIA *(śmieje się)*. — Panu doktorowi specjalnie...  
Ale pióra z niego tak się posypały...

DOKTÓR — Ze strachu ?

STASIA *(j. w.)*. — Pewnie... *(kładzie fuzję na stole i wita się z doktorem, który całuje ją w czoło)*.

MALWINA *(Stasia przesunęła tak fuzję, że luży znalazły się naprzeciw Malwiny)*. — Jezus Marja!, Stasiu, to może wystrzelić!

STASIA *(śmieje się)*. — Przecież nie nabita.

MALWINA — Tego nigdy nie można wiedzieć. Bywa tyle wypadków. Proszę cię, weź to...



- STASIA — Dobrze, dobrze... (*odsuwa fuzję na bok*).  
Jakie te kobiety są nerwowe.
- DOKTÓR — A ty, nie jesteś kobietą?
- STASIA (*mrugnęła filuternie do doktora*). — Nie dla wszystkich... Prawda? (*Spojrzała na aparat fotograficzny*). Mam się przebrać?
- DOKTÓR — Teraz, dobre światło...
- STASIA (*wzięła w pół Malwinę i całuje ją*). — Już się nie gniewa?
- MALWINA (*ułagodzona*). — Jak ty wyglądasz! Przejrzyj się w lustrze... (*do doktora*). Mnie zawsze rażą jej krótkie włosy.
- STASIA (*zalotnie*). — Panie doktorze. Czy ja naprawdę tak strasznie wyglądam?
- DOKTÓR (*z przekonaniem*). — Strasznie! Nie mogę się na ciebie patrzeć.
- STASIA (*udaje zmartwioną*). — Naprawdę?
- DOKTÓR — Ogarnia mię wściekłość, że mam o dwadzieścia lat za dużo.
- STASIA (*Podziękowała mu spojrzeniem i uśmiechem*). — Widzi ciocia!
- DOKTÓR — I zawsze mam ochotę udusić tego młodego poetę, filozofa i estetę...
- STASIA (*wybucha śmiechem*). — Pana Wawrzyńca... Doskonale.
- MALWINA — Doktor jej tylko w głowie przewraca... (*do Stasi, poważniej*). Świeżość i uroda przemijają, natomiast zalety charakteru i umysłu...
- DOKTÓR (*kończy*). — Są pociechą kobiet starszych i brzydkich.
- MALWIŃA (*zła*). — Dziękuję panu.

- STASIA (*tłumi śmiech, półgłosem do doktora*). — Już ja wolę obejść się bez tej pociechy.
- MALWINA (*odczuła raczej, niż spostrzegła, uśmiech Stasi, podrażniona*). — Słyszałam, jak rozmawiałaś z Antkiem. Moja droga, tak kłóćą się chłopaki w stajni...
- STASIA (*zaperzona*). — A kiedy on inaczej nie rozumie! Znowu wybierał piskłęta z gniazda.
- DOKTÓR — I cóżeś mu powiedziała?
- STASIA — Powiedziałam mu (*Wygraża piąstką*): jeśli jeszcze raz schwytam cię na drzewie, to ci wszystkie zęby powybijam...
- DOKTÓR (*śmieje się*). — I przestraszył się? Posypały się z niego pióra?
- STASIA (*Udaje obrażoną*). — E! Pan się ze mnie śmieje! Wyzywam pana na pojedynek. Chce pan? Kto mocniejszy? (*siada koło niego, stawia łokieć na stole. Zaczynają się mocować*).
- STASIA (*Poczerwieniała z wysiłku*). — Nie tak z góry... Tak nie wolno! (*doktor nagle opuszcza z hałasem swoją rękę*).
- STASIA (*z tryumfem*). — A co?... (*nagła nieufność*). Pan naumyślnie...
- DOKTÓR — Wcale nie... Tylko ty jesteś taka mocna...
- MALWINA — Stasiu! Jeśli ta fotografia ma być zrobiona.
- STASIA (*nagle posmutniała*). — Prawda... (*do doktora*). Ja nie lubię tej manipulacji. Przebrać się? Owszem. Ja bym zawsze chodziła po męsku. Lecz żeby kogoś wprowadzać w błąd...

MALWINA — To już wina naszych anormalnych stosunków. W innym kraju ojciec twój byłby członkiem akademji, bogatym, sławnym...

STASIA (*zdecydowana*). — Do widzenia... (*biegnie ku gankowi. Nagle zatrzymuje się, niespodziewaną myślą tknięta*). A może sfotografowałby mnie pan na koniu?

MALWINA — Jeszcze czego! Co tobie w głowie!

DOKTÓR (*śmieje się*). — Skądże ja ci wezmę bucafała?

STASIA — Moznaby pożyczyć od reagenta... na pół godziny...

MALWINA (*już uroczysta*). — Proszę cię, Stasiu...

STASIA (*uległa*). — Już dobrze, dobrze... (*znika w ganku*).

DOKTÓR — Ona doznaje tych samych uczuć, co ja...

MALWINA (*zdziwiona*). — Pan chciałby także... na koniu?...

DOKTÓR — Nie... tylko, że my nie jesteśmy w porządku wobec Tadeusza. My go wprowadzamy w błąd..

MALWINA—Jemu powinno być wszystko jedno, czy Hilary ma córkę czy syna.

DOKTÓR — Ale nie jest.

MALWINA — Więc Hilary ma słuszność, twierdząc, że on, pan Tadeusz, sam sobie winien.

DOKTÓR — Najniebezpieczniejszy jest pierwszy fałszywy krok. Potem trudno się zatrzymać. Pamięta pani, przed siedemnastu laty, kiedy Hilary po konkursie wrócił z Warszawy.

MALWINA — Bez grosza!

DOKTÓR — I na drugi dzień depesza z Rumunii! Przekaz telegraficzny na tysiąc rubli... — Jeśli masz syna, biorę na siebie jego wychowanie. Proszę przysłać fotografię.

MALWINA — Szlachetny człowiek!

DOKTÓR — Przeciwnie, egoista! Pochlebiło mu, że jego nazwisko, dzięki Hilaremu, stało się nagle głośnem. Czy przedtem troszczył się o niego? Obudziła się w nim ambicja dynastyczna! Chęć utrwalenia znakomitego rodu Pazurkiewiczów!

MALWINA (*z wymówką*). — Przecież to pański przyjaciel?

DOKTÓR — Od tego się ma przyjaciół, żeby ich obmawiać... (*zmiana tonu*). Pani wybaczy, ja Hilarego nie namawiałem, żeby posyłał fotografię Stasi. Przeciwnie. Ostrzegałem, przekładałem... Ale trafił Pazurkiewicz na Pazurkiewicza.

MALWINA — Hilary poświęcił się dla Stasi, żeby zapewnić jej wychowanie.

DOKTÓR (*sceptyczny*). — Właśnie! Żeby podeprzeć zamięłowanie do próżniactwa rentą z nieba .

MALWINA (*dotknięta*). — Zdawało mi się, że pan jest przyjacielem Hilarego.

DOKTÓR (*Podniecony*). — Proszę pani, przecież nie będę obgadywał nieznanomych! Teraz mój przyjaciel w Rumunii ma śliczną kolekcję fotografii Stasi w spodniach! Szesnaście! Dawniej nie było kłopotu... (*w furtce od ulicy pojawia się Hilary*). Ale teraz!

## SCENA 2.

CIŻ — HILARY.

*(Hilary wysoki, włosy prawie białe, odrzucone z czoła, wąsy i napoleonka. Ubranie marynarkowe, krawat niebieski w białe grochy, z fantazją zawiązany, w stroju i ruchach pewna artystyczna dezinvoltura. Lubuje się w ozdobniejszych wyrażeniach, powtarzając je chętnie. Jest w dobrym humorze, rozweselony winem).*

HILARY *(z szerokim gestem do doktora)*. — Francesco! Come sta, amico! Uwodzisz Malwinę? Będę musiał cię zabić. Żal mi cię, zważywszy na twój wiek, jeszcze wczesny. Ale trudno! Honor rodu przedewszystkiem. Chyba, że się z nią ożenisz *(potrzęsa silnie dłonią doktora)*. Słuchaj! Dlaczego tybyś właściwie nie miał się z nią ożenić?

MALWINA *(urazona)*. — Mój drogi, wypraszam sobie podobne żarty. Już widzę, że byłeś w handelku.

HILARY *(majestatycznym ruchem ręki powitał Malwinę)*. — Witaj Malwino! Uspokój się! Piłem dobrego maślacza, ale nie dla własnej przyjemności. Piłem, żeby Stasi zapewnić szczęście.

DOKTÓR *(do Malwiny)*. — Jego życie jest pasmem nieprzerwanych poświęceń.

HILARY — Duszę twą zatrzał jad sceptycyzmu!... jad sceptycyzmu! Boleję nad tobą! *(do Malwiny)*. Piłem ze starym Flecikiem. Ułożyliśmy wszystko.

MALWINA *(zaniepokojona)*. — Cóżście ułożyli?



HILARY — Małżeństwo Stasi z Wawrzyńcem Flecikiem. Wolałbym, żeby nazywał się inaczej. „Flecik“ brzmi melodyjnie, ale nie poważnie. Wawrzyńiec przecież uczyni swe nazwisko poważnem i poważanem. Ten chłopiec odnajdzie drogi ducha. Ja się znam na tem. Ten chłopiec odnajdzie drogi ducha.

DOKTÓR (*z lekką ironją*). — Czy to jego talent skłania cię do oddania mu Stasi?

HILARY — Oczywiście.

DOKTÓR — A gdyby stary Wojciech Flecik nie miał pierwszego w mieście składu aptecznego i dwóch kamienic?

HILARY — Duszę twoją zatrzał jad sceptycyzmu. Żal mi cię, przyjacielu (*melancholijnie*). Ja — dla siebie — nic już w życiu nie oczekuję. Wolno mi szukać szczęścia dla jedyne go dziecka.

MALWINA (*zatroskana*). — Ja nie wiem, mój Hilary, czy Stasia...

HILARY (*przerywa*). — Mówiłem z nią rano. Będzie z nim szczęśliwa. Jestem przekonany. To chłopiec wyjątkowych zalet. Umysłowiec i pięknoduch. Będą mieszkali w Warszawie, ja będę do nich przyjeżdżał. Dom ich będzie ogniskiem czystej sztuki. Sztuki przez duże S, niewierny synu Esku-lapa!

DOKTÓR — Trzebaby tylko sprawdzić, czy Stasia właśnie tak widzi swoje przyszłe szczęście, — przez duże S.

MALWINA (*pojednawczo*). — Stasia bardzo lubi pana Wawrzyńca. Bawi się z nim, śmieje....

DOKTÓR (*pod wąsem*). — Bawi się nim, a śmieje się z niego.

HILARY (*odwraca niemiłą mu rozmowę*). — Gdzież jest ostatnia z rodu Pazurkiewiczów?

MALWINA — Ubiera się... Doktor będzie fotografował.

DOKTÓR (*j. w.*). — Doroczna maskarada.

HILARY (*do doktora*). — Wyjdzie za mąż, znajdzie bezpieczną przystań i ciężar spadnie z piersi. (*Uśmiechnął się*). Stary Flecik podejrzewa, że mamy znaczny majątek. Chciał koniecznie wy badać, gdzie lokujemy kapitały...

DOKTÓR — Wyprowadziłeś go z błędu?

HILARY (*z szerokim gestem*). — Perche? Zmartwiłby się. Czyż należy rodakowi wyrządzać przykrość? Złych wiadomości nie należy nigdy przyspieszać. (*Do Malwiny*). Pić mi się chce, Malwino! Gardło me suche jest, jak pustynia, po której hulały dyszące żarem wiatry... (*gest*), dyszące żarem...

MALWINA (*wstaje*). — Dam ci wody z cytryną.

HILARY (*Oburzony*). — Wody z cytryną! (*do doktora*). Nie żeń się z nią, przyjacielu. Ona nie ma serca. Oto brat gości w swym domu kochanego druha, słońce pali, żar doskwiera, — a ona proponuje: wody z cytryną! (*Malwina stanęła niezdecydowana*). — Już choćby tego sikacza! Nie dla mnie! (*gest w stronę doktora*). Dla niego!

DOKTÓR — Ja nie piję.

HILARY (*do Malwiny*). — Obraziłaś go. Ale wypije. Ja go znam. Niech zobaczy zbliska, niech powącha... On jest zwolennikiem metod doświadczalnych. Empirysta.

(*Malwina idzie na ganek i znika w domu*).

### SCENA 3.

DOKTÓR — HILARY.

HILARY (*czuły, ściska doktora*). — Poczciwy jesteś. że pamiętasz... (*wskazał na aparat*).

DOKTÓR — Czy ty nie masz nigdy wyrzutów sumienia? Przecież ty Tadeusza wprowadzasz w błąd?..

HILARY — Powinien mi być wdzięczny. Pragnął, by poeta Pazurkiewicz, laureat konkursu, nie zszedł do grobu bez męskiego potomka. I oto jest przekonany, że taki potomek istnieje, że ród Pazurkiewiczów utrwalony. Więc żyje sobie spokojnie w swojej Rumunji, wierci naftę, gromadzi miliony. Gdyby się dowiedział, że mam tylko córkę, zmartwiłby się, — kto wie, — może osłabłaby jego energja, jego przedsiębiorczość... On mi wiele zawdzięcza...

DOKTÓR — Ale gdyby chciał kiedy sprawdzić... nie przy pomocy fotografii...

HILARY — Sam byłby sobie winien. Ten doznaje rozczarowań, kto ich szuka. Zresztą sam wiesz. On jest zrażony do kraju, kobieta! Nieszczęśliwa miłość...

DOKTÓR (*niechętnie*). — To nie ma nic do rzeczy.

HILARY (*palec przy ustach*). — Tajemnica! Stracił równocześnie narzeczoną i przyjaciela. (*zmiana tonu*). Nigdy nie mogłem zrozumieć, o co wam właściwie poszło. Jej mąż podobno umarł?

DOKTÓR (*wyrwało mu się*). — Już rok temu!

HILARY (*zdziwiony*). — Wiedziałeś? I nic mi nie mówiłeś? (*z wymówką*). Już cię to nic nie obchodzi! Wy wszyscy nie macie serca.

DOKTÓR — Serce tem się różni od kapelusza, że się je nosi głęboko ukryte.

HILARY — Serce powinno się nosić na dłoni.

DOKTÓR — A gdyby tak jemu przyszła kiedy fantazja przyjechać tutaj, — sprawdzić, jak wygląda ów młodzieniec, którego fotografię co roku mu wysyłasz, a wzamian otrzymujesz przyjemny czek na jego wychowanie? Ładna historia! Cobyś ty zrobił?

HILARY — Nie wiem. Ty zanedo komplikujesz życie. Nie wiem... (*Malwina idzie od ganku z tacą, na której butelka i kieliszki*). Ale za to wiem, co teraz zrobię. Wypiję jego i twoje zdrowie. On wierci sobie naftę — ty wiercisz mi dziurę w brzuchu. (*nalął wina, spróbował, skrzywił się*). Nafta lepsza.

MALWINA (*stropiona*). — Wino niedobre?

HILARY — Tamto, Flecika, było lepsze! (*do doktora z lekką emfazą*). Ale to jest zdobyte zabiegiem własnej pracy. Niech ci osłodzi je uczucie szczerzej gościnności, przyjacielu! (*wypił duszkiem, zmiana tonu*). Może byś i mnie sfotografował?

DOKTÓR (*bez entuzjazmu*). — Jeśli chcesz...

HILARY (*improwizuje*). — Pod rozłożystą lipą... przy  
dzbanie chłodnego wina... poeta oplakuje stratę  
jedyne go dziecięcia...

MALWINA (*przerazona tym obrazem*). — Jezus  
Marja! Przecież Stasia, chwała Bogu, zdrowa.

DOKTÓR (*ironiczny*). — I lipy niema w tym ogrodzie!

HILARY (*melancholijny*). — Stasia pójdzie w świat...  
zostanę sam z Malwiną...

DOKTÓR (*uparty*). — Ale lipa, gdzie lipa?...

HILARY (*zły*). — Nudny jesteś z tą lipą! Nikt na fo-  
tografji nie sprawdza kształtu liści... (*wstaje i czy-  
niąc aluzję do fotografji*). A może w płaszczu  
hiszpańskim?

MALWINA — Przynieść ci pelerynę?

(*Na ganku pojawia się Stasia w męskim przebraniu,  
w kapeluszu filcowym, — i zbliża się do nich*).

#### SCENA 4.

CIŻ — STASIA.

STASIA — Jestem gotowa. Dzień dobry ojczulku!  
(*wita się*).

MALWINA — Jak ona wygląda! Jabym spaliła się  
ze wstydu.

HILARY (*roztworzył szeroko ramiona*). — Jak się  
masz, chłopcze. Tu, na moje łono. (*ściska ją*).  
Czy może być większe szczęście ojca? W jednym  
dziecięciu córka — i syn.

STASIA — Jabym wolała zawsze być chłopcem (*do  
doktora*). Dobrze wyglądam? (*doktor kiwa głową  
z widocznym upodobaniem*). Poznałby kto, że nie  
jestem mężczyzną? (*doktor gestem przeczy*).



MALWINA — Jakim sposobem ty umiesz chodzić... w tym... *(wstydliwie wskazuje spodnie)*.

STASIA — Ależ to daleko wygodniejsze, niż spódnica! Ot, na przykład, trzeba skoczyć przez rów. *(wzięła laskę ojca i kreśli na piasku linje)*. Tu jest rów *(skacze)*. Niech teraz ciocia spróbuje.

MALWINA *(oburzona)*. — Ja? Ty masz źle w głowie.

DOKTÓR *(do Stasi)*. — No, do roboty! *(Zbliżył się do aparatu i zaczyna w nim majstrować)*.

HILARY *(nalatł sobie kieliszek wina, wypił)*. — Ja pójdę po płaszcz hiszpański. *(idzie ku gankowi i znika w głębi domu)*.

DOKTÓR *(zajęty przy aparacie)*. — W nagrodę za trudy, panna Malwina zagra mi potem Szopena. Ja tak lubię pani grę... *(Malwina uśmiecha się, widocznie zadowolona)*. To dziwne, przy fortepianie pani całkiem się zmienia, staje się pani inną...

MALWINA *(dotknięta)*. — Nigdy nie będę panu grała! *(odchodzi obrażona)*.

DOKTÓR *(stropiony)*. — Co jej się stało? Przecież jej nie obraziłem?

STASIA *(śmieje się)*. — Właśnie, że tak... i bardzo! Powiedział pan, że ciocia podoba się panu tylko przy fortepianie...

DOKTÓR — Nie powiedziałem: „tylko“.

STASIA — Jabym panu oczy wydrapała za taki komplement.

DOKTÓR *(zajęty przy aparacie)*. — Z nikim innym nie jest taka drażliwa, — tylko ze mną...

STASIA — Bo ciocia się w panu kocha.

DOKTÓR (*tak się przestraszył, że o włos aparatu nie wywalił*). — Co ty pleciesz? Wszelki duch Pana Boga chwali!

STASIA — Ja to już dawno spostrzegłam. Gdy pan ma przyjść, ciocia zawsze kładzie gorset... Przy panu nic nie je, dopiero gdy pan pójdzie, dobiera się po cichu do kredensu... Skoro pan jaką książkę pochwali, ciocia zawsze ją czyta, choćby ją najbardziej nudziła... (*objęła go spojrzeniem cokolwiek lekceważącym*). Mężczyźni nic nie rozumieją!

DOKTÓR — To okropne... Ja się przeniosę do innego miasta. (*tknięty podejrzeniem*). Słuchajno, ty, młoda wrono, ty sobie nie drwisz ze mnie?

STASIA (*udaje obrażoną*). — Nie wiem, do kogo pan mówi.

DOKTÓR (*popatrzył na nią, chciał jeszcze coś powiedzieć, zastanowił się, machnął ręką, poczem z rezygnacją i surowszym tonem*). — Proszę stanąć tam... przy krzaku.

STASIA (*idzie na wskazane miejsce, posłuszna*). — Tutaj?

DOKTÓR (*wsadził głowę pod czarne sukno aparatu*). — Zaraz... Dobrze! Teraz proszę patrzeć na aparat. (*Stasia przystawiła obie ręce do ust i pokazuje koniuszki języka*). Co to jest? Byłbym zepsuł kliszę. Chociaż właściwie szkoda! Niechby rumuński wujaszek zobaczył, jakim opiekuje się gągatkiem.

STASIA (*pokorna*). — Już jestem grzeczna.

DOKTÓR — Przyjemny wyraz twarzy! (*Stasia robi nieco małpie miny*). Chcesz, żebym sobie poszedł? (*Stasia śmieje się, uspakaja*). Teraz dobrze, patrzeć na aparat... Chwila spokoju... Raz... Dwa... Trzy... Już! (*wysuwa głowę z pod sukna*). Wolalbym żydowi wyciąć ślepią kizkę!

STASIA (*przeciagnęła się, jakby ogarnięta zmęczeniem*). — Uf. Czy pan przy każdej operacji jest równie nieprzyjemny? (*zbliżyła się do niego i ociera się, jak kotka*).

DOKTÓR (*objął ją ramieniem i czyniąc aluzję do poprzedniej rozmowy*). — Powiedz teraz... żartowałeś ze starego?

STASIA (*patrzy mu w oczy*). — Pan wcale nie jest stary... Zresztą... ja nie lubię młodych. Dla mnie mężczyzna zaczyna się od czterdziestu lat.

DOKTÓR — A kończy?

STASIA (*śmieje się*). — Tego jeszcze nie wiem... (*serjo*). Mnie, na przykład, bardzo się podoba wuj Tadeusz.

DOKTÓR — Z fotografii?

STASIA — Pamięta pan tę ostatnią, zeszłoroczną? W getrach, w czapce angielskiej, przy automobiliu. On ma własny samochód?

DOKTÓR—Pewno. Taki nafciarz niczego sobie nie odmawia.

STASIA — Boże mój, co to za szczęście pędzić w świat szeroki, według własnej woli, w dzień i w noc, przez góry i doliny... coraz nowe krajobrazy, nowi ludzie, nowe wrażenia... (*zmiana tonu*). Czy on jest naprawdę taki ładny?

DOKTÓR — Samochód?

STASIA (*śmieje się*). — Nie... wujaszek.

DOKTÓR — Czy ja wiem, jak on teraz wygląda.

STASIA — Pan był z nim w przyjaźni?

DOKTÓR — Nie znałem nieznośniejszego człowieka.

On nie uznawał nigdy innej woli, prócz własnej.

Wszyscy musieli mu ulegać. Był stworzony do

Afryki środkowej, albo na Bałkany.

STASIA (*wysłuchana*). — Siłny człowiek! Czy on kiedy tu przyjedzie?

DOKTÓR — Mam nadzieję, że nigdy. Byłby ładny bigos! Nie chciałbym być w skórze Hilarego... i twojej.

STASIA — A mnie śni się czasem, że on przyjeżdża!

Automobilem... w getrach...

DOKTÓR — I nie boisz się?

STASIA — Nie. Uśmiecha się do mnie, wita, potem zabiera z sobą, i jedziemy razem, przez góry i doliny, daleko...

DOKTÓR (*zdziwiony*). — Słuchajno — ty często miewasz takie sny?

STASIA (*szczerze*). — Często. Albo co?

DOKTÓR (*obrzucił ją spojrzeniem*). — Nic (*z ganku idzie Hilary, udrapowany w długą pelerynę, w czarnym kapeluszu o szerokim rondzie, za nim Malwina*).

HILARY — Malwina schowała mi pelerynę... Dobrze wyglądałam?

(*Malwina nie patrzy na doktora, siada nadęta na boku*).

DOKTÓR — Hidalgo z pałaców, sterczących dumnie.

Szkoda, że cię twoi sztubacy nie widzą. (*objął nie-*

*spokojnym wzrokiem Malwinę i cicho do Stasi).*  
Będę musiał przenieść się do innego miasta. (*Hilary nalewa sobie wina*). Zatrzymał mi życie...

HILARY (*nie dosłyszał*). — Co mówisz, Francesco?...  
(*pije*).

## SCENA 5.

### CIŻ — WAWRZYNIEC

(*Przez furtkę wchodzi Wawrzyniec Flecik, młody człowiek, całkowicie wygolony, włosy długie, tużurek Louis-Philippe, krawat szeroki, czarny, związany w dużą kokardę, cylinder o płaskich brzegach.*

Gdy się zbliża, Stasia schowała się za doktora i aparat, tak, że jej nie widzi).

WAWRZYNIEC (*uroczysty*). — Witam państwa.

HILARY (*stanął naprzeciw z rozłożonemi szeroko ramionami*). — Pan Wawrzyniec! Oto miła niespodzianka. Bądź pozdrowiony, młody wieszczu, w tusculum starego wierszopisa. Uboga chata, skromny ogródek, szklanka cienkiego wina, lecz serca szczere i gorące...

WAWRZYNIEC (*nie uronił przy powitaniu nic z powagi i dostojności, pocałował w rękę Malwinę*).  
— Panny Stanisławy niema?

STASIA (*wysunęła się nagle i stanęła za jego plecami*). — Jestem!

WAWRZYNIEC (*odwrócił się szybko i widząc ją w męskim przebraniu, osłupiał*). — O...

STASIA (*wesoła*). — Nie poznał mię pan?



WAWRZYNIEC (*strapiony*). — Istotnie... Co to ma  
znaczyć?

MALWINA (*stara się złagodzić wrażenie*). — Stasia zażartowała sobie z nas... (*do Stasi*). Idź się ubrać. Nie wypada przedłużać tego żartu.

STASIA — Jeszcze chwilę... (*łasi się do niej*). To tak zabawnie... (*do Wawrzyńca*). Panu się nie podobam?

WAWRZYNIEC (*dostojny*). — Ja lubię dla kobiet szaty długie i powłóczyste. Rosetti... Burne-Jones...

HILARY (*podaje mu kieliszek z winem*). — Młodzińcze, oto kropla soku winogrodowego, który dojrzał pod upalnym niebem Hungarji.

WAWRZYNIEC (*j. w.*). — Dziękuję. Pijam tylko napoje ciepłe i uspakajające. Lekka herbata, kwiat lipowy...

DOKTÓR (*wziął z rąk Hilarego kieliszek i pije*).—Rumianek...

WAWRZYNIEC — W Paryżu jest bardzo w użyciu.

STASIA — Rumianek? To okropne. Ja myślałam, że w Paryżu piją tylko szampana z kokotami.

MALWINA — Stasiu.

DOKTÓR — Ona myślała tak: jeśli niema brzoskwiń, to kładzie się do szampana kokotę i pije. Prawda?

HILARY — Starcze rozpustny! Uszanuj niewinność tego dziewczęcia! (*do Stasi, z udaną surowością*). Skąd ten wyraz plamisty w twoich ustach? Czy wiesz, co on znaczy?

STASIA — Wiem. Widziałam we francuskim piśmie humorystycznym panie bardzo wydekoltowane, od

dołu i od góry... I napisane było: Cocottes. *(do doktora)*. A pan sobie drwi ze mnie, bo kobiet, choćby były bardzo wydekoltowane, do szampana się nie wstawia. *(śmiech)*.

HILARY *(do Malwiny)*. — Pozwól jej już zostać w tym stroju... Pan Wawrzyniec wybaczy...

STASIA *(całuje ojca)*. — Ojczulek jest najlepszy... *(bierze przy sposobności jego kieliszek i wypija)*.

MALWINA — Stasiu!

STASIA *(odstawia pusty kieliszek)*. — Skoro niema rumianku...

MALWINA — Zaraz każę podać herbatę... *(idzie w stronę ganku)*.

## SCENA 6.

CIŻ — bez MALWINY

STASIA *(do Wawrzyńca)*. — Tymczasem chce pan gwoździk? *(wyjęła gwoździk z wazonika i wkłada mu do butonierki)*. Pan lubi kwiaty?

WAWRZYNIEC *(uroczysty)*. — Owszem... Lecz najlepiej lubię kwiaty sztuczne i czarne.

DOKTÓR *(pod nosem)*. — Sztuczne i czarne! To rozumiem.

HILARY — Ojciec mówił mi, że pan tworzy. Co piszesz, młody kolego?

WAWRZYNIEC *(j. w.)*. — Sonet.

DOKTÓR — Dawno?

WAWRZYNIEC — Od sześciu tygodni.

STASIA *(zdziwiona)*. — Jeden sonet?

HILARY (*z szerokim gestem*). — Oni nie pojmują tego boskiego trudu, — rojącą się tajemnicę myśli wcielać w kunsztownie rzeźbione słowa... (*przesunął ręką po włosach, odrzucając je z czoła*). O mocy cudowna, która z mgły ducha tkasz wielobarwne tęcze... z mgły ducha... wielobarwne tęcze... (*gest*).

DOKTÓR — Hilary! Napisz to!

HILARY — Po co? Żeby potem do tajemnych korytarzy mojego natchnienia wchodzili w kaloszach i z parasolami gazeciarscy zoile? Najpiękniejsze poematy są te, które nigdy nie zostały napisane.

DOKTÓR — Najpiękniejsze dzieci są te, które nigdy się nie urodziły... Bójcie się Boga, wieszczowie, gdzie logika, gdzie zdrowy polski rozum?

WAWRZYNIEC (*poważny*). — Zdrowy rozsądek nie ma dla artysty żadnego waloru. Powabnem jest tylko szaleństwo. Największa głębia tai się w bezsensie.

DOKTÓR (*machnął ręką*). — Już dobrze. Niech żyje bezsens.

WAWRZYNIEC (*j. w.*). — Wogóle druk płami. Poeta winien szybować wysoko...

STASIA (*skwapliwie*). — Chce pan pójść na huśtawkę?

WAWRZYNIEC (*dostojny*). — Dziękuję pani. Huśtawka sprawia mi zawroty głowy.

STASIA — To nie. Ale przecież pan czasem drukuje?

WAWRZYNIEC — Gdy koniecznie żądają.

DOKTÓR — Ja też ułożyłem wierszyk. Chcę go posłać do redakcji „Gorejącego Węgorza”.

HILARY (*zdziwiony*). — Ty piszesz wiersze?

DOKTÓR — Cóż ty myślisz? W Polsce wszyscy piszą wiersze. Ja mam być gorszy?

STASIA — Niech pan powie. Złoty, kochany panie!...

DOKTÓR — Tobie nie można nic odmówić. (*do Wawrzyńca*). Tylko czy pan...

WAWRZYNIEC (*pobłaźliwy*). — Proszę pana...

DOKTÓR (*deklamuje*).

— W trupiarnym blasku,  
W słonych gwiazd wrzasku,  
Śni samotny nóż w zatrzasku.  
Wierzba sunie długim mostem,  
Wita negra słowem prostem...

— Po piasku! Po piasku!..

STASIA (*wybuchając śmiechem*). — Po piasku!..

HILARY (*śmieje się do Wawrzyńca*). — Dla niego niema nic świętego.

STASIA (*ze śmiechem*). — Ale co to ma znaczyć: Po piasku. Do jakiego Popiaska pan mówi.

DOKTÓR (*do Wawrzyńca*). — Widzi pan... Nie rozumiała (*do Stasi*). To brzmi, jak kantylena. Taka smętna wierzba... sunie mostem... tam czarny murzyn... Po piasku...

WAWRZYNIEC (*zamysłony*). — W tem coś jest... pewna metafizyka... (*nagle podejrziwszy*). Jeśli pan wogóle serjo...

HILARY — Właśnie! On i serjo! Hańba tym, co dłonią świętokradczą... (*wstał i uderzył zlekka po ramieniu doktora*). Chodź... musisz dotrzymać o-

bietnicy... (*wskazał wzrokiem aparat*). Tutaj światło niedobre. Pójdziemy na tamtą stronę domu. (*doktór wstał*). Zostawmy ich samych. Jestem przekonany, że się oświadczy.

DOKTÓR (*idzie do aparatu*). — Nie sądzę, żeby z tego był pożytek... (*zabiera wraz z Hilarym aparat i obaj idą w głąb ogrodu*).

## SCENA 7.

### STASIA — WAWRZYNIEC

(*Wawrzyniec jest widocznie wytrącony z równowagi kostjumem Stasi. Chwila milczenia. On chce coś powiedzieć, lecz objął zażenowanym spojrzeniem panienkę i zamilkł*).

STASIA (*ratuje sytuację*). — Ładną mamy pogodę...

WAWRZYNIEC (*roztargniony*). — Tak... (*po chwili*).

Niech się pani nie dziwi, że trudno jest mi powiedzieć... to, co mam powiedzieć... ale, istotnie, strój pani...

STASIA (*z uśmiechem*). — Niech panu się zdaje, że pan rozmawia z kolegą...

WAWRZYNIEC (*poważny*). — W innej okoliczności... owszem. Lecz w tej właśnie sprawie... (*urywa*).

STASIA (*założyła swobodnie nogę na nogę*). — Jak pan będzie chciał...

WAWRZYNIEC (*po chwili wstał i uroczyście*). —

Panno Stanisławo! (*objął ją spojrzeniem, urwał i siada bezradny*). Nie... Pani sama rozumie... ja nie mogę oświadczyć się komuś w spodniach!

STASIA (*śmieje się*). — Pan chce mi się oświadczyć?



- WAWRZYNIEC — Ojciec pani upoważnił mię... (*uroczyście*). Panno Stanisławo! Od pierwszej chwili, kiedy, wróciwszy z Paryża, spotkałem panią na rynku przed cukiernią...
- STASIA (*przerywa*). — To nie było przed cukiernią. Przy sklepie z zabawkami.
- WAWRZYNIEC (*zachwiany*). — Mnie się zdaje, że przed cukiernią.
- STASIA — Napewno nie.
- WAWRZYNIEC — Wszystko jedno. (*wraca do uroczystego tonu*). Tajemny głos duszy powiedział mi: to śliczne, pełne powabu dziewczę będzie twoją żoną. Ona, albo żadna. Zacząłem nawet na ten temat pisać sonet.
- STASIA (*zainteresowana*). — Napisał pan?
- WAWRZYNIEC — Jeszcze nie skończyłem.
- STASIA — Szkoda.
- WAWRZYNIEC — Skończę go później. Wogóle zadedykuję pani pierwszy tom moich poezji. — „Mojej żonie“. Tylko te dwa wyrazy.
- STASIA — Proszę pana, ja jeszcze pańską żoną nie jestem.
- WAWRZYNIEC — Kiedyś, po wielu latach, może duch mój już w innych błąkać się będzie świątach, — młode dziewczęta, zadumane nad moją książką, wzruszony wzrok utkwia w tych dwóch wyrazach i cicho szeptać będą...
- STASIA (*przerywa w dalszym ciągu, lekko ironizując*). — Jaka ona musiała być szczęśliwa.
- WAWRZYNIEC — Kto wie! Może i tak. Oto była kobieta, której jaźń duchowa zwarła się z jaźnią

poety w mistycznym związku duchów!... On przez nią i dla niej tworzył, z niej czerpał natchnienie, — ona koła jego troski i bunty, niepokoje i wewnętrzne bóle...

STASIA — Jabył się nie czuła na siłach!

WAWRZYNIEC (*przeczy*). — Owszem... Pani ma właśnie ten miękki urok kobiecy... (*urwał, bo Stasia zrobiła ruch cokolwiek łobuzerski*).

STASIA (*po chwili poważnie*). — Czy pan wie o tem, że ja nie mam żadnego posagu?

WAWRZYNIEC (*wstał wzburzony*). — Pani sądzi, że mną kieruje interes?

STASIA (*łagodnie*). — Wcale tak nie sędzę. Lecz obawiam się nieporozumienia.

WAWRZYNIEC — Pani daruje, ale pan Hilary mówił...

STASIA (*j. w., przerywa*). — Ojciec pragnałby zabezpieczyć mi byt spokojny. Chciałby wydać mię za mąż.

WAWRZYNIEC (*dotknięty*). — Pani nie ufa moim uczuciom?

STASIA (*łagodnie*). — Przeciwnie..., ale mam obowiązek szczerości.

WAWRZYNIEC (*zachwiany*). — Więc cóż mam zrobić?

STASIA (*j. w.*). — Niech pan się zastanowi... namyśli... Ja dzisiaj również nie czułałbym się w mocy dać panu stanowczej odpowiedzi... (*nasłuchuje*).

WAWRZYNIEC (*zdziwiony*). — Co się stało?

STASIA — Nie słyszy pan?

WAWRZYNIEC (*nasłuchuje*). — Ktoś jedzie.

STASIA — Samochód... (*słychać w dali syrenę samochodową, turkot coraz bliższy. Stasia wstaje żywo i biegnie do furtki. Ponowny sygnał. Samochód zatrzymuje się opodal furtki, z drugiej strony parkanu*).

### SCENA 8.

CIŻ — HILARY — DOKTÓR — MALWINA —  
TADEUSZ

(*Hilary i doktor idą z głębi alei*).

TADEUSZ (*niewidzialny jeszcze, przy furtce, za parkanem*). — Czy tu mieszka pan Hilary Pazurkiewicz?

STASIA (*woła*) — Tutaj. (*warkot automobilu ustaje*).

HILARY (*idąc, do Wawrzyńca, który stoi jeszcze przy stole*). — Co się stało? (*rzuca pelerynę, przechodząc, na krzesło*).

(*Z ganku idzie Malwina, za nią służąca niesie na tacy herbatę*).

TADEUSZ (*wchodzi przez furtkę, którą otwiera Stasia, — ubrany po sportowemu, w getrach, czapka angielska*). — Czy zastałem pana Hilarego Pazurkiewicza?

STASIA (*nagle poznała wujaszka z Rumunji, przestraszyła się i umyka*). — Ojczulku!

DOKTÓR (*poznał z daleka Tadeusza i osłupiał*). — Tadeusz!

HILARY (*teraz dopiero zorientował się, stanął, jak słup*). — Masz djable kaftan!

(*Malwina przeżegnała się, trzyma się lekliwie zdaleka i powoli znika za węglem*).

TADEUSZ (*idzie szybko ku doktorowi*). — Jak się masz, stary? Zestarzałeś się... ale to nic... (*ściska go*). (*do Hilarego, wyciągając rękę*). Pan Hilary? (*potrzęsa mocno jego dłońią. Objął wzrokiem Stasię, która trzyma się boku ojca*). A to nasz młodzieniec! (*uderzył Stasię lekko po ramieniu*). Staś, prawda? (*zdziwiony*). Cóż to za panienkę wychowaliście? (*bierze Stasię za rękę i przygląda się jej*) I to chuchro ma utrwalić ród Pazurkiewiczów? Ani muskułów, ani klatki piersiowej... (*chciał pomacać Stasię, ona się cofnęła*) i plecy wąskie... (*do Stasi*). Musimy zrobić z ciebie mężczyznę! (*zatrzymał spojrzenie na Wawrzyńcu, który stoi z wybałuszonymi ślepiami, z cylindrem i laską w rękę, i nie rozumie nic z tego, co się dzieje*). — A to kto?

HILARY (*gest w stronę Stasi*). — To... przyjaciel...

TADEUSZ (*do Stasi*). — Przyjaciel? Powiedz mu, żeby cię odwiedził kiedyindziej. Wpadłem tu na godzinę... (*do doktora*). Cóż ty tak stoisz, jak gdybyś żabę połknął? Jeszcze się gniewasz?

DOKTÓR — Oczom uwierzyć nie mogę... Ileż to lat? (*Stasia zbliżyła się do Wawrzyńca i objaśnia go pociachu, on na pożegnanie chce — bezskutecznie — pocałować ją w rękę i złożywszy wszystkim zdaleka ceremonialny ukłon cylindrem, wychodzi przez furtkę*).

TADEUSZ (*powiódł okiem za wychodzącym, do Stasi*). — Zabawna figura, ten twój przyjaciel... (*Wawrzyniec coś niecoś dosłyszał, bo odwrócił się, a potem przyśpieszonym krokiem poszedł*). Ale ty mi się podobasz. Pocałuj mię. (*Malwina i doktor cokolwiek zaniepokojeni, Stasia bez namysłu całuje go w oba policzki*). — I całuje jak panienka. (*trzepnął ją lekko w kark*). Już ja zrobię z ciebie mężczyznę... (*postrzega tacę z herbatą, którą zostawiła służąca*). Herbata! Doskonale!

HILARY (*wciąż zakłopotany*). — Prosimy kuzyna...  
Czem chata bogata...

TADEUSZ (*siada przy stole*). — Wy ciągle patrzycie na mnie, jak na roroga! Przeszkodziłem wam? Przybyłem nie w porę?

HILARY (*nieszczery*). — Ależ, przeciwnie, to niespodziewana radość!

TADEUSZ (*pije herbatę, do doktora*). — Właściwie ja mam interes do ciebie. Amelja chce cię widzieć.

DOKTÓR (*poruszony*). — Widziałeś ją?

TADEUSZ — Po to przyjechałem do Warszawy. Musisz jechać ze mną. Weź płaszcz, wieczorem może być w samochodzie chłodno.

DOKTÓR (*j. w.*). — Ja muszę jechać? (*Do Hilarego, wzruszając ramionami*). On był zawsze taki. (*Do Tadeusza stanowczo*). Nie pojedę.

TADEUSZ (*spokojnie*). — Pojedziesz. Ja przejechałem dwa tysiące kilometrów, a ty nie zrobiłbyś dwustu? Jutro wrócisz koleją.

DOKTÓR (*uparty*). — Nie pojedę.



- TADEUSZ (*j. w.*). — To i ja zostanę. Nie opuszczę cię na chwilę, jak wyrzut sumienia.
- HILARY (*przerazony, półgłosem do doktora*). — Bój się Boga, zgubisz nas! Jeśli rychło nie odjedzie, wszystko się wyda. (*Doktor zawahał się*).
- HILARY (*głośno*). — Ja poślę po twoje rzeczy. Co ka-  
zać przynieść? Neseser, płaszcz?...
- DOKTÓR (*mięknie*). — Ja mam tutaj chorych...
- HILARY — Do jutra lepiej dojrzeją...
- TADEUSZ — Ja również jutro lub pojutrze wracam do Rumunii.
- HILARY (*z trudnością hamuje radość*). — Widzisz? Wszystko układa się jaknajlepiej. (*z autorytetem*). Posyłam po rzeczy. (*idzie skwapliwie ku gankowi*).
- TADEUSZ (*zadowolony*). — W panu jest nerw... (*zwraca się do doktora*) a ty jesteś ślimak... (*do Stasi*). Siadaj tu, przy mnie. (*Stasia przysiadła się, on objął ją ramieniem*). Lubisz tego starego ślimaka?
- DOKTÓR (*urazony*). — Mój drogi! Wypraszam sobie takie dowcipy. (*do Stasi*). Myślałby kto, że on znacznie młodszy odemnie!
- TADEUSZ (*śmieje się*). — Pewno!
- DOKTÓR — Raptem o pięć lat.
- STASIA (*szczerza*). — To nie może być. Wuj jest zupełnie młody.
- TADEUSZ (*tryumfuje*). — Widzisz!
- DOKTÓR (*zły, do Stasi*). — Patrz, ile on ma siwych włosów! Tyle tylko, że wygolony.

STASIA (*postrzegła, że wyrzuciła doktorowi przykrość i chce ją naprawić, przesunęła pieszczotliwie ręką po włosach doktora*). — Bardzo lubię starego ślimaka...

TADEUSZ (*patrzy na nią z przyjemnem zdziwieniem*). — Jakie on ma ruchy. Ot, wychowaliście panienkę! Gdyby nie to, że się żenię, zaraz wziąłbym go z sobą do Rumunji.

DOKTÓR (*poruszony*). — Ty się żenisz?

TADEUSZ — Nie powiedziałem ci jeszcze?

DOKTÓR (*j. w.*). — Z Amelją?

TADEUSZ (*nieco kłótliwie*). — Tak jest, z Amelją...  
Może i teraz ci to przeszkadza?

DOKTÓR (*pohamował się, sposępniał, opryskliwie*). — Mnie to wogóle nic nie obchodzi.

TADEUSZ — Trochę się zmieniła. Ale jeszcze piękna kobieta. Zobaczysz ją dziś wieczorem.

DOKTÓR (*nagle zdecydowany*). — Nie zobaczę, bo nie pojedę.

TADEUSZ (*do Stasi*). — Mój drogi, idź na chwilę do ojca. Ja muszę z nim pomówić w cztery oczy.

DOKTÓR (*cokolwiek przestraszony*). — To zupełnie niepotrzebne.

TADEUSZ (*stanowczy*). — To jest konieczne.

STASIA (*na odchodnem, błagalnie do doktora*). — Panie doktorze. Pan jeden może nas uratować.

DOKTÓR (*zły*). — Już dobrze... dobrze...  
(*Stasia idzie ku gankowi*).

## SCENA 9.

### TADEUSZ — DOKTÓR

TADEUSZ — Zadziwiająca rzecz, jaką ja poczułem sympatję do tego chłopca! Przez siedmnaście lat posyłałem mu pieniądze i nic mię nie odchodził. A dziś, odrazu. Dlaczego on jest taki delikatny? Może piersiowy?

DOKTÓR (*ironicznie pod nosem*). — Piersiowy! Zgadłeś.

TADEUSZ (*spojrzał nań cokolwiek zdziwiony*). — Teraz do rzeczy. Czy sądzisz, że ja tu przyjechałem dla swojej lub twojej przyjemności?

DOKTÓR (*bez złudzeń*). — Nie.

TADEUSZ — Ona chce cię widzieć. Powiedziała, że nie da stanowczej odpowiedzi, póki się z tobą nie zobaczy.

DOKTÓR (*z pewną ulgą*). — Więc wasze małżeństwo nie jest jeszcze zdecydowane?

TADEUSZ — Będzie zdecydowane jutro. Teraz ja nie ustąpię. A czego chcę, tak być musi. Przeszkody łamię.

DOKTÓR (*filozofuje ironicznie*). — Ze złamanej żony pociecha niewielka... (*zmiana tonu*). Ja myślałem, żeś ty już dawno zapomniał... żeś stare sentymenty utopił w nafcie...

TADEUSZ — I ja tak myślałem. Dziesięć dni temu byłem w Czerniowcach. Wypadkiem wpadł mi w rękę zeszyt jakiejś ilustracji polskiej... Portret owego adwokata, który nas... „pogodził”... który się z nią ożenił. Umarł.

DOKTÓR — Już rok temu.

TADEUSZ — Tak. Zeszyt był stary. Nagle ukąsiło mnie wspomnienie... Owionął mnie zapach jej włosów... Doznałem uczucia pustki, samotności... Wszystko wydało mi się obcem, płónnem... Próbo wałem się bronić. Nie spałem całą noc. Nazajutrz wsiadłem do samochodu — i w drogę do Warszawy. — Wiesz, on ją zostawił bez środków...

DOKTÓR (*wyrwało mu się*). — Wiem.

TADEUSZ (*spojrzał nań podejrzliwie*). — Wiedziałeś o tem? (*doktór skłonił niechętnie głowę*). Założyła magazyn mód... pracuje. Był wielkim działaczem, pisali o nim w gazetach, a żonie nie zostawił nic...

DOKTÓR (*z uznaniem*). — Ona daje sobie radę.

TADEUSZ — Daje. To mi się podoba. Ja także nieraz byłem pod wozem. I zawsze wyszedłem cały.

DOKTÓR (*niechętnie*). — Skoro wszystko układa się tak pięknie, czego wy właściwie chcecie odemnie?

TADEUSZ — To ona. Chce z tobą pomówić, poradzić się...

DOKTÓR — Przedtem nie radziła się.

TADEUSZ — Kobiety mają swój sposób myślenia, swoje racje...

(*Z ganku idzie Hilary, niosąc neseser, za nim Stasia z płaszczem doktora i Malwina z parasolem*).

### SCENA 10.

CIŻ — HILARY — STASIA — MALWINA.

HILARY (*zadowolony*) — Jest wszystko.

TADEUSZ — Chwała Bogu. Zaraz jedziemy. (*spozstrzegł Malwinę, do doktora*). Któż to taki?

- STASIA (*przedstawia*). — Ciocia Malwina... (*Malwina kłania się ceremonjalnie*).
- TADEUSZ (*skłonił głową obojętnie*). — Bardzo mi przyjemnie. Niech pani siada.  
(*Malwina siada na brzeżku krzesła, cokolwiek sznurując usta*).
- TADEUSZ (*do Hilarego*) — Pan jest zawsze nauczycielem gimnazjalnym?
- HILARY — Tak!
- TADEUSZ (*spojrzenie w stronę Stasi*) — A on skończył gimnazjum?
- STASIA — Skończyłem... Mam patent. Może pokazać? (*ugryzła się w język*).
- TADEUSZ — Innym razem. (*do Hilarego*). A już potem nie napisał pan żadnego poematu? Żadnej nagrody konkursowej?
- HILARY (*z szerokim gestem*). — Piszę, ale nie drukuję. Kiedyś, po mojej śmierci, naród dowie się...
- TADEUSZ (*przerywa*). — To i ja wtedy się dowiem. (*spojrzenie w stronę Stasi*). — A co z nim będzie?
- HILARY (*zapomniał się*). — Jakto, co będzie? Wyjdzie za mąż... (*poprawia się*). Ożeni się...
- TADEUSZ (*uderzył ręką w stół*). — Co takiego? W jego wieku? A uniwersytet? Musi pójść na uniwersytet... albo na politechnikę...
- STASIA (*uradowana*). — Pójdę na uniwersytet. Mnie bardzo dobrze w takiej białej czapce... (*ugryzła się w język*).
- TADEUSZ (*do Hilarego z wymówką*). — Jak wy wychowaliście tego chłopca! Napewno źle się uczył. W szkole nic nie robił.



STASIA (*obrażona*). — Proszę pana...

TADEUSZ (*przerywa*). — Mnie nie wprowadzisz w błąd. Mnie nikt w błąd nie wprowadzi. (*do doktora, wzrokiem wskazując Stasię*). — On się bardzo źle uczył. Ale to nic nie szkodzi. Ja także źle się uczyłem. Ja nie lubię tych, co się dobrze uczą w szkole. Potem niema z nich pożytku. (*Do Malwiny*). — Herbata niedobra.

MALWINA (*przerażona*). — Nie smakowała panu?

TADEUSZ — Ale to niema znaczenia. Ja tu już nigdy nie będę pił herbaty. (*do doktora*). Jedziemy. (*nie rusza się jednak z miejsca*).

HILARY (*wstał skwapliwie*). — Nie śmiem zatrzymać szanownego kuzyna, aczkolwiek pragnęlibyśmy jaknajgoręcej...

TADEUSZ (*nie zwracając uwagi na jego słowa, wskazuje Stasię*). — Czy on podobny do matki?

MALWINA (*kryguje się*). — Powszechnie mówią, że do Hilarego. Tudzież cokolwiek do mnie.

TADEUSZ (*szorstko*). — Nic a nic. (*do Stasi*). Cóż się tak na mnie patrzysz?

STASIA (*rezolutna*). — Wujaszek bardzo mi się podoba.

TADEUSZ (*do doktora*). — Podobam mu się! To smyk, co? (*wstaje*). Jedziemy... (*zawahał się, nagle, wskazując na Stasię*). On także z nami pojedzie.

HILARY

MALWINA

DOKTÓR

} (*przerażeni*). — Co takiego?

TADEUSZ (*zdecydowany*). — Pozna moją przyszłą żonę. Swoją wujenkę. Jutro z nim (*spojrzenie w stronę doktora*) — wróci. (*do Stasi*). Chcesz przyjechać na mój ślub do Bukaresztu?

MALWINA — Jezus Marja! — Do Bukaresztu?

STASIA (*rezolutnie*) — Chcę.

TADEUSZ — Teraz pojedziesz ze mną do Warszawy?

STASIA (*z tajoną radością*). — Samochodem?

TADEUSZ — Naturalnie.

STASIA (*j. w.*). — Ja jeszcze nigdy nie jeździłem samochodem!

MALWINA — To niemożliwe!

TADEUSZ (*spojrzał na nią ostro*). — Co niemożliwe? (*Malwina przestraszona zamilkła. On pociągnął trochę na bok Hilarego*). A jakże on (*wzrok w stronę Stasi*) ...z kobietami? Już zaczął?

HILARY (*oburzony*). — O, proszę kuzyna.

TADEUSZ — Nie zaczął?... Szkoda, że teraz nie mam czasu... Chłopiec nie jest do klasztoru. (*do Stasi*). Weź paltot.

DOKTÓR — Ależ to niemożliwe...

TADEUSZ — Ty także. (*do Hilarego*). Chłopcu nic się nie stanie. Może nawet spać ze mną razem. (*ogólne przerażenie*). Mam duży pokój w hotelu, każę wnieść drugie łóżko... (*Malwina upuściła ze strachu parasol*).

HILARY (*zmieszany*). — Przeszkadzałby kuzynowi...

TADEUSZ — Chrapie? Ja także chrapię. Nic nie szkodzi.

DOKTÓR (*do Hilarego na stronie*). — Nawarzyłeś piwa, teraz pij.

TADEUSZ (*idzie ku furtce, wołając na niewidzialnego palacza*). — Walenty! Jedziemy... Gdzież on jest?... (*wychodzi za furtkę*).

## SCENA 11.

CIŻ — BEZ TADEUSZA.

HILARY (*usiadł, dając wymownym gestem wyraz swej rozpaczy*). — Już się tak dobrze układało! Nieszczęście...

MALWINA (*podniecona, trzyma za ramię Stasię*). — Ja jej nie puszczę. To człowiek źle wychowany, impetyk.

STASIA (*z uśmiechem*). — Ja się nic nie boję!

DOKTÓR — Tybyś się czego bała!

MALWINA (*do doktora*). — Niech pan radzi! Co robić?

DOKTÓR — Wyznać prawdę. Od początku byłem tego zdania.

HILARY — Wyznać prawdę! To łatwo powiedzieć! Słyszałeś, jak mówił: — mnie nikt w błąd nie wprowadzi. Będzie skandal, mówię wam, będzie skandal. Niech się dowiedzą w mieście... w szkole... stary Flecik... Nie, nie, to już wy to zróbcie. Ja wolę odrazu rzucić się do rzeki. Jedna chwila i koniec mękom.

MALWINA (*z płaczem*) — Hilary!

STASIA (*poruszona*). — Ojczulku!

DOKTÓR — On sobie zawsze umiał ułatwiać życie! Rzuci się do wody! Nic prostszego! Zamotłwał, zamotłwał, niech inni teraz rozwiązują. Nie, mój drogi, tak nie będzie.

HILARY — Ja nie mam siły.

DOKTÓR — Jeśli o to chodzi, ja mogę mu powiedzieć całą prawdę.

HILARY (*ręce do góry*). — I cóż za różnica?

DOKTÓR — Tybys wolał, żebym ja za ciebie rzucił się do rzeki?

STASIA (*która nie traci na moment spokoju i nawet lekki uśmiech błąka się po jej wargach*). — A mnie się zdaje, że najlepiej zdać się na los. Pojadę do Warszawy. Idzie o parę godzin. Doktor się mną zaopiekuje...

DOKTÓR — Wyda się wszystko! Zobaczysz!

STASIA (*rezolutna*). — To się wyda.

DOKTÓR — Nie zgadzam się. Nie przyjmuję opieki. Już za długo biorę udział w tej mistyfikacji. On także idjota, żeby odrazu nie poznać...

STASIA (*blagalnie*). — Panie doktorze...

DOKTÓR (*cokolwiek zachwiany*). — Wszystko mu powiem. Dość tego, moi drodzy...

## SCENA 12.

CIŻ — TADEUSZ — PALACZ (*za sceną*).

TADEUSZ (*za furtką*). — Jeszcze śmiesz mię okłamywać? Straciłeś miejsce. Mnie nikt nie oszuka. Wracaj na piechotę do Warszawy. Sam poprowadzę samochód. Nie zniósłbym twego widoku. Precz!

PALACZ (*niewidzialny za sceną*). — Proszę pana, już nigdy tego nie zrobię...

TADEUSZ (*w furtce*). — W Warszawie odbierzesz pensję. Teraz widzieć cię nie chcę. Marsz. (*odtrącił go, zatrzaskał furtkę, wraca*).

DOKTÓR — Co się stało?

TADEUSZ (*podniecony*). — Pochwyciłem go na gorącym uczynku. Chciał mię podejść, że kupił benzynę. Ze mną proces krótki. Oddam go do sądu. To nie ma znaczenia. Drogę znam, a prowadzę samochód lepiej od niego. Jedziemy. (*do Stasi*). A paltot?

(*Doktor niezdecydowany, chce mówić, waha się*).

STASIA (*podbiega doń*). — Panie doktorze, oto płaszcz. (*zarzuca mu płaszcz na ramiona*) ...neseser (*bierze od Hilarego i wsuwa mu do ręki torebkę staroświeckiej formy, paciorkami wyszywaną*) ...parasol. (*odbiera z rąk Malwiny gruby, podniszczony parasol i wtyka mu do ręki, on wszystko w roztargnieniu bierze*).

TADEUSZ (*żegna się z Hilarym*). — Do widzenia! Może się kiedy jeszcze zobaczymy. O chłopca niech się pan nie troszczy. Ja będę o nim pamiętał. (*do Stasi niecierpliwie*). Mówiłem ci, że byś wziął paltot.

STASIA (*zakłopotana*). — Mnie będzie ciepło.

TADEUSZ (*stanowczy*). — Wieczór może być chłodny. (*do Hilarego niecierpliwie*). Przecież ma jakieś okrycie?

DOKTÓR (*ironicznie, do Malwiny, półgłosem*). — Niech pani przyniesie ten nowy płaszczyk... z kornkowym kołnierzem.



STASIA (*sposzrzęta pelerynę ojca na krzesło*). —  
Jest! (*zarzuca z brawurą pelerynę na ramiona,  
pociąga doktora*). Jedziemy!

HILARY (*wzruszony*). — Stasiu.

(*Stasia rzuca się w jego objęcia, potem w objęcia  
Malwiny*).

TADEUSZ (*niecierpliwie*).—Cóż za pożegnania! Jak-  
gdyby jechał za morze! (*idzie za furtkę*).

(*Doktor machnął ręką z gestem: niech będzie, co chce,  
i żegna się z Hilarym i Malwiną*).

MALWINA — Doktorze! Opiekuj się nią! Nie spu-  
szczaj jej z oka!

DOKTÓR — Pani myśli, że to łatwe zadanie.

(*Wszyscy wychodzą za furtkę. Po chwili motor za-  
czyna warczeć, odzywa się odgłos syreny, słycać tur-  
kot odjeżdżającego samochodu. Z ganku wybiegła słu-  
żąca i przez płot patrzy ciekawie*).

(*Z za furtki wracają: Malwina, bardzo przygnębiona,  
i Hilary, widocznie zdenerwowany*).

MALWINA — Co z tego wszystkiego będzie? Nie-  
szczęście!

HILARY (*zbliżył się do stołu, nalewa sobie kieliszek  
wina*). — Kto wie, moja droga, kto wie! (*pije*).

Z a s ł o n a   s p a d a.

## A K T II.

Salon w mieszkaniu Amelji. Na prawo okna. Drzwi w głębi do przedpokoju, z lewej — do dalszych ubikacji. Umeblowanie pełne smaku. Kwiaty w wazonach. Z prawej strony męskie biurko i fotel, telefon przy ścianie. Parę manekinów z sukniami i okryciami. Na stołach kilka sztenderów z kapeluszami i okryciami.

### SCENA 1.

JADWIGA — AMELJA.

*(Gdy zasłona się podnosi, na scenie niema nikogo. Po chwili zaczyna dzwonić telefon. Drzwiami w głębi wpada Jadwiga i biegnie do telefonu).*

JADWIGA *(przy telefonie)*. — Jestem. Nie! Zaraz poproszę. *(odkłada słuchawkę i staje w drzwiach z lewej strony)*. Proszę pani! Telefon.

AMELJA *(z drugiego pokoju)*. — Niech się pani dowie, kto mówi.

JADWIGA — Dobrze. *(bierze słuchawkę)*. — Ale kto mówi? Pan Mazurkiewicz? Przepraszam... Pazurkiewicz? Nie chciałam pana obrazić... *(odkłada słuchawkę i idzie do drzwi)*. Pan Pazurkiewicz.

AMELJA (*ładna trzydziestoparoletnia kobieta, ubrana skromnie, lecz z wykwinnym smakiem*). — Dzień dobry panu. Czekałam cały wieczór... byłam niespokojna. (*uśmiecha się*). — Tak? Pan się cieszy? Ładna perspektywa na przyszłość! Jest pan Franciszek? I kto jeszcze? Młody kuzyn? Ależ proszę, będzie mi bardzo przyjemnie. Dobrze, — opowie pan wszystko. Więc czekam!.. za pięć minut... Do widzenia... (*odkłada słuchawkę*).

JADWIGA (*stanęła przy ostatnich słowach w drzwiach w głębi*). — Proszę pani... Ta „zameżna“ wdowa, — nasza paskarka...

AMELJA (*z łagodną wymówką*). — Pani Siarczyńska? Z mężem?

JADWIGA — Tak.

AMELJA — Niech pani poprosi.

## SCENA 2.

CIŻ — SIARCZYŃSKA — SIARCZYŃSKI.

(*Drzwiami w głębi wchodzi Siarczyńscy. Ona — krzykliwa, jaszkrawo ubrana czterdziestoletnia kobieta. On — trzydziestoletni, zbyt piękny i zbyt dobrze zbudowany, ubrany z przesadną elegancją*).

(*Jadwiga zatrzymała się w głębi*).

SIARCZYŃSKA (*idzie do Amelji i wita się z nią serdecznie i obcesowo*) — Moja droga pani... dzień dobry... ja tam męża nie chcę puścić do pracowni. On zaraz będzie bujał panny.

SIARCZYŃSKI (*skłonił się kawalersko Amelji*) —

Proszę cię, Maryniu!

(*Jadwiga wyszła drzwiami na prawo*).

SIARCZYŃSKA (*nie zwraca uwagi*) — Ma wszystkiego w domu poddostatkiem, a niech tylko kawalek świeżego mięsa zobaczy, już mu ślepia na wierzch wyłażą. A inne kobiety nie uszanują, że to cudzy mąż..., co nie twoje nie rusz, nie cudzołóż! (*Do męża*) Usiądź.

SIARCZYŃSKI (*urazony, ironicznie*) — Dziękuję. (*nie siada*).

SIARCZYŃSKA — Potem znowu będziesz zmęczony! (*Siarczyński w obawie dalszych zwierzeń, siada zrezygnowany*) — Chciałam przymierzyć tę nową suknię.

JADWIGA (*stanęła w drzwiach z lewej strony — z wyrazem głębokiego ubolewania*) — Proszę pani, właśnie do stanika wszywają rękawy. Za pół godziny będzie gotów.

SIARCZYŃSKA — Za pół godziny? To długo. (*do Amelji*) Przejedziemy się naszym samochodem do Wilanowa i za pół godziny wrócimy.

AMELJA (*uprzejma*) — Doskonale.

SIARCZYŃSKI (*wstał*) — Chodźmy lepiej na lody.

SIARCZYŃSKA — Co się będziesz jeszcze chłodził? (*do Amelji*) Myślałby kto, że się w nim ogień pali.

SIARCZYŃSKI — Moja Maryniu!

SIARCZYŃSKA (*do Amelji*) — Do widzenia, moja droga pani. (*Do Jadwigi*) Niech panienka pamięta, za pół godziny! (*wychodzi, za nią Siarczyński ukłonił się Amelji z godnością i kawalersko*).

JADWIGA (*patrzy za nimi z uśmiechem*). — Jeśli ten pan myślał, że małżeństwo z taką wdową jest synekurą, to się grubo omylił.

AMELJA (*uśmiechnęła się, — nagle przypomniała sobie*) — Ach to niedobrze, że ona wróci! Będę miała gości...

JADWIGA — Zamknę go w małym pokoiku. Albo niech czeka w przedpokoju...

AMELJA (*łagodnie*) — Nie trzeba, żeby się obraził. Pani Siarczyńska jest dobrą klientką.. (*nastuchuje*) Zdaje mi się, że idą... (*idzie do drzwi w głębi*) Tak. (*Jadwiga wychodzi na lewo*).

### SCENA 3.

AMELJA — TADEUSZ — DOKTÓR — STASIA.

AMELJA (*podaje rękę Tadeuszowi, którą on całuje*) — Dzień dobry panu! (*zwraca się do doktora, nieco wzruszona*) Witam pana! (*podaje mu rękę, którą on po lekkim wahaniu niesie do ust*).

TADEUSZ (*przedstawia Stasię*) — Mój młody kuzyn.

AMELJA (*zajęta doktorem, cokolwiek roztargniona*) — Bardzo się cieszę... (*spojrzała na Stasię, zdziwiona*) Ależ to panienka!

TADEUSZ (*strapiiony*) — Prawda? Co z tego chłopca zrobili!

DOKTÓR (*usiłuje przerwać te postrzeżenia i uwagi*) — Chciała pani, bym przyjechał. Tadeusz zabrał mię przemocą...

AMELJA (*z uśmiechem nieco smętnym*) — Potrzeba było aż przemocy? Ileż to lat nie spotkaliśmy się? Dziesięć? Dwanaście?



DOKTÓR — Czternaście.

AMELJA (*j. w.*) — Pańskiej pamięci zbywa na dyskrecji. Zmieniłam się?

DOKTÓR (*wpatrzony w nią, jak w obraz, szczerze*) — Jest pani jeszcze piękniejsza!

AMELJA — Chce się pan poprawić! (*do Tadeusza*) Choć mieszka na prowincji, nie zapomniał, że kobieta wobec pochlebstwa jest bezbronna! (*do doktora, objawszy go wzrokiem*) — Pan trochę się zmienił.

DOKTÓR (*gorzko*) — Trochę? Pani łaskawa! Stary grzyb!

AMELJA (*sposzregła, że zajmuje się tylko doktorem*) — Niechże panowie siadają... (*siadają*) (*do Tadeusza*) Miał pan wrócić wczoraj?

TADEUSZ — Przyjechaliśmy do Warszawy po północy.

DOKTÓR — Pokłócił się z palaczem, sam prowadził samochód i oczywiście zmylił drogę. Jak zawsze, uparł się. Mówię mu: teraz trzeba wziąć na prawo. On na to: — nie, nasz kierunek jest północno - wschodni, trzeba jechać prosto. I pojechaliśmy prosto... w stronę Lublina.

STASIA (*z przekonaniem*) — Wujaszek się nie omylił, tylko droga była fałszywie wytknięta.

AMELJA (*objęła ją zdziwionem spojrzeniem*) — Jaki głos!... (*do Stasi*) Przepraszam, ile pan ma lat?

STASIA (*śmiało*) — Dwadzieścia, proszę pani... (*sposzregła kapelusze na sztenderze*). Ach, jaki śliczny kapelusz! (*porwała się z miejsca, zdjęła kapelusz i ogląda*). W Warszawie noszą takie faso-

ny? (*Tadeusz zbliżył się do niej i podziwia również*).

AMELJA (*skinęła głową Stasi, do doktora*) — Ten młodzieniec zna się na kapeluszach?... (*ciszej*) Co to ma znaczyć?

DOKTÓR (*obejrzał się na Tadeusza*) — Cyt! (*palec na ustach*).

STASIA (*zbliżyła się do okna*) — Wujaszku! Jaki tutaj ruch na ulicy! Niech wujaszek spojrzy! Samochód taki, jak nasz!

DOKTÓR (*do publiczności*) — Nasz! Prędko idzie!

TADEUSZ (*zbliżył się do okna*) — Wcale nie taki! To jest Daimler. Odrazu widać...

AMELJA (*półgłosem do doktora*) — Dziewczyna?

DOKTÓR (*tak samo*) — Tak.

AMELJA — Pan się w niej kocha?

DOKTÓR (*przerażony*) — Ja?

AMELJA (*uspokojona*) — Ach, więc nie pan!...

STASIA (*usiadła na framudze okna, do Amelji*) — Jaka pani szczęśliwa! Ja bym tak chciała mieszkać w wielkim mieście! Zaraz mam wrażenie, że krew szybciej krąży w żyłach, że myśl żywiej... (*spojrzała w okno*) Tyle ludzi! Każdy niesie swoje troski, swoje niepokoje!... (*Do Tadeusza*) Nasze życie takie ciche, jednostajne.

TADEUSZ (*zajęty nią*) — Chciałbyś żyć inaczej?

STASIA — Tak! Doznawać coraz nowych wrażeń, nowych wzruszeń, poznać świat! Świat jest piękny, prawda!

TADEUSZ (*zamyślony*) — Nie miałem nigdy czasu o tem myśleć.

AMELJA (*która przez ten czas rozmawiała pocichu z doktorem*) — Niech pan pozwoli... (*wstała, doktor idzie za jej przykładem*) — Jestem bardzo ciekawa... (*do Tadeusza*) Zaraz wrócimy... (*wychodzą oboje na lewo*).

TADEUSZ (*do Stasi*) — Podobają ci się? (*wzrok jego wskazał drzwi, które wyszła Amelja*).

STASIA (*lekko sceptyczna*) — Wujaszek się z nią ożeni?

TADEUSZ — Pewnie!

STASIA (*z przekonaniem*) — Ona jest za stara dla wujaszka.

TADEUSZ (*uśmiechnął się*) — I ja nie jestem młody... Mógłbym od biedy być twoim ojcem...

STASIA (*śmieje się*) — To już bardzo od biedy! (*objęła go wzrokiem*) Wujaszek jest zupełnie młody, i z twarzy i z figury... (*z lekką insynuacją*) Mnie się zdaje, że ta pani bardzo lubi doktora.

TADEUSZ (*obojętnie*) — Bardzo.

STASIA — Wujaszek nie jest zazdrosny?

TADEUSZ (*szczerzy*) — Nie.

STASIA — Ja nie rozumiem, jak mężczyzna może nie być zazdrosnym. Ja... (*urywa*).

TADEUSZ (*z uśmiechem*) — Ty byłbyś zazdrosny?

STASIA (*śmieje się*) — Jak Otello! Zaraz dusiłbym Desdemonę. Ja już jestem zazdrosny, że wuj kocha się w tej pani.

TADEUSZ (*żartobliwy*) — Słuchajno... dostaniesz za uszy!

STASIA (*pokornie nadstawia ucho*) — Proszę.

TADEUSZ (*bierze ją lekko za ucho*) — Jakie ty masz ładne ucho... (*w drzwiach Amelja ,za nią doktor*).

AMELJA (*zdziwiona*) — Co pan robi?

TADEUSZ (*zawstydził się i odsunął od Stasi*) — Ten smarkacz nic sobie ze mnie nie robi. Wszyscy się mnie boją... nawet pani...

AMELJA (*z uśmiechem*) — Ja najwięcej. (*do Stasi*) Pan taki odważny? (*Stasia śmieje się cicho*).

TADEUSZ (*do Amelji, tonem zwierzzenia*) — Dotychczas wydawało mi się, że związki rodzinne, łączność krwi, — to jedno z wielu konwencjonalnych kłamstw. I ma pani! Wczoraj po raz pierwszy zobaczyłem tego chłopca (*bierze w pół Stasię*) i mam wrażenie, że się nigdy z nim nie rozstawałem, że jest mi blizki...

STASIA (*rozpromieniona*) — Naprawdę? (*przyłgnęła do niego*).

TADEUSZ (*do Amelji*) — Ten łobuz czuje to aż nadto. Chce pani? Będziemy mieli odrazu takiego dużego syna...

AMELJA (*kryje urazę w śmiechu*) — Przepraszam... na syna jest dla mnie trochę za duży.

DOKTÓR (*zaniepokojony łaszeniem się Stasi, bierze za ramię Tadeusza i odciąga go*) — Czyś ty ten sam pociąg rodzinny odczuwał wczoraj do Hilarego i do panny Malwiny?

TADEUSZ (*zaskoczony*) — Nie.

STASIA (*stanęła przed manekinem z suknią stylową*) — Jaka śliczna suknia! (*do Amelji*) W Warszawie takie teraz noszą?

AMELJA (*z uśmiechem*) — Nie.. to suknia dla jednej z artystek. Nie zapłaciła... Do tej sukni dopasowany jest tamten kapelusz. (*pokazuje na sztender w głębi, na którym wisi duża, stylowa „buda“ z wstążkami do wiązania*).

STASIA (*skoczyła do kapelusza, rozentuzjasmowana*) — Piękny!

TADEUSZ (*do doktora*) — To jest chorobliwe, to jego interesowanie się strojami.

DOKTÓR (*uśmiechnął się*) — Wpływ panny Malwiny...

TADEUSZ (*podrażniony*) — Niedość, że wygląda jak dziewczyna, ale wszystkie upodobania, sposób myślenia, nawet ta szczególna chęć podobania się...

DOKTÓR (*przerywa*) — Mój drogi, czyś ty po to przywiózł mię do Warszawy, żeby ciągle mówić o tym chłopcu? Zdaje się, że miałeś jeszcze jakieś inne zamiary...

TADEUSZ (*nieco roztargniony, zajęty poprzednią myślą...*) — Tak... Należałoby pomówić...

DOKTÓR — Ja dziś wieczorem muszę wracać.

AMELJA — Dziś?... (*zbliża się do nich*).

DOKTÓR — Tak. Ojciec... (*spojrzenie w stronę Stasi, która podeszła do okna, weszła kolanami na krzesło i wygląda na ulicę*) byłby bardzo niespokojny.

TADEUSZ (*zdecydowany, ale bez entuzjazmu*) — Dobrze. Zatem nie traćmy czasu (*do Amelji*) Pani zgadza się? (*Amelja skinęła głową*).

DOKTÓR (*spojrzał w stronę Stasi*) — Sądzę, że lepiej byłoby...



AMELJA (*odgadła jego myśl*) — Tak... może poprosić, by przeszedł na chwilę do drugiego pokoju...

TADEUSZ (*żywo*) — Tylko nie tam, gdzie pracują panny.

DOKTÓR (*ironiczny*) — Wczoraj żałowałeś, że nie możesz go wprowadzić... w weselsze towarzystwo.

TADEUSZ — To co innego.

DOKTÓR — Ostatecznie może godzinę zostać sam. Stajesz się zbyt czułym. (*do Amelji*) Jak wczoraj z tym paltotem. Ciągłe zatrzymywał samochód, żeby biadać nad jego (*spojrzenie w stronę Stasi*) wążką peleryną.

TADEUSZ — Dobrze, żeś mi przypomniał. (*do Amelji, ciszej*) Ten chłopiec nie ma porządnego paltota... Muszę mu zaraz kupić.

AMELJA (*z uśmiechem*) — W tym samym domu jest magazyn męski. Może go pan ubrać od stóp do głowy.

TADEUSZ — Doskonale. (*objął rozrzewnionem spojrzeniem Stasię, która zaabsorbowana jest widokiem ulicy*) Niech pani spojrzy, jak go interesuje miasto! (*zbliży się pocichu do Stasi i lekko uderza w napięty pośladek. Stasia krzyknęła i skoczyła, jak oparzona. Stanęli naprzeciw siebie, oboje zażenowani*).

STASIA (*zagniewana*) — Proszę pana!

TADEUSZ (*stropiony*) — Nic się przecież nie stało!... (*Doktor i Amelja zamieniają uśmiechy. Chwila milczenia*).

JADWIGA (*wchodzi drzwiami w głębi i zwraca się do Tadeusza*) — Przyszedł jakiś człowiek i chce się widzieć z panem Pazurkiewiczem.

TADEUSZ (*ostry*) — Do mnie? Jak się nazywa?

JADWIGA — Walenty.

TADEUSZ (*do Amelji*) — To szofer, którego wczoraj oddaliłem. (*do Jadwigi*) — Czego on chce?

STASIA (*łagodnie*) — Lepiej byłoby, gdyby wujaszek sam się z nim porozumiał.

TADEUSZ (*spojrzał na nią*) — Myślisz? (*zdecydował się*) Dobrze. (*tonem lekkiej groźby*) Ja się z nim rozmówię!

DOKTÓR — Będzie awantura.

STASIA (*czepia się ramienia Tadeusza*) — Niech wujaszek pozwoli mi być przy rozmowie. Nauczę się, jak się odprawia szofera.

*(Jadwiga znika w drzwiach).*

DOKTÓR — Jaki on chciwy wiedzy! Możebyś się postarał naprzód o samochód.

STASIA (*śmieje się*) — Niech pan się nie lęka! Będę miał... i będziemy jeździli razem.

DOKTÓR (*zdecydowany*) — A nie! To się po mnie nie pokaże.

*(Tadeusz i Stasia wychodzą drzwiami w głębi).*

#### SCENA 4.

DOKTÓR — AMELJA.

DOKTÓR — Zobaczysz pani, lada moment bomba pęknie. Zamiast schodzić mu z oczu, ona mu się po prostu narzuca. Pani uważała, jak on już dziwnie na nią patrzy?

AMELJA (*z zagadkowym uśmiechem*) — Tak.

DOKTÓR (*zadowolony z własnego talentu obserwacyjnego*) — I pani to spostrzegła! (*po chwili, gniewnie*). Po co ja się w to wszystko wdałem! Ja pragnę spokoju i nic więcej! Później do mnie będzie miał pretensje. On zawsze do mnie miał pretensje!

AMELJA (*j. w.*) — Zawsze?

DOKTÓR (*spojrzał zukosa na Amelję, j. w.*) — Właściwie, to pani wszystkiemu winna. Chciała pani, żebym przyjechał. Jestem. Zadowolona pani?

AMELJA (*j. w.*) — A pan?

DOKTÓR (*powstał gwałtownie, jakby tego już było nadto*) — Ja? Mam być zadowolony? A, wie pani, to już zaczyna być wesołe! Wrzucają żywego raka w roztopione masło i pytają z przyjemnym uśmiechem: — kontent jesteś?

AMELJA (*z uśmiechem*) — Nikt nie ma zamiaru pana zjeść.

DOKTÓR (*ironiczny*) — Jestem ogromnie zadowolony. Nic przyjemniejszego nie mogło mię spotkać. Jeszcze raz zaciągnęłem wobec pani dług wdzięczności.

AMELJA (*nie zwraca uwagi na jego ironję, spojrzeniem wskazała drzwi, które mi wyszedł Tadeusz*) — Pan go się zawsze boi?

DOKTÓR (*nieszczery*) — Ja? Proszę pani, ja się nikogo nie boję.

AMELJA (*z uśmiechem*) — A ja się boję.

DOKTÓR (*ciągnie dalej*) — Lecz nienawidzę awantur. Tembardziej, że tym razem będzie miał słu-

szość. Mówiłem pani: ja brałem udział w tem oszustwie: Systematycznie! Co rok! Nienawidzę kłamstwa. Nienawidzę. I co rok robiłem fotografię tej dziewczyny w męskim stroju... (*zmiana tonu*) Proszę pani, czy wolno być takim idjotą, żeby nie rozpoznać odrazu? Ja sądziłem wczoraj, że to żart na parę minut... Jakim sposobem on może nie widzieć tego, co widzą wszyscy?

AMELJA — Pan zabił kiedy głuszca?

DOKTÓR — (*zdziwiony*) — Głuszca?

AMELJA — Nie wie pan, co to jest głuźzec?

DOKTÓR — Głuźzec? Wiem... Taki duży ptaszek. Nie, proszę pani... My, lekarze, zabijamy przeważnie tylko ludzi...

AMELJA — Ale pan wie... głuźzec, gdy go ogarnie... natchnienie miłosne, nic nie widzi, nic nie słyszy... Czy nie tak?

DOKTÓR — Tak. Nic nie rozumiem.

AMELJA (*zalognie*) — Nie rozumie pan... takiego natchnienia miłosnego?

DOKTÓR (*spojrzał na nią, przestraszył się*) — Nic nie rozumiem. Do widzenia pani. (*zaczyna szukać gorączkowo kapelusza*).

AMELJA (*lekko zawiedziona*) — Dokąd pan chce iść?

DOKTÓR — Wracam do domu pierwszym pociągiem. Ostatecznie, ta dziewczyna nie jest moją córką, ani moją siostrą... Jeśli on się tak w pani kocha, to... to ja nie mam zamiaru wyzyskiwać jego głuchoty. Ja nie poluję, łaskawa pani, ja w ogóle nie poluję... Ja pragnę spokoju (*znalazł nareszcie kapelusz*). Żegnam panią.

AMELJA (*wyciąga doń rękę, z uśmiechem*) — Panie Franciszku! (*doktór po krótkiej chwili wahania podaje jej dłoń, ona ją zatrzymuje*) Nie chce pan ze mną pomówić?

DOKTÓR (*unika jej wzroku, nieszczercze*) — Nie.

AMELJA (*j. w., miękko*) — Naprawdę?

DOKTÓR (*rozbrojony, siada*) — Pani była i jest najokrutniejszą z kobiet. Kleopatra byłaby przy pani ideałem dobroci.

AMELJA (*śmieje się*) — Dziękuję.

DOKTÓR — Tylko kobieta może zdobyć się na takie okrucieństwo. Kto wymyślił sposób gotowania żywych raków w roztopionem maśle? Kto sprawia, że najostrożniejszy ptak traci słuch i wzrok?

AMELJA (*głaszcze z uśmiechem jego rękę*) — Biedny rak!

DOKTÓR (*cofnął rękę*) — Po co mię pani tu wezwwała? Żebym był świadkiem pani zaręczyn z Tadeuszem? Mam pieścić oczy widokiem waszego szczęścia? A jeśliby powstały między wami jakie nieporozumienia, mojem zadaniem usunąć je, delikatnie, bez bólu...

AMELJA (*z uśmiechem*) — Czyż to nie jest powołanie lekarza?

DOKTÓR (*porywczo*) — Czy ja narzuciałem się pani? Czy starałem się panią widzieć, odkąd pani wyszła za męża?

AMELJA (*smutniej*) — Nie.

DOKTÓR — Jeśli po śmierci męża napisałem do pani, to był to zwykły obowiązek... dawnej przyjaciółni. Sądziłem, że pani może potrzebować pomocy.



- AMELJA (*szorstko*) — Od obcych pomocy nie przyjmuję.
- DOKTÓR (*dotknięty*) — Od obcych! Sama pani przyznaje, że jestem jej obcy.
- AMELJA (*żywiej*) — Sam pan chciał być obcym.
- DOKTÓR (*wzniósł ramiona do góry*) — To już przechodzi wszystko! Ja chciałem! Ja chciałem, żeby pani zaręczała się — i odręczała — z Tadeuszem. Ja chciałem, żeby pani wychodziła za męż... Tego wszystkiego ja chciałem, prawda?
- AMELJA — Czy pan powiedział kiedy jasno, wyraźnie, czego pan chciał?
- DOKTÓR (*miął na ustach odpowiedź, zatrzymał się, — po chwili, głębiej*) — Więc pani pragnęła, żebym ja, lekarz prowincjonalny... taki sobie doktor od wszystkiego... Proszę pani... Niech pani spojrzy na mnie! Jak ja wyglądam przy pani! Pani wstydziłaby się pokazać ze mną na ulicy! Tak! W domu to co innego... Ja wiem, proszę pani, pani jest dobra, szlachetna...
- AMELJA (*przerywa*) — Pan wcale nie jest stary... pan tylko nie chce być młodym. Po co ta długa broda, która dodaje panu dwadzieścia lat? To ubranie starego emeryta?... Dlaczego pan się garbi? (*doktor wyprostował się*). Umysł pana, serce, — zachowały młodość... Zaniedbał pan doczesną powłokę.
- DOKTÓR (*opryskliwy*) — Pani kazała Tadeuszowi przywieźć mię do Warszawy, żeby mi to właśnie powiedzieć?

AMELJA — Nudny pan jest! Czy kobieta zawsze wie dokładnie, dlaczego coś robi? Mężczyzna kieruje się rozumem, kobieta... Ja nie wiem dobrze, dlaczego chciałam pana widzieć. Lecz, kiedy niespodzianie zjawił się pan Tadeusz, gdy drugi raz w życiu miałam powziąć stanowczą, nieodwołalną decyzję, nagle odczułam, że muszę pana zobaczyć... Może i dawniej... Pan nigdy tam, w samotności, w długi wieczór zimowy, — nigdy pan nie myślał o mnie? (*Doktór milczy*) Telepatja jest rzeczą bardzo niepewną... (*w drzwiach w głębi niewidziana przez nich Stasia*) Gniewa się pan na mnie?

DOKTÓR (*ciszej*) *Nie.. (ona wyciąga doń rękę, on ją całuje).* I co teraz będzie?

AMELJA (*z lekkim żalem*) — Jeśli pan nie wie, to jakże ja mam wiedzieć... (*sposzregła Stasię*) Prosimy... (*z uśmiechem*) Tylko nie wiem, jak mam do pani mówić...

## SCENA 5.

CIŻ — STASIA — JADWIGA.

STASIA (*zbliża się do nich ze śmiechem*) — Pan... bo inaczej może się pani potem pomylić. (*bierze jej rękę i chce pocałować*) Pani się nie gniewa... za tę maskaradę?

AMELJA (*cofnęła rękę, całuje ją w czoło*) — Idzie o to, żeby się dobrze skończyła.

DOKTÓR — Skończy się skandalem, zobaczy pani!

STASIA — Niech pan nie kracz!... Z pana byłaby Kasandra! Wszystko będzie dobrze.

AMELJA (*do doktora z uśmiechem*) — Zdaje mi się, że ona wie, czego chce. A czego kobieta chce...

STASIA (*z uśmiechem*) — Wiem. Tylko przedtem obawiałam się, czy nasze plany się nie skrzyżują. A teraz...

AMELJA — Nie obawia się pani?

STASIA (*obrzuciła ich spojrzeniem*) — Wcale. (*zmiana tonu*) Straszną biedę miałam z wujaszkiem. On umie być złym! Nie chciał darować szoferowi. (*z akcentem nieświadomego tryumfu*). Ale darował... (*zapatrzyła się na suknię, zawieszoną na manekinie*). Gdyby pani była bardzo, bardzo dobra...

AMELJA (*z uśmiechem*) — Cóż mam zrobić?

STASIA — Pozwoliłaby mi pani przymierzyć tę suknię.

DOKTÓR (*do Amelji*) — Ma pani! Z nią nudzić się nie można! Co chwila wynajdzie coś nowego. (*do Stasi*) Dziewczyno!... nie... chłopcze! Czy ty masz źle w głowie? On wejdzie tu lada moment!

STASIA (*lekko*) — Więc cóż z tego! (*do Amelji*) Ale i kapelusz!

AMELJA (*do doktora*) — Ona nie ma wcale tak źle w głowie! (*zbliżyła się do drzwi na lewo*) — Panno Jadwigo!

JADWIGA (*w drzwiach*) — Jestem.

AMELJA — Moja droga... (*zawahała się — z uśmiechem*) Ten pan (*wskazała Stasię*) chciałby przy-

mierzyć tę suknię (*wskazała*) i kapelusz (*tak samo*)...

JADWIGA (*osłupiała*) — Ten pan?

AMELJA (*z udaną powagą*) — Niech pani będzie tak dobra i pomoże...

JADWIGA (*bardzo obrażona*) — Proszę pani, ja nie ubieram mężczyzn. (*Amelja i Stasia wybuchają śmiechem*).

AMELJA (*wskazała Stasię*) — Lecz tę panienkę... w ineksprimablach?

JADWIGA (*zorjentowała się, ze zdziwieniem i uciechą*) — Więc pani!... Że ja się odrazu nie domyśliłam! (*zbliżyła się życzliwie do Stasi*).

AMELJA (*palec na ustach*) — Ale cyt!

JADWIGA (*serdeczna, do Stasi*) — Niech pani pozwoli... (*bierze suknię i kapelusz i wychodzi na lewo, za nią Stasia*).

DOKTÓR — Tu się robi dom warjatów. Ja nie jestem psychiatrą!

AMELJA (*śmieje się*) — Panno Jadwigo! (*Jadwiga już bez sukni i kapelusza pojawia się w drzwiach, za nią Stasia*) — A nie zgorszcie mi chłopczyka!

JADWIGA (*śmieje się*) — Kiedy chłopiec wydaje się dość uświadomiony... (*rzuciła okiem na manekin*) Został pasek! (*idzie wziąć go, stanęła przy manekinie, nieopodal drzwi w głębi, — do Stasi*) Będzie pani wyglądała w tej sukience, jak marzenie.

STASIA (*podskoczyła z radości*) — Naprawdę? Ucałuję panią.

JADWIGA — Chyba jak się pani przebierze. Teraz wstydziłabym się.

STASIA (*swywolnie*) — Właśnie, że teraz! (*podbiega do niej ze śmiechem, bierze w pół i całuje, mimo lekkiego przekomarzania się ze strony Jadwigi. W tej chwili w drzwiach w głębi zjawia się Tadeusz*).

## SCENA 6.

CIŻ — TADEUSZ.

TADEUSZ (*gwałtownie*) — Co to ma znaczyć? (*na-głym brutalnym ruchem, odpycha Jadwigę, która potoczyła się parę kroków*).

JADWIGA (*oburzona*) — Proszę pana!

TADEUSZ (*j. w.*) — Jak pani śmie! (*do Amelji, tonem silnego wyrzutu*) — Pani na to pozwala? (*do doktora*). I ty stoisz, jak mumja!

STASIA (*stropiona*) — Ależ wujaszku, w tem niema nic złego!

TADEUSZ (*ochłonął, do Jadwigi opryskliwie*) — Przepraszam panią! (*do Amelji, j. w.*) Pani jest nadto pobłażliwa!

(*Stasia za jego plecami daje znak Jadwidze i obie wysuwają się drzwiami w głębi*).

## SCENA 7.

AMELJA — DOKTÓR — TADEUSZ.

AMELJA (*łagodnie*) — To były przecież tylko żarty.

TADEUSZ — Bardzo niewczesne.



DOKTÓR — Pchnąłeś tę pannę, jak gbur. Miała łzy w oczach.

AMELJA (*do doktora*) — Dam jej mój stary kapełusz, na który miała oddawna ochotę.

DOKTÓR — Dlaczego pani ma dawać, skoro on zawinił!

AMELJA — Będę bardzo zadowolona: raz, że jej zrobię przyjemność, a powtóre, że się pozbędę kapełusza, który mi się naprzykrzył. (*do Tadeusza, z uśmiechem*) Uspokoił się pan?

TADEUSZ — Niech pani wybaczy moje chwilowe, zrozumiałe zresztą podrażnienie.

(*Chwila milczenia*).

AMELJA — Pan Franciszek chciał z panem pomówić.

DOKTÓR (*stropiony*) — Ja?

TADEUSZ (*zdziwiony*) — Służę.

(*dłuższe milczenie*).

DOKTÓR (*widocznie zakłopotany, wykręcił parę razy palcami, aż nagle zdecydowany*) — Słuchaj Tadziu! Ty się nieżeń z panią Amelją...

TADEUSZ (*osłupiał*) — A to co znowu?

DOKTÓR — Nie trzeba! Pani cię nie kocha. To... to nie byłoby dobrze.

TADEUSZ (*do Amelji*) — Co to ma znaczyć?

AMELJA (*onieśmielona*) — Mnie się zdaje, że pan Franciszek ma słuszność.

TADEUSZ (*objął ich podejrzliwem spojrzeniem*) — Pani przecież w nim się nie kocha?

DOKTÓR (*urazony*) — Mój drogi!

TADEUSZ (*szczerzy*) — Z nas dwóch pani wybrałaby jego? To niemożliwe!

AMELJA (*łagodnie*) — Ja obawiam się, że panu nie umiałabym zapewnić szczęścia, — że nasze usposobienia... (*plącze się*).

TADEUSZ (*do doktora surowo*) — Jesteś niepoprawny! (*bierze go za ramię i prowadzi do lustra*). Spójrz w lustro. Broda siwa, plecy zgięte w ka-  
błąk, ruchy ociężałe, — i jeszcze ten surdut sta-  
rego kancelisty! (*doktór wytrącony z równowagi, nie wie, co odpowiedzieć*) Ja panią rozumiem. Pa-  
ni jego żal.

AMELJA (*z łagodnym uśmiechem*) — Przecenia pan moją tkliwość. Ja mam także swój egoizm.

TADEUSZ (*słuchał jej z widocznym zdziwieniem, przeszedł parę razy po pokoju*) — To jest zdumiewające... (*pauza*) Ja miałbym ustąpić... miałbym zrzec się moich praw? (*Amelja chce zaprotestować co do istnienia tych praw*) Tak jest, moich praw... Pamięta pani własne słowa, onegdaj, w tym samym pokoju? Nie, nie, droga pani, to jest nieporozumienie. Ja się na to nigdy nie zgodzę. (*do doktora surowo*) Wstydz się... (*znów przeszedł się i stanął przed Amelją*). Ale to jest zdumiewające! Ja powinienem odczuwać wielki gniew, — jego wyrzucić za okno...

AMELJA (*z uśmiechem*) — Mnie udusić!..

TADEUSZ (*serjo*) — Może... I ja tego gniewu nie czuję. To jest właśnie zdumiewające... nie do pojęcia!

AMELJA — Bo pan ma świadomość, że pana szczęście jest gdzieindziej.

TADEUSZ (*z porywczą podejrzliwością*) — Ja? Co pani chciała przez to powiedzieć? Proszę. Słu-

cham. (*chwila milczenia, łagodniej*) Dlaczego pani nie mówi? Ja wiem, dlaczego. Nie może pani nic powiedzieć!

(*odszedł do okna i zamyślony patrzy przez szyby na ulicę*).

DOKTÓR (*półgłosem do Amelji, uradowany*) — Idzie znacznie łatwiej, niż myślałem. Jestem najlepszej myśli. Pani jest genialna! (*zmiana tonu*) Proszę pani, czy ja naprawdę jeszcze nie jestem stary?

AMELJA (*z uśmiechem*) — Młodym jest się tak długo, póki się nim być chce... i umie.

DOKTÓR (*spojrzał w lustro*) — I pani uważa, że ta broda...

AMELJA (*j. w.*) — Powinien się pan jej jaknajprędzej pozbyć. Pozwalam co najwyżej na wąsy... jak jego. (*spojrzenie w stronę Tadeusza*).

DOKTÓR (*nagle zdecydował się*) — W takim razie pani pozwoli... ja na chwilę wyjdę.

AMELJA (*zdziwiona*) — Teraz? Cóż tak nagłego?

DOKTÓR (*zaambarasowany*) — Nic... za pół godziny wrócę. (*wyprostował się, ruchy jego stały się giętkie*) — Wie pani? Mam słońce w duszy. Światło i ciepło. Pragnąłbym uklęknąć przed panią i całować ziemię pod jej stopami. A u ramion mam skrzydła. Nie wierzy pani? Jestem pewny, że mógłbym wzbic się pod niebo. Boże! Jakie życie jest piękne!

TADEUSZ (*odwrócił się*) — Co takiego?

DOKTÓR — Nic. (*całuje Amelję w rękę, spojrzął jej błagalnie w oczy*) — Ale pani się nie rozmyśli? (*Amelja przeczy ruchem głowy, uśmiechając się doń, rozrzewniona. Doktor wychodzi szybko, młodzieńczym krokiem*).

## SCENA 8.

AMELJA — TADEUSZ.

TADEUSZ — Co jemu się stało? (*Amelja uśmiecha się, lekkim ruchem ramion zastępując odpowiedź*). — Pani przecież nie bierze tego wszystkiego poważnie?

AMELJA (*j. w.*) — Przeciwnie.

TADEUSZ — Ja sam siebie nie rozumiem... Gdy raz coś postanowię, — (*uderza dłonią w stół*) — musi być! Musi.

AMELJA — Ale zanim się postanowi, trzeba się namyśleć, rozważyć... (*cieplej*) Ja mam dla pana bardzo dużo przyjaźni...

## SCENA 9.

CIŻ — STASIA — JADWIGA.

(*W drzwiach z prawej strony pojawia się Stasia, w sukni i kapeluszu. Amelja ujrzała ją odrazu i uśmiechnęła się do niej. Tadeusz, odwrócony tyłem, odczuł raczej jej przyjście, obrócił się nagle*).

TADEUSZ (*aż cofnął się z wrażenia*) — Co to jest?

STASIA (*śmiejąc się*) — Wujaszek mię nie poznaje? (*Amelja zbliżyła się do niej i poprawia toaletę*).

AMELJA (*do Tadeusza*) — Nie poznaje pan sukni, która tu była?

TADEUSZ (*porywczo do Stasi*) — Kto ci podsunął tę myśl?

STASIA (*tamuje śmiech*) — Pan ma taką pamięć! (*zalatna i razem pokorna*). — Czyż w tem jest co złego? Przez pół godziny będę udawać kobietę.

TADEUSZ — Proszę cię, zrzuc natychmiast te gałgany.

AMELJA (*śmieje się*) — Moją kreację nazywa gałganami!

STASIA (*prosi*) — Tylko pół godziny! (*składa ręce*) Wujaszku! (*Tadeusz niezdecydowany*).

JADWIGA (*w drzwiach z prawej strony, do Amelji*) — Proszę pani! Na jeden moment! (*zobaczyła Tadeusza i z obrażoną miną znika*).

AMELJA — Dobrze! (*idzie na prawo*).

## SCENA 10.

STASIA — TADEUSZ.

STASIA (*zbliżyła się do Tadeusza*) — Tylko pół godziny... kwadrans. Lecz wujaszek będzie mię traktował, jak kobietę.

TADEUSZ (*z wyrzutem, ale spokojnie*) — Jak ty się nie wstydzisz! Taki duży chłopiec, prawie dorosły mężczyzna!...

STASIA (*przerywa cokolwiek kapryśnie*). — Niema chłopca, ani mężczyzny. Jest Stasia, daleka kuzynka. (*zmienia ton na salonową rozmowę*). Niech pan siada... (*bierze go za rękę, pociąga, oboje sia-*



dają). Czy pan ma zmartwienie? Proszę zwierzyć się kuzynce!

TADEUSZ (*przypatruje się jej, jakgdyby widział ją pierwszy raz*) (*tonem lekkiej nagany*) — Wyglądasz, jakgdybyś nigdy sukni nie zdejmował.

STASIA (*z uśmiechem*) — Przepraszam... ja w sukni nie sypiam. (*chwila milczenia*). Czy wujaszek zawsze jest taki rozmowny z młodemi pannami?

TADEUSZ (*opryskliwie*) — Zawsze, gdy młode panny są przebranymi mężczyznami.

STASIA (*z wymówką*) — Obiecał wujaszek o tem zapomnieć! (*składa ręce błagalnie*). Na pięć minut!

TADEUSZ — Czem ty sobie wypchałeś gors? Pokaż. (*chce sięgać do jej piersi*).

STASIA (*odsuwa się szybko, zawstydzona*) — Proszę pana! (*wybuchu śmiechem, który osłania zakłopotanie*) Wujaszku! To mają być maniery salonowe? Nie uchodzą nawet z kuzynką. (*wraca do tonu ceremonjalnego*) Jeśli pan będzie się tak zachowywał, będę zmuszona zawołać cioci.

TADEUSZ (*zaczyna się poddawać igraszce*) — Cioci! Ja ci dam ciocię! (*chce ją wziąć za ucho, ona uchyla się, kłapiąc zębami, jakgdyby chciała go ukryć*).

STASIA — Ugryzę!

TADEUSZ — To w twoich salonach panny gryzą? Ładne obyczaje!

STASIA (*wraca do salonowego persiflażu*) — Proszę pana... porozmawiajmy spokojnie. Słyszałam, że się pan kocha?

TADEUSZ — Żle pani słyszała.

- STASIA (*j. w.*)—Mówiono mi nawet, że się pan żeni.  
Czy można złożyć życzenia?
- TADEUSZ (*wpada w ton persiflażu*) — Wybrała pani najodpowiedniejszą chwilę.
- STASIA (*wypadła z tonu, zaciekawiona*) — Jakto?
- TADEUSZ (*opanował się*) — Nic... Już ja wolę twoją komedję.
- STASIA (*ceremonjalna*) — Jak pan może wyrażać się tak lekceważąco o małżeństwie! Małżeństwo, to rzecz bardzo poważna, z której tylko mężczyźni robią czasem „komedję“.
- TADEUSZ (*tak samo, ironizuje*) — Mimo to nie udało się im jeszcze zrazić kobiet...
- STASIA (*śmieje się*) — Musi być jakaś kara! (*z filuterną powagą*) Ja, proszę pana, zapatruję się na małżeństwo bardzo poważnie.
- TADEUSZ (*wpada w jej ton*) — Jakże w oczach pani rysuje się szczęśliwy kandydat do jej ręki?
- STASIA (*j. w.*) — Młodych ludzi nie lubię. Musi to być człowiek w sile wieku, dobrze zakonserwowany, o mocnej woli, śmiałem postanowieniu...
- TADEUSZ (*ironizuje*) — Gdybym był zarozumiałym, mógłbym mniemać...
- STASIA (*przerywa*) — Zarozumiałość jest wielką wadą... (*spojrzała nań zalotnie*), lecz świadomość własnej wartości jest czynnikiem siły.
- TADEUSZ (*j. w.*) — Te słowa dodają mi otuchy. Mogę mieć zatem nadzieję, że gdybym powziął zamiar starania się o względy jakiejś młodej panny...
- STASIA (*z pazurkami, żywo*) — Wydrapałabym panu oczy.

TADEUSZ (*j. w.*) — Zazdrość?

STASIA (*wypada z tonu i zaczyna mówić szczerze*)—

Czy można kochać się i nie być zazdrosnym?

Gdyby naprzykład wujaszek dowiedział się, że pani Amelja (*tonem poufny*) — bardzo mi się podoba pani Amelja — że pani Amelja dała się porwać żywшему uczuciu wobec doktora... Wujaszek zabiłby go, prawda?

TADEUSZ (*pod wrażeniem jej argumentacji*) — Ja?

STASIA (*z przekonaniem*) — Zabiłby go wujaszek odrazu! Jestem pewna. Wuj nie jest człowiekiem pół uczuć, pół decyzji, kompromisów!...

(*Tadeusz wstał i chodzi zamyślony po pokoju*).

TADEUSZ (*po chwili, szorstko*) — Idź przebrać się.

STASIA (*pokorna*) — Dobrze. (*idzie ku drzwiom na prawo*).

TADEUSZ (*objął ją wzrokiem, niezdecydowany*) —

Czekaj... (*podejrzliwie*). Jakim sposobem ty umiesz tak swobodnie ruszać się w sukni? Nikt nie odgadłby, że nie jesteś kobietą!

STASIA (*przybiera nagle ruchy i ton chłopaka*) —

Wujaszek obraża mię. Niechby spróbował mi to powiedzieć kto inny! Zaraz wyzwałbym go na rękę! (*podchodzi do Tadeusza*) Chce wujaszek? Walka francuska! Jak w cyrku. (*staje w pozycji do walki*).

TADEUSZ (*uśmiecha się*) — Kurczę!

STASIA — Ta zniewaga krwi wymaga! Bacność!

Ja wujaszкови zrobię takiego nelsona!...

(*atakuje go, przymierza się, odskakuje, on patrzy na nią z uśmiechem, po chwili jednak wchodzi w jej grę i zaczynają się mocować*).

TADEUSZ (*pochwycił ją w ramiona*) — Nie ciskaj się... smyku jeden...

STASIA (*piszczy*) — Aj! nie tak mocno! Boli!

TADEUSZ (*puścił ją, przerażony*) — Ścisnąłem cię? Widzisz! (*rozzewniony jej miną*) Biedactwo! (*chce ją przygarnąć i pocałować, ona instynktownie cofa się*).

TADEUSZ (*zdziwiony*) — Gniewasz się?

STASIA (*cokolwiek zmieszana*) — Nie... (*z lekkim wahaniem nadstawia czoło. Gdy on ją całuje, ona przymyka oczy. W tej chwili z prawej strony wchodzi Amelja, oni odskakują od siebie, jakgdyby schwytani na gorącym uczynku*).

## SCENA 11.

CIŻ — AMELJA.

AMELJA (*z uśmiechem*) — Przeszkadzam?

TADEUSZ (*niecierpliwie*) — Cóż znowu! (*do Stasi, gniewnie*) Proszę cię, idź już raz się przebrać... (*do Amelji, zmiana tonu*) Wezmę go do tego magazynu na dole, żeby wybrał sobie przyzwoity paltot na drogę... (*przetarł czoło chustką*). Jak tu gorąco! (*podszedł do okna*).

STASIA (*przełękła się, półgłosem do Amelji*) — Ja nie pójdę przymierzać. Poznaliby.

AMELJA (*zakłopotana*) — Ale co robić?

STASIA (*namyśla się przez chwilę, niezdecydowana, nagle chwyta się za policzek*) — Aj!

TADEUSZ (*przestraszony*) — Co ci się stało?

STASIA (*trzyma się za policzek*) — Ząb... Ząb nagle zabolał... Ach, jak rwie... (*siada na kanapie, przymknęła głowę do poduszki*) Ja się stąd nie ruszę.

TADEUSZ (*zbliżył się do niej troskliwie*) — Pokaż.

STASIA (*po jej ustach przemknął swywolny uśmiech, otworzyła szeroko usta*) — Ten (*pokazuje palcem*)

TADEUSZ (*zbadał uważnie*) — Rzeczywiście... Działo zaczerwienione... O! jest plamka (*serjo*) Trzeba będzie wyrwać. Pójdziemy do dentysty.

AMELJA (*wskazuje na jej suknię*) — W tym stroju:

TADEUSZ — Prawda. Potrzebna była ta maskara! (*do Stasi*) Przebierzesz się prędko. Tymczasem każę przynieść tutaj parę paltotów do wyboru... (*do Amelji*) Lecz gdzie szukać dentysty?

AMELJA (*uśmiechnęła się przekornie do Stasi*) — Mieszka w tym samym domu... nademną.

STASIA (*przerazona, zła i zarazem rozbawiona, pogroziła Amelji za plecami Tadeusza piąstką*) — Ja nie pójdę do dentysty! Za nic w świecie nie pójdę... (*przytknęła głowę do poduszki, płaczkliwie*) Wszyscy tylko nad tem myślą, żeby mi krzywdę robić. Nie chcę! Nie pójdę! (*udaje rozkapszenie*).

TADEUSZ (*do Amelji, strapiony*) — Jest silnie zdenewrowany. Może pani go uspokoi! Ja nie umiem... (*do Stasi*). Proszę cię, nie można być dzieckiem...

STASIA (*z główką przytkniętą do poduszki*) — Nie pójdę, nie pójdę do dentysty...

AMELJA (*z uśmiechem*) — Niech pan mnie zostawi... (*Tadeusz stoi przez chwilę niezdecydowany, wkońcu*



wychodzi. Gdy słyhać w przedpokoju stuk zamykanych drzwi, Stasia zrywa się z kanapy i wybuchu śmiechem. Amelja śmieje się również).

### SCENA 12.

STASIA — AMELJA.

STASIA — Ładnie urządziła mnie pani z tym denty-  
stą! (*minka*). Zaraz znalazł plamkę... (*zaniepoko-  
jona*) Ma pani lusterko? (*Amelja wyjmuje z to-  
rebki małe lusterko, Stasia ogląda uważnie zakwe-  
stjonowany ząb*) Gdzie on widział tę plamkę!  
W męczyznę wszystko można wmówić. (*kładzie  
lusterko na stoliku*).

AMELJA (*z udaną powagą*) — Jednak ząb trzeba  
wyrwać...

(*w drzwiach Siarczyńska, za nią Siarczyński*).

### SCENA 13.

STASIA — AMELJA — SIARCZYŃSCY.

SIARCZYŃSKA — Przepraszam panią... Można?

AMELJA (*uprzejma*) — Proszę.

(*Wchodzi naprzód Siarczyńska, potem jej mąż. Stasia  
wysuwa się drzwiami w głębi. Gdy mijają się z Siar-  
czyńskim, ten zatrzymuje na niej spojrzenie zachwyc-  
one i zarazem zabójcze. Stasię ten wzrok zabawił, więc  
odwróciła się w drzwiach, zmierzyła go cokolwiek  
drwiącemi oczyma. Siarczyńska zajęta powitaniem  
z Amelją, nie widzi tej niemej sceny. Za drzwiami sły-  
chać śmiech Stasi*).

SIARCZYŃSKA (*do Amelji*) — Przejechaliśmy się  
naszym samochodem, a w Wilanowie Munio (*spoj-*

*rzenie w stronę męża*) zjadł dwie porcje lodów. Moja droga pani, czemu człowiek ma sobie żałować, kiedy go stać na to? Tyle naszego, co tutaj... *(do męża, troskliwie)* Czyś ty sobie tylko nie zamroził żołądka?

SIARCZYŃSKI *(podnieciony sceną ze Stasią, założył monokl i usiadł z fantazją w fotelu, założywszy wysoko nogę na nogę)* — Czuję się zupełnie comme il faut.

SIARCZYŃSKA *(objęła go wzrokiem, pełnym nietajonego uwielbienia, — półgłosem do Amelji)* — Czy on nie wygląda, jak hrabia?

*(Amelja skinęła głową, uśmiechając się. (do męża) —* Posiedzisz sobie tutaj, my pójdziemy przymierzać. *(czule)* Zapal sobie papierosika. Pani pozwoli, prawda?

AMELJA *(j. w.)* — Ależ naturalnie. *(Siarczyński wyjmuje z bogatego etui papierosa i zapala).*

SIARCZYŃSKA *(wychodząc, z minoderją w stronę męża)* — Do widzenia! Do widzenia! *(idzie na lewo, za nią Amelja).*

#### SCENA 14.

SIARCZYŃSKI — STASIA.

*(Przez chwilę na scenie Siarczyński sam. Drzwiami w głębi wchodzi Stasia, widocznie czegoś szukając).*

SIARCZYŃSKI *(sposzregłszy Stasię, żywo wstał, poprawił ubranie, umocnił monokl, wysłodził uśmiech)* — Panienska szuka czegoś?

- STASIA (*nie zwraca nań uwagi*) — Zostawiłam tu lusterko.
- SIARCZYŃSKI (*zbliża się do niej*) — Panienska jest manekinem?
- STASIA (*nie rozumiała — zdziwiona*) — Manekinem?
- SIARCZYŃSKI — Ja zgadłem odrazu... (*poufale*) Ta suknia (*dotyka jej sukni*) przedtem była tutaj... kapelusz tam...
- STASIA (*hamuje śmiech*) — Pan ma dobrą pamięć! (*szuka dalej; Siarczyński idzie za nią*) — Panienska nie znajdzie tego lusterka... Jego tu wcale nie ma. (*domyślny*). Ja wiem, dlaczego panienska tu wróciła...
- STASIA (*drwi*) — Proszę pana, jak pan to robi, żeby tak wszystko wiedzieć? (*spostrzegła lusterko*) Jest!
- SIARCZYŃSKI (*akcent lekkiego zawodu*) — To zresztą nie ma znaczenia. Panienska mi się podoba.
- STASIA (*j. w.*) — Tak... odrazu?
- SIARCZYŃSKI (*pewny siebie*) — Odrazu. Gdzie panienska mieszka?
- STASIA (*śmieje się*) — Na prowincji.
- SIARCZYŃSKI (*domyślny*) — Pewno na Pradze?..
- STASIA (*j. w.*) — Trochę dalej.
- SIARCZYŃSKI — A ja paniencie podobam się?
- STASIA (*j. w.*) — Jak się panu zdaje?
- SIARCZYŃSKI — Mnie się wcale nie zdaje... Ja wiem. (*chce ją wziąć za rękę*) Moje dziecko...
- STASIA (*cofnęła rękę, z udaniem zdziwieniem*) — Pan chce być moim ojcem?

SIARCZYŃSKI — Wprost przeciwnie. Façon de parler! Czy to się godzi, żeby takie śliczne stworzenie przymierzało cudze suknie... (*wciąż operuje, żeby ująć rękę Stasi*).

STASIA — Pan ma bardzo dobre serce... Ale ja mam i swoje własne suknie.

SIARCZYŃSKI — Z pewnością nie takie, jakich panienka jest warta. Jak panience na imię?

STASIA (*bez wahania*) — Nepomucena.

SIARCZYŃSKI (*skrzywił się*) — Nepomucena?... To pachnie Pragą... albo nawet Pelcowizną. Wynajdziemy pani inne imię... Nepa! To brzmi doskonale. Nepa!

STASIA (*śmieje się*) — Niech będzie Nepa. Tymczasem pan wybaczy... (*chce iść*).

SIARCZYŃSKI (*zastępuje jej drogę*) — Wcale nie wybaczę. Ja do panienki napiszę. Podpiszę się jedną literą: *m*. Panienka rozumie po francusku?

STASIA — Cokolwiek.

SIARCZYŃSKI — Aime! po polsku jedna litera, a po francusku: kocham!

STASIA (*śmieje się*) — Będę pamiętała. Ale teraz... (*chce iść*).

SIARCZYŃSKI (*bierze ją za ramię*) — Teraz mała zaliczka, — żebyś nie zapomniał!

STASIA (*wyrywa się, zła*) — Niech pan sobie zrobi węzełek na chustce od nosa! Proszę mię puścić!

SIARCZYŃSKI (*pewny siebie*) — Jaka zła! Myślałby kto, że naprawdę. Ale ja wiem...

STASIA (*j. w.*) — Jeśli mię pan natychmiast nie puści, zawołam na panią Amelję.

SIARCZYŃSKI (*usiłuje przygarnąć ją do pocałunku*)  
— Nie zawoła... Ja się znam na tem. Nie zawoła!

### SCENA 15.

CIŻ — TADEUSZ — DENTYSTA.

(*W drzwiach w głębi Tadeusz, którego oni, mocując się z sobą, nie widzą*).

TADEUSZ (*na progu, odwrócony tyłem do sceny*)—  
Z paltotem proszę poczekać... Niech pan pozwoli,  
panie dentysto...

SIARCZYŃSKI (*szamoce się ze Stasią*) — Czy to wy-  
pada być tak niegrzeczną... Będę się gniewał... Je-  
den pocałunek... na zadatek...

STASIA (*wyrywa się*) — Panie, bo będę krzyczeć...  
(*Tadeusz nagle odwrócił się, jednym susem dopadł  
Siarczyńskiego, chwycił za kołnierz, odrzucił od Stasi,  
szarpie nim w pasji*).

TADEUSZ — Łotrze jeden! Ja cię nauczę!  
(*Dentysta z neseserem w ręku przypatruje się osłupia-  
ły tej scenie*).

SIARCZYŃSKI (*przerażony*) — Panie! Czego pan  
chce! Ratunku!...

### SCENA 16.

CIŻ — SIARCZYŃSKA — AMELJA.

(*drzwiami na lewo wpada Siarczyńska w stroju niedba-  
łym, gorset, tłuste ramiona obnażone*).

SIARCZYŃSKA (*przerażona i krzykliwa*) — Muniu!  
Co to jest! Pomocy!



AMELJA — Panie Tadeuszu!

TADEUSZ (*puścił Siarczyńskiego*) — Ten łotr ośmielił się napastować...

SIARCZYŃSKA (*j. w.*) — Jak pan śmie tarnosić poważnego obywatela... (*do Amelji*) — To u pani takie obyczaje! Jakieś obce bandyty napadają na porządných gości...

TADEUSZ (*groźnie*) — Pani! (*Siarczyński stanął za żoną, bardzo obrażony, poprawia zmiętoszone ubranie*).

SIARCZYŃSKA — To nie magazyn mód, to buda... (*chwyciła męża za rękę*). Chodź! Byle spódnica, już głowę traci! Jakgdyby w domu nie miał dosyć wszystkiego... (*Do Amelji*) Moja pani, ja z takim magazynem stosunków utrzymywać nie będę. Kwita z przyjaźni! I tej sukni też nie wezmę! Ciasna w biuście i jeszcze takie skandale!... Wstyd! Mu-niu!... (*pociąga męża do drzwi na lewo*).

### SCENA 17.

TADEUSZ — AMELJA — STASIA — DENTYSTA.

TADEUSZ (*całuję w rękę Amelję*) — Przepraszam panią, lecz doprawdy, to nie moja вина... (*do Stasi, porywczy*) Oto rezultat...

STASIA (*wytrącona z równowagi, pokorna*) — Ja nie wiedziałam, że ten pan...

TADEUSZ (*przerywa, w pasji*) — On jeszcze w dalszym ciągu udaje kobietę!

AMELJA (*z łagodnym wyrzutem*) — Pozbawił mnie pan najlepszej klientki!

(*Chwila milczenia. Tadeusz chodzi wzburzony*).

DENTYSTA (*który przypatrywał się tej scenie w milczeniu, — uprzejmie*) — Proszę szanownego pana, pan chciał, żebym pewnemu młodzieńcowi wyrwał ząb.

TADEUSZ (*chodzi roztargniony*) — Tak.

DENTYSTA (*zbliża się do stołu, otwiera neseser*) — Przyrządziiki są... Czy będzie potrzebny także gaz rozweselający?

TADEUSZ (*j. w.*) — Owszem.

DENTYSTA (*wyjmuje obcęgi*) — Doskonale. Czy mogę zapytać, gdzie ów sympatyczny młodzieniec?

TADEUSZ (*bierze Stasię, trochę przełęczoną, za rękę i przyprowadza pod nos dentyście*) — Oto jest! (*chodzi dalej*).

(*Dentysta patrzy zdumiony na Stasię, na Tadeusza, potem zwraca się z pytaniem w oczach do Amelji*).

AMELJA (*kryje śmiech*) — Kiedy już nie trzeba... Ból sam przeszedł... (*skinęła na dentystę, bierze go na bok*) Pan wybaczy, zaszło małe nieporozumienie...

DENTYSTA — Tak?... (*zabiera neseser*) — Jak państwo chcą... (*wychodzi z miną człowieka, który opuszcza dom warjatów*).

TADEUSZ (*do Stasi*) — Mogłeś być dać sobie wyrwać ząb... dla samej przyzwoitości... Ja się nie dziwię, że ten osioł (*wzrokiem wskazuje drzwi, które wyszedł dentysta*) może mię uważać za warjata. (*chodzi bardzo podniecony po pokoju, przez chwilę w milczeniu, potem raczej do siebie, niż do obecnych*) Tutaj naprawdę można oszaleć... Ja siebie od dwóch dni nie poznaję... nie rozumiem... (*Sta-*

nę! przed Amelją) — Pani widzi, co się ze mną dzieje? Pani jedna może mię uratować!

AMELJA (*zdziwiona*) — Ja?

TADEUSZ — Tak. (*z naciskiem*) — Pani musi mię uratować!

## SCENA 18.

### CIŻ — DOKTÓR.

(*Wchodzi młodzieńczym krokiem doktor. Ogolił brodę, kupił sobie modne ubranie marynarkowe w kratkę, wysoki kołnierzyk, ładny krawat, nowy kapelusz, laskę.*)

DOKTÓR (*rozpromieniony*) — Jestem... (*całuje rękę Amelji*). Zrobiłem wszystko, co pani kazała. W przeciągu godziny odmłodziłem o 10 lat. Gdyby poszło dalej w tem tempie, za cztery godziny musiałbym szukać mamki.

TADEUSZ (*chodzi w dalszym ciągu po pokoju, obrzucił doktora roztargnionym wzrokiem*). Dobrze, żeś przyszedł. Mam ci do zakomunikowania ważną wiadomość. (*Stasia zaniepokojona, przysłuchuje się rozmowie*).

DOKTÓR (*j. w.*) — Ja nie jestem żadny nowych wiadomości. Wystarczają mi do szczęścia dawne. (*całuje ponownie w rękę Amelję*) — Czy pani ze mnie zadowolona?

AMELJA (*uśmiecha się doń, zarazem wzruszona, czuła i rozbawiona*) — Bardzo.

TADEUSZ (*zniecierpliwiony, że nie zwracają nań uwagi, chwycił doktora za rękę*) — Oświadczam ci, że ja się żenię z panią Amelją.

DOKTÓR } — Ty!  
          } (*przerażeni*)  
AMELJA } — Co takiego?

TADEUSZ — Mój drogi! Tyle lat żyłeś sam, możesz tak żyć i dalej! Ja jestem zagrożony niebezpieczną obsesją... Ja się muszę ratować... Pani odmówić mi nie może!... Pani zgodziła się... onegdaj...

AMELJA (*protestuje*) — Tylko nie odmawiałam... w zasadzie!

TADEUSZ (*porywczo*) — Wszystko jedno, w zasadzie, czy bez zasady, ja miejsca nie ustąpię. Woli pani, żebym go wyzwał i zabił?

DOKTÓR (*w niemej rozpaczycy przysiadł na krześle*). — To okropne. Wszystko wniwecz! Po co ja zgoliłem brodę!

TADEUSZ (*zdecydowany*). I już żadnej zwłoki... żadnej! Postaram się o indult, zaraz ślub... (*do doktora*). Ty będziesz naszym świadkiem .

DOKTÓR (*wściekły*) — Nigdy!

TADEUSZ (*j. w.*) — Będziesz!

DOKTÓR (*spojrzał na zegarek, do Stasi*). — Jedziemy!

(*Stasia przybliżyła się do Amelji, cokolwiek stropiona, jednak lekki uśmiech błąka się na jej wargach.*)

TADEUSZ (*zaskoczony, do Stasi*) — Chcesz z nimjechać? (*do doktora ze złością*). Dobrze. (*do Stasi, ostro, wskazując drzwi do przedpokoju*). Tam czeka subjekt z paltotami... Wybierz... tylko ciepły.... (*idzie ku drzwiom, Stasia za nim*).

DOKTÓR (*zrozpaczony*) — Wszystko przepadło!  
(*Amelja stanęła obok niego zasmucona i zdezorjentowana*).

STASIA (*wraca od drzwi, za któremi zniknął Tadeusz, staje między doktorem i Ameliją, przygnębiona*). — A zapowiadało się tak dobrze!...  
(*Doktor i Amelja spojrzeli na nią zdziwieni, — ona ze spuszczoną głową idzie ku drzwiom w głębi*).

Zasłona spada.



### AKT III.

Dekoracja ta sama, co w pierwszym akcie. Ogród przy dwor-  
ku Hilarego. Letnie popołudnie. Przy stole w ogrodzie siedzi  
Hilary i układa pasjansa. Obok siedzi Malwina, pochylona  
nad ręczną robótką.

#### SCENA 1.

HILARY — MALWINA.

HILARY (*miesza karty*). — Znów nie wyszedł! Już  
trzeci pasjans mi nie wychodzi!

MALWINA (*pesymistyczna*). — Jak się nie wie, dzie,  
to we wszystkim.

HILARY (*tasuje karty*) — Jeszcze jeden! Jeśli wyj-  
dzie, to wygram główny los na loterji. (*Malwina  
wstaje i chce iść*). Czekał. To bardzo interesują-  
ce. (*podaje jej karty*). Zbierz. (*Malwina przeci-  
na*). — A gdzie Stasia?

MALWINA (*usiadła z powrotem*). — Ona teraz cią-  
gle przesiaduje w altance od szosy. (*obejrzała się  
ku gankowi*). Zuzia wraca... Napisałeś grzecznie?

HILARY (*rozkłada karty*). — Napisałem, że mam 40  
stopni gorączki. Gdyby nie przyszedł, nie miał-  
by serca. (*rozkłada karty*). Idzie... idzie...

MALWINA (*drgnęła i odwróciła się w stronę furtki*).  
— Idzie?

HILARY (*objaśniając, że mu szło o karty*). — Idzie dobrze... (*kontent*). Wiesz, gdy wygram główny los, kupię sobie willę w Gdyni. W lecie najprzyjemniej jest nad morzem. Ja gór nie lubię. Ładny domek z ogrodem, schodzącym do morza... (*układa karty*). Mały stateczek parowy, którym będziemy jeździli do Gdańska... No, znów nie taki mały... żeby było można robić i dalsze wycieczki... Tobie podoba się mój projekt?

MALWINA (*lekko zdziwiona*). — Ty trzymasz teraz na loterii?

HILARY — Nie.

MALWINA — Więc jak możesz wygrać?

HILARY (*niezadowolony*). — Czy ja wiem! Wszystko jest możliwe. Idę ulicą... leży kartka papieru... los loteryjny... Czy to się nie zdarza? Nie można sobie zatruwać życia ustawicznym pesymizmem! (*układa karty*).

MALWINA (*wraca do tematu, który ją interesuje*). — W kościele mówiła mi aptekarzowa, że go poznać nie można. Zgolił brodę i nosi ubranie w kratkę. Mężczyźni są lekkomyślni!

HILARY (*układa karty*). — Idzie... idzie... (*Malwina znów drgnęła i spojrzała instynktownie w stronę furtki*). Piątka na czwórkę, walet na dyskę... (*zatrzymał się, do Malwiny*). Takie czuję drapanie w gardle... Co to może być?

MALWINA — (*udaje, że nie rozumie*). Chcesz szklanek mleka?

HILARY (*urazony*). — Mleka? Nie jestem cielęciem!  
Niema już tam tego sikacza?

MALWINA — Ostatnią butelkę wypijeś wczoraj.

HILARY (*zły, bo i pasjans popsuł się*).—Jak wy prowadzicie to gospodarstwo! I wogóle kraj, który nie ma własnego wina! W lecie za gorąco, w zimie za zimno, na wiosnę i w jesieni deszcz, — chłop ciemny i chciwy, mieszczanin głupi i ospały, — na wsi nędza, w mieście błoto, oto twoja ukochana ojczyzna, polaku!

MALWINA — Wstydzilibyś się tak mówić. Dopiero co wymawiałaś mi pesymizm...

HILARY (*rozzucił karty, zły*. — Nie wyszedł. (*z głębi ogrodu, aleją zbliża się Stasia, w męskim przebraniu*). Czemu ty chodzisz ciągle w tem przebraniu? Już dosyć plotkują w całym mieście...

## SCENA 2.

CIŻ — STASIA.

STASIA — Ja na miasto w tem ubraniu nie wychodzę.

HILARY — Jednak wiedzą... W tej dziurze wszystko wiedzą, wszystko widzą. Idź włożyć suknię.

STASIA (*prosi*). — Mój ojczulku! Nie teraz... Jeszcze dziś tylko...

HILARY (*stanowczo*). — Ma przyjść pan Wawrzyniec.

STASIA — To mi jest wszystko jedno.

HILARY (*podrażniony*). — Ale mnie nie jest wszystko jedno. On zupełnie głupieje, gdy cię widzi w tych... (*gestem wskazuje spodnie*). Czy Julja chodziła w spodniach?

MALWINA (*zdziwiona*). — Jaka Julja? (*Stasia idzie ku furtce i wygląda na ulicę*).

HILARY — Capuletti. Ta, w której kochał się Romeo.

MALWINA — Jabym za żadne skarby tego... (*spojrzeniem wskazała spodnie*) nie włożyła.

HILARY (*do Stasi*). — Idzie kto?

STASIA (*wraca, nerwowa*). — Nie.

MALWINA (*z wyrzutem*). — Nic nie mówiłaś, że do kóór zgolił brodę i nosi ubranie w kratkę!

STASIA — Nie sądziłam, że to takie ważne...

MALWINA (*j. w.*). — Od ciebie nic nigdy nie można się dowiedzieć.

HILARY — Idź ubrać się.

STASIA (*wybuchu nagle nerwowym płaczem*). — Jak wy mnie męczycie!

MALWINA (*przeżona*). — Co ci jest! Stasiu!

HILARY (*wzniósł ramiona do góry, poruszony*). — Teraz płacze! Nie! w tym domu nie można wytrzymać!

STASIA — Skoro wszyscy mi dokuczają, wolę uciec. Pójdę w świat...

MALWINA — Uspokój się! Stasiu!

HILARY (*głaszcze ją bezradnie po włosach*). — Dlaczego ona jest taka zdenerwowana! Moje dziecko! Trzeba mieć wzgląd na starego ojca...

MALWINA (*z wymówką do Hilarego*). — A sam nie masz dla niej żadnej względności!

- HILARY (*dotknięty*). — Ja! A wiecie państwo... To może nie ty drażnisz ją bezustanku!
- MALWINA (*unosí się*). — Ja ją drażnię? To jest wprost niesłychane! Może ja jej narzucam tego Flecika!
- HILARY(*unosí się*). — Wiesz, to już koniec wszystkiego! Za to, że myślę o jej szczęściu, że chcę jej los utrwalić...
- STASIA (*przestaje płakać, podniosła głowę, z wolna uśmiech wraca na jej usta*). — Teraz wy zaczynacie się kłócić!
- HILARY (*chodzi wzburzony*). — Taka niesprawiedliwość! W tym kraju nawet najbliższa rodzina nie oceni! (*Malwina chce coś powiedzieć, on nie daje jej przyjść do słowa*). Daj pokój, tu już nie chodzi o mnie, to jest wogóle nadto bolesne!
- ZUZIA (*na ganku*). — Pan doktor już idzie.
- HILARY — Idzie? (*odwraca się do furtki*). Idzie... (*robi kilka kroków ku furtce, przez którą za chwilę wchodzi doktor*).
- MALWINA (*do Stasi*). — Skoro pan Tadeusz żeni się z tamtą panią, dla kogo on się odmładza?
- STASIA (*spojrzała na nią z pewnem współczuciem*). — Nie wiem...

### SCENA 3.

CIŻ — DOKTÓR.

- HILARY (*blisko furtki*). — Co się z tobą dzieje? Człowieku! — Jak ty wyglądasz! (*ogląda go z podziwem, powitania*).



DOKTÓR — A ta gorączka?

HILARY — Tęskni za tobą. Zerwałem się z łoża boleści na twoje spotkanie. *(do Malwiny)*. Malwa! Spojrzyj na niego! *(do doktora)*. Teraz będziesz mi mówić: panie. Ja nie mogę być na ty z takim młokosem.

MALWINA *(wita się z doktorem, — z wymówką)*. — Po co pan to zrobił?

DOKTÓR — Mówiłem pani, że znudziła mię moja doczesna powłoka. Usiłuję ją zmienić... *(nerwowo)*. Ale możeby państwo przestali oglądać mię, jak krokodyla w menażerji... *(do Hilarego)*. Miło mi, żeś chciał ucieszyć oczy widokiem mojej osoby, lecz mam chorych, którzy czują się znacznie gorzej od ciebie. *(do Stasi)*. Ty nie możesz rozstać się z majtkami?

STASIA *(półgłosem)*. — Mam z panem do pomówienia.

DOKTÓR *(głośno)*. — Nie jestem usposobiony do rozmowy!

HILARY — Mój drogi, ja naprawdę czuję się niezdrow. Ciągłe palenie w gardle. Dziwna suchość tu... *(uderza palcem w krtań)*.

DOKTÓR — Potrzebujesz recepty? Półwytrawne: duży kieliszek co kwadrans. Wolisz co pięć minut?

HILARY *(nie obrazil się)*. — Dla ciebie nie ma nic świętego. Nic! Malwina również chciała cię zobaczyć.

DOKTÓR *(lekko zdziwiony)*. — Pani?

MALWINA (*zmieszana*). — Wcale nie... ja tylko dziwiłam się, że od powrotu z Warszawy pan wcale u nas nie był...

DOKTÓR — Jestem zapracowany. (*do Stasi*). Jeśli masz co do powiedzenia, słucham.

STASIA (*zrobiła urażoną minkę*). — Ja tak... z zegarkiem w ręku... nie potrafię.

DOKTÓR — Poczekam, aż się nauczysz.

STASIA (*zła*). — Jeśli panu się tak śpieszy, nikt pana gwałtem nie zatrzymuje.

MALWINA (*strofuje*) — Stasiu!

DOKTÓR (*zdział kapelusz, położył laskę*). — Szczerść i wrodzona słodycz, to zasadnicze cechy jej charakteru! (*do Stasi*) Żmija. (*Stasia zrobiła doń minkę, jakgdyby mu chciała pokazać język*). (*do Hilarego*). Gardło mogę ci zajodynować.

HILARY (*obrażony*). — Dziękuję. Tak, na niewidziane, i zaraz jodynować!

DOKTÓR (*do Malwiny*) — Proszę o łyżeczkę.

MALWINA — Zaraz przyniosę. (*idzie na ganek*).

HILARY (*patrzy za nią, namyślił się*). — Czekaaj! (*idzie również w stronę ganku*).

#### SCENA 4.

STASIA — DOKTÓR.

(*chwila milczenia*).

STASIA (*przekorna*). — Czemuż pan nie idzie?

DOKTÓR — Żmija. (*chwila milczenia*).

STASIA (*zmiana tonu, miękko*). — Panie doktorze! Żle!

DOKTÓR (*ironiczny*). — Co ty mówisz! Żle? Przecież zapewniałaś, że wszystko będzie jaknajlepiej! Na czym ty opierałaś swój optymizm?

STASIA — Przy pożegnaniu spytałam go, kiedy się zobaczymy? Powiedział: nigdy.

DOKTÓR (*nie rozumie*). — No, więc?

STASIA — Gdy się mówi: nigdy, to się myśli: bardzo prędko, zaraz.

DOKTÓR (*do publiczności*). — To się nazywa: logika kobieca.

STASIA (*nie zwraca uwagi na jego ironję*). — Żadnych wiadomości?

DOKTÓR (*zmiana tonu, gorzki*). — Żadnych. Ja od razu wiedziałem, że tak się skończy. Ona jest piękna, dobra, rozumna, — posiada wszystkie zalety ciała i duszy, prócz jednej: nigdy nie miała własnej, mocnej woli. To pnącz. Ona nie będzie potrafiła oprzeć się jego woli. Jutro... pojutrze przyjdzie telegram o ich ślubie. Wszystko okaże się złudzeniem... (*po chwili*). Wiesz, co myśmy powinni zrobić?

STASIA (*zainteresowana*). — Co?

DOKTÓR (*gorzki*). — Pójść za ich przykładem. Pobierzmy się. Ja ogromnie odmłodziłem. (*nieomal tragicznie*). Nabrałem humoru, ochoty do życia. Ty znowu cokolwiek straciłaś z dawnego humoru, z dawnej ochoty do życia. Zrównaliśmy się. Doskonała z nas będzie para. Skoro ojciec wróci, zaraz mu się oświadczę.

STASIA (*wpada przekornie w jego ton i z udaną powagą*). — Ciocia Malwina nigdy się nie zgodzi, bo ona się w panu kocha.

DOKTÓR (*aż podskoczył, tak go ta odpowiedź poruszyła*). — Słuchaj, jak ty raz jeszcze to powtórzysz, zbiję cię, — poprostu cię zbiję.

STASIA (*odsuwa się odeń, śmiejąc się przekornie*). — Ja niby nie widziałam, jak pan nieraz na ciocię patrzył!

DOKTÓR — Patrzałam na nią czasem z przyjemnością, bom myślał: Boże, jakie to szczęście, że ta kobieta nie jest i nigdy nie będzie moją żoną!

STASIA (*j. w.*). — Z pana jest numer! Więc ta broda... i ta kratka, to nie dla cioci?

DOKTÓR (*naprawdę zły*). — Jeszcze? Do widzenia. (*wstaje i chce iść*).

STASIA (*zatrzymuje go za rękaw, słodko*). — Panie doktorze!

DOKTÓR (*zatrzymał się*). — Co?

STASIA — Pan nie jest zdenerwowany? (*doktor milczy*). W nocy może pan spać?

DOKTÓR (*po chwili, szorstko*). — Nie.

STASIA — A jeść pan może?

DOKTÓR (*j. w.*). — Nie.

STASIA — I odczuwa pan taki ciągły niepokój?... Nie zdaje się panu, że gdzieś, daleko, słychać turkot samochodu?

DOKTÓR (*j. w.*). — Właśnie.

STASIA (*rozzewniona*). — Pan jest bardzo miły! Ona byłaby zupełnie złą kobietą, gdyby o panu zapomniała.

DOKTÓR — A on?

STASIA — On nie wie, że ja... Pan jest w nierównie szczęśliwszem położeniu... *(zmiana tonu)*. Pan nie ma wyrzutów sumienia?

DOKTÓR — Czy to jest bolesne?

STASIA — Bardzo. Wie pan, o czym ja marzę? Że on nagle przyjeżdża, dowiaduje się, że nie jestem mężczyzną, oświadcza się...

DOKTÓR *(przerywa)*. — Ty odmawiasz...

STASIA *(nie zwraca uwagi)*. — Klęka, prosi, błaga...

DOKTÓR *(przerywa)*. — Ty wciąż odmawiasz...

STASIA *(uśmiecha się)*. — No... do pewnego momentu. *(zmiana tonu)*. Ja nie mam odwagi zdjąć tego ubrania. A nuż nadjedzie niespodziewanie!

DOKTÓR *(pesymistyczny)*. — Nadjedzie... ale po ślubie.

STASIA *(ze łzami w oczach)*. — To pana wina! Pan nie umiał jej wzruszyć! Pan nie potrafił do niej przemówić! Jeśli kobieta nie chce, to zawsze jest wina mężczyzny. Pan wogóle kobiet wcale nie rozumie.

DOKTÓR *(dotknięty do żywego)*. — Ona będzie mi dawała nauki! Świat się kończy! Dlaczego nie chciałaś, żebym powiedział całą prawdę? I jeszcze namówiłaś panią Amelję!... Ja byłem tylko głupi, że cię słuchał. To przyznaję. Ale wszystkiemu jesteś ty winna!

STASIA *(zaperzona)*. — Pan!

DOKTÓR *(tak samo)*. — Nieprawda!



*(Za furtką odzywa się głośne szczekanie psa. Słychać strwożony głos Wawrzyńca, opędzającego się od natrętnego napastnika).*

WAWRZYNIEC *(za sceną)*. — Pudziesz! Pudziesz!  
*(Stasia biegnie do furtki).*

STASIA *(biegnąc)*. — Co się stało? Burek, pudziesz!

### SCENA 5.

CIŻ — WAWRZYNIEC — HILARY — *później*  
MALWINA.

*(Stasia wybiegła za furtkę i wprowadza Wawrzyńca. Na ganku pojawia się Hilary i idzie na przód sceny).*

WAWRZYNIEC *(dość wystraszony i zziąjany, ubrany, jak w pierwszym akcie, opowiada Stasi)*. — Wyskoczył znienacka, tak, że o włos się nie przewróciłem.

STASIA *(tłumi śmiech, który ją ogarnął)*. — Zwykle jest taki spokojny... Szczeka tylko na żydów... pewno pan uciekał.

WAWRZYNIEC — Nie przeczę, że mię cokolwiek zdenerwował...

HILARY *(jeszcze o dobrych kilka kroków)*. — Człowiek z czystym sumieniem nie potrzebuje obawiać się nikogo i niczego, — nawet psa!

WAWRZYNIEC *(poważny)*. — Tak jest, proszę pana, ale ja nie miałem pewności, czy ten pies wiedział, że ja mam czyste sumienie... *(wita się z nim)* Moje uszanowanie... *(zbliża się do doktora)*. Witam pana doktora... *(doktor podniósł się cokolwiek, Wawrzyniec zdziwił się zmianą, jaka w nim zaszła)*. — O!

- DOKTÓR (*opryskliwy*). — Nie podobam się panu?
- WAWRZYNIEC (*z pewnem wahaniem*). — Owszem... tylko nie ma pan już typu lekarza prowincjonalnego. Dla mnie był pan przedtem bardziej... interesujący.
- DOKTÓR (*pod nosem, zły*). — Większych zmartwień pan nie ma?
- WAWRZYNIEC (*szczerze*). — Owszem. (*objął Stasię dłuższem spojrzeniem, tonem lekkiej wymówki*). — Pani znowu w tem przebraniu?...
- HILARY (*niezadowolony*). — Moja droga, prosiłem cię, żebyś się przebrała po ludzku...
- STASIA (*roztargniona*). — Zaraz... (*nasłuchuje*). — Ktoś jedzie... (*postępuje żywo parę kroków ku furtce*).
- MALWINA (*wyszła z ganku, wita się z Wawrzyńcem*). — Dzień dobry panu... (*do Hilarego*). — Jest łyżka. (*podaje mu łyżkę*).
- HILARY (*wziął łyżkę*). — Mamy czas. (*do Stasi, która powraca do nich*). Co się stało?
- STASIA (*posmutniała, z akcentem zawodu*). — Nic... Zdawało mi się...
- WAWRZYNIEC (*uroczysty*). — Wolałbym, żeby pani była w sukni. To, co mam powiedzieć, jest w sprzeczności z jej strojem.
- HILARY (*serdeczny i filozoficzny*). — Młodzieńcze! Nie lękaj się sprzeczności. Na sprzecznościach polega życie. Śmiech wyciska łzy, melancholja wywołuje uśmiech. Pokój zdobywa się z bronią w rękę, wolność okupuje się więzami praw. Aby

zdożyć pewność, trzeba przedtem zwątpić. Aby odnaleźć własną duszę, trzeba ją przedtem utracić...

WAWRZYNIEC (*uroczysty*). — Warunkiem życia jest śmierć!

DOKTÓR (*ironiczny*). — Chwała Bogu! Już się porozumieli.

STASIA (*uśmiecha się*). — Może wobec tego pozwoli mi pan zostać w tem ubraniu jeszcze godzinę... (*prosi*) z zegarkiem w ręku — godzinę!

WAWRZYNIEC (*zaabsorbowany tem, co ma powiedzieć, spojrzął na zegarek*). — Dobrze. W pół do siódmej. (*do Hilarego*). Pan pozwoli, że aczkolwiek chwila, którą przeżywam, jest bardzo uroczyście, będę mówił sprostą, zwięzłą i szczerze.

DOKTÓR (*wstaje*) — Nie będę państwu przeszkadzał.

WAWRZYNIEC (*wciąż uroczysty, zatrzymuje go*). — Panie doktorze, tu niema tajemnic. Jest pan przyjacielem rodziny... albo pan nim nie jest! (*doktor siada*). Otóż tak. Przez tę parę dni dużo rozmawiałem z sobą.

STASIA (*z przekorną powagą*). — Nie nudził się pan?...

WAWRZYNIEC (*j. w.*). — Nie. I doszedłem do przekonania, że moje uczucie dla pani jest kategorięcznym imperatywem, który kieruje moją wolą bez względu na mniej lub więcej pomyslnie okoliczności.

DOKTÓR (*który od paru chwil nasłuchiwał, nagle*). — Ktoś jedzie!

STASIA (*porwała się z miejsca*). — Jedzie? (*pobiegła ku furtce, (wszyscy patrzą w jej stronę i nasłuchują mimowolnie)*). Nie... (*wraca*).

HILARY (*niezadowolony*). — Wy macie dziś oboje bzika. (*do Wawrzyńca z uprzejmą zachętą*). Niech pan mówi.

WAWRZYNIĘC (*wytrącony z równowagi*). — ...Jest pani moim kategorięcznym imperatywem... Tak... (*nagle zdecydowany do Hilarego*). Mam zaszczyt prosić o rękę panny Stanisławy.

HILARY (*powstał, widocznie uradowany, roztworzył szeroko ramiona*). — Drogi chłopcze! A ojciec? Zgadza się?

WAWRZYNIĘC (*poważny*). — Ojca przekonałem filozoficzną zasadą: dobro jest pożytecznem, nie dlatego przecieź jest dobrem, że jest pożytecznem!

HILARY (*j. w.*) — Filozofja jest piękną nauką! Jestem bardzo szczęśliwy! Stasiu! Twój stary ojciec czuje się bardzo szczęśliwy! Oto w jesieni skołatanego żywota będę mógł zaznać słodkiego spokoju! Bo ukochana moja dziecina znajdzie przystań bezpieczną, która uchroni ją od burz i wichrów...

WAWRZYNIĘC (*wysłuchał z powagą tych słów, zwraca się do Stasi*). — A pani?

HILARY (*nie daje jej przyjść do słowa, wylany*). — Ona da ci szczęście, jakiegoś wart, młodzieńcze! (*do Stasi*). Uściskaj mię. Jestem bardzo wzruszony! (*przyciska Stasię do piersi, ona jest widocznie zaskoczona i skłopotana, doktor patrzy na nią nie bez przekory*). — Teraz idź się przebrać.

WAWRZYNIEC — Istotnie, jeśli wolno mi wyrazić skromne życzenie, pragnąłbym, aby pani wogóle zaniechała tego stroju.

HILARY (*pojednawczy*). — Oczywiście! Teraz nie będzie już potrzebny.

STASIA (*zebrała myśli, do Wawrzyńca, poważnie*). — Proszę pana, pańska propozycja czyni mi wielki zaszczyt, ale... (*zatrzymała się*).

HILARY (*nieprzyjemnie zdumiony*). — Ale?...

DOKTÓR (*od paru chwil bacznie nasłuchiwał*). — Jedzie!

WAWRZYNIEC (*odwrócił się do niego, zdziwiony*). — Kto jedzie?

STASIA (*nasłuchuje*) (*z radością*). — Jedzie!

HILARY (*niecierpliwie*). — Kto u diabła jedzie? (*Doktor i Stasia, nie zwracając żadnej uwagi na towarzysztwo, spieszą ku furtce. Słychać zdaleka głos syreny automobilowej*).

WAWRZYNIEC (*do Hilarego, j. w.*). — Państwo spodziewają się odwiedzin?

HILARY (*zaniepokojony*). — Nie wiem... może...

STASIA (*przy furtce, woła*): — Tutaj... na lewo! (*Słychać nadjeżdżający automobil, który zatrzymuje się przed furtką. Nagle motor przestaje warczeć*).

## SCENA 6.

CIŻ — AMELJA — TADEUSZ.

(*Przez furtkę wchodzi Tadeusz, za nim Amelja. Stasia wita ich radośnie*).

STASIA — Dzień dobry! (*do Tadeusza*). Nie spodziewaliśmy się państwa.



- DOKTÓR (*wita się, do Amelji*). — Ja zupełnie straciłem nadzieję.
- AMELJA (*wita się, odwróciła się w stronę furtki i do niewidzialnego szofera*). — Proszę zanieść to pudło do pokoju. (*do Stasi, półgłosem i z uśmiechem*). Suknia i kapelusz!
- STASIA (*ściska jej rękę*). — Pani jest dobra!
- TADEUSZ (*do Hilarego, który się z nim wita ze zwykłą serdecznością*). — Pozwoli pan, że go przedstawię mojej narzeczonej.
- HILARY — Pani! Jestem nad wyraz szczęśliwy! (*wskazuje Malwinę*). Moja siostra... (*Malwina kłania się*). Pan Wawrzyniec Flecik (*idem*).  
(*Przez ten czas szofer wynosi z automobilu pudło, Stasia wskazuje mu ganek*).
- WAWRZYNIEC (*do Stasi*). — Może teraz byłbym tu zbyt czyny. Pani pozwoli, że za godzinę wrócę?
- STASIA (*zajęta szoferem, roztargniona*). — Dobrze... (*podaje mu rękę, którą Wawrzyniec podnosi ku ustom*).
- TADEUSZ (*sposzrzęł ten gest i pochwycił ramię Wawrzyńca, odsuwając go zlekka*). — Cóż to znowu za obyczaje?
- WAWRZYNIEC (*osłupiały*). — Panie!
- HILARY (*bierze go za ramię i odciąga*). — Proszę cię, drogi chłopcze... (*konfidenjonalnie*). Nasz krewny z Rumunji... trochę dziwak.
- WAWRZYNIEC (*wzburzony*). — Istotnie... maniery bardzo szczególne!
- HILARY — Najlepszy w świecie człowiek... gdy poznasz go bliżej!... Teraz zostaw nas na moment...

*(odprowadza Wawrzyńca do furtki). Z tobą już nie robimy żadnych ceremonji..*

WAWRZYNIEC *(za furtką przypomina sobie)*. — O... ten pies znowu...

HILARY — Burek! leżeć. *(Stasia biegnie do furtki i woła)* — Leżeć, Burek!

WAWRZYNIEC *(za furtką, piszczącym głosem)*. — Burek, Buruś... dobry piesek... *(Słychać nagle gwałtowne szczekanie i oddalające się okrzyki Wawrzyńca)*.

## SCENA 7.

CIŻ — BEZ WAWRZYŃCA.

*(Hilary wrócił do towarzystwa)*.

MALWINA *(napuszczona, wytracona z równowagi, znalazła się na stronie z doktorem, który również osowiałym wzrokiem wodzi po Amelji i Tadeuszu)*. — Bardzo piękna osoba! *(wzrokiem wskazała Amelję, która żywo i wesoło rozmawia z Tadeuszem i Stasią)*.

DOKTÓR *(spojrzał z pod oka na Amelję, opryskliwy)*. — Tak.

MALWINA — Za moich czasów osoba z towarzystwa nie pojechałaby z narzeczonym sam na sam.

DOKTÓR — Widocznie osoby z towarzystwa były wtedy mniej pewne swej cnoty.

MALWINA *(nie obraziła się, lecz spojrzała nań ze współczuciem)*. — Pan jest bardzo zmartwiony?

DOKTÓR (*j. w.*) — Ja? Przeciwnie. Jestem w najlepszym usposobieniu.

MALWINA (*smutno*). — Wolałam pana dawniej. Był pan starszy i brzydki, — był mi pan bliższy. Teraz... (*urwała*). Oni wszyscy sobą zajęci... Chce pan trochę muzyki? Dla uspokojenia nerwów...

DOKTÓR — Ja zaraz muszę iść. Pani sądzi, że ja nie mam nic lepszego do roboty?

MALWINA — Powiedział pan, że kiedy gram, staję się inną. Mnie to wówczas dotknęło... (*doktor milczy*). Postanowiłam wtedy, że już nigdy przy panu grać nie będę.

HILARY (*nie odłączając się od swojej grupy, do Malwiny*). — Malwa! Czy ty pomyślałaś o kolacji? Trzeba zgotować ucztę, godną świetnej pary... (*Malwina zbliża się do towarzystwa, doktor zostaje na uboczu*).

AMELJA — Nie chcielibyśmy państwu robić kłopotu!

STASIA } — Cóż znowu!  
(*protestują*).

HILARY } — Będziemy bardzo szczęśliwi!  
(*Hilary zaczyna pocichu konferować z Malwiną*).

TADEUSZ (*do Stasi*). — Jabył jednak chciał wiedzieć, co to ma znaczyć, — ów przyjaciel, obcałowujący cię po rękach?

STASIA (*śmieje się*). — To były żarty.

TADEUSZ — Głupie żarty.

AMELJA (*parę razy spojrzała w stronę doktora, który wciąż trzyma się na uboczu*). — On (*wskazała*

*Tadeusza*) jest nieznośny. Klóciliśmy się przez całą drogę. *(do doktora, usiłuje wciągnąć go do rozmowy)*. Pański przyjaciel ma charakter wyjątkowo przykry.

TADEUSZ *(do doktora)*. — Nie mogę powiedzieć, aby twoja przyjaciółka zyskiwała przy bliższym poznaniu. Mieliśmy przyjechać wczoraj. Pani nie mogła się wybrać! I dziś dopiero po obiedzie... Nie widziałem kobiety, której tak trudno byłoby opuścić dom na parę godzin.

AMELJA — Pan co chwila zmienia plany. Wieczorem takie zamiary, rano inne. *(do Stasi)*. Jeden z najbardziej męczących ludzi, jakich znałam!

HILARY *(ze swego miejsca)*. — Oto prawdziwa miłość! *(do doktora)* Klóćą się, bo się kochają. *(do Tadeusza i Amelji)*. Będziecie szczęśliwi! Ja wam to mówię, ja, który poznałem serce ludzkie do głębi! Różne temperamenty — najlepszy warunek trwałej harmonji! Teraz wybaccie. Na chwilę muszę was opuścić. *(do doktora)* Zastąp mię, Francesco... *(zbliżył się do niego, ciszej)*. Muszę wybrać sam parę butelek, żebyśmy mogli wypić zdrowie narzeczonych.

MALWINA *(do Stasi)* — Zostań tu... ja zajmę się kolicją. *(objęła ją ramieniem i posunęła się na przód sceny, ciszej)*. Wiesz, to nie byłaby żona dla niego. *(wzrokiem wskazała doktora)*. Jakie to szczęście, że ona idzie za męża za tamtego! On narazie gryzie się, martwi, ale tak będzie daleko lepiej... *(całuje Stasię)*. Jestem bardzo kontenta... *(idzie ku gankowi za Hilarym)*.

## SCENA 8.

STASIA — AMELJA — DOKTÓR — TADEUSZ.

*(Powoli zaczyna zapadać zmierzch).*

AMELJA *(wzięła w pół Stasię)*. — Bardzo tu u państwa ładnie. Ja zawsze marzyłam o takim życiu cichem, spokojnem...

STASIA *(śmieje się)*. — Ja — o życiu pełnem ruchu, wrażeń, przygód...

AMELJA *(śmieje się)*. — Różne temperamenty — najlepszy warunek trwałej harmonji...*(zalotnie)*. Właściwie, z nas byłaby bardzo dobrana para.

STASIA — Ja się w pani już kocham.

AMELJA *(j. w.)*. — Naprawdę?

STASIA — Naprawdę. *(szuka jej ręki i niesie ją do ust. Amelja coła rękę i całuje ją w czoło)*.

TADEUSZ *(który patrzył na tę scenę z rosnącym niezadowoleniem, odsuwa szorstko Amelję od Stasi)*  
— Co pani robi?

AMELJA *(urazona)* — Chyba w tem niema nic złego?

TADEUSZ *(porywczo)*. — Jak kto się na to zapatruje!

STASIA *(pokorna)*. — Przepraszam bardzo.

TADEUSZ *(j. w.)*. — Ty nie jesteś winien, że pani zachowuje się niewłaściwie.

AMELJA *(już serjo obrażona)*. — E, mój drogi panie!  
Pan się posuwa za daleko!

TADEUSZ *(podrażniony)*. — Ja? *(do doktora)*. Byłeś świadkiem!

AMELJA — Pan jest zazdrosny... O kogo?

TADEUSZ *(zaskoczony)*. — Ja? Zazdrosny?

AMELJA *(do Stasi)*. — Zostawmy na chwilę tych



panów. *(do Tadeusza)*. Będzie pan miał czas uspokoić się.

*(Idzie ze Stasią w stronę ganku. Stasia, odchodząc, dała znak — palcem na ustach — doktorowi, aby milczał)*.

## SCENA 9.

### TADEUSZ — DOKTÓR.

*(Mrok coraz większy. W dworku zapalają światła. Podczas tej sceny wschodzi księżyc, oblewając aleję i przód sceny srebrnym blaskiem)*.

*(Tadeusz stoi przez pewien czas w widocznym wahaniu, goniąc wzrokiem Amelję i Stasię. Postąpił nawet parę kroków za nimi. Zawrócił, przeszedł się w zamyśleniu po scenie, siada wreszcie koło doktora)*.

TADEUSZ *(wyrywa mu się wyznanie)*. — Czuję, że tę kobietę będę coraz bardziej nienawidził.

DOKTÓR *(zdziwiony)*. — Którą?

TADEUSZ — Jakto, którą?... Jest tylko jedna.

DOKTÓR — Panią Amelję? *(Tadeusz milczy)*. Czy dlatego właśnie z nią się żenisz?

TADEUSZ — Nie. Ja dlatego jej nienawidzę, że się z nią żenię.

DOKTÓR — Nie rozumiem.

TADEUSZ — Nie dziwię ci się wcale, bo ja również. *(po chwili, tonem lekkiego ubolewania)*. Ty się w niej ciągle kochasz? *(doktor milczy)*. Jak można się w niej kochać. Jest stara, nudna...

DOKTÓR *(przerywa żywo)*. — Przepraszam cię...

TADEUSZ *(nie daje mu przyjść do słowa)*. — Mój drogi, jako przyszły mąż, mam chyba prawo...

DOKTÓR *(j. w.)*. — Nie masz, bo to jest nieprawda.

TADEUSZ (*j. w.*). — Prawda.

DOKTÓR (*zrywa się z krzesła i chce iść, — poryw-  
czo*). — Żegnam cię. Tu jest dom warjatów. Ja  
jestem od chorób wewnętrznych.

TADEUSZ (*zatrzymuje go za rękaw*). — Czekaj. Po-  
wiesz może, że jej zachowanie się wobec tego  
chłopca było właściwe? (*doktór chciał odpowie-  
dzieć, spostrzegł się i ugryzł w język*). Sam przy-  
znajesz.

DOKTÓR (*żywo*). — Nic nie przyznaję.

(*Tadeusz nie zwrócił już uwagi na odpowiedź dokto-  
ra, zajęty własnymi myślami. Przeszedł się parę kro-  
ków po scenie, wraca, położył rękę na ramieniu do-  
ktora*).

TADEUSZ (*szczerzy*) — Franek! Ty jesteś moim przy-  
jacielem?

DOKTÓR (*jeszcze trochę zły*). — Powiem ci... mam  
już tej przyjaźni... (*przesuwa dłońią po gardle*).

TADEUSZ (*nie zwraca uwagi*). — Ratuju mię. Jesteś  
przecie lekarzem.

DOKTÓR (*udaje, że nie rozumie, o co mu chodzi*). —  
Czujesz się niezdrów? Daj rękę... (*bierze go za  
puls*). Pokaż język.

TADEUSZ (*wyrwał rękę*). — Nie o to idzie. Ja za-  
czynam lękać się... poczynam zdawać sobie sprawę...  
To jest okropne! To jest tak okropne, że tego  
nie można wypowiedzieć! (*z dworku odzywają się  
dźwięki fortepianu*). Kto to gra?

DOKTÓR — Panna Malwina.

TADEUSZ (*miętko*). — Ona jest siostrą Hilarego?

DOKTÓR — Tak. Ona wychowała Stasię.

TADEUSZ (*j. w.*). — Bardzo mi się podoba. Musi być dobra. (*Zamyślił się, chwila milczenia*). Czy ty mię rozumiesz?

DOKTÓR — Nie.

TADEUSZ — Daj radę. Tyś powinien wiedzieć. Tyś w swojej praktyce musiał spotykać się z różnemi wypadkami... (*tonem tajemniczego wyznania*). Ja jestem chory.

DOKTÓR — Chcesz zmierzyć temperaturę? Mam termometr (*sięga do kieszeni*).

TADEUSZ (*niecierpliwie*). — Co mnie twój termometr pomoże! (*wraca do tonu wyznania*). Powiedziałem sobie: Amelja mię uratuje. Trzeba zmienić kierunek myśli. Ale nie. Ona tylko drażni mię coraz więcej.

DOKTÓR — Kto cię drażni?

TADEUSZ — Amelja. Ja nie pojmuję, jak ona mogła mi się kiedykolwiek podobać...

(*Amelja wychodzi z ganku i ku nim idzie*).

DOKTÓR (*dojrzał ją*). — Właśnie wraca.

## SCENA 10.

CIŻ — AMELJA.

TADEUSZ (*niezadowolony*). — Muszę z tobą pomóc sam na sam... Teraz nie mogę... (*do Amelji*).  
A Staś?

AMELJA (*udaje obrażoną*). — Zaraz przyjdzie. (*siada obok doktora*). (*Tadeusz chodzi po scenie. Chwila milczenia*). — Pan jest zdenerwowany?

TADEUSZ (*chodzi*). — Tak... (*dłuższa chwila milczenia, Tadeusz zatrzymuje się przed doktorem, ob-*

*jął go spojrzeniem*). — Ty także wyglądasz, jak gdybyś żywego szczura połknął! Stało się co?

DOKTÓR (*gorzko*). — Nic. Przeciwnie. Wszystko układa się jaknajlepiej (*dłuższe milczenie*).

AMELJA (*spojrzała na doktora, zrobiło go się jej żal*)  
— Panie Tadeuszu!

TADEUSZ (*zatrzymał się*). — Słucham.

AMELJA — Pan musiał sam spostrzedz, że my nie jesteśmy dla siebie stworzeni.

TADEUSZ (*gorzko*). — Pani to teraz zauważyła?

AMELJA (*łagodnie*). — Nie... znacznie wcześniej... przed czternastu laty...

TADEUSZ (*objął podejrzliwym wzrokiem doktora*). — Pani chce znów wyjść za niego?

AMELJA — Tak. (*doktor wyprostował się, patrzy na nią, jak w tęczę*).

TADEUSZ (*zgryźliwy*). — Ja pani przecież gwałtem przed ołtarz nie powiodę. (*do doktora*). — A ty?

DOKTÓR (*zdecydowany*). — Ja? Powiodę.

TADEUSZ (*z odcieniem pewnego zdziwienia*). — Pani woli jego?

AMELJA (*uśmiechnęła się do doktora i podała mu rękę, którą ten całuje*). — Może pana nie jestem godną.

TADEUSZ (*stoi przez chwilę niezdecydowany*). --- Nie, to niemożliwe. Pani nie może żądać odemnie takiej ofiary!

AMELJA (*łagodnie*). — Panu się zdaje tylko, że to byłoby ofiarą. Pan się myli co do swoich własnych uczuć.

TADEUSZ (*porywczo*). — Ja się mylę? Co do moich

własnych uczuć? Co pani chce przez to powiedzieć?

AMELJA (*lekko zmieszana*). — Tak mi się wydaje...

TADEUSZ — Co się pani wydaje? (*Amelja milczy*).

Pani spostrzegła również... I pani mię opuszcza... Ucieka pani odemnie... nie chce pani wiązać się z takim człowiekiem... Nie.. pani nie jest dobra! Gdyby pani miała serce, teraz właśnie nie opuściłaby mię pani... Lecz pani nie ma serca!

DOKTÓR (*obrazony*) — Mój drogi...

TADEUSZ (*nie daje mu mówić*). — Tyle jeszcze wolno mi powiedzieć... Zresztą... czego wy odemnie chcecie? Skoro pani taką wyraża wolę... Pani jest pełnoletnią...

AMELJA (*z westchnieniem*). — Zbyt dawno!

TADEUSZ (*gorzki*). — Bądźcie szczęśliwi. Ja wam nie będę przeszkadzał. Bądźcie szczęśliwi.

AMELJA (*zostawiła rękę w dłoniach doktora, do Tadeusza miętko*). — A pan?

TADEUSZ (*nieomal łzy w głosie*). — Ja czuję się bardzo nieszczęśliwy.

AMELJA (*j. w.*) — Dlaczego?

(*Tadeusz przez chwilę milczy, jakgdyby nie słyszał pytania. Przeszedł parę kroków, wreszcie siada opodal Amelji, twarzą zwrócony ku alei, którą oświetla teraz blask księżycy*).

TADEUSZ — To dziwne. Teraz, gdy pani mię odrzuca, staje mi się pani bliższą. Czuję, że pani mógłbym teraz mówić wszystko... Gdyby to nie było takie okropne!



AMELJA (*łagodnie*). — Na każdą troskę jest lekarstwo!

TADEUSZ (*porywczo*). — Nie na każdą. Na moją niema. Chyba kula w łeb... Pani nie wie... Ja tego nawet powiedzieć nie mogę.

AMELJA (*j. w.*). — Niech pan mówi.

TADEUSZ — Ja widzę ciągle tego malca... przebranego za kobietę... Pamięta pani? W dużym kapeluszu, w jasnej sukni... Przymykam oczy... i oto z cichego dworku wychodzi dziewczyna... w jasnej sukience... w dużym kapeluszu... (*z ganku wychodzi Stasia, ubrana w suknię z drugiego aktu, w kapeluszu, i wolno, aleją, idzie ku nim*). — Idzie ku mnie w blasku księżycy... zbliża się... (*nagle spostrzega Stasię, porwał się z miejsca, trze czoło*). — Jezus, Marja!! To obłąd! (*chwytając Amelję za rękę*). — Pani widzi?

AMELJA (*z uśmiechem*). — Widzę.

## SCENA 11.

CIŻ — STASIA.

(*Amelja usuwa się wraz z doktorem cokolwiek na stronę i obok z uśmiechem przypatrują się Tadeuszowi i Stasi*).

TADEUSZ (*silnie podniecony, do Stasi*). — Co znaczy to przebranie? W jakim celu?

STASIA (*zbliża się doń, pokorna, nie bez odcienia filiterji*). — Pan się nie będzie gniewał, jeśli wychowaniec, który panu tyle zawdzięcza, będzie — wychowanką?

TADEUSZ (*osłupiały*). — Ty jesteś kobietą?

STASIA (*j. w.*). — Tak!

*(Koło furtki, na ulicy, zapalają za parkanem wysoką latarnię, która jeszcze lepiej oświetla scenę).*

TADEUSZ *(głęboko i radośnie wzruszony)*. — Naprawdę? To niemożliwe! Nie do uwierzenia!

STASIA — Pan chciał koniecznie, aby ojczulek miał syna. Czy pan wybaczy jemu — i mnie — ten podstęp, którego teraz wstydzimy się wszyscy?...

TADEUSZ *(teraz góruje w nim uczucie radości)*. — Czy ja wybaczę! *(chwycił doktora za ramiona i potrząsa nim)*. — Słuchaj! To prawda?

DOKTÓR *(broni się i wyrywa)*. — Idź trząść gruszki gdzieindziej... Prawda! Tymczasem musisz wierzyć na słowo.

STASIA *(już więcej filuterji, niż pokory)*. — Nie miałam odwagi pokazać się panu w tym stroju... — *(wskazała lekkim gestem swoją suknię)*.

TADEUSZ *(rozpromieniony)*. — Dlaczego?

STASIA *(z zalotnym uśmiechem)*. — Czy pan zechce mi wybaczyć?...

TADEUSZ *(nie hamuje się)*. — Ależ ja jestem szczęśliwy! Jabym skakał do nieba z radości! Pani kobietą!...

STASIA *(z minką)*. — Już pan mi nie mówi: ty!

TADEUSZ — To nie jest złudzenie? Jeszcze jeden podstęp? *(wziął ją za ręce, okręcił, pozerając wzrokiem)*. Nie! Franek!

DOKTÓR — Zmierzyć ci temperaturę?

TADEUSZ *(rzuca się w jego ramiona i ściska go)*. — Jestem bardzo szczęśliwy!

DOKTÓR *(wyrywa się)*. — Ja się boję, że ty jesteś nieuleczalny! Ten pociąg do całowania mężczyzn!

TADEUSZ — Boże! Gdybym ja był o dziesięć lat młodszy!

STASIA (*rezolutnie*). — Mnieby się pan dziesięć razy mniej podobał.

TADEUSZ (*bierze jej rękę*). — Więc to nie byłoby szaleństwem?

STASIA (*spuszcza oczy, minka niewinna, lekki uśmiech*). — Nie wiem, co pan ma na myśli...

DOKTÓR (*do Amelji*). — Zdaje mi się, że teraz są na dobrej drodze.

## SCENA 12.

CIŻ — HILARY — WAWRZYNIEC — POTEM MALWINA.

(*Przez furtkę wchodzi Hilary z Wawrzyńcem, za nimi chłopak z koszykiem*).

HILARY (*do chłopaka*). — Idź tam, do pokoju (*wskazuje ganek, chłopak idzie*), (*do Wawrzyńca*) — Chodź, mój chłopcze... (*objął spojrzeniem towarzysztwo, zaniepokoił się przebraniem Stasi*). — Cóż to? Stasia?...

WAWRZYNIEC (*zadowolony*). — Panna Stasia uległa moim prośbom i przebrała się... Jaki piękny kapelusz! (*we dworku fortepian, na którym podczas poprzednich scen Malwina, z krótkimi tylko przerwami, grała Szopena, milknie*).

HILARY (*zaniepokojony*). — Do diabła!... (*dodaje sobie odwagi*). No, trudno... (*głośno*). Przyprawiam pana Wawrzyńca. (*zbliżył się do Tadeusza, ciszej*). Kuzyn wie wszystko?

TADEUSZ (*trzyma wciąż za rękę Stasię, jakby się*

bał, że mu się znów w chłopca zamieni). — Jeszcze nie wszystko, lecz to, co wiem, wystarcza mi.

HILARY (*przerywa, cokolwiek teatralnie*). — Przebaczysz?

TADEUSZ (*do Stasi, która uśmiecha się zalotnie, rozpromieniona*). — Nigdy!

HILARY (*nie rozumie jeszcze sytuacji, usiłuje się tłumaczyć*). — Teraz jej los utrwalony. Pan Wawrzyniec Flecik, — poeta, filozof i pięknoduch, — oświadczył się właśnie o jej rękę.

WAWRZYNIEC (*kłania się ceremonjalnie Tadeuszowi, do Stasi*). — Pani obiecała mi odpowiedź.

(*Z ganku idzie Malwina z ogrodową lampą w ręku*).

TADEUSZ (*poruszony, do Hilarego*). — Chcecie ją wydać za mąż?

STASIA (*na jej ustach błąka się filuterny uśmiech*). — Jeśli wujaszek na to małżeństwo się zgodzi...

TADEUSZ (*stanowczo*). — Nigdy! (*Wawrzyniec osłupiał, wybałuszył na niego oczy*).

(*Malwina natyka się na doktora, który objął w pól Amelję i czule szepce jej coś do ucha i mimowoli oświetliła ich czułą parę*).

MALWINA — Ach! (*lampa zatrzęsała się w jej ręku*).

HILARY (*w świetle lampy Malwiny spostrzegł również czułą parę doktora i narzeczonej Tadeusza, — z wymówką*). — Francesco! (*do Tadeusza*) — Co tu się dzieje?

TADEUSZ (*zajęty inną myślą, do Stasi*). — Pani chciałyby wyjść za niego? (*gest cokolwiek lekceważący w stronę Wawrzyńca*).

STASIA (*pokorna*). — Pan się nie zgadza? (*do Wawrzyńca*). Wujaszek nie pozwala.

AMELJA (*spłoszona przez Malwinę, zbliża się wraz z doktorem do Tadeusza, — z uśmiechem*). — A znajdzie pan dla Stasi innego męża?

TADEUSZ (*patrząc w oczy Stasi*). — Jeśli zechce... (*Stasia podaje mu obie ręce, które on gorąco całuje*).

WAWRZYNIEC (*j. w., do Hilarego*). — Proszę pana, a ja?

HILARY (*już się zorjentował w sytuacji — i uspokoił, — odzyskał dawną pewność siebie*). — Młodzieńcze! Cierpienie jest największym bodźcem natchnienia. Teraz dopiero będziesz pisał arcydzieła. Będziesz jej całe życie wdzięczny!

(*Malwina usiadła samotnie przy stole i cicho płacze. Nagle wyrwało się z jej piersi głębsze łkanie*).

STASIA (*podbiegła do niej*). — Ciocia płacze?...

HILARY (*j. w.*). — To są łzy szczęścia. Ja się znam na tem. Ona płacze z radości. (*do Tadeusza, otwierając szeroko ramiona*). — Przyjacielu! (*ściska go*).

(*Doktor cokolwiek zażenowany przystąpił do Malwiny*).

TADEUSZ — Powiedzcie mi, jakim sposobem ja jeden mogłem nie postrzedz!...

AMELJA (*z uśmiechem*). — Głuszcak jest ptakiem niezmiernie ostrożnym. Ogarnięty instynktem miłośnym, przestaje widzieć, słyszeć...

STASIA (*przytknęła się do ramienia Tadeusza, spojrzała mu czule w oczy*). — Głuszcak!

Z a s ł o n a s p a d a .





# KOLOMBINA

KOMEDJA W 3-CH AKTACH

KOLOMBINA  
KOREDIA W OCH AKTACH

# TEATR ROZMAITOŚCI

---

*Piątek, dn. 20 lutego 1920 r.*

1-szy R A Z

## K O L O M B I N A

Komedja w 3-ch aktach

STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Helena, . . . . .	<i>Junosza Gostomska</i>
Kazimierz, jej syn . . .	<i>Juljusz Osterwa-Różycki</i>
Konstanty, jej szwagier	<i>Edmund Gasiński</i>
Franciszek . . . . .	<i>Witold Skarzyński</i>
Zofja, jego córka . . .	<i>Helena Gromnicka-Majdrowicz Smosarska</i>
Ada Calori, śpiewaczka	<i>Janina Szyllinzanka</i>
Zygmunt, muzyk . . . .	<i>Józef Węgrzyn</i>
Klima, przyjaciółka Ady	<i>Wł. Ordon Sosnowska</i>
Pan we fraku . . . . .	<i>Juljusz Kalinowski</i>

Akt I na tarasie pierwszorzędnego hotelu w miejscowości kąpielowej; akt II i III w willi letniej, wynajętej przez Adę.

---

Reżyserował: *Józef Śliwicki.*

<http://rcin.org.pl>





## AKT I.

*(Mała sala kasyna, przylegająca do wielkiej sali balowej. Z prawej strony duże drzwi, wiodące do tej sali. W głębi troje drzwi szklanych, prowadzących na taras i do parku. Z lewej strony okna. Kilka stołów, otoczonych plecionymi fotelami i stołkami. Na drugim planie kilka osób siedzi przy tych stołach; od czasu do czasu przewijają się lokaj, niosąc kawę lub trunki.*

*Zanim zasłona się podniesie, słychać za sceną śpiew. To Ada, w wielkiej sali, tryluje arję z „Pajaców”. Akompanjament na fortepianie. Trwa to jakieś pół minuty. Wreszcie kurtyna idzie w górę. Przy drzwiach z prawej strony tłoczy się kilka osób, które nie mogły widocznie dostać się do wielkiej sali. Ada za sceną śpiewa dalej. Jedna z siedzących przy stole osób brzęknęła nieostroźnie łyżeczką. Stojący przy drzwiach odwracają się z oburzeniem. — Cicho! Cicho! Ada za sceną kończy ostatnią zwrotkę, rozlegają się huczne brawa. Wszyscy na scenie klaszczą w dłonie. Przez tłum w drzwiach przedziera się Konstanty).*

### SCENA I.

KONSTANTY — HELENA — ADA — KLIMA —  
ZYGMUNT *(we fraku).*

KONSTANTY *(w smokingu).* — Przepraszam... Państwo raczą zrobić miejsce dla pani Calori... Przepraszam...

*(Stojący w drzwiach rozsuwają się, w sali obok jeszcze biją brawa; wśród tłoczącej się u drzwi publiczności przechodzi Ada, za nią Helena, dalej Klima*

*i Zygmunt. Ada kłania się wdzięcznie bijącej brawa publiczności, Zygmunt niesie pod pachą nuty, rozgląda się nieufnie, zdenerwowany, kłania się również, ale niechętnie, niezadowolony. W każdym słowie i w każdym geście Konstantego widoczne jest szczęście rozkochanego mężczyzny).*

ADA (*z uśmiechem*). — Dziękuję... dziękuję... (*do Heleny*) — Tu będzie chłodniej... Tam jest niemożliwie gorąco...

KONSTANTY — Żeby się tylko pani nie zaziębiła... Zaraz po śpiewie... ...Może zamknąć drzwi... (*wskazuje na taras*).

ADA — Niel.. nie!... Wieczór taki ciepły... (*do Zygmunta*) Przynieś mi płaszcz, został przy fortepianie... (*do Konstantego*) — Chciałabym zejść trochę do ogrodu... (*Zygmunt spieszy na prawo*).

KLIMA (*do Zygmunta*). — Przynieś i mój...

ZYGMUNT (*odwrócił się*). — Dobrze... (*wybiega*).

HELENA (*do Ady*). — Może pani usiądzie... (*siadają*) — Dzięki pani koncert udał się znakomicie... (*w sali balowej muzyka zaczyna grać shimmy*).

KONSTANTY (*w doskonałym humorze*). — Moja bratowa nie wypoczywa nigdy. Zawsze i wszędzie coś urządza. Tylko dotąd nie wiem, jaki jest cel dzisiejszej zabawy. Niezdolne zebrać niemowlęta, czy też wstydzący się pracować starcy?...

HELENA (*wpadając w jego ton żartobliwy*). — Nawet siwe włosy nie są w stanie pomiarkować cynizmu tego człowieka.

<http://rcin.org.pl>

KONSTANTY — Siwe włosy są najpiękniejszą ozdobą mężczyzny. Nigdy nie czułem się szczęśliwszy.

HELENA (*z uśmiechem do Ady*). — Z tem starem dzieckiem mamy wiele kłopotu... (*do Konstantego*) — Kiedy ty się ustatkujesz?

KONSTANTY — Gdy miałem lat dwadzieścia, obiecywałem sobie po trzydziestce. Ale kiedy doszedłem do trzydziestki, przekonałem się, że to najpiękniejszy wiek i odroczyłem termin do czterdziestki. Przyszła czterdziestka i spostrzegłem, że to właśnie czarująca pełnia dojrzałości. Więc przesunąłem granicę do pięćdziesiątki.

(*Zygmunt wraca z płaszczami pań, przytknął za sobą drzwi do sali*).

HELENA (*j. w.*). — Zdaje mi się jednak, że pięćdziesiąt lat również...

KONSTANTY — Tak niedawno... Jeszcze nie miałem czasu zorjentować się. (*do Zygmunta*) — Niech mi pan wierzy, nigdy nie odczuwa się tak intensywnie rozkoszy życia, jak po pięćdziesiątce...

ZYGMUNT (*do Klimy, półgłosem*) — Stary Arlekin!

KONSTANTY (*dosłyszał, bez urazy*) — Co takiego? (*pod adresem Zygmunta*) — Pagliaccio!

ADA (*z uśmiechem uspakaja ich*). — Cicho... (*do Heleny*). Te stare dzieciaki kłócą się bezustanku...

HELENA (*do Zygmunta*). — Pan świetnie akompanjuje... Wszyscy się zachwycali...

ZYGMUNT (*poważny*). — Proszę pani, ja jeszcze lepiej gram na grzebieniu... (*Helena patrzy na niego, nie rozumiejąc*). Jeśli będę miał kiedy sposobność...

ADA (*niezadowolona*). — Jesteś niemożliwy!...

HELENA (*stropiona*). — Nie chciałam pana obrazić...

KONSTANTY (*pobłaźliwie do Ady*). — On nie jest winien... że go nie stać na lepsze dowcipy...

ZYGMUNT (*wściekły*). — Panie... ja sobie wymagam... tę amikoszonerję...

ADA (*do Klimy*) — Moja droga!... (*wzrokiem daje jej do zrozumienia, by się zajęła Zygmuntem, do Heleny*). — Muzycy są bardzo nerwowi... Trzeba mieć dla nich wiele pobłaźliwości... (*do Konstantego*) — Pójdziemy do ogrodu?

KONSTANTY — Z rozkoszą...

ADA (*do Heleny*). — Pani pójdzie z nami...

HELENA (*spojrzała ku drzwiom na prawo, zawahała się*) — Owszem...

KONSTANTY (*jakby odgadł jej myśl*) — Kazio pewno tańczy... (*do Zygmunta*) — Pan powinien także potańczyć...

ZYGMUNT (*wściekły*). — Pana nie stać na lepsze dowcipy? Arlekin!

KONSTANTY (*wesoły*) — Nie.. Pagliaccio!

ADA — Już się porozumieli... (*idzie z Heleną włąb na taras, obok niej Konstanty, za nimi Klima, która wzięła za ramię Zygmunta i coś mu tłumaczy*).

## SCENA 2.

### ZOSIA — KAZIO.

*(Jakiś starszy pan usiadł przy stoliku, garson przyniósł mu na tacy szklanke wody. Starszy pan wyjął z kieszeni pudełeczko, z pudełeczka proszek, tyka, popija wodą. Garson przypatruje się z uwagą tej operacji, poczem zabiera szklanke, wychodzi).*

*(Dwie młode panienki, wdzięczące się do kawalera, rozbawione, roześmiane, przechodzą z sali na taras; kilka innych osób, krążących między salą balową a tarasem).*

*(Z wielkiej sali wypada szybko Zosia, za nią Kazio).*

ZOSIA — *(rozgląda się)* — Niema ich!

KAZIO — Co się stało? Nie rozumiem...

ZOSIA — Ty nigdy nic nie rozumiesz!

KAZIO — Przerywasz na środku sali...

ZOSIA — Z tobą nie można tańczyć. Ty jesteś, jak z drzewa...

KAZIO — A ty zawsze niezadowolona...

ZOSIA — Inne ci tego nie mówią?...

KAZIO — Jeśli chcesz... mogę z tobą wogóle nie tańczyć...

ZOSIA *(zrobiło się jej żal)*. — Ty jesteś dziwny... Przecież tu niema powodu do obrazu. *(rozejrzała się po sali)*. — Poczekaj... *(zdecydowała się, widząc, że parę siedzących dotychczas osób wychodzi na taras)* — Chodź... ja ci pokażę... *(układa się do tańca)*.

KAZIO *(urazony)* — Nie mam ochoty.



ZOSIA — Czy ty musisz być taki niezdolny?... (*uwie-  
siła się u jego ramienia*). — No! zaczynamy...  
(*tańczą*) Raz... dwa... trzy... raz... dwa. trzy...  
(*utknęli*), Znowu to samo... ty jesteś ciągle, jak  
z drzewa...

KAZIO — Ja tańczę tak, jak się tańczy w salonie.

ZOSIA (*podrażniona*) — Co to ma znaczyć? chcesz  
przez to powiedzieć, że ja...

KAZIO (*cokolwiek zdetonowany*) — Moja droga...

ZOSIA — Nie... ja cię proszę, żebyś się wytłomaczył.  
Dlatego, że jesteś niezgrabny...

KAZIO — Nie jestem!

ZOSIA — Jesteś...

KAZIO (*zniechęcony*) — No więc jestem... (*gest  
w stronę sali*) — Idź... tam tańczą lepiej... Ten  
oficer, któremu oczy na wierzch wyłażą...

ZOSIA (*niewinnie*) — Który?

KAZIO (*przedrzeźnia ją*) — Który? Od pół godziny  
kobietujesz go bez wytchnienia...

ZOSIA — JA?

KAZIO — Ty...

ZOSIA — Jesteś źle wychowany i ordynarny. Tyle  
tylko mogę ci powiedzieć.

KAZIO — Ja wolę wstrzymać się od powiedzenia, co  
myślę o tobie.

ZOSIA — Dziękuję ci... (*obejrzała się po pustej sali,  
podeszła parę kroków ku sali balowej. Kazio  
usiadł nadąsany. Zosia wraca do niego*) — Czego  
ty jesteś zawsze taki zły?

KAZIO — Nie jestem zły.

<http://rcin.org.pl>

ZOSIA (*urazona*) — Z tobą nie można dojść do ładu. Chciałabym widzieć kobietę, któraby z tobą doszła do ładu...

KAZIO (*umyślnie „robi“ uprzejmego*) — Przepraszam cię... co chcesz, żebym zrobił?

ZOSIA — Ty niby nie wiesz! (*nachmurzyła się*).

KAZIO (*popatrzył na nią, uśmiecha się poczciwie, zrobiło mu się jej żal*) — Nie wiem... Czy chcesz, żebym cię ukarał?

ZOSIA (*czupurna*) — Spróbuj tylko.

KAZIO (*j. w.*) — Chcesz, żebym cię pocałował?

ZOSIA, (*uśmiechnęła się*) — To już wolę... (*zbliżyła się do niego*). — Niema nikogo. Prędko.

(*Kazio wstał, obejmuje ją lekko ramieniem, Zosia zamyka oczy, jakby spodziewając się mocnego wzruszenia, on całuje ją po bratersku w czoło. Chwila milczenia*).

ZOSIA (*rozczarowana*) — Już?

KAZIO — Jeszcze raz? (*gdy zbliża usta do jej czoła, Zosia odchyła gwałtownym ruchem głowę*) — Nie zbliżaj się do mnie. Mam do ciebie wstręt.

KAZIO: (*zdziwiony*) — Przed chwilą sama chciałaś, żebym cię pocałował.

ZOSIA (*obrażona*) — Ja chciałam? Ja?... A wiesz...

KAZIO — Nie chciałaś?...

ZOSIA — Mężczyzna, który nie umie zapomnieć takiej rzeczy, nie jest godzien być mężczyzną...

KAZIO (*uśmiecha się ironicznie*) — Więc dlatego, że pamiętam, co się działo przed minutą, nie jestem godzien być mężczyzną?

ZOSIA (*wydeła pogardliwie wargi*) — Wogóle nie jesteś godzien!

KAZIO (*podrażniony*) — Wiesz, przed chwilą chciałem cię pocałować, ale teraz, to bym cię bił...

ZOSIA (*wyzywająca, trochę w nadziei, że się stanie coś niezwykłego*) — Proszę cię... bij... spróbuj...

KAZIO (*jest widocznie wściekły, przez chwilę walczy z sobą. Wziął do ręki kwiat, który ona przed chwilą położyła na stoliku, łamie go, rzuca na ziemię — i odzyskuje równowagę*). — Do widzenia! (*chce iść*).

ZOSIA (*złośliwie tryumfuje, choć nieco zawiedziona*) — Otóż właśnie, idź na duży spacer... żeby uniknąć bólu głowy...

KAZIO (*zatrzymał się, szczerze*) — Dlaczego ty mi tak dokuczasz?

ZOSIA — Wiesz, ten zarzut jest nadzwyczajny! Ja tobie?

KAZIO, — Chyba nie ja!

ZOSIA — Właśnie, że ty! Ty zupełnie nie umiesz obchodzić się z kobietami...

KAZIO — Czy kobieta nie jest człowiekiem? Czy do kobiet trzeba stosować inne metody?

ZOSIA (*czując, że się nie wytłomaczy, opryskliwie*) — Proszę cię, daj mi spokój. Nie mam zamiaru zajmować się twoją edukacją.

KAZIO (*pobłażliwie i ironicznie*) — Zabawna jesteś!

ZOSIA — Ty jesteś najnudniejszy z ludzi, jakich znałam.

KAZIO (*uśmiecha się*) — Będzie z nas dobrane małżeństwo.

ZOSIA (*porywczo*) — Nigdy! Wolałabym przez całe życie zostać starą panną.

KAZIO, (*bardziej żartem, niż serjo*). — A ja mieszkać na bezludnej wyspie.

ZOSIA. — Tam byłoby ci najwięcej do twarzy... Bo zresztą nie myśl, żeby jakakolwiek przyzwoita kobieta chciała cię za męża.

KAZIO — Nie wszystkie są płuche i puste.

ZOSIA (*złośliwie*) — Ale każda w mężczyźnie szuka mężczyzny!...

KAZIO (*uniósł się*) — Co to ma znaczyć?

(*w drzwiach z prawej strony staje młody oficer i przygląda im się bacznie*).

ZOSIA (*cokolwiek przestraszona*) — Nie krzycz tak na mnie!

KAZIO (*wzburzony, pogardliwie*) — Teraz już naprawdę mam tego dosyć! Stanowczo masz źle w głowie!

ZOSIA (*nabrała znów śmiałości, zaczepnie*) — Jak ty śmiesz tak odzywać się do mnie! Zabraniam ci! (*sposzregła oficera, milknie zmieszana*).

### SCENA 3.

#### CIŻ — OFICER.

OFICER (*zbliża się z ukłonem do Zosi*) — Czy pani nie chciałaby mi uczynić zaszczytu?... (*gest zapraszający do tańca*).

ZOSIA (*zmieszana*) — Kiedy ja...

- OFICER — Pani pozwoli, że się sam przedstawię...  
porucznik Kołaczekiewicz (*stuknął w ostrogi, podaje ramię*).
- (*Zosia zawahała się, po chwili podaje oficerowi ramię*).
- KAZIO (*sposzrzęgl jej wahanie, z lekką ironją*)—Proszę cię... nie żenuj się...
- OFICER (*już miał uprowadzić Zosię, zatrzymał się, dotknięty*) — Przepraszam pana, co to ma znaczyć: nie żenuj się!
- KAZIO (*spokojny*) — Mówiłem do kuzynki, nie do pana.
- OFICER (*rozdrażniony, nie puszczając ręki Zosi*) — Gdyby pan chciał mię obrazić, byłbym zmuszony żądać zadośćuczynienia.
- ZOSIA (*interwenjuje*) — Pan źle zrozumiał słowa mojego kuzyna.
- KAZIO (*sucho*) — Pozwól, że ja sam panu odpowiem. Nie chciałem pana obrazić, ale wypraszam sobie ten ton!...
- OFICER (*j. w.*) — Pan sobie wyprasza? W takim razie ja będę zmuszony żądać zadośćuczynienia...
- KAZIO (*zniecierpliwiony*) — Jakiego zadośćuczynienia?
- OFICER — Przypuszczam, że pan, jako człowiek honoru...
- KAZIO (*przerywa*) — Łaskawy panie! Mój honor nie ma tu nic do roboty. Czy pan będzie tańczył z moją kuzynką, czy nie, dla mojego honoru jest to zupełnie obojętne. Nawet gdyby się pan w tańcu przewrócił...
- OFICER (*puścił rękę Zosi, groźnie*) — Panie!



KAZIO (*sucho*) — Panie!

ZOSIA (*zła i na oficera i na Kazia, do tego ostatniego*). — Jesteś źle wychowany! (*do oficera*) Proszę pana! Ostatecznie, czy pan chce ze mną tańczyć, czy woli pan z nim się sprzeczać?

OFICER. (*poważnie i zdecydowanie*) — Stanowczo wolę z panią tańczyć! (*podaje jej ramię, rzucił jeszcze jedno groźne spojrzenie Kaziowi, wyprowadza Zosię do sali balowej. Kazio patrzy za nimi, widocznie wytrącony z równowagi, zrobił parę kroków ku drzwiom, zatrzymał się, usiadł przy stoliku*).

#### SCENA 4.

KAZIO — KLIMA — ZYGMUNT.

(*Z tarasu wychodzą Klima i Zygmunt. Klima prowadzi pod ramię Zygmunta, który jest bardzo podniecony, chwilami usiłuje jej się wyrwać*).

ZYGMUNT — Proszę cię, ja nie jestem dzieckiem...

Wy ze mną zawsze, jak z małym dzieckiem...

KLIMA (*wskazuje Kazia*) — Cicho!

ZYGMUNT — Mnie jest wszystko jedno! Mogą słyszeć wszyscy...

(*Kazio odwrócił się, trochę zdziwiony*).

KLIMA (*objęła go życzliwym spojrzeniem*) — Przepraszam pana, czy ten stolik jest zajęty?

KAZIO (*lekko zmieszany*) — Nie, proszę pani... Ja wogóle... przepraszam... (*ukłonił się i idzie na taras*).

KLIMA — Dziękuję panu...

ZYGMUNT (*patrzy tępym wzrokiem na odchodzącego Kazia, potem wraca do swych trosk*) — Tak traktować się nie pozwolę... Każdy człowiek, choćby go los nie wiem jak sponiewierał, ma swoje ambicje... A ona tego nie chce zrozumieć, jej się wydaje, że ze mną można wszystko... wszystko...

KLIMA — Nie hamuj się... wywołaj awanturę... Pamiętaj, jak Ada przez dwa miesiące nie chciała cię widzieć? Chcesz chodzić, tak jak wtedy, pod oknami?

ZYGMUNT (*podniecony*) — Więc niech powie, że się w nim kocha! Dobrze!... Ja sam odejdę... Nie będę się narzucał. Ale niech powie wyraźnie... bez osłonek...

KLIMA — Skąd ci to akurat dziś przyszło?

ZYGMUNT. (*j. w.*) — Ja nie rozumiem... przecież ty tego nie możesz nie widzieć!... Nie odstępuję od niej na chwilę, przedstawia swoich znajomych, krewnych... Do niego wszyscy: — „Jak pani Calori pięknie śpiewa! Jak pani Calori słicznie wygląda... A on kłania się, dziękuje... Mnie jego zadowolony, szczęśliwy uśmiech przyprowadza do szału... (*wyrywa się, ona go zatrzymuje*). Ja go się poprostu zapytam, poprosztu, w jej obecności...

KLIMA (*zła*) — Głupi jesteś! Taki stary a głupi! Ty Ady nie znasz, prawda? Dopiero ją dziś poznałeś?

ZYGMUNT (*z utajoną rozpaczą*) — Klima, ja dla niej rzuciłem wszystko! Żonę, dzieci, wszystko... Jakaś tłusta hrabina... tam, podczas koncertu, — umalowana na czerwono, wydekoltowana do pępka, poznała mnie. Dlaczego pan przestał koncertować? Pan grał tak ładnie... Słyszałam pana ostatni raz w Wiedniu... Ja na to: Teraz już tylko akompanuję, łaskawa pani. Akompanuję pani Calori! Spojrzała na mnie, jakgdybym jej powiedział, że zostałem kelnerem w nocnej restauracji...

KLIMA (*obojętna*) — I cóż z tego?

ZYGMUNT (*spojrzał na nią tępo*) — Nic.  
(*chwila milczenia*).

KLIMA — Dlaczego ciebie zawsze musi ukąsić лихо przy ludziach? Czy on (*gest w stronę tarasu*) — dziś jest pierwszy raz przy Adzie? Nie spotykacie się codziennie? Od ilu miesięcy?

ZYGMUNT — Ja ci mówię: ona rzuci scenę i wyjdzie za niego!

KLIMA (*sceptyczna*) — Słuchaj! Tyś się powinien leczyć. (*palcami dotyka czoła*).

ZYGMUNT — Ty mnie nie chcesz rozumieć! Ja... ja się godzę na wszystko, byle jej zupełnie nie utracić. Ja nie jestem zazdrosny o niego. Ja jestem zazdrosny o nią!

KLIMA — Czy sądzisz, że Ada mogłaby się w nim kochać?

ZYGMUNT — Więc dlaczego to robi?

KLIMA — Spytaj się jej...

ZYGMUNT — Ona postępuje ze mną niegodziwie...  
Niegodziwie!

*(w drzwiach od tarasu Ada).*

KLIMA *(ironicznie)* — Powiedz jej to... właśnie idzie...

*(Ada spotkała w drzwiach Kazia, który wrócił, by zobaczyć, czy Zosia nie wróciła. Objęła go spojrzeniem, uśmiechnęła się. On skłonił się, wrócił na taras).*

## SCENA 5.

CIŻ — ADA.

ADA *(twardo do Zygmunta)* — Co ty znów wyprawiasz? Czego chcesz?

*(Zygmunt, onieśmielony jej tonem, nie wie, co odpowiedzieć).*

KLIMA — Ledwie go powstrzymała, żeby nie zrobił skandalu.

ADA *(j. w. do Zygmunta)* — O co ci chodzi?

ZYGMUNT *(j. w.)* — Ada... Ja tak dłużej nie mogę...

ADA — Czego nie możesz?

ZYGMUNT *(milczy).*

KLIMA — Jemu się uroiło, że ty wychodzisz zamaż.

ADA *(uśmiech wraca na jej usta)* — Za kogo?

KLIMA: — Za Konstantynopola. *(obie wybuchają śmiechem).*

ADA: — Doskonała myśl! Rodzina bardzo mi się podoba. Ta starsza pani jest bardzo miła, a chłopiec *(spojrzeniem wskazała Kazia, który znów w głębi przeszedł przez scenę do drzwi na prawo i zagląda do sali).* Niema co mówić: chłopiec udał się!

KLIMA — To jego bratanek?

ADA — Tak!

KLIMA (*młasnęła lekko językiem*) — Jak ta lalka.

ADA (*uśmiecha się*) — Usynowimy go.

(*Zygmunt patrzy na nią podejrzliwie, coraz bardziej wytrącony z siodła*).

ZYGMUNT (*do Ady*) — Ty obracasz wszystko w żart... a ja..

ADA — A ty?...

ZYGMUNT (*rozbity*) — Ja tego dłużej znieść nie mogę...

ADA (*łagodniej*) — Któż ci każe znosić?

KLIMA (*drwiąca*) — Rzucił dla ciebie żonę, dzieci, koncerty. Jest bardzo upokorzony, że musi ci akompanjować!

ZYGMUNT (*z wymówką*) — Klima!

KLIMA (*nie zwracając uwagi*) — Wolałby być kelnerem w nocnej restauracji...

ZYGMUNT (*groźnie*) — Klima!

ADA (*chłodna*) — Czy uważasz, że do tej rozmowy nie było sposobniejszej pory i miejsca? Tylko dziś, podczas koncertu?

ZYGMUNT (*rozbity*) — Przyznaję. Nie mogłem się pohamować... Czuję się tak nieszczęśliwy...

(*Klima jest widocznie zniecierpliwiona i znużona jego pretensjami. Odchodzi ku drzwiom na prawo*)

ADA (*łagodniej, lecz bez ciepła*) — Na to cierpienie mój drogi, skuteczną jest tylko zdecydowana operacja. Wróć do swej żony, dzieci, koncertów.

ZYGMUNT (*przyciszonym głosem*) — Mnie czasem chwyta za gardło taka tęsknota za tem, co było,



— o czym ty nie chcesz pamiętać! Przychodzą chwile, że nie mogę zdławić krzyku... przymykam oczy — wraca zapach twoich włosów, na ustach czuję twoje wargi... I myśl, że inny... Ada.. w oczach robi mi się czerwono...

ADA — Trzeba było zabić mnie wtedy, kiedym ci powiedziała jasno, wyraźnie...

ZYGMUNT — Myślałem, że cię odzyskam...

ADA — Czy robiłam ci kiedy nadzieję?

ZYGMUNT *(spuścił głowę)* — Jego przecież kochać nie możesz?

ADA *(z uśmiechem)* — Więc dlaczego jesteś zazdrosny?

ZYGMUNT — Nie kochasz się w nim?

ADA *(j. w. trochę smutniej)* — Nudny jesteś.

ZYGMUNT *(po chwili)* — Gdyby mi nie było wstyd, poszedłbym teraz gdzieś daleko i płakałbym, jak dziecko...

ADA *(położyła rękę na jego ramieniu, półironicznie, półcieplej)* — Idź... to ci dobrze zrobi... Taki ogień najlepiej gaszą łzy...  
*(od ogrodu schodami wraca Konstanty).*

## SCENA 6.

ADA — ZYGMUNT — KONSTANTY — KLIMA.

KONSTANTY — Co się stało? Pani nas opuściła, żeby rozmawiać z tym zwarzowanym muzykiem? *(zbliża się)* — Moja bratowa jest panią zachwyconą. Powiedziała mi, że jeśli w teatrze jest więcej osób równie dobrze wychowanych — to wiele

hrabin powinno wstąpić na scenę, żeby uczyć się dobrych manier. (*wzrokiem wskazał Zygmunta*)  
— Co jemu jest?

ADA — Atak chroniczny...

KONSTANTY — Ja panu dam lekarstwo.... (*gest w stronę sali*) — Czemu pan nie zatańczy?

ZYGMUNT (*wściekły*) — Mój panie! Wypraszam sobie te żarty!

KONSTANTY (*śmieje się*) — Czemu się pan gniewa? Jabym zaraz tańczył, gdybym umiał...

ZYGMUNT (*j. w.*) — Pan powinien tańczyć!

KONSTANTY (*pogodny*) — Kiedy nie umiem... (*do Ady*) — Chciałem pani przedstawić mojego bratanka...

KLIMA (*zdaleka*) — Był tu przed chwilą...

ADA (*zdziwiona*) — Ty go znasz?

KLIMA (*spojrzeniem wskazała Konstantego*) — Konstantynopol pokazał mi go... podczas koncertu.

ADA — Ładny chłopiec! (*z uśmiechem cokolwiek cynicznym*) — I ciągle jeszcze?...

KONSTANTY (*tak samo*) — Ciągle.

(*Ada i Klima wybuchają nerwowym śmiechem*).

ZYGMUNT (*nie rozumie*) — Ciągle co?

ADA — Cnota!

KLIMA — Nienaruszona!

KONSTANTY — On mnie przyprowadza do rozpaczy. (*naśladuje Kazia*). — Tylko wielka miłość...

ADA (*poważniej*) — To bardzo ładnie... Pan nie jest w stanie tego zrozumieć...

KONSTANTY (*obrażony*) — Przepraszam... to co innego, i to co innego...

(*Zygmunt nareszcie zrozumiał i wybucha głośnym śmiechem*).

ADA (*zdziwiona*) — Co ci się stało?

ZYGMUNT (*rozbawiony, do Konstantego*) — Pan ma takiego synowca? To kapitalne!

KONSTANTY (*obruszony*) — Więc co? Mam!...

ZYGMUNT (*j. w.*) — Kapitalne!

KONSTANTY (*półgłosem do Ady*) — Idjota! (*głośno*) — Matka chce go jaknajprędzej ożenić. Ale pani pojmuje, to wcale nie jest łatwe... Nawet młodą panienkę trzeba umieć zdobyć, pozyskać... rozdmuchać płomyczek.

ZYGMUNT (*ironicznie*) — Pan potrafi... rozdmuchiwać...

KONSTANTY (*dumny*) — Pewno, że potrafię.

ZYGMUNT — Ale żeby gasić... to pan musi sprowadzać straż ogniową... z sikawkami... (*wybucha śmiechem, Ada i Klima śmieją się*).

KONSTANTY (*trochę rozbawiony, trochę obruszony*) — Pagliaccio!

ZYGMUNT — Arlekin!

(*z sali balowej wychodzi szybko Kazio, zamyka za sobą drzwi*).

## SCENA 7.

CIŻ — KAZIO.

KONSTANTY (*spostrzegł Kazia*) — Jest! Kaziu! (*Kazio przybliży się, nieco onieśmielony*) — Panie pozwolą sobie przedstawić... Mój synowiec.

<http://rcin.org.pl>

*(Kazio całuje w rękę Adę, potem Klimę, wkońcu wita się z Zygmuntem).*

KONSTANTY *(do Kazia, wzrokiem wskazał mu Adę)* — Przyjrzyj się dobrze pani. Widziałeś kiedy równie piękną kobietę?

KAZIO *(popatrzył na Adę)* — Widziałem.

KONSTANTY *(oburzony)* — Widział!... Słyszała pani? Ja żyję pięćdziesiąt cztery lata i nie widziałem, a on na świat nie wyrzął... Nie, jestem oburzony! *(do Kazia, surowo)* — Gdzie widziałeś? Tłomacz się, usprawiedliwiał? *(Kazio zmieszany nie wie, co ma odpowiedzieć).*

ADA *(śmieje się, do Konstantego)* — Niech mu pan da spokój! *(do Kazia)* — Proszę, niech pan siada... *(wskazuje miejsce)* — Doskonale pan odpowiedział. Stryj pański niedość wagi przywiązuje do tego, co mówi, *(do Konstantego, wskazując na Kazia)* — Pan jest inny.

KONSTANTY *(spojrzał w górę, jakgdyby niebo brał na świadka)* — Tak! On jest inny! *(do Kazia, wskazując mu Klimę)* — A ta pani podoba ci się?

KLIMA *(oburzona)* — Mój panie! Bardzo proszę...

KONSTANTY *(udaje, że kłopotliwe milczenie Kazia bierze za odpowiedź twierdzącą)* — Podoba ci się. Całkiem słusznie. Mnieby się też podobała, gdyby nie to, że... *(do Zygmunta, nagle)* — Czego się pan tak na mnie patrzy? *(do Ady)* — On mnie kiedy polknie.

ZYGMUNT — Z zasady nie narażam się nigdy na niestrawność...

ADA (*do Kazia*) — Widział mnie pan kiedy na scenie?

KAZIO — Tak.

ADA — Podobałam się panu?

KAZIO (*sekunda namysłu*) — Tak!

ADA (*z lekko drwiącym uśmiechem do Konstantego*) — Słyszał pan? (*naśladuje*) — Tak! Gdybym się panu nie podobała, powiedziałby pan: nie?

KAZIO — Nicbym nie odpowiedział.

ADA (*do Konstantego*) — Pański bratanek jest bardzo miły. (*do Kazia*) — Asystował pan ślicznej panience... Narzeczona?

KAZIO (*chwila namysłu*) — Nie.

ADA — Bardzo ładna... Szkoda, że nie ma lepszej figury... Kocha się pan w niej? (*Kazio milczy*) — (*do Konstantego*) — Kocha się?

KAZIO — Nie, proszę pani, ja się w niej nie kocham.

ADA (*j. w.*) (*do Konstantego*) — Nie kocha się... — (*do Kazia*) — A ona w panu?

KAZIO (*śpiesznie*) — Napewno nie.

KONSTANTY (*przysłuchiwał się z widocznym upodobaniem temu persiflażowi*) — Młodość nie zna wartości czasu! Ile oni marnują pięknych dni! (*gest w stronę ogrodu*) — i takich nocy wiosennych! Zbrodniarze!

ADA — Tego marnotrawstwa pan nie ma na sumieniu!

KONSTANTY — Nie. Ja z życia zawsze korzystałem — i życie było mi wdzięczne. Jedną z najtrudniejszych sztuk, to sztuka życia. Pani wybacz, łatwiej zostać wielkim artystą, malarzem,



muzykiem, poetą... Wystarczy talent... Ileż trudniejsza sztuka życia!

ADA (*z lekką ironją*) — Powinien pan napisać „Żywot człowieka szczęśliwego“ podręcznik sztuki życia!

KONSTANTY (*zadowolony*) — Byłaby to książka nie dla pańienek.

ADA (*do Kazia*) — A pan co o tem myśli?

KAZIO — Zdaje mi się, że takie pojmowanie życia, szczęścia i miłości jest cokolwiek jednostronne.

KONSTANTY — Wierzaj mi, że to jest właśnie dobra strona!

ADA (*zamyka mu usta dłonią*) — Niech pan nie przeszkadza. (*do Kazia*) — Proszę mówić, jak pan pojmuje — szczęście i miłość.

KAZIO — Ja nie umiem dobrze powiedzieć... Mnie się zdaje, że miłość nie może być tylko pożądaniem zmysłów... że musi być pragnieniem zbliżenia się dwóch dusz... na gruncie wzajemnej czułości... przyjaźni... zupełnej ufności... Dlatego odczuwa się taki niepokój... (*urywa*).

ADA (*łagodnie*) — Boi się pan?

KAZIO (*podniósł na nią oczy*) — Tak. (*spojrzenia ich skrzyżowały się*).

KONSTANTY — Oto dzisiejsze pokolenie! Boi się! Świat należy do odważnych, mój chłopcze, świat i kobiety! (*do Ady*) — Czy tak nie jest?

ADA (*zamyślona*) — Bywa rozmaicie... (*do Kazia*) — Bardzo ładnie mówi pan o miłości...

(*Z sali wybiega ZOSIA, przeprowadzona przez Oficera*).

SCENA 8.

CIŻ — ZOSIA — OFICER.

ZOSIA (*sposzregła Kazia, zatrzymała się*) — Dziękuję panu.

OFICER (*skłonił się*) — To ja dziękuję.

KAZIO (*wstał spiesznie, do Ady*) — Przepraszam!  
(*Uklonił się Adzie, podchodzi do Zosi. Oficer rzucił wyzywające spojrzenie Kaziowi i nie bez lekkiego żalu wraca do sali*).

ZOSIA (*objęła trochę zdziwionym wzrokiem całe towarzystwo — do Kazia*) — Czy mego ojca nie widziałeś?

KAZIO — Nie. Gra w bridge'a z tamtej strony.  
(*gest*).

KONSTANTY (*zbliża się do Zosi*) — Chce pani poznać panią Calori?

ZOSIA (*mimo widocznej ochoty, zachowuje chłodną powściągliwość*) — Owszem, bardzo chętnie...  
(*Kazio z tej prezentacji nie jest zadowolony*).

KONSTANTY (*zbliża się z Zosią do stolika, — i do Ady*) — Pani pozwoli sobie przedstawić... Panna Zofja Olchowska... Pani Calori... Pani Klima... Pan Zygmunt...

ADA (*wskazała Zosi fotel, uprzejmie*) — Opuszczony przez panią tancerz (*spojrzenie w stronę Kazia*) — wyczekiwał niecierpliwie...

ZOSIA (*niedbale*) — On wcale nie jest moim tancerzem. Nienawidzę z nim tańczyć.

ADA (*z uśmiechem*) — Do tego stopnia?!

ZOSIA — Tak. On nie ma pojęcia o tańcu... Nie znam drugiego mężczyzny, który by był równie drewniany.

KAZIO (*podrażniony*) — Moja droga, ja ci się przecież nie narzucam...

ZOSIA (*tak samo*) — Mój drogi, na nic by ci się to nie przydało.

KAZIO (*do Ady, ironicznie*) — Moja kuzynka woli oficerów.

ZOSIA — Pewno, że wolę, zwłaszcza niż takich filozofów! (*do Ady, dobrze wychowana*) — Pani ślicznie śpiewała!

ADA (*roztargniona*) — Tak?... (*do Kazia*) — Nie mogę uwierzyć, żeby pan źle tańczył. (*do Zosi*) — Niech się pani nie gniewa... tancerka musi współdziałać... od tancerki bardzo wiele zależy... (*w sali kwartet zaczyna grać foxtrotta, Do Kazia, z uśmiechem*) — Chce pan spróbować ze mną?

KAZIO (*zażenowany*) — Kiedy ja naprawdę źle tańczę...

ADA (*wstała*) — Zobaczymy. (*do Zygmunta*) — Otwórz drzwi... (*wzrok na prawo*) — Będzie lepiej słyhać.

(*Zygmunt idzie otworzyć drzwi, z sali balowej wychodzi kilka osób i przygląda się Adzie. Kazio i Ada zaczynają tańczyć. Konstanty śledzi zachwyconym wzrokiem ruchy Ady. Kazio tańczy teraz daleko lepiej, prowadzony umiejętnie przez Adę. Zosia widzi to i ogarnia ją coraz żywsze niezadowolenie.*)

- KONSTANTY — Świetnie! Ależ on wcale nieźle tańczy... Brawo Kaziu! Zupełnie dobrze!
- KLIMA (*Doskonale — do Zosi*) — Oczerniła go pani.
- ZOSIA (*przycięła wargi*) — Widocznie ja mam mniejszy talent... pedagogiczny. (*do Ady*) — Czy on nie jest jakgdyby kij połknął?
- ADA (*w tańcu*) — Wcale nie... Tańczy bardzo dobrze.
- ZOSIA (*widząc zapatrzonego w Adę Konstantego (ciszej)*) — Czy to prawda, że pan się kocha w pani Calori?
- KONSTANTY (*nieważnie*) — Prawda... (*sposzrzegl się*) — Co?... (*śmieje się*) — Z pani to jest także... numerek!
- ZOSIA (*spojrzenie w stronę Zygmunta*) — A ten pan także się w niej kocha.
- KONSTANTY (*j. w.*) — Także. Wogóle każdy, kto ją pozna, musi się w niej kochać...
- ZOSIA (*bez uśmiechu*) — Taak? (*wstała, do Kazia*) — Ja idę szukać ojca... (*skłoniła głowę Klimie i Konstantemu*) — Idziesz?...
- KAZIO (*tańczy*) — Zaraz...
- ZOSIA — Nie przeszkadzaj sobie... (*Ada zatrzymuje się cokolwiek niezadowolona*).
- ADA (*puszcza Kazia*) — Niech się pan nie krępuje... (*Zosia skłoniła głowę Adzie i idzie do sali*).
- KAZIO (*zawahał się, potem złożył Adzie ukłon*) — Przepraszam panią... (*idzie za Zosią*).

## SCENA 9.

ADA — KLIMA — KONSTANTY — ZYGMUNT.

KONSTANTY, (*zbliża się do Ady, całuje ją w rękę*) — Jaka pani dobra! Gdyby pani chciała zająć się trochę tym chłopcem, w tydzień zmieniłby się nie do poznania.

KLIMA (*zbliżyła się do nich*) — Bardzo miły chłopiec! (*do Ady, z uśmiechem*) — Chcesz? Zajmijmy się nim!

ZYGMUNT (*o kilka kroków dalej, przy stoliku*) — Czy ty się nigdy nie uspokoisz?

KLIMA (*obrażona*) — Mój kochany. Co to ma wogóle znaczyć: „uspokoisz się“?

ZYGMUNT (*wzruszył ramionami*) — Mnie zresztą wszystko jedno! (*odwrócił się, przesunął dłonią po czuprynie, nuci coś*).

KLIMA (*j. w.*) — Powinieneś się leczyć... Stanowczo powinieneś się leczyć... (*idzie ku drzwiom sali balowej*).

ADA (*została na przodzie sceny sama z Konstantym*) — Pojedziemy do domu.

KONSTANTY (*skwapliwy*) — Doskonale! (*do służącego, który w głębi sprząta stół*) — Samochód pani Calori! (*służący skłonił się i spiesźnie wychodzi na taras*).

ADA — Czy pański synowiec żeni się z tą panienką?

KONSTANTY — Jej ojciec i moja bratowa bardzo tego pragną... Tylko wie pani... On nie umie jej wziąć... Niema w nim... tego! (*gest*) — Słowo daję... ja się czuję nieraz od niego młodszym...



ADA (*z uśmiechem*) — Lekkomyslniejszym.

KONSTANTY — Wrażliwszym! Czy taki młokos jest w stanie zdobyć się na uczucie silne, pełne, głębokie?...

ADA (*cieplej, zniżyła głos*) — Konstantynopol nie chwali się?

KONSTANTY — Chciałbym tylko jednego cudu: Galateę do życia zbudzić!

ADA (*j. w.*) — Czyż Galatea nie dała Pygmalionowi wszystkiego, co dać mogła?

KONSTANTY (*całuje ją w rękę, ciszej*) — Tak... ale czasem... nawet w chwilach najrozkoszniejszego upojenia, wydaje mi się, że dusza Galatei krąży daleko od jej doczesnej powłoki...

ADA (*j. w.*) — Niewdzięczny!

KONSTANTY Człowiek jest niezaspokojony w swoich pragnieniach szczęścia. Pani pozwoli się odwieźć?

ADA — Ależ z przyjemnością. W samochodzie będzie dość miejsca dla wszystkich.

KONSTANTY (*odsunął cokolwiek Adę przy podawaniu okrycia w bok i półgłosem, prosząco*) — Roleta w oknie będzie uchylona, prawda?

ADA (*przesunęła palcem po ustach, jakby nakazując dyskrecję, głośno*) — Nie.. jestem dziś bardzo znużona... (*ciszej*) — Niech pan uważa na Zygę.

ZYGMUNT (*manewry Konstantego zwróciły jego podejrzliwą uwagę*) — Pan mieszka w przeciwnej stronie... Ja panie odwiezę.

- KONSTANTY — Niech pan się o mnie nie troszczy. Napewno trafię do domu. (*uśmiechnął się, drwi lekko*) — Pan powinien zostać na balu...
- ZYGMUNT (*wściekły*) — Mój panie, wymawiam sobie te żarty...
- KONSTANTY (*cicho do Ady, błagalnie*) — Proszę!...
- ADA (*twardo*) — Nie!
- ZYGMUNT (*podejrzliwie*) — O co pan prosi?
- KONSTANTY (*zły*) — Pan ma za dobry słuch i zbyt lotną wyobraźnię!
- ADA (*podrażniona*) — Nudzicie mnie obaj...
- KONSTANTY — Panie pozwolą... Tylko wezmę z szatni paltot i kapelusz... (*biegnie na prawo, w drzwiach natyka się na Kazia*).
- KAZIO — Dokąd stryj biegnie?
- KONSTANTY — Zaraz wracam... Poczekaj... (*znika za drzwiami*).
- ZYGMUNT — To i ja wezmę paltot... W tej chwili wracam...

## SCENA 10.

ADA — KLIMA — KAZIO.

- KAZIO (*do Ady*) — Pani wychodzi?
- ADA — Tak... (*Kazio kłania się*) — Chce pan nas odwiedzić?
- KAZIO (*skwapliwie*) — Z przyjemnością...
- ADA — Niech pan prędko weźmie paltot i kapelusz.
- KAZIO — Nie potrzebna! I tak będę musiał wrócić (*roześmiał się*) — Mnie zawsze gorąco!

ADA (*zachwycona, do Klimy*) — Jemu zawsze gó-  
rąco! Słyszałaś! (*do Kazia*) — Jeśli pan się za-  
ziębi, ładna panienska będzie miała żal do mnie.

KAZIO (*ze śmiechem*) — Nie obawiam się...

ADA (*nagle zdecydowała się, żeby nie czekać na Kon-  
stantego i Zygmunta*) — W takim razie jedziemy!  
Chodźmy przez ogród!

(*idzie szybko ku tarasowi, za nią Klima i Kazio*).

### SCENA 11.

CIŻ — ZOSIA.

(*Zosia w drzwiach od tarasu*).

ADA (*do Zosi, mijając ją pośpiesznie*) — Do widze-  
nia pani!

ZOSIA — Dowidzenia! (*chce zatrzymać Kazia*) —  
Kaziu! Ojciec prosił cię...

KAZIO — Przepraszam cię... odwożę panie...

(*pobiegł za Adą. Zosia stanęła zaskoczona i patrzy ku  
drzwiom na taras*).

ZOSIA<sup>r</sup> — Kaziu! Weź przynajmniej paltot!

KAZIO (*z tarasu, wesoło*) — Nie potrzeba!

### SCENA 12.

ZOSIA — KONSTANTY — ZYGMUNT.

(*Z drzwi na prawo wypadają pośpiesznie Konstanty i Zygmunt,  
z paltotami i kapeluszami w rękach*).

KONSTANTY (*nie widząc Ady, stanął stropiony,  
sposzrzega Zosię*) — A pani Calori?

ZOSIA (*rozżalona*) — Pojechała z Kaziem!

KONSTANTY (*biegnie ku tarasowi*) — Pojechała?...  
Przecież miała czekać...

ZYGMUNT (*biegnie za nim, do Zosi*) — Przepraszam  
panią! (*słysząc w dali trąbkę samochodową*).

ZOSIA (*zawiedziona*) — Pojechali!

Koniec aktu pierwszego.

## AKT II.

*(Mieszkanie Ady. Salon w willi letniej. Drzwi wejściowe na wprost sceny prowadzą do oszklonej werandy, z której schodki wiodą do ogrodu. W tej samej ścianie duże weneckie okno, naościż otwarte, przez które widać ogród w całej krasie lata. W lewej dekoracji drzwi do pokoju Ady. W prawej dwoje drzwi: pierwsze od widowni — do pokoju Klimy; drugie — do dalszych ubikacyj. Dużo kwiatów. W rogu, opodal okna weneckiego, fortepian).*

### SCENA 1.

ZYGMUNT — KLIMA — ADA — KAZIO — SUBJEKT SKLEPOWY.

*(Zygmunt siedzi przy fortepianie i zlekka przesuwa rękami po klawiszach, fantazjując na temat „Pajaców“. To jego brzdąkanie słychać, zanim kurtyna się podniesie. Po chwili wychodzi z prawej strony Klima, w letniej sukni, za nią subjekt sklepowy wnosi na plecach pudło do kapeluszy).*

KLIMA — Ady niema?

ZYGMUNT — Jest. *(wskazał na lewo)* — Fi-lo-zo-fu-je...

KLIMA — Znowu? *(idzie na lewo)* — Ada! Przynieśli kapelusze!

ADA *(za sceną)* — Niech zostawią.



KLIMA (*w drzwiach*) — Trzeba, żebyś wybrała...  
Ośmiu kapeluszy nie weźmiesz!

ADA (*ukazuje się we drzwiach, podrażniona*) — Ach, jak wy mnie nudzicie!... (*zła*) — Niech zabiorą z powrotem wszystkie. Nie chcę żadnego... (*obok niej ukazał się Kazio, białe spodnie, ciemna marynarka*).

KLIMA (*spojrzenie w stronę kapeluszy*) — Mówiłaś przecie, że ci jest koniecznie potrzebny. Pan Konstanty dziś dwa razy chodził...

KAZIO (*przerywa*) — Proszę pani, ja nie przeszkadzam...

ADA — Oni są niezdolni... (*do Klimy, zła*) — Nie chcę wcale tych kapeluszy, słyszysz?

KLIMA (*zła*) — Dobrze! (*do subjekta*) — Proszę pana... Pani Calori teraz nie ma czasu...  
(*wychodzi wraz z subjektem drzwiami z prawej strony*)

ADA (*do Zygmunta*) — Zyga, jeśli mnie kochasz, przestań na chwilę drażnić uszy tem brzdąkaniem. Nie można zebrać myśli.

ZYGMUNT (*zamyka fortepian, sceptycznie*) — Dobrze... Czy to wogóle potrzebne?

ADA (*nie rozumiała*) — Co takiego?

ZYGMUNT (*wstał*) — Zbieranie myśli! Ja rozumiem zbierać znaczki pocztowe, monety, akcje... Mój ojciec zbierał całe życie myśli — i co zostawił? (*gestem pokazuje puste kieszenie*).

ADA (*uśmiecha się*) — Ty pewno nie masz co zbierać!... Konstantynopol nie był jeszcze?

ZYGMUNT — Nie.

ADA (*wzięta za rękę Kazia i pociąga go z powrotem na lewo*) — Zostawmy go... (*oboje wychodzą*).

## SCENA 2.

### ZYGMUNT — KONSTANTY.

(*Zygmunt przez chwilę sam przy fortepianie, przesuwa palcami po klawiaturze, już znacznie ciszej*).

KONSTANTY (*granatowa marynarka, białe spodnie, kwiat w butonierce, na ręku lekki płaszcz samochodowy. Rozejrzał się po pokoju*). — Pani Ady niema?

ZYGMUNT (*ponury, wskazał drzwi na lewo*) — Tam.

KONSTANTY (*uradowany*) — Z Kaziem? (*zatarł rękę*) — Dobrze się wzięta do chłopca, co?... (*zbliża się do drzwi na lewo*) — Proszę pani! Samochód stoi przed bramą!

ADA (*z drugiego pokoju*) — Czy ja muszę koniecznie jechać?

KONSTANTY — Musi pani.

ADA (*staje w drzwiach, Konstancy całuje ją w rękę. Ona kapryśnie*) — To okropne! (*do drzwi na prawo*) — Klima! Kapelusz!

KONSTANTY — Z magazynu nie przysłali?

ADA — Owszem. Ale odesłałam. Nie chciało mi się przymierzać. (*do Klimy, która stanęła w drzwiach*) — Daj kapelusz. (*Klima cofa się drugi raz na prawo*).

KONSTANTY — Za kwadrans będziemy z powrotem.

ADA — Już ja się z nim długo nie będę bawić... (*odwraca się do niewidzialnego Kazia*) — Panie Kaziu!

KAZIO (*zjawia się we drzwiach*) — Jestem.

ADA (*objęła go spojrzeniem*) — Pan nie ma płaszcza? (*do Konstantego*). Niechno pan da! (*Konstanty nie rozumie, o co jej chodzi, zdejmuje płaszcz od kurzu, podaje*). No.. prędezej!

KONSTANTY (*do Kazia*) — W domu byli trochę niespokojni. Wytłomaczyłem cię.

ADA (*zarzuca płaszcz na ramiona Kaziowi*) — Dwóch by się zmieściło. (*otula go, zachwycona, jak lalką*) Jak on zabawnie wygląda, prawda? Ale mu do twarzy!

KLIMA (*wychodzi z prawej strony, niesie kapelusz z woalem*) — Jestem!

ADA — Prędko! (*kładzie z pomocą Klimy kapelusz*).

KONSTANTY (*chce odebrać płaszcz od Kazia*) — Daj!

ADA (*porywczo, zatrzymuje Konstantego*) — Co pan chce od niego? Na taki kurz?

KONSTANTY (*stropiony*) — A ja?

ADA — Pan zostanie w domu. Po co pan ma jeździć na taki upał? (*widząc jego zmartwienie, głaszcze go po twarzy*) — Konstantynopol zostanie. (*ciszej, prawie do ucha*) — Niech pan pogada z Klimą!... (*roześmiała się porozumiewawczo*) — Addio! Zraz wracamy! Panie Kaziu!

(*wychodzi szybko, za nią Kazio*).

### SCENA 3.

KONSTANTY — KLIMA — ZYGMUNT.

KONSTANTY (*biegnie za nią*). — W samochodzie jest przecież więcej miejsca... Zmieścimy się we troje...

ADA. (*w drzwiach, stanowczo*) — Proszę pana! Niech pan zostanie! (*wychodzi wraz z Kaziem, za nimi Konstanty*).

KLIMA (*patrzy trochę ironicznie, trochę z politowaniem*) — Konstantynopol — ewakuowany!

ZYGMUNT (*chodzi po pokoju, zdenerwowany*) — Stary osioł!

KLIMA (*z nieszczerem współczuciem*) — Pan nie ma sympatji dla tego chłopca?

ZYGMUNT (*stanął, spojrzał na nią, skrzywiony*) — Ja?

(*wraca Konstanty*).

KONSTANTY (*w drzwiach*) — Pojechali... Nie rozumiem, dlaczego Ada nie chciała...

ZYGMUNT — Pan nic nie rozumie... Wołała pojechać z nim, niż z panem.

KONSTANTY (*dobrodusznie*) — Przecież mogliśmy zmieścić się we troje...

ZYGMUNT. (*ironicznie*) — Pan lubi jazdę we troje?

KONSTANTY (*do Klimy*) — Co jemu jest?

KLIMA — Zły, jak osa.

KONSTANTY — A wszystkiemu winna pani. Bo gdyby pani chciała się nim zająć... (*oczyma wskazał drzwi, które wyszedł Kazio*).

KLIMA (*obrażona*) — Proszę pana...

KONSTANTY — Ja mam teraz skrupuły, że tego chłopca tu wprowadziłem. Ona się wszyskciem za- nadto przejmuje... A przyjechała tutaj dla wypoc- czynku!

ZYGMUNT (*stanął przed Klimą — ponury*) — Wła- ściwie, dlaczego pani nie chce zająć się tym chłop- cem?

KLIMA (*zła*) — Mój panie, niech się pan odemnie odczepi.

KONSTANTY — Pani mu się bardzo podoba.

KLIMA — Nie zauważyłam tego.

KONSTANTY (*daje znaki porozumiewawcze Zy- gmuntowi*). — Bo on jest nieśmiały. Gdy pani nie patrzy, pożera panią wzrokiem.

ZYGMUNT — To jest prawda! P o ż e r a !

KLIMA (*rozchmurzyła się*) — Jesteście obaj głupi!

KONSTANTY — (*przymilny*) — Chłopiec jest ładny, delikatny, świeży, jak kwiat...

ZYGMUNT (*dopowiada*) — Pomarańczowy! (*roze- śmiał się cicho*).

KLIMA (*już bez gniewu*) — Ja nie mam gustów po- marańczowych! (*z lekką insynuacją*) — Zresztą zajęła się nim już Ada.

KONSTANTY — To co innego!

KLIMA (*znów obrażona*) — Jaktó, co innego? Pan myśli może, że ja?...

KONSTANTY (*pośpiesznie*) — Ja nic nie myślę — wiem, że pani kocha Adę i jest przyjaciółką jej przyjaciół (*bierze jej rękę i pomimo lekkiego opo- ru całuje, pociąga przytem ku sobie, objął poufale ramieniem*). No, Klima, un bon mouvement...



- KLIMA (*bez gniewu*) — Niech pan nie zawraca głowy!
- KONSTANTY (*do Zygmunta*) — Ada nie miała lepszej przyjaciółki. Ona dla Ady poświęciłaby wszystko...
- KLIMA (*życzliwie*) — Ada tak też rozumie przyjaźń. Żeby dla niej być gotową do wszystkich poświęceń.
- ZYGMUNT (*zawsze ponury*) — Niech pani nie narzeka... Ada panią bardzo lubi... (*nagle do Konstatego*) — Po co pan wprowadzał tutaj tego młodzieńca? Było panu źle?
- KONSTANTY (*zaskoczony*) — Przecież nic się nie stało?...
- ZYGMUNT — Nic się nie stało. Ale ja nie wiem, czy się nie stanie! Pan wogóle nie zna Ady...
- KONSTANTY — Chłopiec, jako charakter, jest pierwszej klasy.
- ZYGMUNT — Panu nie wszystko jedno, czy ona pojedzie pierwszą, czy drugą klasą?
- KONSTANTY (*zaskoczony, nie zrozumiał*) — Jakto, pojedzie?  
(*Zygmunt zachnął się niecierpliwie, siadł do fortepianu i zaczyna brzdąkać — „Ride Pagliaccio“*).
- KONSTANTY (*zrażony*) — Z panem można się dogadać! (*wziął rękę Klimy, jakby szukał pociechy*). — Ada nic o mnie nie mówiła?
- KLIMA (*miętko*) — Owszem, że pan jest bardzo pocziwy.
- KONSTANTY (*rozpromieniony*) — Tak powiedziała? Naprawdę?... (*Klima potakuje skinieniem głowy*) — Wie pani, ja jestem bardzo szczęśliwy. Gdy ona

się uśmiechnie i spojrzy, ja — poprostu... boję się rozplynać. (*śmieje się*) Jej oczy mają blask lipcowego słońca, takie gorące! Pała! (*pewny siebie*) — Ja jestem jaknajlepszej myśli, wszystko będzie dobrze! (*do Zygmunta*) — Zobacz pan. (*Zygmunt usiłuje wziąć po chwili wysoko minorowy ton, cokolwiek ryzykownym falsetem*) — Nie tędy, panie! Nie tędy! (*do Klimy*) — Ależ wyje! Pójdę do ogrodnika, wybiorę trochę róż. Ada lubi ładne róże... (*wziął kapelusz ze stołu, nałożył z fantazją na głowę i wychodzi drzwiami w głębi*).

#### SCENA 4 .

KLIMA — ZYGMUNT.

KLIMA (*wzrok utkwiony w drzwi, które wyszedł Konstanty*) — On jest bardzo poczciwy. (*Zygmunt zerwał się od fortepianu i zaczyna biegać po pokoju*).

ZYGMUNT — Mnie obecność tego chłopca drażni... Rozumiesz? Drażni!

KLIMA. (*z utajoną ironją*) — O Konstantynopola nie jesteś już zazdrosny? Tylko o tego chłopca?

ZYGMUNT (*stanął przed nią*) — Ty sama przekonałaś mię, że w nim (*gest w stronę drzwi, które wyszedł Konstanty*) — Ada się nie kocha. Nie może się kochać... Przyznaję, że nie miałem racji. Może go lubić. Może mieć dla niego sympatję. Kochać się w nim nie może. Ale ten chłopiec!... Po kiego djabła on go tutaj wprowadzał? Czy

z Adą można kiedy coś wiedzieć? Dla kaprysu gotowa na wszystko?

KLIMA. — Jakto, na wszystko?

ZYGMUNT. (*spojrzał na nią podejrzliwie*) — Nic... taki młody, świeży... nowe wrażenie... nowa zabawka!... A ja jestem jak stary wyaranżerowany kundel, którego się żywi resztkami... nawet nie odgrzewanymi. (*nagle*) — Klima! Proszę cię, daj mi kieliszek koniaku.

KLIMA — Nie dam. I tak już jesteś zdenerwowany.

ZYGMUNT (*zły*) — To nie! (*machnął ręką*) — Wszystko jedno. Ale ja cię przestrzegam: tu będzie dramat. Napewno skończy się dramatem.

KLIMA — Ty masz wogóle źle w głowie. I jeśli się nie uspokoisz, to skończy się dramatycznie... ale dla ciebie. Spróbuj Adę powstrzymać, gdy ją niesie... Twój dramat skończy się zaraz w pierwszym akcie... Tylko ty wogóle jesteś głupi... Dlatego, że kochacie się w Adzie, wydaje się wam, że każdy, kto się do niej zbliży, odrazu jak ta mucha na plastrze... Ja z tym małym wczoraj umyślnie zaczęłam dłuższą rozmowę...

ZYGMUNT — I co?

KLIMA (*uśmiecha się nieco tajemniczo*) — Nie wydawało mi się, żeby był zakochany... nawet... (*urwała*).

ZYGMUNT (*j. w.*) — Co „nawet“?

KLIMA — Nic.

ZYGMUNT (*insynuuje*) — Żebyś ty go jej... tak... z pod rąk... to byłby kawał! Klima, to byłby świe-

tny kawał! (*uśmiecha się*) — Chłopak dużoby się nauczył...

KLIMA (*udaje obrażoną*) — Mój drogi...

ZYGMUNT — Ty jesteś majster! Jestem pewny...  
Klima, mam ochotę cię pocałować!

KLIMA (*w gruncie rzeczy zadowolona*) — Obejdz się smakiem!

## SCENA 5.

CIŻ — KONSTANTY.

KONSTANTY (*trzyma w ręku pęk róż*) — Piękne, nieprawdaż?

KLIMA (*odbiera od niego kwiaty*) — Niech pan da... włożę do wazonu. (*idzie na prawo*).

ZYGMUNT (*półgłosem, tajemniczo do Konstantego*) — Mnie się zdaje... (*śmieje się*) — że ona miała by ochotę... Ona zawsze miała ochotę na każdego, kto się podobał Adzie...

KONSTANTY — Pan się wyraża... cokolwiek lekko-myślnie. Ada polubiła tego chłopca, bo ja ją prosiłem! Sam chciałem, żeby się nim zajęła. Ale wysnuwać zaraz z tego wnioski... (*surowo*)—W pa-nu jest materiał na plotkarza! Baba! (*uśmiechnął się do własnych myśli*) — Swoją drogą, co się ty-czy Klimy, to rzeczywiście... Sama z siebie, to tam niewiele... ale niech spostrzeże, że Ada zaintereso-wała się, to w tej chwili... gotowa do ofiary!...

ZYGMUNT — Gdyby Ada, ze swej strony, także ją trochę... podnieciła...

KONSTANTY — Wie pan? To dobra myśl. Ja ją poproszę. (*zadowolony*) — Wybornie się układa. Dla chłopca nie będzie to niebezpieczne, a że się rozrusza...

ZYGMUNT (*z przekonaniem*) — Ona go rozrusza!

KONSTANTY (*śmieje się*) — Rozrusza go? Doskonale! (*Klima wraca z wazonem, wacha lubieżnie różę*) — Jak pani ślicznie wygląda z temi różami! Zyga, spójrzyj! Usta czerwone, oczy błyszczące! Klima! Gdybym nie był zakochany w Adzie...

KLIMA (*zadowolona*) — Może Konstantynopol napije się zimnej wody?...

KONSTANTY (*blisko niej*) — Jak ona pachnie! (*do Zygmunta*) Powąchaj pan! (*obaj wachają*) — Nikt się nie pomyli... To jest „parfum d'amour“... Klima, jesteś dziś niebezpieczna!

ZYGMUNT — Jabym z nią sam na sam nie został!

KLIMA (*zadowolona*) — Jesteście obaj głupi!... (*nasłuchuje*) — Jada!

(*wszyscy troje nasłuchują, słysząc trąbkę samochodową i warkot*).

KONSTANTY (*kontent*) — Jada... (*wybiega w głębi drzwiami na spotkanie*).

ZYGMUNT — Chłopiec zwierzał mu się, że pani na nim zrobiła ogromne wrażenie zmysłowe!...

KLIMA — Głupi!

## SCENA 6.

CIŻ — KONSTANTY — ADA — KAZIO.

ADA (*wchodzi, za nią Konstanty, potem Kazio*). — Nie było go! Chwała Bogu! Wizyta się udała! Klima! Włóżę peniuar! (*zdejmuje kapelusz i od-*



daje Klimie) — Powiedz Łucji, żeby przyniosła.  
(Klima idzie w drugie drzwi na prawo; do Kazia)  
— Niech pan sobie oczy przemyje.

KLIMA (zatrzymała się w drzwiach) — Może pan chce... w moim pokoju... (wskazała na pierwsze drzwi od sceny na prawo). Na umywalni jest wszystko...

ADA (popycha Kazia na lewo) — Niech pan idzie do mnie. (Klima znika we drzwiach na prawo, Kazio idzie na lewo).

### SCENA 7.

ADA — KONSTANTY — ZYGMUNT.

ADA Ach, jakie różę! (do Konstantego) — To pewno pan... (Konstanty schyla głowę, rozpromieniony. Ona węża lubieżnie).

KONSTANTY (wskazał wzrokiem na lewo) — Może by on lepiej poszedł do domu. Matka będzie się niepokoić.

ADA (bawi się różami) — Dziękuję. (przesunęła dłoń po twarzy Konstantego) — Konstantynopol wstąpi i powie, że został tutaj.

KONSTANTY (z łagodną perswazją) — Powinna pani odpocząć. Nie można się w ten sposób męczyć.

ADA (śmieje się) — Ja wcale nie jestem zmęczona... Nudni jesteście...

KONSTANTY (tajemniczo, szeptem) — Klima... (wzrok na drzwi, które wyszła) — wcale nie jest od tego...

ADA (oburzona) — Co?! (sposzrzęła się) — Tak?

ZYGMUNT (*uśmiecha się oblesnie*) — Trzeba jej tylko dać sposobność.

ADA (*zagadkowo*) — No, więc tem lepiej.  
(*wchodzi Klima, za nią Łucja niesie peniuar*).

## SCENA 8.

CIŻ — KLIMA — ŁUCJA — KAZIO.

ADA (*zaczyna się swobodnie rozbierać*) (*do Łucji, która pomaga jej rozpiąć suknię*). — Prędko.

(*w drzwiach z lewej strony Kazio. Ujrawszy rozbierającą się Adę, wybałuszył ślepią i nie wie, co ma robić*).

KONSTANTY (*porywczo*) — Tutaj nie można... (*chce zamknąć drzwi*).

ADA (*wybuchając śmiechem*) — A wam wolno? (*Kazio zawstydzony cofnął się. Konstanty stropiony zatrzymał się*) — Biedny chłopak, czego wy od niego chcecie? Nigdy nie ma zobaczyć, jak się ubiera kobieta? (*po chwili Łucja wkłada na jej ramiona powłóczysty peniuar*) — Już można, panie Kaziu! (*Kazio w drzwiach*) — My, aktorki, jesteśmy przyzwyczajone... do garderoby zawsze ktoś zagląda... Bardzo się pan przestraszył?

KAZIO — Wcale się nie przestraszyłem.

(*Łucja wychodzi z suknią w drugie drzwi na prawo*).

ADA (*do Konstantego*) — Widzi pan, że on ma mocniejsze nerwy, niż pan myślał... (*pokazuje rózę Kaziowi*) To od Konstantynopola... Niech pan powącha. (*Konstanty uśmiecha się radośnie*) — On zawsze poczciwy i o mnie pamięta. Teraz pójdzie do pańskiej mamy i powie, że pana zatrzymałam

na kolację. (*twarz Konstantego wydłuża się*) (*do Zygmunta*) — Ty wstąpisz do kasyna. Może dyrektor tam będzie... Powiesz, że go nie zastałam... (*ułożyła się wygodnie na kozetce. Zygmunt jeszcze bardziej ponury*) — Idźcie już... muszę trochę wypocząć...

KONSTANTY (*nieśmiało*) — Pani pozwoli potem wrócić?

ADA (*roztargniona*) — Naturalnie... (*podała mu rękę, którą Konstanty całuje. Zygmunt już blisko drzwi. Kazio stanął przed nią z kapeluszem i chce się zegnąć*) — A to co znowu? Dokąd pan chce iść?

KAZIO (*stropiony*) — Myślałem, że i ja również...

ADA (*wyrwała mu kapelusz*) — Także coś nowego! (*odrzuciła kapelusz na stół*). — Sama przecież nie zostanę.

KONSTANTY (*nieśmiało*) — Klima nie wychodzi...

ADA (*zadąsana*) — Klima! Klima! (*objęła ich wzrokiem, odgaduje powody ich niepokoju i łagodnieje*) — Wy jesteście paradni! (*do Kazia, zmiana tonu*) — Niech pan przejdzie na chwilę do mego pokoju. Muszę tym nudziarzom coś powiedzieć... (*Kazio posłusznie wychodzi na lewo*).

## SCENA 9.

ADA — KONSTANTY — ZYGMUNT.

ADA (*ostrzej*) — Powiedzcie jasno i wyraźnie! O co wam chodzi?

KONSTANTY (*stropiony, trochę się boi, wskazuje na Zygmunta*) — Właściwie, to on...

ZYGMUNT (*przerywa porywczo*) — Przepraszam, sam pan mówił...

KONSTANTY (*przerywa*) — Wcale nie ja, tylko pan...

ZYGMUNT (*emfaticznie podnosi ramiona w górę*) — Boże, ty słyszysz!...

ADA (*surowo*) — Moi drodzy, Pan Bóg słyszy i nie grzmi, a ja w dalszym ciągu nie wiem, czego ode mnie chcecie?...

ZYGMUNT — Pan Konstanty obawia się...

KONSTANTY: (*przerywa*) — Przepraszam — to jest nieścisle... Ja nigdy nie mówiłem, że się obawiam.

ZYGMUNT (*obrazony, wstaje*) — Jeśli pan zaprzecza, to ja nie mam nic do powiedzenia. (*z naciukiem*) — Dziwię się tylko bardzo...

KONSTANTY (*wstał również podrażniony, z naciukiem*) — Ja także bardzo się dziwię...

ADA (*nie może powstrzymać się od śmiechu*) — Obaj się dziwicie! Doskonale! Wy jesteście zazdrośni! (*do Konstantego z łagodną wymówką*) — Konstantynopol! O tego chłopca! (*Konstanty i Zygmunt milczą zawstydzeni*) — Sam pan prosił, że bym się nim zajęła...

KONSTANTY — Zapewniam panią, że w głowie mi nawet nie powstało...

ADA — Jacy wy jesteście śmieszni!... Więc ostatecznie powiem wam... tylko (*kładzie palec na ustach na znak, że chodzi o wielką tajemnicę, poczem ruchem ręki zaprasza ich, by się zbliżyli. Konstanty jest widocznie zainteresowany, Zygmunt cokolwiek*

sceptyczny. *Ada szeptem wskazuje drzwi, z lewej strony, któremi wyszedł Kazio*) — Klima!

KONSTANTY *(uradowany)* — Naprawdę!

ZYGMUNT *(sceptycznie)* — Mnie się zdawało, że ona dotąd...

ADA *(przerywa)* — Zostawcie to mnie! *(do Konstantego wyciąga rękę)* — Przeprosić panią. *(Konstanty skwapliwie całuje rękę, ona drugą podaje Zygmuntowi)* — Przeprosić! *(Zygmunt całuje, lecz w dalszym ciągu nieprzekonany i ponury. Zmiana tonu)* — A teraz idźcie! *(głośno)* — Klima!

ZYGMUNT *(idzie do pierwszych drzwi na prawo)* — Klima!

KONSTANTY — Kiedy możemy wrócić?

ADA — Nie wiem... Za godzinę... może za dwie... *(palec na ustach)* — Ale... *(ma to znaczyć: bądźcie dyskretni)*. *(W pierwszych drzwiach na prawo Klima)*.

## SCENA 10.

ADA — KONSTANTY — KLIMA — ZYGMUNT.

ADA — Klima, ty lubisz Konstantynopola?

KLIMA *(nie rozumie)* — Bo co?

ADA: *(uśmiechnięta)* — Lubisz?

KLIMA *(dość obojętnie)* — Lubię.

ADA — Ale tak naprawdę?... Byłabyś gotową... do małego poświęcenia?

*(Konstanty uradowany z trudem powstrzymuje śmiech. Zygmunt też cokolwiek się uśmiecha).*



KLIMA (*odczuła, że pokpiwają sobie z niej*)—E, tych żartów mam dosyć!

ADA (*do Konstantego i Zygmunta*) — Ona się poświęci. Tylko już idźcie... (*Konstanty i Zygmunt wychodzą*) (*do Klimy*) — Czego się gniewasz? Czy chłopiec nie jest naprawdę miły?

### SCENA 11.

ADA — KLIMA.

KLIMA (*obejrzała się, czy Konstanty i Zygmunt naprawdę wyszli*) — Zdaje mi się, że się komuś podoba!

ADA (*śmiejąc się, grozi jej*) — Ja wiem, komu!

KLIMA (*śmieje się również, ale ze zdźbłem ironji*) — Ja też!

ADA — Chcesz go?

KLIMA (*j. w.*) — Już nim rozporządzasz?

### SCENA 12.

ADA — KLIMA — KAZIO.

ADA (*sposzregła Kazia*) — Dlaczego pan nie przychodzi? Co pan tam robił?

KAZIO — Czekałem, aż mnie pani zawoła.

ADA (*gestem zaprasza go, aby usiadł obok niej na kozetce*) — Proszę... (*do Klimy trochę rozczulona*) Byłby tak czekał do nieskończoności... Siadaj. (*Klima siada z drugiej strony Kazia*) — Niech pan pocałuje. (*do Klimy*) — Zasłużył, prawda?

(*podsuwa mu obnażony z szerokiego rękawa łokieć, on całuje, ona śmieje się, krótkim, nerwowym śmiechem*). Jan pan prędko całuje? Czy to panu nie sprawia przyjemności?

KAZIO (*po krótkim namyśle*) — Owszem.

ADA — Jeśli coś sprawia przyjemność, nie należy się spieszyć. Kawior i konfitury je się małemi łyżeczkami... (*nagle, ze śmiechem*) — Klima! Pokaż mu, jak się całuje!

KLIMA (*z uśmiechem*) — Jakże ja panu pokażę?

ADA — Metodą pogładową...

KLIMA (*patrzy jej w oczy z uśmiechem*) — Dlaczego ja?...

ADA (*śmieje się cokolwiek nerwowo*) — Jaka ty nudna jesteś! (*do Kazia*) Chce się pan od niej nauczyć?

KAZIO (*zmieszany, nie wie, co powiedzieć*) — Owszem... Tylko nie wiem...

ADA (*przedrżeznia go*) — Owszem... słyszałaś? Nie spodziewałam się tego po panu... Pan wie? Ona się w panu kocha!

KAZIO — Pani żartuje.

KLIMA — Kiedy ja się panu nie podobam!

KAZIO (*dobrze wychowany, ale bez entuzjazmu*) — Tego nigdy nie powiedziałem.

KLIMA — Czyż takie rzeczy trzeba mówić? Ja nie jestem w pana typie. (*przysunęła się do Kazia, który radby był się od niej odsunąć, ale boi się nadto zbliżyć do Ady. Jest mu gorąco. Ociera chustką*

*czoło*). — Więc kiedy rozpoczynamy lekcje? Gorąco panu?... *(przesunęła ręką po jego czole)* — Jakże ma rozpalone czoło!

*(Adę od paru chwil drażni zachowanie Klimy).*

ADA — Słyszysz pan? Ona to rozkłada na cały szereg lekcyj... Czekają pana mozolna praca... *(nagła zmiana tonu)* — Klimy... Klimy... ja jednak jestem niepokojna, czy mi tę suknię odeślą...

KLIMA *(zajęta Kaziem)* — Pan ma bardzo ładne oczy... Bardzo wymowne! *(do Ady)* — Odeślą... napewno odeślą...

ADA *(z większą stanowczością)* — Gdyby nie odeślali, byłabym w wielkim kłopotcie... Wiesz, byłabym ci bardzo wdzięczna...

KLIMA — Chcesz, to pošlę Łucję...

ADA *(j.w.)* — Nie... ona tego nie załatwi... Ty jedna, gdy im powiesz, o co mi chodzi... Będę spokojna...

KLIMA *(zrozumiała, wstaje, zła)* — Jeśli chcesz koniecznie... mogę pójść...

ADA *(kontenta ze swego pomysłu wysłania Klimy, wstała, ścisnęła Klimę)* — Zrób to dla mnie, moja droga! *(do Kazia, który wstał również)* — Pan nie będzie się gniewał, że na pół godziny rozdzielę pana z kobietą, która się w panu kocha?

KLIMA *(zła)* — Pół godziny... *(objęła ich spojrzeniem)* W takim razie... Do widzenia! *(nie bez utajonej złośliwości)* — Bawcie się tylko grzecznie! *(wychodzi do swego pokoju; pierwsze od widowni drzwi na prawo).*

### SCENA 13.

ADA — KAZIO.

KAZIO — Może ja bym poszedł do tego magazynu?  
Pani Klíma nie ma ochoty!

ADA (*podejrzliwie*) — Chce pan z nią iść?

KAZIO — Nie.. zamiast niej.

ADA (*nieco szorstko*) — Ona potrzebuje ruchu...  
W ostatnich czasach zaczęła tyć, a w jej wieku,  
to niebezpieczne... (*z uśmiechem*) — Chyba, że pan  
nie może bez niej wytrzymać...?

KAZIO (*poruszony*) — Proszę pani... ja mogę doskonale wytrzymać...

### SCENA 14.

CIŻ — KLIMA.

(*Klima wychodzi ze swego pokoju w kapeluszu, w ręku parasolka*).

KLIMA (*widocznie urażona*) — Do widzenia! (*skłoniła się chłodno, idzie wgląb. Kazio odskłonił się jej bardzo poprawnie*).

KAZIO — Do widzenia pani!

### SCENA 15.

ADA — KAZIO.

ADA (*powiodła spojrzeniem za Klimą, wybucha śmiechem*) — Jaka zła! Jak osa!... Nie ma pan do mnie żalu? (*siada na kozetce, gestem zaprasza Kazia, który siada obok niej*).

KAZIO (*lekko zdziwiony*) — O co?

ADA — Że ją wyprawiłam... Bo ja to zrobiłam umyślnie... Jej oczy całowały pana. Pan nie czuł dotknięcia tych spojrzeń? (*Kazio milczy, ona przekornie*) — A może pan miał ochotę na... lekcję? Niech pan się przyzna, — chciałby pan, żeby pana pocałowała?

KAZIO (*z cokolwiek sztuczną powagą*) — Ja takich pocałunków nie uznaję.

ADA (*uśmiechnęła się*) — A jakie pan uznaje?

KAZIO (*j. w.*) — Pocałunek nie może być aktem tylko fizjologicznym. Musi wypływać z głębszego uczucia.

ADA — A wtedy... kiedy wypływa z głębszego uczucia...

KAZIO (*zmieszany*) — Nie wiem... Mam wrażenie, że przypisuje się temu zbyt wielkie znaczenie.

ADA — Nie wie pan? Nie żał panu nie wiedzieć?... Nie myśli pan o tem nigdy?

KAZIO — Proszę pani... ja uznaję miłość, a nie jej surogaty...

ADA (*nie rozumiała*) — Su-ro-ga-ty?

KAZIO — Falsyfikaty...

ADA (*poważniej*) — Tak być powinno. Ja również zawsze pragnęłam żyć w zgodzie z sercem... z tem, co jest właściwie sumieniem... Ale to bywa nieraz bardzo trudno... Czasem śni mi się, że jestem bogatą księżną, że żyję tylko według swojej woli... Budzę się, i... życie jest tak różne od snów!

KAZIO (*nagle — spojrzał w jej oczy*) — Pani kocha się w wuju Konstantym?



ADA (*objęła go uważniejszym spojrzeniem, po sekundzie namysłu*) — Nie. Znadto go lubię. Jest dla mnie bardzo dobry.

KAZIO (*śmielej*) — Ze mnie śmieją się, że ja nie żyję, jak inni... Dla mnie miłość jest czemś wielkim i tajemniczym. Nie rozumiem, jak można tak wielką wartość oddawać na poniewierkę drobnych przygód, wypadków, spotkań.

ADA (*z przekonaniem*) — To jest wstrętne — niech mi pan wierzy.. wstrętne.

KAZIO — Pani mnie rozumie. A kiedy mówię to innym, śmieją się ze mnie.

ADA (*oczy przymknięte, jakby się cofnęła w wspomnienia własnych przeżyć*) — Niema nic przykrzejszego, jak pocałunki, których się nie pragnie. Ale to zbytek, na który nie każda kobieta może sobie pozwolić.

KAZIO — Dla mnie kobieta, która się sprzedaje, godna jest pożałowania. Mężczyzna, który ją kupuje, zasługuje na pogardę. Czyż nie lepiej czekać, aż się spotka miłość prawdziwą?

ADA (*z uśmiechem*) — Nie wszyscy mają tyle czasu przed sobą, co pan... I cierpliwości... I wiary, że tak będzie! A wogóle... jeśli się pragnie miłości,— bezpieczniej wyjść na jej spotkanie... żeby nie przeszła obok... (*objęła go życzliwym spojrzeniem*) — Panu jest do twarzy z tą powagą... Pan dotąd nie kochał nigdy?

KAZIO (*zawahał się*) — Nie.

ADA — Pan nie wie, jakie to szczęście kochać! Daleko większe, niż być kochaną!

- KAZIO — Ja się boję, że ja... nie potrafię się zakochać...
- ADA (*śmieje się*) — Jakto — nie potrafi pan?
- KAZIO — Ja sam czuję, że jestem wobec kobiet niezręczny... niezgrabny...
- ADA (*przesunęła ręką po jego włosach*) — Biedaczek! Myśli pan, że tego trzeba się uczyć?
- KAZIO (*szczerze*) — Nie wiem...
- ADA (*wzięła cukierek z pudełka, które leży na stole, podaje mu pudełko*) — Chce pan czekoladkę? (*Kazio bierze*) Co w niej jest?
- KAZIO (*odgryzł połowę czekoladki, drugą połowę trzyma w palcach*) — Migdał.
- ADA — Migdał? Niech pan zaraz odda. Migdały są moje... (*Kazio trochę ogłupiały, ona ze śmiechem odbiera mu drugą połowę czekoladki i je*) — Dobrze?...
- KAZIO — Dobrze...
- ADA (*po chwili*) — Kiedyż ślub pana?
- KAZIO (*zaskoczony*) — Jakto, ślub?
- ADA (*udaje zdziwienie*) — Pan nie ma zamiaru się ożenić?
- KAZIO (*j. w.*) — Nie wiem... Może... Kiedyś...
- ADA — Z tą ładną panienką?
- KAZIO (*zażenowany*) — Proszę pani, my mamy tak niedobre charaktery! Wątpię, czy moglibyśmy być z sobą szczęśliwi! Lepiej o tem nie mówić.
- ADA — Nie kocha się pan w niej?
- KAZIO — Z nią wcale nie można rozmawiać. Zawsze jest niezadowolona.
- ADA (*zalotnie*) — Woli pan ze mną?

KAZIO — Ja z nikim nie rozmawiam tak szczerze,  
jak z panią.

ADA (*uśmiechnięta*) — Doprawdy? Bardzo pan miły!  
Nie nudzi się pan ze mną?

KAZIO — Boję się, abym pani nie nudził. Siedzę tu  
całymi dniami.

ADA (*niespokojna*) — Może panu Zyga coś powie-  
dział?

KAZIO — Nie, lecz ja sam rozumiem...

ADA (*zamyka mu usta ręką*) — Nic pan nie rozumie.  
On mnie nudzi, a z panem jest mi dobrze.

KAZIO — Gdy mnie czyje towarzystwo nudzi, uni-  
kam go!

ADA (*z odcieniem melancholji*) — Nie zawsze można!  
Pan należy do tych szczęśliwie urodzonych, którzy  
zwykli postępować według własnej woli. Nie po-  
trzebował pan przebijać się przez życie... i wszyst-  
kie jego zakamarki.

KAZIO — Ja nie uznaję żadnych ustępstw i kompro-  
mísów, ani w życiu, ani w miłości... Jeśli pokocham  
— to na całe życie.

ADA — Taka miłość, to wielkie szczęście.

KAZIO — Pani takiej miłości nie spotkała?

ADA — Nie... Parę razy zdawało mi się... Myliłam  
się... Widzi pan... ładna kobieta w teatrze... to jest  
zajac w polu... Wszyscy dokoła gonią... aż zmę-  
czą... (*zmiana tonu*) — Ja się panu nie podobam?

KAZIO (*objął ją spojrzeniem, poważnie*) — Przeci-  
wnie...

ADA — Mnie się zdaje, że nie. (*z tajonym śmiechem*)  
— Naprzykład, niech pan powie, miałby pan ochotę mnie pocałować?

KAZIO (*j. w.*) — Miałbym.

ADA (*wybuchu radosnym śmiechem*)—Miałbym! (*podaje mu łokieć*) — Niech pan pocałuje... (*on całuje dłużej, ona to konstatuje z uznaniem*). Już lepiej... (*spojrzała mu w oczy*) — Wolałby pan w usta? (*Kazio milczy*) — Niech pan powie?...

KAZIO (*coraz bardziej wykolejony*) — Wolałbym...

ADA (*śmieje się przekornie*) — Wolałbym! (*przysuwa swoje usta blisko jego warg*) — Nie można! Pan się we mnie nie kocha!... Gdyby pan się we mnie kochał...

KAZIO (*j. w.*) — Gdybym się w pani kochał?

ADA (*dotyka palcem jego warg*) — Nie wiem, czybym potrafiła się obronić... Ale pan nie mógłby się we mnie kochać!

KAZIO — Dlaczego nie mógłbym?

ADA — Gdyby się pan we mnie kochał, nie byłby pan taki spokojny...

KAZIO — Ja, proszę pani, zawsze jestem spokojny...

ADA — Bo się pan nie kocha... Ale trochę się panu podobam?

KAZIO — Bardzo.

ADA — A co się panu najwięcej we mnie podoba?

KAZIO — Wszystko.

ADA — Tak nie chcę... (*wstała*) — Podoba się panu moja figura? (*okręciła się przed nim w zręcznym piruecie*).

KAZIO (*zapatrzony w nią*) — Podoba.

- ADA — Nogi mam duże... (*spojrzała na swoje nogi*).
- KAZIO (*idzie wzrokiem za jej spojrzeniem*) — Wca-  
le nie... śliczne...
- ADA (*postawiła nogę na krawędzi kozetki, odstania-  
jąc zlekka peniuar*) — Mnie się zdaje, że pan ma  
zły gust... Co się panu może więcej we mnie podobać?  
(*siada*) — Włosy mam brzydkie...
- KAZIO (*objął włosy spojrzeniem*) — Śliczne!
- ADA (*przysunęła się włosami*). — A pachną dobrze?
- KAZIO (*wziął nieśmiało jej włosy w ręce, wacha  
i ukradkiem całuje*) — Ślicznie!
- ADA (*kapryśnie, odsuwa się*) — E, u pana wszystko  
śliczne! Oczy małe i bez wyrazu — prawda?
- KAZIO (*porywczó*) — Co też pani mówi! Oczy pani  
są śliczne!
- ADA (*kapryśnie*) — Znowu... Niech pan pocałuje w to  
prawe... tylko lekko... (*przysunęła oczy, on całuje  
w prawe*) — Teraz w lewe, żeby nie było zazdro-  
sne... Pan całuje... tak nieśmiało... (*otwiera oczy*).
- KAZIO — Za lekko?
- ADA — Nie... Oczy trzeba całować lekko... (*przymyka  
oczy i nachyla mu swoje usta*) — jak motyl różę...  
(*on dotyka nieśmiało jej warg swojemi wargami,  
ona nagle przygarnia mocno jego głowę i łączą się  
w długim, mocnym pocałunku*).
- ADA (*odsunęła wreszcie jego głowę, ale trzyma ją  
oburącz tuż, tuż i patrzy w jego szeroko otwarte  
oczy*). — Mój?... (*Kazio chce coś powiedzieć*) —  
Cicho! Nie trzeba! (*wstaje*) — Chodź! (*pociąga za  
rękę, on wstaje oszołomiony. Ada postępuje parę  
kroków na lewo, ku swojemu pokojowi. Nagle za-*



trzyma się, uśmiecha do jakiejś myśli — i do Kazia) — Lubi? (ten chce odpowiedzieć, ona zamyka mu usta pocałunkiem, a potem szybko pociąga na prawo, do pokoju Klimy, który zamyka).

## SCENA 18.

### ZYGMUNT — KONSTANTY.

(Przez chwilę na scenie pusto. Coraz większy mrok. Wchodzi Zygmunt, rozejrzał się, widząc, że nikogo niema w salonie, zagląda do pokoju Ady na lewo. I tam nikogo niema. Pokręcił głową, spojrzal na zegarek z pewną trudnością, bo już dobrze ciemno. Wreszcie siada do fortepianu i zaczyna grać na temat duetu z 1-go aktu „Pajaców“. Po dłuższej chwili wchodzi Konstanty. Kapelusz na bakier, w paltocie, w rękę trzyma zarzutkę Kazia).

KONSTANTY — Dobry wieczór! (Zygmunt pochłonięty muzyką nie widział go wcale, ani słyszał powitania) — Niema nikogo? (wrócił do przedpokoju i tam zostawił paltot i kapelusz, poczem zagląda do pokoju Ady. — Do Zygmunta) — Ada wyszła? (Zygmunt nie słyszy w dalszym ciągu. Konstanty zbliża się do niego i nad uchem w dalszym ciągu) — Ada wyszła?!

ZYGMUNT' (skoczył, jak piłka od fortepianu) — Przecież nie jestem głuchy. Pewno wyszła, skoro jej niema.

KONSTANTY (pogodny) — Dlaczego pan siedzi po ciemku?

ZYGMUNT' (zgryźliwie) — Panu to przeszkadza?

KONSTANTY (j. w.) — Nie. (idzie do drugich drzwi na prawo, zakręca kontakt, żyrandol zalewa salonik jasnym światłem, aż Zygmunt przymyka

oczy). — Bratowa prosiła, abym przyniósł chłopcu paltot. Matka przebaczy synowi wszelkie zbrodnie... byle tylko się nie zaziębił. (*spozstrzega kapelusz Kazia na stole, rzuca paltot na krzesło, bierze go ze zdziwieniem*) — On tu jest?

ZYGMUNT (*także zdziwiony*). — Ja go nie widziałem...

KONSTANTY (*wskazuje na kapelusz*) — O!... (*spoglądają na siebie, widocznie zaniepokojeni. Dłuższa chwila milczenia. Nagle czuło ucho Zygmunta podchwyciło odgłos lekkich szeptów czy szmeru w pokoju Klimy*).

ZYGMUNT (*przyciszonym głosem, wskazując na pierwsze drzwi na prawo*) — Tam ktoś jest!

KONSTANTY (*posłyszał również, podszedł kilka kroków na palcach*) — Cicho! (*kiwnął głową*) — Tak. (*nacisnął ostrożnie klamkę*). — Zamknięte. (*nagły, łobuzerski cokolwiek uśmiech rozjaśnił mu twarz*).

ZYGMUNT (*podszedł również, na palcach, pochyliła się do dziurki od klucza*) — Czekaj pan!

KONSTANTY (*odsuwa go*) — Fe!... (*rozpromieniony odwodzi Zygmunta od drzwi*) — Klima!

ZYGMUNT (*wybuch cichym śmiechem*) — Klima!

KONSTANTY — Ada nie chciała im przeszkadzać! (*śmieje się cicho*) Klima! (*po chwili, wyrozumiały*) — Zgaszę światło... (*na palcach idzie do kontaktu*).

ZYGMUNT — Zgaś pan! (*śmieje się cicho*) — Ach, ta Klima!

(*Konstanty gasi elektryczność, wraca na środek sceny, bierze pod ramię Zygmunta, spojrzeli na siebie i śmieją się obaj, aż im się brzuchy trzęsą*).

## SCENA 17.

### CIŻ — KLIMA.

*(Drzwiami w głębi wchodzi Klima, patrzy ze zdziwieniem na tę pantominę).*

KLIMA *(po chwili)* — Co wy tam robicie? *(idzie do kontaktu, zakręca, robi się jasno).*

*(Głos Klimy uderzył w Zygmunta i Konstantego, jak piorun. Śmiech zastygł im na ustach. Przez chwilę stoją ośłupieni, wpatrzeni w Klimę, jakby nie wierząc własnym oczom).*

KONSTANTY *(zmienionym głosem)* — Pani tutaj?

ZYGMUNT — Klima? *(chrapliwie, wskazując na pierwsze drzwi na prawo)* — A tam?

KONSTANTY *(nagle z krzykiem)* — Ada! Gdzie jest Ada?

KLIMA *(nie rozumie nic z tego, co się dzieje)* — Czego pan krzyczy? Ada musi być u siebie...

ZYGMUNT *(skrzywiony boleśnie)* — Gdzie pani chodziła?

KLIMA — Czy wyście oszaleli? Co się stało?

*(oni patrzą na zamknięte drzwi, Klima, zasuggestjonowana ich wzrokiem, patrzy także. Drzwi się otwierają, wchodzi Ada, za nią Kazio. Oboje mrużą cokolwiek oczy, rażeni światłem).*

## SCENA 18.

### CIŻ — ADA — KAZIO.

ADA *(zła, tupetem usiłuje pokryć zmieszanie)* — Czy wy musicie tak krzyczeć i hałasować? Co się dzieje?

*(Chwila przykrego milczenia. Zygmunt przysiadł na krześle, głowę spuścił ponuro. Klima patrzy na Adę, potem na Kazia, widocznie poruszona, bierze nuty z fortepianu i wachluje się nerwowo).*

KONSTANTY *(z nagłym wybuchem rozpaczy)* — Ada! Powiedz, że to wszystko nieprawda! Powiedz! Ja... Ja uwierzę we wszystko, co powiesz!

ADA *(j. w.)* — Co ma być nieprawdą? Czego wy ode mnie chcecie?

KLIMA *(raczej do siebie)* — W moim pokoju!

ADA — W twoim? Czy już nie można wejść do twojego pokoju?

KONSTANTY *(czepia się tej myśli, jak tonący brzytwy)* — *(do Klimy)* — Ona tylko tam weszła! *(do Zygmunta)* — Widzi pan, że to wszystko nie jest tak...

ADA *(coraz silniej podrażniona, wyzywająca już)* — Co nie jest tak?!

KONSTANTY — Ada! Ten chłopiec!?!...

ADA *(nagle zdecydowana)* — Ech!... Nudzicie mnie!... Ja także mam prawo do życia... do radości życia! Tak! Jest moim kochankiem! Jest... *(do Konstantego)* — Zadowolony pan?

KONSTANTY *(chwycił się za głowę)* — Pani nie mówi serjo!

ADA *(j. w.)* — Mam dosyć waszego serjo! *(zarzuciła ramię koło szyi Kazia)* — Jest moim kochankiem! Kocham go! *(spojrzała na Kazia i bezwiednie całuje go w usta).*

KONSTANTY (*zakrywa oczy*). — Ada!  
(*Klima odwróciła się z obrzydzeniem. Zygmunt zastygł w tej pozie. W drzwiach wchodowych pukanie... przez szyby widać sylwetkę Zosi*).

ADA — Czy ja nie jestem wolna? Czy ja nie jestem u siebie? (*ponowne, mocniejsze pukanie. Teraz wszyscy usłyszeli, odwracają głowy, prócz Zygmunta*) — Kto tam?... Proszę wejść!  
(*wchodzi Zosia, wszyscy zdumieni*).

### SCENA 19.

CIŻ — ZOSIA.

ZOSIA (*odczuła instynktownie, że odgrywa się coś niezwykłego, z trudem panuje nad zmieszaniem, do Ady*) — Przepraszam panią...

KAZIO (*ujrawszy ją, instynktownie postąpił parę kroków ku niej*) — Czego chcesz tutaj?

ZOSIA (*wita się z Adą*) — Dobry wieczór. (*do Konstantego*) — Dobry wieczór panu... (*kłania się Klimie i Zygmuntowi, który zapomniał wstać i patrzy na nią, jakgdyby ją widział po raz pierwszy w życiu*) — Matka jest niespokojna, żeś wyszedł bez paltota. Wieczór może być chłodny.

KONSTANTY — Przecież ja mu paltot przyniosłem. Sama mi dała. (*bierze z krzesła paltot i rzuca go Kaziowi, który zatrzymuje go, nie wiedząc narażenie, co z tym fantem zrobić*).

ZOSIA (*zmieszała się jeszcze bardziej*) — Tak? (*próbuje nadrobić miną*) — Widocznie zaszło nieporo-



zumienie... Bo mnie właśnie pani Helena prosiła...  
(do Kazia) Czy wrócisz na kolację?

KAZIO (zawahał się) — Nie.

ZOSIA (do Ady) — Przepraszam panią... On od tygodnia jednego wieczoru nie spędził w domu. Pani Helena jest niespokojna, bo on wcale nie jest taki silny.

KAZIO (urazony) — Ja nie jestem silny? Cóż to znowu? (Zygmunt wybucha krótkim i nieszczerym śmiechem).

ZOSIA (przestraszona) — Co się stało?

ADA — Nic... to jego humory... (do Kazia) — Proszę pana, jeśli pan chce iść...

KAZIO (do Zosi) — Moja droga, wołałbym, żebyś się nie mieszała do spraw, które do ciebie nie należą.

ZOSIA (ze łzami w głosie) — Mógłbyś być dobrze wychowanym, przynajmniej w towarzystwie. Więc nie idziesz?

KAZIO (stanowczo) — Nie.

ZOSIA (j. w.) — W takim razie... pani wybaczy... (do Kazia) — Bardzo się zmieniłeś... Twoja matka z pewnością... (urywa).

KAZIO (zaczepny) — Co takiego?

ZOSIA — Nic. (kłania się wszystkim) — Do widzenia! (idzie ku drzwiom).

KONSTANTY (do Kazia) — Nie odprowadzisz jej?

KAZIO (zawahał się, spojrzał na Adę) — Nie!...

KONSTANTY (*nagle zdecydowany*) — W takim razie, ja... ja odprowadzę panią. (*do Ady, oficjalnie, niemal uroczyście*) — Żegnam panią...

ADA (*niewzruszona, nawet trochę lekceważąca*) — Żegnam pana... Może pan z sobą zabierze i jego... (*wzrokiem wskazała Zygmunta*).

ZYGMUNT (*wstał wolno, jakby otrząsnąwszy się z myśli, która go dręczy — przygnębiony*) — Ja sam pójdę... (*kłania się ponuro Adzie, Kazia zupełnie ignorując*) — Do widzenia. (*idzie wolno ku drzwiom*).

ZOSIA (*przerazona, do Konstantego*) — Proszę pana, ja mogę doskonale wrócić sama...

KONSTANTY (*smutny*) — Ja tu i tak nie mam już co robić... (*do Ady, z utajoną nadzieją*) — Pani nie ma mi nic do powiedzenia? (*Ada milczy*) — Nic?

ADA (*twardo*) — Nie!

KONSTANTY (*zgarbił się, pochylił, idzie ku drzwiom, otwiera je i do Zosi*) — Służę pani...

(*Zosia spojrzała raz jeszcze na Kazia, lecz widząc, że on nie reaguje, wychodzi, za nią Konstanty*).

KLIMA (*do Zygmunta, który również idzie ku drzwiom*). — Niech pan zaczeka. Ja idę z panem. (*do Ady, oficjalnie*) — Dziś wieczór obiecałam...

ADA (*przerywa*) — Nie tłumacz się... Masz przecież klucze...

(*Klima wychodzi z Zygmuntem*).

SCENA 20.

ADA — KAZIO.

ADA (*patrzy w ślad za odchodzącymi*) — Niech sobie idą... niczego więcej nie pragnęłam... (*ironizuje wewnętrzną radość, która ją rozpiera*) — „Enfin seuls“... (*przyciąga Kazia, spojrzała mu w oczy, on rzuca się łakomie do jej ust*).

Koniec aktu drugiego.

### AKT III.

*(Dekoracja ta sama, co w akcie drugim, tylko za oknami jesień, — liście drzew pożółkły. Od czasu do czasu lecą z poszumem wiatru na ziemię. Fortepian wyniesiony; natomiast ustawiono biurko).*

#### SCENA 1.

KAZIO — ADA.

*(Kazio siedzi przy biurku, na którym rozrzucone papiery i czyta gazetę. Z lewej strony wychodzi Ada, skrada się, zachodzi z tyłu i zasłania chłopcu oczy).*

KAZIO *(zaskoczony)* — Co takiego? *(uśmiecha się, całuje jej ręce)* To ty?

ADA *(kapryśnie)* — Ciągłe czytasz i czytasz!... Jak można tak długo czytać gazety! Ja spojrzę tylko, co dają w operze... i koniec! *(siada na poręczy fotelu, odbiera mu gazetę)* — Dosyć. A może ty chcesz zostać politykiem? Ministrem? Ambasadorem? *(Kazio z uśmiechem przeczy głową)* — Bardzo dawno mnie nie pocałowałaś.

KAZIO — Po śniadaniu.

ADA (*odsuwa go z lekkim dąsem*) — Jaką ty masz pamięć! Gdy jesteś głodny, czy także tak dobrze pamiętasz, kiedyś ostatni raz jadł?

KAZIO (*z uśmiechem*) — Nigdy nie byłem głodny.

ADA — I taki człowiek chce znać życie! Nie był nigdy głodny! Ja nie pamiętam minionych pocałunków! (*pochyla się nad nim*) Lubi?

KAZIO — Tak.

ADA — Tego się nie mówi... bierze się usta... (*wzięła jego głowę w swe dłonie, przysuwa usta do jego ust*) Ot tak... (*długi pocałunek*) — Która godzina?

KAZIO (*nie zrozumiał, patrzy na zegarek*) — Dwunasta.

ADA — Pamiętaj, że ostatni raz pocałowałeś mnie o dwunastej! Co teraz będziesz robił?

KAZIO (*wskazuje na rozłożone na biurku papiery*) — Biorę się do roboty.

ADA (*j. w.*) — Już do roboty?... Od samego rana?

KAZIO — Ja ciągle odkładam — i moja rozprawa (*wskazuje*) O... tylko tytuł! Po co było wynosić fortepian, a wstawiać biurko?

ADA (*siedzi na poręczy fotelu, bawi się jego włosami*) — Ja uważam, że ty bardzo dużo pracujesz. Siedzisz przy biurku...

KAZIO (*uśmiecha się*) — I rozmyślał.

ADA — O mnie?

KAZIO — Tak.

ADA — Co myślisz?

KAZIO — Że to wszystko, co się stało, takie dziwne... takie dalekie od mego dotychczasowego życia...



ADA — Burżuj! U twojej matki obiad pewno zawsze o tej samej godzinie?

KAZIO — Zawsze.

ADA (*z nieświadomym podziwem*) — I kolacja tak samo?

ADA — Tak samo.

ADA (*cokolwiek skruszona*) — Ja punktualna jestem tylko w teatrze.

KAZIO — Kiedy byłem w gimnazjum, podczas świąt zawsze dręczył mnie niepokój: już wakacje prędko się skończą, trzeba będzie wrócić do budy!

ADA (*pieści go ręką po twarzy*) — Jego buda tutaj... przy pani.

KAZIO (*potrząsa głową*) — To wakacje!

ADA — E!... Ty wogóle niepotrzebnie tyle myślisz!... (*poważniej*) — Ja bo mam głównie jedną obawę. Czy ty nie jesteś zbyt młody, żeby mi darować ła-twość, z jaką ci się oddałam?...

KAZIO (*bierze jej rękę i przyciska do ust*) — Co ty mówisz!

ADA — Po co rozmyślać... analizować... kiedy życie jest takie piękne. Trzeba grzać się w słońcu... Czasem chciałabym tylko śpiewać... (*potrząsa je-go głową*) — Burżuj!

## SCENA 2.

CIŻ — KLIMA.

(*Klima wychodzi z drugich drzwi na prawo*).

KLIMA — Przepraszam... (*zatrzymała się przy drzwiach*).

ADA (*nie odwróciła się, niezbyt zadowolona, że jej przerwano rozmowę*) — Czego chcesz?

KLIMA — Mogę cię prosić na chwilę?

ADA (*wstaje*) — Czy wy mi nigdy nie dacie spokoju? (*podchodzi parę kroków do Klimy*) — Co się stało?

KLIMA (*ciszej*) — Przyszli po resztę komornego.

ADA (*wzrokiem wskazała Kazia*) — Cicho!

KLIMA (*insynuuje*) — Może odesłać... do Konstantynopola?

ADA (*porywcz*) — Nie!... (*nagle*) — Czekaj... (*idzie porywcz na lewo*).

KAZIO — Co się stało?

KLIMA (*chłodno*) — Nic... proza życia...

KAZIO (*wstał*) — Niech pani powie, co się stało?

(*Ada wybiega szybko z lewych drzwi, zbliża się do Klimy i podaje jej dyskretnie małe pudełko*).

ADA (*do Klimy, ciszej*) — Zastaw i zapłać!

(*Klima wychodzi z odruchem niezadowolenia*).

### SCENA 3.

ADA — KAZIO.

KAZIO — Masz kłopoty, o których mi nie mówisz...

ADA (*zamyka mu usta dłonią*) — Cicho siedzieć!

KAZIO — Nic tak nie wiąże ludzi, jak wspólne troski... nawet bóle...

ADA (*zamyśliła się*) — Tak... masz słuszność... to łączy mnie z Zygą...

KAZIO — Czy on już wcale nie przychodzi?

ADA — Przychodzi... (*uśmiecha się*) — Nie ma odwagi spotkać się z tobą. Boi się, że musiałby cię udusić.

KAZIO — Powiedz, czego chciała Klíma?

ADA — Nie warto mówić. Tyś nie miał nigdy żadnych kłopotów?

KAZIO — Nie. Matka umie zawsze wydatki przystosować do dochodów. *(uśmiechnął się)* — Ja też właściwie jestem oszczędny...

ADA *(z komicznem przerażeniem)* — Oszczędny! To okropne!

KAZIO *(zdziwiony)* — Dlaczego?

ADA *(j. w.)* — Oszczędny! *(przysunęła głowę do jego głowy)* A lubi?

KAZIO *(zajęty cokolwiek swojemi myślami)* — Tak!

ADA *(rozdasana)* — Znowu?... nie chcę... *(odsunęła się)*.

KAZIO — Jak mam powiedzieć?

ADA *(j. w.)* — Przecież mówiłam ci! Ty jesteś oszczędny, ale bardzo niepojętny. Taki duży chłopiec i nie umie zapamiętać najprostszych rzeczy. Tyś musiał mieć w szkole same złe stopnie...

KAZIO *(bierze jej głowę w swe ręce i całuje w usta)* — Tak?...

ADA *(uśmiecha się)* — A widzisz!

KAZIO *(uśmiecha się)* — Nic nie widzę — bo kiedy cię całuję, oczy mi się zamykają...

ADA — Mnie źrenice rozszerzają się i patrzę... *(szarpnęła się)* — Ty!... Czy ty wiesz, mnie się zdaje, że ja nie kochałam nigdy... że ciebie dopiero pierwszy raz... Słyszysz? Tyś mnie uwiódł, ty, zbrodniarzu! Wszystko, co kiedyś było, rozprasza się, jak sen... Rzeczywistością jesteś tylko ty...  
*(w drzwiach pukanie)*.

## SCENA 4.

CIŻ — KONSTANTY.

ADA (*niecierpliwie*) — Kto tam?

KONSTANTY (*w drzwiach*) — Można?

ADA (*j. w.*) — W tym domu niema nigdy spokoju! (*głośno*) Proszę! (*Wchodzi Konstanty, stanął w drzwiach, objął ich wzrokiem, przygarbił się jeszcze więcej, jest ubrany ciemno*).

KONSTANTY — Nie przeszkadzam?

ADA (*nieszczercze*) — Skądże znowu! Czemu to pan od tak dawna się nie pokazuje?

KONSTANTY (*zbliży się trochę onieśmielony, całuje Adę w rękę, Kaziowi podaje dłoń dość chłodno*)—  
Dzień dobry. Zimny wiatr dzisiaj, liście lecą z drzew...

ADA (*z bladym uśmiechem*) — Po lecie musi przyjść jesień...

KONSTANTY (*siadł na jej zaproszenie*) — Tak...  
A potem biały całun zimy...

ADA (*j. w.*) — Gdzież pańska radość życia?... owa sławiona sztuka życia?

KONSTANTY (*machnął ręką*) — To bardzo dawne dzieje! Życie szybko odwraca karty. (*zmiana tonu*). Spotkałem dyrektora, mówił, że ma się z panią zobaczyć.

ADA — Idę do niego. Dlatego wcześniej się ubrałam.

KAZIO (*wstał, widocznie zażenowany obecnością Konstantego*). — Ja muszę napisać parę słów...  
przepraszam stryja...

KONSTANTY (*mimochodem, chłodno*) — Matka mówiła mi, że cię już od trzech dni nie widziała...

KAZIO (*już we drzwiach na lewo*) — Będę po południu.

ADA (*przerywa*) — Po południu mieliśmy jechać razem...

KAZIO (*do Konstantego*) — Może dopiero przed wieczorem. (*ukłonił się, znika w drzwiach na lewo*).

## SCENA 5.

ADA — KONSTANTY.

KONSTANTY (*powiódł za nim wzrokiem, po sekundzie*) — Można zostać na chwilę?

ADA (*uprzejma, trochę sztuczna*) — Proszę bardzo... Co pan porabia?

KONSTANTY (*bez sztucznego podniecenia*) — Starzeję się... nie uwierzy pani, jak się szybko starzeję... Dzięki pani dotąd udawało mi się wstrzymać bieg lat. Zapora pękła i teraz wiek upomniał się o swe zaległości. Czasem wydaje mi się, że mam sto lat.

ADA (*bez zainteresowania*) — Wygląda pan doskonale.

KONSTANTY—Nie jestem chory na twarz. Zresztą... (*urwał, machnął ręką*) — Pani jest dobrze?

ADA (*spojrzała mu w oczy*) — Tak.

KONSTANTY (*powtarza bezwiednie*)—Tak... (*wstał*) — Ja bardzo pragnę, żeby pani było dobrze, a równocześnie... Psiakość! (*przyłożył dłoń do serca*) — Żeby pani wiedziała, jak mnie tam



kłuje! Znów taki piekielny niepokój... Właściwie... ja nie powinienem tu przychodzić... lepiej byłoby pani nie widzieć. Ale nie mogę! Nagle wzbiera taka chęć zobaczenia pani... choćby na chwilę... choćby zdaleka... Człowiek w moim wieku, gdy się zakocha, traci poczucie godności... Jest skłonny do wszystkich ustępstw, kompromisów... Trzeba będzie gdzieś wyjechać... Pani nie zna takiego kraju, gdzie na granicy straż celna zatrzymywałaby troski, bóle, wspomnienia...? Nie? *(ciszej)* — Pani nie potrzebuje czego? Byłbym szczęśliwy, gdybym pani mógł służyć...

ADA *(twardziej)* — Nie.

KONSTANTY *(porywczo)* — To nie... *(wstał, zakręcił się, jakby chciał iść, usiadł opodal, twarz ukrył w rękach).*

ADA *(patrzy na niego, bez współczucia, raczej z rozdrażnieniem)* — Pan płacze? Proszę pana...

KONSTANTY *(wstaje, rozbity)* — Przepraszam... już idę... Ja wiem, że jestem głupi...

*(w drugich drzwiach z prawej strony staje Zygmunt).*

## SCENA 6.

CIŻ — ZYGMUNT.

ZYGMUNT *(obejrzał się podejrzliwie)* — Czy można?

ADA *(drgnęła niespokojnie, odwróciła się)* — Proszę...

ZYGMUNT *(zbliży się, całuje Adę w rękę)* — Dzień dobry! *(podaje dłoń Konstantemu, ściskają się parokrotnie z wielką serdecznością).*

KONSTANTY — Dawno pana nie widziałem!

ZYGMUNT (*serdeczny*) — Ja też!

KONSTANTY — Zdrowostan pomyślny?

ZYGMUNT (*smętniej*) — Tak! A pan?

KONSTANTY (*smętniej*) — Ja tak samo...

ZYGMUNT (*do Ady, która przypatruje się im z lekko drwiącym uśmiechem*) — Spotkałem dyrektora... prosił mię...

ADA (*j. w.*) — Mam właśnie zamiar iść do niego.

ZYGMUNT (*stropiony*) — Przepraszam! (*obejrzał się*) Jesteś sama?

ADA (*j. w.*) — Pan Konstanty się nie liczy?

ZYGMUNT (*do Konstantego, serdecznie*)—Nie chciałem pana urazić! (*ściskają się znów serdecznie*) Kochany Konstantynopol!

KONSTANTY — Ja wprost stęskniłem się za panem!

ADA (*cokolwiek zniecierpliwiona, wstała, do Zygmunta*) — Masz mi co do powiedzenia?

ZYGMUNT — Nie... właściwie... ja chciałem się widzieć z Klimą...

(*w drzwiach z prawej strony staje Klima*).

## SCENA 7.

CIŻ — KLIMA.

KLIMA (*wita się z Konstantym i Zygmuntem*) — Dzień dobry... dzień dobry... (*do Ady, odsuwając ją nieco na bok*) Ada... (*ciszej*) — Znów rachunek z magazynu... Nie wiem, czy tamto wystarczy...

ADA (*głośniej, rozdrażniona*)—Niech mi dadzą święty spokój... Nie mogę co chwila myśleć o nowym rachunku.

KONSTANTY (*skwapliwie*) — Może trzeba co załatwić?

ADA (*palcem przy ustach daje znak Klimie, żeby milczała*) — Nic, nic mi nie trzeba... Moi drodzy, przepraszam was... ja muszę jechać do tego nieszczęsnego dyrektora...

KONSTANTY (*nieśmiało*) — Może panią odwieść?

ADA — Ma pan samochód?

KONSTANTY (*uradowany*) — Mam.

ADA — To dobrze... Niech mnie pan odwiezie... Zaraz będę gotowa. (*wychodzi na lewo*).

## SCENA 8.

KLIMA — KONSTANTY — ZYGMUNT.

ZYGMUNT (*do Klimy, półgłosem*) — Nic nowego?

KLIMA (*zniechęcona*) — Nic... (*spojrzenie w stronę drzwi na lewo — ciszej*) — Ja wam mówię, ten chłopiec, to będzie wielkie nieszczęście!... Ona zupełnie straciła głowę. (*do Konstantego*) — I co ona w nim widzi? Czy on jest taki piękny? Czy taki mądry? (*z wyrzutem*) Pan sobie wynalazł kuzynka!

ZYGMUNT (*ponuro*) — Ja boję się z nim spotkać... Czuję, że gdybym mógł wziąć go za gardło...

KONSTANTY (*do Klimy*) — Proszę pani, cóż ja jestem winien?

KLIMA — Ja umyвам ręce... w gruncie rzeczy co mnie to może obchodzić... Każdy śpi tak, jak sobie pościele...

KONSTANTY (*zaniepokojony*) — Co pani przez to chce powiedzieć?

KLIMA: (*nasłuchuje z lewej strony*) — Cicho... (*do Konstantego*) Mam z panem do pomówienia... Niech pan zostanie. (*wchodzi Ada, cokolwiek podejrzliwie rozejrzała się po swoich przyjaciółach*).

## SCENA 9.

CIŻ — ADA.

ADA (*w kapeluszu i w zakiecie*) — Jestem gotowa... (*do Konstantego*) — Jedziemy? (*Zygmunt od pewnego czasu bawi się nożem, starym sztyletem do rozcinania książek — do Zygmunta*) — Nie baw się tym nożem... Już raz skaleczyłeś się. (*Zygmunt kładzie nóż*).

KONSTANTY — Ja zawsze lękam się, gdy pani przecina książkę.

ZYGMUNT (*ironicznie*) — Narzędzie zbrodni!...

KLIMA — Możebyś lepiej wzięła na tę konferencję Zygę. On zna się lepiej na kontraktach...

ADA (*do Zygmunta*) — Pojedziesz?

ZYGMUNT — Służę.

ADA (*do Konstantego*) — Pan woli zostać?

KONSTANTY — Jak pani rozkaże.

ADA (*cicho do Klimy*) — Tylko ani słowa o rachunkach! (*spojrzeniem wskazała Konstantego*). — Nie darowałabym ci... nie chcę od niego nic...

KLIMA (*odęta*) — Moja droga, to już twoja rzecz...

ADA (*do Konstantego*) — Nie żegnaj się z panem...

ZYGMUNT (*wskazuje na drugie drzwi na prawo*) —  
Ja tam zostawiłem kapelusz. (*idzie*).  
ADA — Dobrze (*idzie za nim*).

### SCENA 10.

KLIMA — KONSTANTY.

(*Klima idzie do okna, patrzy uważnie*).

KLIMA (*nagle, z radością*) — Jest!

KONSTANTY (*zdziwiony*) — Kto taki?

KLIMA (*szybko podchodzi do niego*) — Jest... ta ładna panienka... Ona teraz ciągle przechodzi koło naszej willi.

KONSTANTY — Jaka panienka?

KLIMA — Ta... kuzynka, czy narzeczona... (*wzrokiem wskazała drzwi na lewo, gdzie jest Kazio*).

KONSTANTY — Zosia?

KLIMA — Wszystko jedno... Zosia czy Mania. Pan zejdzie do ogrodu, zacznie z nią rozmowę... Ona z pewnością zapyta o kawalera... Pan powie, że właśnie został sam... że wszyscy wyjechali. Ona zresztą niechybnie dostrzeże Adę w samochodzie.

KONSTANTY — Nic nie rozumiem.

KLIMA — Niema czasu, żeby panu tłumaczyć... (*podaje mu laskę i kapelusz*) — Prędko!

KONSTANTY — Ale co z tego będzie?

KLIMA — Zobacz pan!  
(*popycha go ku drzwiom w głębi. Konstanty wychodzi*).



## SCENA 11.

### KLIMA — KAZIO.

*(Klima przez chwilę sama na scenie, namyśla się, spochmurniała. Potem uśmiecha się złośliwie, idzie ku drzwiom na lewo, uchyla je lekko).*

KLIMA — Pan jeszcze zajęty?

KAZIO *(pojawia się w drzwiach)* — Nie. Sądziłem, że tutaj jest pan Zygmunt.

KLIMA *(przerywa mu ze źle tajoną złością)* — Nie chciał się pan z nim spotkać?

KAZIO *(nie spostrzegł tej złośliwości)* — Zdaje mi się, że on czuje do mnie wyraźną niechęć, więc cóż mam mu się narzucać?

KLIMA *(j. w.)* — Trudno żądać, aby pana szczególnie lubił.

KAZIO — Ja mu nic złego nie zrobiłem.

KLIMA — Sądzi pan?

KAZIO — Jestem tego pewny.

KLIMA — Pan nie wie, że on kocha Adę i że dla niej wyrzekł się wszystkiego?

KAZIO — Wiem. Ale ja temu nie jestem winien.

KLIMA *(insynuuje)* — Jeśli za parę lat... lub za parę miesięcy... pan będzie się w dalszym ciągu kochał w Adzie, a ona pokocha innego, czy pan zdobędzie się na życzliwość... wobec szczęśliwego następcy?

KAZIO — O tem nie mam powodu myśleć... Dziwię się, że pani w ten sposób mówi o Adzie.

KLIMA — Ona nie kryje się nigdy z tem, co robi...  
(*po chwili*) Żal mi Konstantynopola... To bardzo  
dobry człowiek...

KAZIO — Stryj pojechał z Adą?

KLIMA — Nie... Zestarzał się w ciągu tych kilku ty-  
godni o dwadzieścia lat... (*chwila milczenia*).

KAZIO — Niech mi pani powie... Czy on był kochan-  
kiem Ady? (*Klima milczy*) — Ona przecież nie  
mogła go kochać?

KLIMA — Proszę pana, jak pan może zwracać się do  
mnie z takimi pytaniami? Właściwie powinienabym  
powiedzieć Adzie...

KAZIO (*zafrasowany*) — Tego pani nie robi.

KLIMA (*bez przekonania*) — Właśnie, że zrobię.

KAZIO — Ale pani nie dała mi odpowiedzi...

KLIMA — Ja się wogóle nie mieszam do cudzych  
spraw... I panu to samo radzę.

KAZIO (*objął ją wzrokiem, posmutniał*) — Tak...  
(*chwila milczenia*) — Mnie się zdaje, że między  
starszym mężczyzną a młodą kobietą może istnieć  
stosunek życzliwości, przyjaźni...

KLIMA (*sceptycznie*) — Właśnie! Wlazł na gruszkę,  
rwał ananasy... Na taki idealizm tylko młodość  
umie się zdobyć. Mężczyzna, im starszy, tem bar-  
dziej interesowny. Już nie ma czasu do stracenia.  
Najgorzej, gdy zaczyna liczyć, ile lat pozostaje  
mu jeszcze do życia... i do użycia...

KAZIO (*wraca do swej myśli*) — Więc pani sądzi, że  
stryj Konstanty...

KLIMA (*obrażona*) — Mój panie, niech pan już raz  
skończy z tą indagacją... bo naprawdę się pognie-

wam... (*chwila milczenia — łagodniej*) — Ada wzięła ze sobą Zygę, bo on potrafi bronić jej interesów. Ada musi się teraz starać o korzystniejsze engagement.

KAZIO — Czy to, co miała dawniej, nie wystarczało jej?

KLIMA — Pewnie! Ada jest cudowną kobietą. Tylko jednej rzeczy nigdy się nie nauczy, — zrównać wydatki z dochodami... Zawsze okazuje się dziura.

KAZIO — Niech pani powie... Ada ma kłopoty?...

KLIMA — Ona zawsze idzie za porywem uczucia, czy kaprysu...

KAZIO (*podrażniony*) — Pani nie chce mi odpowiedzieć...

KLIMA — Tylko, kiedy już się zdaje, że wszystko stracone, że dach pali się nad głową — ona zawsze znajdzie jakieś wyjście. Ma szczęście do ludzi... wprost niesłychane...

KAZIO — Co pani nazywa szczęściem do ludzi?

KLIMA — Pan jest nudny ze swemi pytaniami.

KAZIO — Niech pani powie! Czy Ada miała więcej kochanków!

KLIMA (*bardzo obrażona*) — Mój panie! Co to ma znowu znaczyć?

KAZIO — Nie chciałem pani obrazić... Ani Ady...

KLIMA — Na miejscu Ady za takie pytanie...

KAZIO (*prawie z rozpaczą*) — Pani znów nie daje odpowiedzi!

KLIMA — Pan nie ma prawa zadawać takich pytań... Przeszłość Ady nie należy do pana...

KAZIO (*podniecony*) — Pani jest... przepraszam... pani sama rozumie... że odmawiając odpowiedzi, potwierdza pani wszystkie domysły... Przecież to byłoby okropne, to byłoby nie do pomyślenia!... (*z goryczą*) — Przeszłość Ady do mnie nie należy! A terażniejszość? Czy pani sądzi, że ona daje mi całą swoją terażniejszość?

KLIMA (*szorstko*) — To nie są moje sprawy. Ja nie zwykłam mieszać się do nieswoich rzeczy.

KAZIO — Dlaczego pani jest dla mnie taka przykra?... Dokoła siebie widzę teraz tyle niechęci... Nie sądzę, bym na nią zasłużył. A już najmniej u pani. (*wziął jej rękę i patrzy w oczy prosząco i znękany*).

KLIMA (*łagodniej*) — Ja wcale nie czuję do pana niechęci...

KAZIO — Mam wrażenie, że zostałem porwany w szprychy wielkiego koła! Straciłem punkt oparcia! Jestem tutaj wszystkim obcy!

KLIMA (*z uśmiechem*) — Chyba nie Adzie?

KAZIO — Ona mnie widzi takim, jakim chce mnie widzieć. Ja nie umiem jej powiedzieć, nie umiem jej przekonać... że jestem inny... niż ona sobie wyobraża...

KLIMA (*j. w.*) (*głaszcze go po włosach*)—Biedny mały burżuj!

KAZIO—Co ja mam zrobić? Niech mi pani powie? Ja się pytam własnego sumienia, czy jestem wobec niej szczery. Ja nie mam tej fantazji, która najpoważniejszym czyni życie bez planu, z dnia na dzień...

KLIMA (*filozoficznie*) — Proszę pana, ja znam życie. Niema takiego polnego konika, któryby w pewnych chwilach nie zazdrościł mrówce... (*spojrzała na drzwi w głębi*) — Ktoś idzie. Niech pan otworzy. Ja muszę zająć się obiadem. (*wychodzi szybko w drugie drzwi na prawo*).

## SCENA 12.

KAZIO — ZOSIA.

(*Kazio idzie otworzyć, w drzwiach ukazuje się Zosia*).

KAZIO (*spozstrzega w drzwiach Zosię, zdziwiony*) — To ty?

ZOSIA (*jest widocznie podniecona i zmieszana, stara się jednak nadrobić miną*) — Dzień dobry! Cóż w tem tak dziwnego?... Jeszcze trochę, a zmienisz się w słup soli.

KAZIO — Po co tu przyszłaś?

ZOSIA (*j. w.*) — Z pewnością nie po to, aby ciebie zobaczyć. Przestałeś mnie interesować. Kobieta upadła może jeszcze wzbudzać zaciekawienie, ale mężczyzna...

KAZIO (*uśmiecha się cokolwiek pogardliwie*) — Uważasz mnie za upadłego mężczyznę?

ZOSIA — Sądzę, że lepiej będzie, jeśli na ten temat nie będziemy prowadzić rozmowy.

KAZIO — Więc po co przyszłaś tu... do tej Sodomy?

ZOSIA — Nie bądź zarozumiały. Nie każde głupstwo jest zbrodnią... ani błoto nie jest rozżarzoną lawą... Przyszłam... (*zacięła się*) — Przyszłam, bo



pani Helena chciała rzucić bilet wizytowy pani Calori. Jako podziękowanie za udział w koncercie...

KAZIO (*sceptyczny*) — Dopiero teraz? Po sześciu tygodniach? Daj!

ZOSIA (*nie zrozumiała*) — Co? — (*sposzrzęła się*) — Ach... bilet... zaraz... (*zaczyna szukać w torebce*). Gdzież ja go podziałam... Czy nie upuściłam w sieni?... (*Kazio idzie do drzwi w głębi i wygląda*) — Niema? Widocznie zostawiłam w domu na stole... (*chce iść*).

KAZIO — Czekaaj!

ZOSIA — Pani Calori niema?

KAZIO — Nie.

ZOSIA — Zostawiła cię samego? Musisz się czuć bardzo nieszczęśliwy?

KAZIO (*nie zwraca uwagi na jej złośliwość*) — Matka bardzo na mnie zła?

ZOSIA — Nie widzę powodu ukrywania, że jest... że czuje się niespokojna... Wszyscy są oburzeni...

KAZIO — Naprzód — chciałbym wiedzieć, kto są ci wszyscy — a potem — chyba jestem pełnoletni?

ZOSIA — Naturalnie. Wolno ci się nawet powiesić. Do widzenia. (*chce iść*).

KAZIO (*cieplej, z utajonym żalem*) — Dlaczego ty tak do mnie mówisz?

ZOSIA — Dlaczego... bo... bo... (*wybuchu nagle łkaniem*) Jesteś podły... podły... (*nie może już powstrzymać płaczu*).

KAZIO (*zbliża się do niej*) — Co ci jest?

ZOSIA (*usiłuje się pohamować*) — Nic, nic... odejdz odemnie, zostaw mnie...

KAZIO (*objął ją ramieniem*) — Czemu beczysz?

ZOSIA (*nie rusza się z jego objęć*) — Nie dotykaj mnie, ja cię przecież już wcale nie obchodzę.

KAZIO (*tkliwie*) — Czemu beczysz?

ZOSIA (*przez łzy*) — Bo ty jesteś dla mnie zły... zły...

KAZIO (*z lekkim uśmiechem*) — Pamiętasz, jak niedawno dokuczałaś mi...

ZOSIA — Gdybyś mnie trochę lubił, nie uwierzyłbyś... Ale tyś mnie nigdy naprawdę nie lubił... (*mówi lubił, a myśli — kochał*).

KAZIO — A ty?

ZOSIA — Ja.. nie wiedziałam... Czemu stale drażniłeś mnie? Chciałam, żebyś był inny... To prawda. Ale nie tak! (*patrzy na niego z pewnym szacunkiem, że on wogóle w tej scenie zachowuje się z poczuciem podświadomej wyższości*) — Teraz ty jesteś inny, obcy... cudzy... (*zmiana tonu*) „Ona“ nie przyjdzie zaraz?

KAZIO (*lekki niepokój*) — Nie.

ZOSIA — Usiądź (*pociąga go ku kanapce. Siadają*)— Ja ci opowiem wszystko... To nieprawda z tą kartą wizytową matki. Ja przyszłam... bo chciałam cię zobaczyć... widziałam, jak ona pojechała automobilem. Ja już wczoraj... i dawniej... chodziłam tędy... myślałam, że może cię spotkam. Wiem, że to dowodzi braku charakteru i zasad... ale — — — jeśli mamy rozstać się na zawsze, trzeba się pożegnać. (*z uśmiechem przez łzy*) — Tak się robi nawet w każdym porządnym kinematografie. (*zmia-*

na tonu) — Czyś ty się zakochał w niej tak... już na całe życie? Możemy przecież mówić, jak para starych przyjaciół... Znamy się od dziecka...

KAZIO (*tkliwiej*) — Ty!... Dzieciaku!...

ZOSIA (*z lekkim podziwem*) — Teraz on mnie nazywa dzieciakiem! Bardzo się zmienił! Rozumiesz, nie chodzi wcale o mnie... Ja... wszystko jedno... Ale wszyscy mówią, że ty się zmarnujesz... Czy chcesz się z nią ożenić?

KAZIO — Nie myślałem o tem.

ZOSIA — Chciałbyś być mężem aktorki? Czekać pod teatrem... lub w garderobie, aż ją na scenie jakiś tenor, albo nawet poprostu baryton wycałuje w oczach całej publiczności?... Ona napewno jest starsza od ciebie.

KAZIO — Niewiele...

ZOSIA — Znacznie. Jestem tego pewna. Będziesz potem jak ten muzyk... albo pan Konstanty.

KAZIO (*lekko się wzdrygnął*) — Kto tobie to wszystko powiedział?

ZOSIA — Nikt. (*podnosi ku niemu oczy i z żalem*) — Z kobietami najgłupiej postępują ludzie rozumni. (*z leciutkim uśmiechem*) — A może ty sam chcesz wstąpić do teatru?

KAZIO (*z uśmiechem*) — Nie.

ZOSIA — Ojciec jest na mnie bardzo zagniewany. Mówi ciągle: Ty masz charakter!... Powojenny. U niego wszystko, co złe, to powojenne! Taki starszy pan, gdy sobie coś uplanuje, to już nie może pogodzić się, że życie pokieruje zupełnie inaczej... Cóż ty jesteś winien, prawda?

KAZIO (*zdziwiony*) — Ja?

ZOSIA — Ja się wcale nie dziwię. Ona musi być... ho!  
ho!

KAZIO (*niezadowolony*) — Przepraszam cię...

ZOSIA (*przerywa*) — Już ja wiem... Takie aktorki  
mają urok... i doświadczenie...

KAZIO (*ostrzej*) — Nic nie wiesz i nie powinnaś wie-  
dzieć!

ZOSIA (*z nieco swawolną pokorą*) — Tylko słuchać?

KAZIO (*uśmiecha się*) — Tak.

ZOSIA (*j. w.*) — A jeśli nie?

KAZIO (*j. w.*) — Postawię niegrzeczną Zosię do kąta.

ZOSIA (*z udaniem oburzenia*) — On chce mnie sta-  
wiać do kąta! Tyś nabrał tupetu! Jestem przeko-  
nana, że stałeś się bardzo zepsuty!

KAZIO (*śmieje się*) — Bardzo!

ZOSIA (*szczerzej*) — Jesteś wstrętny! To bardzo  
przykre, że muszę czuć do ciebie wstręt!

KAZIO (*j. w.*) — Do tego stopnia!

ZOSIA (*nie rozumiała*) — Jakto: do tego stopnia?

KAZIO — Aż wstręt!

ZOSIA — Żebyś wiedział! (*poważniej*) — Ja chciała-  
bym jeszcze jedno... Ale nie będziesz się gniewał?

KAZIO — Nie.

ZOSIA — Gdybyś potrzebował pieniędzy... ja mam  
swoją majątek po mamie...

KAZIO (*trochę rozbawiony, trochę rozczulony*) — Co  
ty pleciesz!

ZOSIA — Takie życie musi kosztować! Od kochanki  
wziąć nie wolno, ale od siostry!... Nie chcesz mnie  
uważać za siostrę?

KAZIO (*j. w.*) — Nie.

ZOSIA (*uśmiecha się*) — Nie? To może za siostrzenicę? Będę ci mówiła: wuju! Już teraz wogóle nie będę śmiała mówić ci, jak dawniej...

KAZIO (*podpowiada*) — ...głupi!

ZOSIA — Nie śmiałałabym. I wogóle... gdyby nie twoja matka...

KAZIO — Wogóle? (*uśmiecha się*).

ZOSIA (*poważnie*) — Ona wszystkim dodaje otuchy... Ona wierzy w ciebie.

KAZIO (*przygarnął ją ramieniem, patrzy jej w oczy*) — A ty?

ZOSIA — Ja?... (*podniosła głowę i niespodzianie usta ich łączą się w długim pocałunku*)—Kaziu! (*przez sekundę, jakby zamoczona pocałunkiem, potem zrywa się, tupie nogą i przez łzy*) — Jak ty teraz całujesz! Ja nie chcę! Nie! To ona cię nauczyła! To są jej pocałunki! (*po chwili*) — Gdybym ja zrobiła, coś ty zrobił, co byś powiedział?

KAZIO (*z uśmiechem*) — Sama wymawiałaś mi, że nie byłem dostatecznie mężczyzną.

ZOSIA (*agresywna*) — Może powiesz, że ja chciałam, żebyś został kochankiem pani Calori?

KAZIO (*j. w.*) — Tak!

ZOSIA (*z podziwem*) — Boże! Jak tyś nauczył się kłamać!

KAZIO (*powtarza*) — Tak! (*przygarnął ją ramieniem*) Jesteś zadowolona?

ZOSIA — To jest okropne! Ja zrozumiałam, że cię kocham dopiero, gdyś mnie opuścił dla innej... (*z podziwem*) Tyś się stał zupełnie cynicznym. (*słychać*



- trąbkę i turkot zatrzymującego się w oddali automobilu)* — To ona wraca. *(odsunęła się od niego).*
- KAZIO *(drgnął niespokojnie)* — Tak... Idź... wieczorem będę u matki...
- ZOSIA *(poważniej)* — Będziesz?
- KAZIO *(poważny)* — Będę...
- ZOSIA — Ona cię zatrzyma... jeśli tylko będzie chciała...
- KAZIO — Nie! Ja sam rozumiem, że to nie może trwać.
- ZOSIA — Obronisz się jej urokowi?... Będziesz miał tyle mocy? *(niepostrzeżona przez niego, z pewnem wahaniem, rzuca lekko swoją torebkę na stół).*
- KAZIO *(nasłuchuje)* — Ktoś idzie... *(objął ją ramieniem)* Tędy... *(prowadzi ją w głąb ku drzwiom, całuje w rękę).*
- ZOSIA — Pamiętaj... *(wychodzą razem drzwiami w głąbi).*

## SCENA 12.

ZYGMUNT — KLIMA.

*(z drugich drzwi na prawo wychodzą Zygmunt i Klima).*

- KLIMA *(szybko i ostrożnie biegnie do drzwi w głąbi, śledzi przez chwilę odchodzących Zosię i Kazia, do Zygmunta)* — A Ada?
- ZYGMUNT *(ponury)* — Rozmawia z Konstantym... Cóż z panienką? Udało ci się?
- KLIMA *(patrzy w ogród)* — Właśnie wyszła... Ale jakaś przygnębiona... On ją odprowadza... Woli, żeby się nie spotkała z Adą.

ZYGMUNT — Taki młody i już taka kanalja!

KLIMA — Wy wszyscy jesteście takie kanalje!  
Ada podpisała kontrakt?

ZYGMUNT — Prawie. Umowa spisana. Ada przed  
wieczorem ma dać ostateczną odpowiedź. (*zmia-  
na tonu*) — Czego ona się spodziewa?

KLIMA — (*nie rozumiała*) — Jakto, czego się spo-  
dziewa?

ZYGMUNT (*myśl jego pogoniła już dalej*) — Ja bym  
tego smarkacza pokrajał na kawałki.

KLIMA (*drwi*) — Na siekankę. Z sosem, czy bez sosu?

ZYGMUNT (*zniechęcony*) — Ty znowu... (*po chwili*)  
— Proszę cię... daj mi koniaku. Muszę się napić.  
(*gestem wskazuje, że jest rozstrojony*) — Rozu-  
miesz? Muszę.

KLIMA (*objęła go spojrzeniem*) — Dobrze. (*idzie  
w drugie drzwi na prawo. Zygmunt przesunął ner-  
wowo dłoń po rozwichrzonych włosach, podszedł  
do okna. Właśnie wiatr zaszumiał żałośnie, on  
wzdrygnął się, jakgdyby mu się zrobiło zimno*).

KLIMA (*wraca z butelką i kieliszkiem*) — Jest. (*nalewa*).

ZYGMUNT (*pije duszkiem, nalewa sobie drugi*) —  
Siedzi koło mnie w samochodzie i nic... ani sło-  
wa... jakby była w innym świecie. Ja do niej mó-  
wię, — odpowiada bez sensu... Ja ci przysięgam:  
ona go chce z sobą zabrać...

KLIMA — Moje uszanowanie!

ZYGMUNT (*z uporem*) — Ona go zabierze!... Przyśięgam ci, — a ja się powieszę tu (*wskazuje na okno*) — ...na framudze... i wiatr będzie mną kołysać tak (*pokazuje*) Co? (*patrzy na Klimę*).

KLIMA (*sceptyczna*) — Popracuj jeszcze trochę mózdzkiem... (*palcami dotknęła jego czoła*) ...może wyjdzie więcej takich mądrych pomysłów. Jeden to za mało. (*Zygmunt wychylił kieliszek i nalał znów*) — Nie pij tyle.

ZYGMUNT (*ponury*) — Muszę.

KLIMA (*jakby nieuważnie*) — Dziś rano... drzwi były uchylone (*wskazała drzwi od swego pokoju*) -- on siedział w fotelu (*gest*), ona przysiadła na poręczy... Jak się przywarła do niego ustami!...

ZYGMUNT (*przysłania oczy*) — Nie mów... proszę cię... nie mów!...

KLIMA (*j. w.*) — W nocy... ja poprostu spać nie mogę...

ZYGMUNT (*chwycił bezwiednie za nożyk ze stołu*)— Nie mów... Ja...

KLIMA (*wyrywa mu nożyk*) — Połóż to... (*Zygmunt patrzy na nią osłupiały, potem pije koniak. Klima nasłuchuje*). — To oni... Chodź!... (*bierze butelkę i kieliszek*).

ZYGMUNT — Nie.

KLIMA (*popycha go prędko*) — Prędko...

ZYGMUNT (*wyrywa się jej*) — Nie... Czekaaj! (*odbiera jej butelkę i kieliszek i idzie szybko ku pierwszemu drzwiom na prawo*).

### SCENA 13.

KLIMA — ADA — KAZIO.

ADA (*ciągnie dalej rozmowę z Kaziem*) Nikogo nie było?

KAZIO (*zawahał się*) — Nie...

ADA — Kiedym wsiadała do samochodu, widziałam twoją kuzynkę. Czemu ona się tu kręci? Bardzoś za mną tęsknił? (*objęła go ramieniem za szyję i patrzy radośnie w oczy*) — Bardzo? (*Kazio uśmiecha się, nie wiedząc, co ma powiedzieć, ona odsuwa jego głowę z udaniem przerażenia, nie zdejmując jednak ramienia*) — Klima! On wcale nie tęsknił! Co ja mam zrobić z tym człowiekiem?

KLIMA (*niby żartem, ale bardziej serjo*) — Nabić w armatę i wystrzelić!

ADA (*do Kazia*) — Słyszałeś? Masz! (*przysuwa nagle głowę jego głowę i całuje w usta — do Klimy*) — Nie odwracaj się... Ja się wcale nie wstydzę... Kapelusz... (*oddaje jej kapelusz*) — Nie przyjmujemy nikogo. (*do Kazia*) — Kochany panie! Będzie długa i poważna rozmowa.

KLIMA — Nie jestem ci potrzebna?

ADA — Nie. Jesteś odęta, jak balon... (*śmieje się*) — Przywiąż się do klamki, bo cię wiatr porwie... Czegoś zła?

KLIMA (*spojrzała na drzwi od swego pokoju, zawahała się*). — Nie mam powodu do radości. (*idzie do swego pokoju, przypomina sobie, że tam jest*

Zygmunt, zatrzymuje się). Ja będę w twoim pokoju, dobrze?

ADA — Do widzenia! A wróc w lepszym humorze!  
(Klima wychodzi).

#### SCENA 14.

ADA — KAZIO.

ADA (*wciąż w radosnem podnieceniu*). — Teraz dowiesz się wszystkiego! Awantura. Wiesz, dokąd jedziemy? Do Barcelony, a potem do Buenos-Aires... (*śmieje się*). Czy ja dobrze powiedziałam? (*wolno*) Bu-e-nos - Ai-res! Wiesz, gdzie to jest? Z tamtej strony ziemi... (*gest*) — Akurat... Tam teraz właśnie ludzie chodzą głowami na dół! Świetne warunki... Majątek! Siadaj! (*pociąga go na kanapę, siadają razem*). Kochać się szczęśliwie można tylko wśród obcych... Nikt nie przeszkadza... Niebieskie morze, słońce, gaje pomarańczowe! Żadnych znajomych twarzy... żadnych „Dzień dobry pani”... „Co u pani słychać?”. Ocean, kajuta — jak pudełko i tylko ciągły szum fal, najpiękniejsza muzyka na świecie... Kazik! Życie jest cudne! Całowałaś kiedy słone usta?

KAZIO (*uśmiecha się mimowoli*) — Nie.

ADA — Wiatr osadza na wargach sól, która paruje z morza... Cudownie! Mnie tutaj było ciasno... duszno... Odetchniemy pełną piersią!... (*Kazio milczy*). — Dlaczego nic nie mówisz?

KAZIO — Cóż mogę powiedzieć?



ADA — Nie chcesz?

KAZIO (*zdziwiony*) — Ja?

ADA (*posmutniała, objęła go spojrzeniem*). — Nie możesz? (*Kazio gestem wyraża niemożliwość wyjazdu*). — Co cię tu trzyma?

KAZIO — Wszystko!

ADA (*już bez głębszego przekonania*). — Przecież to nie na całe życie! Wrócimy. (*z odcieniem melancholji*). Zawsze się wróca... (*z wymówką i czułością zarazem*) — Burżuj! Wy macie pewno obszerne mieszkanie, stare ładne meble... serwantkę z porcelaną?...

KAZIO — Tak.

ADA — Ja się niczego tak nie bałam, jak własnych mebli... Kto raz osiadzie na własnych meblach, już przepadła wolność!

KAZIO — Wiesz, że ja w paździeniku mam się doktoryzować!

ADA (*ze smutnym uśmiechem*) — Wolisz być doktorem, niż szczęśliwym?

KAZIO — To co innego.

ADA — Co innego! (*smutniej*). Szkoda! Trzeba będzie zostać i za małe pieniądze śpiewać z tym samym tenorem... te same opery... przed tą samą publicznością... w tym samym teatrze...

KAZIO — Ty powinnaś jechać!

ADA (*zdziwiona*) — Bez ciebie?

KAZIO (*zakłopotany, nie może wybrnąć z tego, co pragnąłby powiedzieć*) — Ja... ja przecież nie mogę... w twojem życiu tyle zaważyć, żebyś dla mnie...

ADA (*zamyka mu usta dłonią*) — Nie kończ!

KAZIO (*odsuwa się z ustami*) — Gdybym był bardzo bogaty, jak stryj... gdybym miał majątek w dolarach...

ADA (*radośnie*) — O to ci chodzi! (*czule*). — Idjota! Oni mi dają tyle, że wystarczy dla dwojga i jeszcze zostanie.

KAZIO (*lekko urażony*). — Przepraszam cię, to będą twoje dochody!

ADA — Więc co? Gdybym ja się znalazła bez pieniędzy, a ty byś miał, może zawahałabym się wziąć od ciebie?

KAZIO — To co innego!

ADA — Znowu: to co innego! (*czule*) — Czyż ja ci nie więcej daję, niż pieniądze? A bierzesz! Nie bierzesz? (*Kazio chce odpowiedzieć, ona zamyka mu usta*). — Ja wiem: to co innego!

KAZIO — Bo to jest co innego!

ADA — Naturalnie. (*uśmiecha się*). — Powiedz, może ty masz mnie wogóle dosyć?

KAZIO (*poważny, bez zastanowienia*). — Wogóle nie, ale musisz zrozumieć, że jak ty nie możesz wejść w moje życie...

ADA (*objęła go bystrem spojrzeniem i nagle zrozumiała*). — Ja nie mogę?... (*dłuższa chwila skupionego milczenia. Mówi z początku więcej do siebie, niż do niego*) — To jest prawda, ja nie umiem żyć według z góry zakreślonych planów. Gdy czegoś pragnę, wydaje mi się, że pragnąc

będę zawsze... Sądziłam, że ty, taki młody, coś nie znał jeszcze życia nic, prawie nic, nie będziesz obrachowywał (*smutny uśmiech*) — jak przemyślny architekt, czy fundament dość mocny... czy długo wytrzyma... Ty... ty się już boisz... już chcesz wracać... Tyś z pewnością nieraz, gdyśmy byli sami, myślał: Dobrze mi z nią! Lecz co z tego będzie? Myślałeś? (*Kazio milczy*). Widzisz! A ja... gdy mi jest dobrze... nie myślę wcale o tem, co będzie... Chciałbyś wrócić do dawnego życia? Do rodziny? Nie będzie ci żal? (*przesunęła swe wargi koło jego ust*). Zapomnisz? Ja nigdy nie mogłam zrozumieć mrówki, która tyle trudu sobie zadaje, żeby żyć na ziemi i w ziemi, kiedy o tyle lepiej jest, jak motyl, fruwać swobodnie!

KAZIO (*uśmiechnął się lekko*) — Tak... ale trzeba mieć skrzydła!

ADA (*z czułym persiflażem*) — Prawda! Jakiś ty mądry! (*objęła go ramieniem*). — Odszedłbyś odemnie? Dokąd? Do tej panienki? Będzie ci z nią lepiej? (*znów przemknęła wargami koło jego ust*). — Głupi! (*on się uśmiecha, ona z udaniem zdziwienia*). — Ty nie jesteś głupi? (*Kazio przeczy, ona z udaniem oburzenia*) (*do publiczności*). On myśli, że nie jest głupi! Jest! Jest! (*w drzwiach w głębi pukanie*). — Ale jest przynajmniej szczery. Nie ukrywa swoich myśli. Jednej rzeczy nie darowałabym ci nigdy: nieszczerości! (*w drzwiach w głębi ponowne pukanie, przez szklane drzwi widać sylwetkę Zosi*). Kto tam? (*nie odwróciła się nawet, pochłonięta roz-*

*mową*) — Znowu drzwi od ogrodu były niezamknięte... Kto tam? (*odwraca się niecierpliwie*).

(*wchodzi Zosia*).

ADA (*zdumiona*). — Pani?

## SCENA 15.

ADA — KAZIO — ZOSIA.

ZOSIA (*cokolwiek zmieszana*). — Przepraszam panią... (*wita się*).—Dzień dobry... (*Kaziowi skinęła tylko poufale głową*).—Zostawiłam tu gdzieś moją torebkę... (*rozgląda się, do Kazia, tłomacząc się*). — Mam w niej wszystkie moje klucze... (*udaje, że spostrzega torebkę na stole*). — Jest... (*bierze torebkę, do Ady*) — Przepraszam panią bardzo...

ADA (*zmienionym głosem*) — Pani tu była?...

ZOSIA (*sili się na ton naturalny*). — Miałam interes do tego brzydkiego człowieka... U matki teraz nigdy nie możemy się spotkać... Pani nie weźmie mi za złe mojej śmiałości?...

ADA (*twardo*). — To jest rzecz ojca pani, nie moja. On powinien pilnować, gdzie pani chodzi. Młode panienki obecnie nie lękają się przygód...

ZOSIA — Proszę pani... to naturalne... Przygody młodych panienek — z mojej sfery kończą się zawsze dobrze...

ADA — Nie zawsze, łaskawa pani, nie zawsze...

ZOSIA (*z cokolwiek sztuczną swobodą*) — Ale pani ma słuszość, że nie powinnam była tego zrobić... Ten człowiek... (*wskazuje Kazia*) — zmienił się

do niepoznania... Jak on się teraz zachowuje! Dawniej był przyzwoty, aż do przesady. A teraz...

ADA (*stara się wpaść w jej ton*). — A teraz? (*sili się na uśmiech*) — Był zbyt śmiały? Zbyt przedsiębiorczy? Założyłabym się, że chciał panią pocałować... (*Zosia spuszcza oczy i milczy*). — Pocałował?

ZOSIA (*niby nieważnie*). — Powiedział pani? To niegodziwe!

ADA (*twardo*) — Nie...  
(*chwila milczenia*).

ZOSIA — Żegnam panią. (*do Kazia*). — Gdybyś nie był moim narzeczonym, byłabym skompromitowaną. Wieczorem zobaczymy się, prawda?

KAZIO (*ciszej*). — Tak.  
(*Zosia skłoniła się Adzie, ręką poufale pożegnała Kazia i wychodzi*).

ADA (*do Kazia*). — Niech pan panią wyprowadzi...  
(*Kazio zawahał się*).

ZOSIA (*odwróciła się w drzwiach*) — Dziękuję pani!...

ADA (*do Kazia, wzrokiem wskazuje Zosię*). — Proszę pana! (*Kazio idzie za Zosią, Ada zostaje sama. Patrzy za nimi długo, jakby wazyła decyzję, która jej ciężko i z bólem przychodzi, potem siada nagle, kurczy się, kryje twarz w dłoniach i śmieje się cicho, bo jej się bardzo chce zapłakać. Wraca Kazio. Szuka oczami Ady*).



SCENA 16.

ADA — KAZIO.

KAZIO (*poruszony i zmieszany*). — W tem wszystkim tkwi nieporozumienie, które muszę ci wyjaśnić... (*siada przy niej*). Było tak...

ADA (*przerywa, z łagodnym i smutnym, nieco drwiącym uśmiechem*). — Kłamałeś! Tego się nie spodziewałam! Wszyscy kłamią, ja sama nieraz muszę kłamać... ale właśnie myślałam, że ty, taki młody... że ty nie będziesz kłamał...

KAZIO — Ja byłem zawsze z tobą szczery... chcę być szczery i teraz.

ADA (*przesuwa mu palcami po ustach, nie pozwalając skończyć zdania*). — Cicho! Rozumiem... Kłamałeś, by oszczędzić mi przykrości. Kłamałeś, jak kłamię człowiek dobrze wychowany... przez delikatność. Kłamałeś, boś wstydził się przyznać, że to, co było między nami, nie zdołało oderwać cię od rodziny... od twoich pragnień, ambicji, przyzwyczajień... od tego świątka, który był i będzie twoim... nigdy nie będzie moim! (*Kazio próbuje coś powiedzieć*). — Nie zaprzeczaj! Ja nieraz widziałam w twoich oczach... słyszałam słowa, których nie wypowiedziałeś... ale myślałam, że będę silniejsza... że to, co nas złączyło, będzie mocniejsze!...

KAZIO — Nie pozwalasz mi mówić!

ADA (*ten sam gest ręki, przerywa*)—Boję się, że znów musiałbyś kłamać... może próbowałbyś sam siebie wprowadzić w błąd... przez delikatność! (*Ka-*

zio chce mówić). Wiem... teraz nawet mogłabym jeszcze cię zatrzymać! Na jak długo? Jestem starsza od ciebie... nawet sporo!... Myślą i duszą byłbyś z niemi... (*ten sam uśmiech, lekki persyflaż*). Przechemnie stałeś się mężczyzną! Zrozumiałeś, czym jest miłość... nauczyłeś się kochać! Moja rola skończona! Wrócisz do swojego życia, które z mojem nie ma nic wspólnego... Będziesz napewno szczęśliwy... tem szczęściem, dla jakiego urodziłeś się i wychowałeś... Ta panienka jest akurat dla ciebie... Tylko kobieta potrafi kobiecie zadać cios tak lekko i tak boleśnie...

KAZIO—Jesteś niesprawiedliwa i dla mnie i dla niej!

ADA — Nie martw się! Ta twoja mała kolizja ze zdrowym rozsądkiem minie... Będziesz wiódł życie spokojne... własne ognisko domowe... dzieci... wszystko co jest poza mną, bo ja żyję kaprysem... kto wie... za miesiąc... za pół roku sama rzuciłabym cię... to się już zdarzało... Lepiej, że w porę odchodzisz... zachowasz jaśniejsze wspomnienie! I dłużej! Kolombiny nie zapomina się łatwo, nawet przy tak ładnej paniencie... Mnie poniosła tęsknota za wiosną, wydało mi się, że ty... Primavera, gioventi del anno! Nie lękaj się... ja też zapomnę... Teraz mi smutno, ale zapomnę... W życiu tyle razy się umiera, zanim umrze się ostatecznie!

KAZIO (*przejęty szczerze*). — Chcesz mnie porzucić? Chcesz zerwać...

ADA (*przerywa*). — Tak! Odrazu i zupełnie! (*przesuwając palcami po jego włosach*). Dziś ja mówię:

Rozstańmy się. Jutro ty byś może dał się zatrzymać tam (*gest*) — u matki... albo zapomniał przyjść. Nie myśl, że to głupia ambicja. Nie obawiam się upokorzeń. Tyłu mężczyzn zносиło je dla mnie. Ale wolę być opuszczoną, niż... (*chciała powiedzieć: nieszczęśliwą, ale urwała, obejmuje go za szyję ramieniem, zbliża w ten sposób jego głowę do swojej*) — Było ci ze mną dobrze?

*(w pokoju Ady na lewo Klima brzdąka na fortepianie finał drugiego aktu „Pajaców“. Z drzwi na prawo wychyla się Zygmunt. Włosy zwichrzone, widać, że zakrapiał koniakiem robaka).*

KAZIO (*szczerze*). — Tak.

*(Zygmunt nasłuchuje pilnie, wpatrzony w Adę i Kazia)*

ADA — Byłeś szczęśliwy?

KAZIO (*j. w.*) — Tak.

ADA (*ze smutnym uśmiechem*). — Zdaje mi się, że ty nazywasz szczęściem to, co było tylko przyjemnością... Wszystko jedno. Pocałuj mnie... Długo...

*(Przymyka oczy, Kazio pochyla się nad nią i całuje. Zygmunt przetarł oczy, mruknął coś, jak dziki zwierz. Oni nie słyszą. Zygmunt skrada się ku nim, staje za stołem, machinalnie wziął nóż do ręki).*

ADA (*oderwała wreszcie swoje wargi*). — Znasz tę piosenkę „Ramiona jeszcze tula, choć serce odtrąca!... Ostatni pocałunek!... Dziwny smak ma taki pocałunek o s t a t n i!

*(Na te słowa Zygmunt, już mogący sięgnąć nożem Kazia, nie rozumiejąc tych słów, zatrzymuje się).*

ADA *(choć odwrócona i nie widzi, odczuła nagle obecność Zygmunta. Porwała się z miejsca, z przestraszeniem).* — Kto tu jest? *(Spostrzega Zygmunta).* — Zyga?

## SCENA 17.

### CIŻ — ZYGMUNT.

*(Zygmunt przerażony upuszcza nóż z ręki. Ada patrzy nań zdziwiona, trochę wzruszona, nagle wybucha głośnym śmiechem. Zygmunt patrzy na nią ogłupiałym wzrokiem. Kazio zgoła nic nie rozumie. Powstał z kanapy i patrzy zdumionym wzrokiem na bladego, trzęsącego się z wewnętrznego wzruszenia Zygmunta).*

ADA *(do Zygmunta, z pogardą niepozabawioną czułości)* — Pagliaccio! *(podnosi nóż, do Kazia).* — Pragnęłabym panu dać małą pamiątkę. Chce pan — ten nóż... Do rozcinania książek... *(Kazio nie rozumie).* Proszę... *(uśmiecha się).* — Pan jest przesądny? Zaraz... *(bierze nóż i lekko się kaleczy).* — Ot tak... jest kropla krwi... *(podaje nóż z uśmiechem).* Gdy będziecie szli do ślubu — ja będę daleko... Za morzami...

*(w drzwiach z lewej strony staje Klima).*

ZYGMUNT *(jakby obudzony)* — Jedziesz?

ADA *(twardo).* — Tak. *(do Kazia).* — Niech pan idzie! *(podaje mu rękę, on całuje).*

KAZIO (*zaambarasowany obecnością Zygmunta*). —  
Pragnąłbym jeszcze z panią pomówić.. Pani  
przecież zaraz nie wyjeżdża?...

ADA — Dzisiaj... Klima zapakuje rzeczy... dogoni  
mnie w drodze... (*do Zygmunta, twardym głosem*)  
— Jedziesz ze mną?

ZYGMUNT (*poruszony*) — Ja?  
(*drzwiami w głębi wchodzi Konstanty*).

## SCENA 16.

CIŻ — KONSTANTY.

KONSTANTY (*w głębi, zaskoczony*) — Pani jedzie?

ADA (*z uśmiechem trochę złośliwym, trochę współ-  
czującym*) — Do Buenos-Aires...

KONSTANTY (*przysiadł na krześle ze wzruszenia*)—  
Do Buenos-Aires... (*wskazuje Kazia*) — A on?

ADA — Niech pan się nie trwoży... Zostaje w rodzin-  
nych pieleszach...

KONSTANTY (*uradowany, powstał i zbliża się*). —  
Zostaje? Pani musi jechać?

ADA — Tak.

ZYGMUNT (*z utajonym tryumfem*). — Ja także jadę!

KONSTANTY — Pan także!

(*Kazio raz jeszcze całuje rękę Ady, która patrzy nań  
ze wzruszeniem, poczem kłania się Zygmunutowi i Kon-  
stantemu*).



KONSTANTY *(do Kazia)*. — Idziesz?

KAZIO — Tak...

*(wychodzi wolno, ze spuszczoną głową drzwiami wglębi. Ada patrzy za nim).*

KONSTANTY — Pani zanadto godną jest kochania, aby miłość mogła panią uczynić szczęśliwą... Buenos-Aires... Dlaczego do Buenos-Aires?... Ja na morzu zawsze choruję!

K O N I E C.



## SPIS RZECZY.

	str.
Walka . . . . .	5
Głuszec . . . . .	177
Kolombina . . . . .	291

---

**INSTYTUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**









F

4833